

Ewa Podsiadły-Natorska

BŁĘKITNE DZIEWCZYNY

Fantastyczna opowieść o kobietach, z którymi bardzo
chciałabym spędzić czas. Koniecznie musicie
poznać Kaję Redo – radomską
Bridget Jones. Polecam!
Magdalena Witkiewicz



Ewa Podsiadły-Natorska

BŁĘKITNE
DZIEWCZYNY



Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Redakcja: Jadwiga Piller

Redakcja techniczna: Anna Sawicka-Banaszkiewicz

Skład wersji elektronicznej: Robert Fritzkowski

Korekta: Agata Rogowska, Maria Śleszyńska

Copyright © Ewa Podsiadły-Natorska

Zdjęcie na okładce © Studio MPM/Stone/Getty Images

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2015

ISBN 978-83-287-0094-9

Wydawnictwo Akurat

Warszawa 2015

Wydanie I

*Rafkowi, który pierwszy uwierzył w Kaję,
moim Rodzicom i Madzi.
Bez Was nic nie byłoby możliwe!*

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

PRZEPISY BOHATEREK

Podziękowania

Podobno kobiety byłyby skłonne oddać nawet dwadzieścia lat swojego życia, żeby wyglądać lepiej. Słodki Jezu! Myślę o tym i robi mi się słabo. Dwadzieścia bożych lat... Nie dalibyście temu wiary – jestem pewna – gdybyście byli na moim miejscu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy poznałam tak wiele dzielnych, mądrych, odważnych, pięknych kobiet, że na samo ich wspomnienie trudno się nie uśmiechnąć.

Picasso mawiał, że istnieją dwa rodzaje kobiet: boginie i wycieraczki. Szanowny panie od kubizmu, spieszę donieść, że się pan pomylił! Odkryłam bowiem, że istnieją dwa rodzaje kobiet: boginie i boginie do kwadratu. Koniec, kropka. Pewne jak to, że dwa plus dwa równa się cztery. I jak to, że w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy moje życie stanęło na głowie.

Możecie mi nie wierzyć, ale dałam początek efektowi domina, reakcji łańcuchowej, stworzyłam własną kulę śnieżną, która stopniowo rozrastała się aż do rozmiarów, które przerosły moje oczekiwania.

Żeby to zrozumieć, potrzeba liczb.

Ponad dwieście dni. Znacznie więcej kobiet. Pięćdziesiąt jeden tysięcy – o rany! – fanów na Facebooku. Setki komentarzy, lawina polubień, mnóstwo udostępnień. Niezliczona ilość wzruszeń. Kilka separacji. Wiele wieczorów w samotności. I jeszcze jedna cyfra: trójka. A dokładnie trzy jak ułał pasujące do siebie słowa: **kobiety są niesamowite**. Niech skonam, jeśli to nieprawda.

Nazywam się Kaja Redo i jestem prawdopodobnie najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

Zagramy razem w domino?

Rozdział 1

– Jezu Chryste – stęknęła Mini.

Słowa wyskoczyły z niej niespodziewanie (jak pajac na sprężynie uwolniony z ciasnego pudełka). Odezwała się pierwszy raz od dobrych kilku minut, dziesięciu prawie, co było dość niezwykle, bo na ogół buzia jej się nie zamykała, a i postękać sobie lubiła.

Spojrzałyśmy na nią zaskoczone. Już otwierałam usta, żeby zapytać, co ją tak poruszyło, gdy do moich uszu dotarł potok słów płynący z telewizora: „Radom po raz kolejny (czyli, do licha, który? – zaczęłam się zastanawiać – piąty, dziesiąty, a może pięćdziesiąty?) został uznany za «najgorsze polskie miasto do życia»”.

Cholerabyichwzięła, zakłęłam w duchu; kiedy się denerwowałam, moje myśli i słowa często zlewały się w dziwną całość. Wzięłam kilka głębokich wdechów, a gdy wreszcie zdołałam się opanować, wbiłam oczy w ekran.

Reportaż oglądałam poruszona, nie mogłam przestać kręcić głową. Niech ich szlag! Znowu Radom. I znowu to samo – że jest brzydki, smutny, opuszczony, bez perspektyw. Nie podobało mi się, że z mojego rodzinnego miasta wszyscy robią sobie chłopca do bicia. Krew mi się w żyłach ścinała, gdy słyszałam, że Radom to dziura, prowincja, stolica zupek chińskich i disco polo. Że niby dzikie miasto. A najbardziej mierzył mnie fakt, że ranking „najgorszych polskich miast do życia” opracowano, podobno, na podstawie wypowiedzi samych mieszkańców. Po takim reportażu podły nastrój na resztę wieczoru miałam zagwarantowany.

Siedziałyśmy u Mini w trochę staroświeckim (meblościanka) a trochę nowoczesnym (płaski telewizor) salonie trzypokojowego mieszkania w dziesięcioklatkowym bloku z wielkiej płyty. Mini dzieliła je z mamą (do której to mieszkanie należało) i Arkiem, swoim aroganckim mężem (na ich ślubie płakałam. Nie, nie ze szczęścia). Gadałyśmy o głupstwach, popijałyśmy słodkie wino z dyskontu i miałyśmy jeden z tych *grubych dni*, gdy kobieta czuje się jak szafa trzydrzwiowa i najchętniej ukryłaby się przed całym światem.

– Też mnie to wkurza – fuknęłam wytrącona z równowagi, ciągle myśląc o przeklętym reportażu. – Nigdy nie powiedzą o Radomiu niczego dobrego.

Mini rzuciła mi ostre spojrzenie spod zmarszczonych brwi i zgrabnym ruchem poderwała się z obitego ciemnozielonym zamszem fotela. Zbliżyła się do kanapy, na

której siedziałyśmy, i wcisnęła się między mnie a Madzię. Była szczupła i wysoka. Z bliska poraził mnie intensywny zapach jej owocowych perfum. Palcami zakończonymi czerwonymi paznokciami spiłowanymi w ostre słupki odgarnęła sobie z twarzy bujne rude włosy i zabrzączała złotymi kolczykami.

– A ty w kółko o jednym – pisnęła, wywracając mocno umalowanymi oczami. – Nie o to chodzi. Patrzcie! – zawołała, rozłożyła sobie na udach kolorowe czasopismo i szponiastym palcem wskazała coś na prawej stronie.

Mój wzrok powędrował na kościste łydki modelki, a następnie, w ślad za paznokciem Mini, na delikatne, złote sandały zrobione z dwóch cienkich jak trzcina paseczków przszytych do płaskiej podeszwy. Mini uwielbiała modę, więc mogłam się domyślać, że właśnie wypatrzyła kolejne чудо, które zapragnęła mieć w swojej szafie, choć było w tym coś dziwnego. Mini, owszem, lubiła czasopisma tego typu, ale gardziła drogimi rzeczami, wyznając zasadę: „Daj mi dwadzieścia złotych, a tak cię ubiorę w lumpeksie, że koleżanki zzielenieją z zazdrości”. Chętnie się chwaliła, że ma na sobie bluzkę za dwa pięćdziesiąt albo spodnie za cztery złote. Swoje łupy nazywała „emteemami” od pierwszych liter słów „muszę to mieć”. Kiedyś w życiu Mini było też miejsce dla „emgieemów” (od: „muszę go mieć”), ale zmieniło się to, gdy wyszła za, niestety, Arka Filipka.

– Ładne – skwitowała Madzia, odzywając się pierwszy raz od dłuższego czasu.

Mini prychnęła i pokręciła głową, brzącząc kolczykami.

– Ładne, nieładne, nie w tym rzecz. Zobaczcie, ile kosztują!

Skuliłyśmy się z Madzią jak na komendę, by odczytać to, co napisano pod sandałami. Obok (pokręconego) nazwiska projektanta widniała cena: siedem tysięcy złotych.

– Ile?! – krzyknęłam, momentalnie zapominając o reportażu, który zachwiał moim spokojem. Wprost nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

– Siedem tysięcy? – jęknęła Madzia. – Chyba się pomylili o jedno zero...

– Jezu Chryste – powtórzyłam po Mini; aż musiałam odetchnąć.

– Pomylili się, jasne. – Mini zaśmiała się ironicznie. – Ta sukienka kosztuje prawie dwa razy tyle – powiedziała, przesuwając czerwony paznokieć na małą czarną, w której sfotografowano modelkę w złotych sandałach. – W tym pisemku jest zresztą znacznie więcej takich kwiatków.

– Co to w ogóle za gazeta? – zapytałam i zerknęłam na okładkę.

Było to tak zwane luksusowe (bardzo grube i bardzo drogie) czasopismo poświęcone modzie, pełne zdjęć pięknych kobiet w absurdalnie drogich ciuchach, nieosiągalnych dla większości Polek. A już na pewno nie dla radomianek pijących

dyskontowe wino. Drukowana apoteoza haj lajfu, targowisko próżności i blichtru. Modnie było położyć taki magazyn na stoliku obok kubka z kawą, pstryknąć fotkę i opublikować ją w jakimś serwisie społecznościowym, ale nic ponadto.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza i dałabym sobie uciąć rękę, że wszystkie trzy pomyślałyśmy o tym samym: jak długo musiałybyśmy pracować, by sprawić sobie sandały za siedem tysięcy. Ja chyba najkrócej, chociaż i tak nieprzyzwoicie długo: prawie pięć miesięcy (oczywiście pod warunkiem, że w tym czasie bym nie jadła, nie piła i nie płaciła rachunków).

Większość osób było przekonanych, że pracując w redakcji lokalnego tygodnika jako fotoreporterka, zarabiam nieźle, ale prawda była taka, że co miesiąc na moje konto wpływało marne półtora tysiąca. Marne, bo gdy się żyje w pojedynkę, trudno się za takie pieniądze utrzymać i trzeba znowu zamieszkać z rodzicami.

Jeszcze dłużej na złote sandały musiałyby pracować Madzia – przed dwoma miesiącami rozpoczęła pracę w księgarni, za co dostawała wynagrodzenie w wysokości najniższej krajowej. Nie trzeba było być matematykiem, by obliczyć, że na tak obrzydliwie drogie buty musiałyby odłożyć półroczną pensję z hakiem.

Najgorzej miała jednak Mini, która o sandałach za siedem tysięcy od razu mogła zapomnieć. Od paru miesięcy szukała pracy (choćczasem odnosiłam wrażenie, że raczej czekała, aż praca sama ją znajdzie) i żyła głównie dzięki mężowi prowadzącemu razem ze swoim ojcem zakład wulkanizacyjny (pracowitość była chyba jedyną zaletą Arka) oraz mamie, która miała to rzadkie szczęście, że załapała się na całkiem przyzwoitą (wcześniejszą) emeryturę.

– Właśnie! – wykrzyknęłam, zabrałam z kolan Mini magazyn i cisnęłam go w kąt. – Przecież miałaś dziś rozmowę kwalifikacyjną! Dlaczego nic nie mówisz? Jak ci poszło?

Madzia pokiwała głową, jakby również uświadomiła sobie, że powinna była o to zapytać, i razem ze mną zaczęła świdrować Mini wzrokiem. Nasza przyjaciółka ubiegała się o pracę w sekretariacie jednej z radomskich szkół policealnych.

– Olaboga – pisnęła Mini; lubiła to powiedzonko. Po wyrazie jej twarzy zaczęłam wnioskować, że nie poszło najlepiej.

Czekałyśmy z Madzią w napięciu. Mini wzruszyła ramionami, sięgnęła po kieliszek i na raz wychyliła całą jego zawartość.

– Ale to i tak była kiepska robota – oznajmiła, potwierdzając moje przypuszczenia: poszło fatalnie.

– O co cię pytali? – zapytała Madzia. Jej pucołowata twarz wyrażała szczere zmartwienie, jak gdyby bała się usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie.

– Kochana, gdybyś ty wiedziała, o co oni mnie pytali! – wypaliła Mini i poderwała swoje szczupłe ciało z kanapy (czasem zastanawiałam się, czy osoba w jej rozmiarze faktycznie może mieć *gruby dzień*). Stała przed nami w nauczycielskiej pozycji i rozpoczęła monolog, pomagając sobie żywą gestykulacją.

– Dobra, opowiem wam od początku. No więc wystroiłam się jak głupia, upatrzyłam sobie kieckę na ciuchach, droga nawet była, dwanaście złotych za nią dałam, ale pomyślałam, że przecież muszę wyglądać jak człowiek. Do tego szpile, biżu, oko umalowane, fryz zrobiony, wiadomo. Byłam tam przed czasem i nie powiem, trochę mnie nerwy zżerały, ale powiedziałam sobie: kobieto, musisz dać z siebie wszystko. W końcu zaprosiła mnie do środka taka jedna damulka. Sztywna, jakby kij od szczotki połknęła, ę, ą, bułkę przez bibułkę, okularki, koczek, nic specjalnego, ale charakter to już w ogóle tragedia.

Dyskretnie zerknęłyśmy na siebie z Madzią.

– Weszłam, usiadłam, podałam jej teczkę z dokumentami, żeby nie było – Mini mówiła dalej – i się zaczęło. Obcinała mnie cały czas, aż się dziwnie poczułam, ale nie dałam się wyprowadzić z równowagi. Pytała o wszystko: wykształcenie, pracę, kursy, umiejętności, takie tam. No to jej wszystko wyśpiewałam jak na spowiedzi i kurczę, dziewczyny, nawet byłam z siebie zadowolona, a wtedy ta damesa pojechała po bandzie.

– To znaczy? – zapytała Madzia, unosząc brwi.

– To znaczy, że zapytała mnie, co bym zrobiła, gdybym spotkała słonia na pustyni.

W pierwszej chwili miałam wrażenie, że się przesłyszałam, ale zdezorientowane spojrzenie Madzi, które przenosiła nerwowo z Mini na mnie i z powrotem na Mini, utwierdziło mnie w przekonaniu, że jednak dobrze usłyszałam.

– Naprawdę cię o to zapytała? – chciałam wiedzieć.

– Przecież nie zmyślam – rzuciła Mini urażonym tonem.

To nie pierwszy raz, gdy rozmawiałyśmy – coś podobnego! – o słoniach. Jakiś czas temu przez kilka dni Mini żyła informacją zasłyszaną w telewizji, że ciąża słonia trwa prawie dwa lata. „Dobry Boże, wyobrażacie to sobie w ogóle? Tyle miesięcy z nabrzmiałym brzuchem. Kto by to wytrzymał?”

– Ale jak to? – odezwała się Madzia; jej oczy błędziły po pokoju w poszukiwaniu zrozumienia dla słów przyjaciółki.

– No tak to! – prychnęła Mini i rozłożyła szeroko ramiona. – Co-bym-zro-bi-ła-gdy-bym-spo-tka-ła-sło-nia-na-pu-sty-ni – wysylabizowała z teatralną przesadą.

– I co powiedziałaś? – zapytałam z ciekawością. Przypomniało mi się, że jedna z moich redakcyjnych koleżanek robiła kiedyś materiał o najbardziej absurdalnych

pytaniach na rozmowach kwalifikacyjnych, które rzekomo miały sprawdzać kreatywność i potencjał kandydatów. (Gdybyś był produktem Sony, to którym?/ Po co psom ogon?/ Dlaczego szampony do włosów mają różne kolory, a piana zawsze jest biała?)

– Nic – odparła Mini.

– Jak to nic? Nic nie powiedziałaś?

– Nie. – Mini kolejny raz wywróciła oczami. – Powiedziałam, że nic bym nie zrobiła.

– Ee, tak powiedziałaś? – zaniepokoiła się Madzia.

– A ty niby co byś zrobiła, gdybyś spotkała słonia na pustyni? – spytała Mini zaczepnie. Zaczzerwieniła się aż po cebulki włosów, zlewając się w jedną wielką karmazynową masę, na której odróżniała się jedynie błękitna dzianinowa sukienka.

– No nie wiem. – Madzia wzruszyła ramionami. – Ale chyba coś bym jednak spróbowała wymyślić. Wiesz, oni w ten sposób testują ludzi...

– Bardzo jestem ciekawa co – warknęła Mini. – Przynajmniej byłam szczerą i powiedziałam, że nic bym nie zrobiła, tylko poszła dalej.

Znowu wymieniłyśmy z Madzią porozumiewawcze spojrzenia. Dla nas było już jasne, dlaczego Mini nie dostała tej pracy. Kochałam ją, ale czasem zachowywała się, jakby miała nie więcej rozumu od kury.

Madzia wyglądała na najbardziej zażenowaną z naszej trójki. Pośpiesznie napełniła swój kieliszek winem i szybko przytknęła go do ust.

– Dobra, co było dalej? – zwróciłam się do Mini, która sprawiała wrażenie rozgniewanej. Jeszcze chwila i zacznie kopać prądem, pomyślałam.

– Dalej – powtórzyła i westchnęła ciężko. – Dalej było jeszcze gorzej. Ta cała paniuszka zaczęła mnie pytać o osobiste sprawy, wręcz intymne, na przykład, czy jestem osobą religijną, czy mam dzieci i czy je planuję, jakie mam poglądy polityczne itepe.

Patrzyłam na nią oniemiała. O etat było ciężko, szczególnie w Radomiu, ale żeby na rozmowie o pracę w sekretariacie wypytywać o takie rzeczy, to już mi się nie mieściło w głowie. Zaczęłam wręcz się cieszyć, że Mini nie została tam zatrudniona.

– Więc generalnie zaczęło mnie to wszystko wnerwiać i gdy powiedziałam tej damulce, że to są moje własne osobiste sprawy i wolałabym o nich nie opowiadać, to zrobiła krzywą minę, a na koniec zapytała jeszcze, ile chciałabym u nich zarabiać.

– I? – spytała Madzia, cała purpurowa na twarzy jak Mini, i znowu dołała sobie wina.

– Powiedziałam, że dwa tysiące. To chyba nie jest jakaś wygórowana kwota, co

nie? Ale ta damulka tak na mnie popatrzyła, jakby jej oczy miały zaraz wyjść z orbit, odchrząknęła i raczyła mnie poinformować, że u nich płaci się na początek najniższą krajową. I że powinnam się cieszyć, bo podpisują umowę z pracownikami na cały etat, a etat jest ozusowany i wogle (gdy mówiła „wogle”, to wiedziałem, że jest poruszona) próbowała mi wmówić, że zatrudnianie ludzi to z ich strony wielka uprzejmość, gest, akt łaski prawie. No i już wiedziałam, że to nie miejsce dla mnie, o nie, po moim trupie, nie pozwolę sobą pomiatać. Podziękowałam, zabrałam się stamtąd. I poszłam na zakupy.

Rozdział 2

No tak, poszła na zakupy, cała Mini. Nie wytrzymałam i wybuchnęłam śmiechem. Mini rzuciła mi jadowite spojrzenie, ale po chwili też zaczęła rechotać, zagłuszając subtelny chichot Madzi, która śmiała się jak mała dziewczynka.

Zanosiliśmy się śmiechem przez dobrych parę minut. (Gdy spotykałyśmy się we trójkę w środku tygodnia, taka scena często miała miejsce – wystarczyło jakieś głupstewko, najczęściej mimochodem rzucone przez Mini, i w mig rozbrzmiewała spontaniczna kanonada chichotów. Potrafiłyśmy śmiać się ze wszystkiego niczym nastolatki zamknięte w windzie. Czasem zastanawiałam się, czy przypadkiem nie był to śmiech przez łzy, bo przecież przeciętna kobieta mieszkająca w tym kraju i mieście takim jak Radom nie miała się czym zachwycać. A jednak śmiejemy się, mimo że powietrze, którym oddychamy, przesiąknięte jest malkontenctwem, trującą chorobą, od której uciekałam i przed którą chciałam uchronić Mini oraz Madzię. Byłam przekonana, ponad wszelką wątpliwość, że kobieta może być szczęśliwa w każdej sytuacji, w każdym czasie i w każdym miejscu).

– Cholera jasna! – z zamyślenia wyrwał mnie podniesiony głos Madzi. Spojrzałam na nią zaskoczona i, o Boże, zobaczyłam wielką krwistą plamę na jej beżowym swetrze. Poderwała się z kanapy tak raptownie, jakby siedziała na rozżarzonych węglach.

– Jezu Chryste! – zawołała Mini kolejny raz tego wieczoru, złapała rozdygotaną Madzię za rękę i krzycząc, że „trzeba to jak najszybciej, kurde mol, zaprać”, wybiegła z nią z pokoju.

Zostałam sama. Bezwładnie opadłam na oparcie kanapy, czując, jak słodkie wino wypełnia mój organizm i ogarnia mnie to specyficzne, błogie uczucie. Było mi dobrze, choć czułam, że niewiele brakuje, bym upiła się na smutno. Moje myśli już galopowały w kierunku, który mi nie odpowiadał, dzikie i nieokiełznane jak spuszczone ze smyczy sfera. Nie, nie chciałam zaprzętać sobie tym głowy, nie teraz...

I właśnie w tym momencie, gdy byłam o krok od tego, by z roześmianej trzpiotki stać się użalającą się nad swoim losem malkontentką, do pokoju wbiegła mama Mini – wielbiona przez nas pani Alinka.

– Ależ gapa z tej Madzi, gapa, gapa. Mam coś dla was, księżniczki. Wreszcie możemy sobie chwilę pogadać, no mówże, co tam, u ciebie, mów, mów – wystrzeliła

słowami jak z bazooki, stawiając na stoliku, jak to miło z jej strony, tacę pełną babeczek i przysiadając się do mnie.

Pani Alinka Chmurczyk była kobietą wyjątkową pod wieloma względami. Choć przekroczyła sześćdziesiątkę, zachowywała się, jakby miała góra dwadzieścia kilka lat. Była typem dzidzi piernik, a gdybyście ją zobaczyli, w waszych głowach z pewnością rozjarzyłoby się powiedzenie: z tyłu liceum, z przodu muzeum. Wstyd mi za to porównanie, ale taka była prawda. Nosiła grzywę kręconych blond włosów, w które wpinała różne ozdoby. Uwielbiała błyskotki, kolorowe torebki i niebotyczne szpilki. To ona zaraziła Mini miłością do ciucholandów; była ich niekwestionowaną królową. Tak bardzo lubiła się stroić, że nawet po domu chodziła w butach na obcasie. Figury mogłaby jej zresztą pozazdrościć niejedna dziewczyna w moim wieku.

Od pewnego czasu nieodłącznym atrybutem pani Alinki był smukły e-papieros, który pasował do niej jak ulał. Przerzuciła się na ten wynalazek blisko rok temu, gdy na raka płuc zmarł jej mąż i ojciec Mini, świeć Panie nad jego duszą, nałogowy palacz od piętnastego roku życia.

Wizerunek pani Alinki był trochę komiczny, ale obie z Madzią przepadałyśmy za nią. Była dla nas jak ciociababcia, choć ona sama wolała być traktowana jak koleżanka i wielokrotnie prosiła nas, byśmy mówiły do niej po imieniu, na co jednak nie chciałyśmy się zgodzić. Pomimo wieku była pełna życia, a energią mogłaby obdarować niejedną moją rówieśniczkę.

Była typem rubasznej kobiety, której wybacza się wszystko – nawet różowe trampki na szpilce, w których właśnie przydreptała. W jej towarzystwie każdy czuł się dobrze, ludzie do niej lgnęli i chcieli się jej zwierzać. Już nieraz złapałam się na tym, że podzieliłam się z nią sekretem, którego nie powiedziałam nawet Mini i Madzi. Każdemu umiała spojrzeć w oczy, łatwo się z nią rozmawiało, wprowadzała innych w nieskrępowany nastrój. Ta kobieta miała w sobie coś wyjątkowego. Była moim dobrym duchem i jednym z niewielu przykładów szczęśliwych radomianek, które umiały sobie tak ułożyć życie, by było wygodne i przyjemne. Nigdy nie narzekała – gdy ktoś zaczynał się nad sobą uzalać, kazała mu natychmiast wziąć się w garść. A mnie i Madzię od lat konsekwentnie nazywała księżniczkami.

– U mnie w zasadzie po staremu – stwierdziłam i sięgnęłam po wypiek z ciasta francuskiego wypełniony masą jabłkową, w który wgryzłam się z ochotą. – Pycha.

– A takie tam, na szybko... – Pani Alinka machnęła ręką. – Dobrze, że mój pozał się Boże zięć jeszcze nie wrócił, to możemy sobie chwilunię poplotkować. – Westchnęła ostentacyjnie, nachylając się w moją stronę i puszczając mi oko.

– Jak pani może – odparłam z ironią i zaśmiałyśmy się cicho, złączone wspólnym sekretem: niechęcią do życiowego partnera jej córki.

– Zięć jest z niego niespecjalny, mąż zresztą nie lepszy, choć Malwinka głośno tego nie powie... W domu nic nie robi, no nic, a potem zamyka się w łazience na bitą godzinę. Godzinę! – Przerwała, by wetknąć ustnik e-papierosa między różowe wargi. – Ale nie będziemy tracić czasu na dyskusję o moim zięciu – dodała po chwili. – Powiedz lepiej, księżniczko, jak tam twoje sprawy? Poukładały się jakoś?

Poczułam nieprzyjemne ukłucie w brzuchu – zupełnie jakby czyjaś dłoń ścisnęła moje jelita – i żeby się nie zdradzić, szybko przeniosłam wzrok z mamy Mini na babeczkę otuloną moimi dłońmi.

– Jest okej – odparłam i rzuciłam się na ciastko, aby uniknąć konieczności rozwinięcia swojej wypowiedzi.

Pani Alinka przyjrzała mi się uważnie.

– Och, dla waszego pokolenia wszystko jest okej – jęknęła i przewróciła oczami w taki sam sposób, jak robiła to jej córka. Chociaż Mini denerwowała się na to porównanie, tak naprawdę wyglądała jak skóra zdjęta z własnej matki, a różnił je chyba jedynie kolor włosów.

– Ale u mnie naprawdę wszystko gra – powtórzyłam, przełknęłam ostatni kęs i popiłam go resztką wina. W oddali słychać było histeryczny śmiech moich przyjaciółek. – Nie narzekam, pani Alinko.

Moja rozmówczyni już otwierała usta, aby pociągnąć temat, ale ostatecznie odpuściła. Uśmiechnęła się do mnie łagodnie i pogładziła czule po włosach.

– Dobrze, już dobrze. Słuchaj – powiedziała, znowu się do mnie przybliżając, a ja odetchnęłam, że skierowała rozmowę na inne tory – wydaje mi się, czy nasza Madzia jakby trochę utyła? Tak jakby przybyło jej tu i ówdzie.

Biedna Madzia, pomyślałam, jej sześćdziesiąt parę kilogramów przy niewysokim wzroście było przedmiotem zainteresowania wielu kobiet w naszym otoczeniu.

– Jakoś nie zwróciłam uwagi – przyznałam zgodnie z prawdą. – Poza tym z tego, co mówiła, jest na jakiejś nowej diecie księżycowej.

– I niby na czym ona polega?

– Nie wiem dokładnie... W zasadzie tylko tyle, że jej dieta zależy od faz księżyca – wytłumaczyłam, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak irracjonalnie to brzmi. Pani Alinka zaśmiała się głośno. – Oj, niech się pani nie śmieje – powiedziałam z przekąsem. – Madzia na pewno w końcu zrzuci te swoje niechciane kilogramy.

– Oj, kochana – odrzekła pani Alinka i wymierzyła we mnie spiczastym paznokciem w kolorze lila. – Pewne to są w życiu trzy rzeczy: ból porodowy, menopauza i podatki.

Drzwi rozwarły się szeroko i do pokoju wpadły roześmiane od ucha do ucha Mini oraz Madzia. Tej drugiej przyjrzałam się uważniej, próbując się przekonać, czy

faktycznie przybyło jej nieco ciała, lecz mogłam skupić się jedynie na zniszczonym swetrze.

– Wygląda jak zaszlachtowane zwierzę, co nie? – wypaliła Mini, rozbawiona jak dziecko, i położyła Madzi rękę na ramieniu.

– Jadę do domu – odparła Madzia zrezygnowanym głosem. Nawet nie zerknęła na tacę z babeczkami. Wyglądało na to, że dziewczyny próbowały zrobić coś z tą nieszczęsną plamą, ale nie wyszło z tego nic dobrego.

– Słuchajcie, a może wybierzemy się jutro wieczorem na basen? – spytałam, gdy się żegnałyśmy.

Mini pokręciła głową.

– Nie mogę, mam fryzjera.

– A ja mam cellulit – odparła Madzia.

Zawsze coś, pomyślałam, jeśli nie spotkanie, to skórka pomarańczowa, jeśli nie brak czasu, to rozstępy. Kobiety, które mnie otaczały, miały wrodzoną zdolność do komplikowania sobie życia.

Ucałowałyśmy się na odchodne, zapakowałyśmy z Madzią do taksówki i kazałyśmy się rozwieźć do domów. Wracałyśmy w ciszy. Madzia prawie od razu przysnęła z głową na moim ramieniu, a kierowca był stary, siwy jak gołębek i z pewnością cierpiał na lustrzycę, skuliłam się więc, przymknęłam oczy i udawałam, że też przysypiam.

Kiedy wróciłam do domu, rodzice już spali. Wzięłam szybki prysznic i położyłam się w zimnym łóżku. Musiałam znowu przywyknąć do spania solo, co nie było łatwe, ale postanowiłam teraz o tym nie myśleć. Choć było grubo po północy i szumiało mi w głowie, sięgnęłam po książkę, którą dostałam na dwudzieste dziewiąte urodziny. Zerknęłam na dedykację:

Kai, świetnej fotografce i niepoprawnej idealistce, z okazji urodzin – mama Krysia

Odkąd skończyłam dwadzieścia pięć lat, w dedykacjach od mojej mamy zaczęło pojawiać się jej imię. Zupełnie jakbym miała kilka matek i taka adnotacja była konieczna dla ich odróżnienia. Nie, mamy Krysi nie pomyliłabym z żadną inną kobietą. To ona od lat nazywała mnie niepoprawną idealistką, wychwalając mój optymizm, wiarę w ludzi, hart ducha i lokalny patriotyzm. Było w tym sporo przesady. Ja po prostu wyznawałam zasadę: zaakceptuj to, czego nie możesz zmienić, zmień to, czego nie możesz zaakceptować. Tylko tyle. Aż tyle?

To właśnie mama Krysia, z nieznanymi mi powodów, uznała, że powieść dla kobiet

Idealne życie na obcasach będzie odpowiednim prezentem na moje ostatnie urodziny przed trzydziestką. Z początku się nawet ucieszyłam, ale gdy przeczytałam kilkanaście stron, z niesmakiem odłożyłam książkę na szafkę nocną. Główna bohaterka była redaktor naczelną poczytnego magazynu (być może takiego, w którym publikowano zdjęcia sandałów za siedem tysięcy), na imprezach – w towarzystwie celebrytów, rzecz jasna – truskawki zapijała szampanem, miała stumetrowy apartament w centrum Warszawy, jeździła wspinałym samochodem i nie mogła się zdecydować, którego kawalera wybrać: przystojnego prawnika czy może uroczego sportowca.

W obliczu badań, według których mieszkałam w najgorszym polskim mieście, zawałonej rozmowy kwalifikacyjnej Mini, problemów z tuszą Madzi i mojej nie najłatwiejszej sytuacji osobistej książka *Idealne życie na obcasach* wydała mi się stekiem bzdur, radosną twórczością, która w Hogwarcie powinna trafić do działu Książ Zakazanych. Była do granic zdrowego rozsądku oderwana od rzeczywistości. To nie było prawdziwe życie! Życie było tu i teraz. I uparcie wierzyłam, że mimo wszystko mogło być szczęśliwe, nawet w mieście, z którego ludzie uciekali jak szczury z tonącego okrętu.

Rozdział 3

Dźwięk otwieranych drzwi.

Do redakcji bezpłatnego tygodnika „Głos Radomia”, w którym pracowałam niespełna od miesiąca, wkroczyło trzech młodych mężczyzn. To oni nakręcili etiudę filmową o naszym mieście, która okazała się tak dobra, że została nagrodzona wyróżnieniem na ogólnopolskim festiwalu. Miałam zrobić im parę zdjęć.

– Jacek – przedstawił się jeden z nich i dłużej niż pozostali przytrzymał moją dłoń; był to wysoki brunet z pieprzykiem nad łukiem brwiowym.

– Kaja – odparłam, próbując udźwignąć jego spojrzenie, tak intensywne, jakby szukał czegoś w mojej twarzy.

To nie była miłość od pierwszego wejrzenia, ale Jacek już wtedy mnie zaintrygował. Wydawał się tajemniczy, a przez to szalenie pociągający. Umówiliśmy się, że zdjęcia zrobimy w plenerze, a ponieważ jego koledzy się śpieszyli, po godzinie zostaliśmy sami. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek poznała faceta, z którym tak szybko złapałabym równie świetny kontakt. Po prostu nadawaliśmy na tych samych falach.

Siedzieliśmy na ławce w miejskim parku, niedaleko katedry, w duecie spędzając przedpołudnie. On z pasją opowiadał o robieniu filmów, pisaniu scenariuszy, montażu. Lubił Radom; gdy o nim opowiadał, spijałam każde słowo z jego ust. Pokazałam mu, jakie przydatne funkcje ma mój aparat i w jakim wdzięcznym mieście do fotografowania żyjemy.

Gdyby ktoś nas podsłuchał, pomyślałby pewnie, że rozmawiamy o Krakowie albo Rzymie, ale my zachwycaliśmy się naszym miastem i już wtedy wiedzieliśmy, że ta znajomość nie skończy się na jednym spotkaniu. Nie pomyliliśmy się.

Sen o pierwszym spotkaniu z Jackiem okazał się tak realistyczny, że gdy obudziłam się wczesnym rankiem, byłam roztrzęsiona (a do tego męczył mnie silny ból głowy po dyskontowym winie i wyrzuty sumienia, że nie poćwiczyłam przed snem, mimo że przed kilkoma dniami dałam sobie słowo, że będę się więcej ruszać). Leżałam w łóżku bezwładna jak kłoda dryfująca po wodzie. I na nic nie miałam ochoty.

Nie dość, że położyłam się późno, to po trzeciej z czułych objęć Morfeusza wyrwał

mnie SMS od Madzi: „Miałam napad”. Tylko przez krótką chwilę byłam zła, że mnie obudziła, bo błyskawicznie zrobiło mi się jej żal. Godzina wysłania wiadomości wskazywała, że Madzia nie wytrzymała na diecie księżycowej (serio?) i urządziła sobie ucztę w środku nocy. Biedaczka. W kółko tylko się odchudzała i objadała. „Zamknij lodówkę i idź spać” – odpisałam i wyciszyłam telefon.

Sięgnęłam po komórkę, by sprawdzić, czy nikt się do mnie nie dobijał. Skrzynka była pusta, zero nieodebranych połączeń. Z jednej strony mogłam się cieszyć, że nikt nie zawracał mi głowy, z drugiej jednak pani Alinka powiedziała kiedyś, że „jeśli komórka samotnej kobiety w wieku reprodukcyjnym milczy, to coś jest tu bardzo nie w porządku”.

Na myśl o pani Alince przypomniał mi się wczorajszy wieczór i uśmiechnęłam się pod nosem. Ja, Mini i Madzia dobiegałyśmy trzydziestki. Poznałyśmy się na licencjackich studiach polonistycznych na radomskiej uczelni, potem robiłyśmy magisterkę w Lublinie i przez prawie dwa lata dzieliłyśmy mieszkanie w tym mieście. To był sprawdzian naszej przyjaźni, ale wyszłyśmy z niego obronną ręką. Każda z nas była inna, a jednak razem tworzyłyśmy monolit nie do skruszenia.

Mini, czyli Malwina Filipek, była zwariowaną, dziką dziewczyną, która na każdy temat miała coś do powiedzenia. Lubiłam jej roztargnienie i mimo że czasem zachowywała się jak mała dziewczynka, jej obecność dobrze na mnie wpływała. Swoje przewisko zawdzięczała miłości do kusych spódnic. Poza tym kiedyś jej się wyrwało, że „w popkulturze nie ma bardziej dobranej pary niż Myszka Miki i Myszka Minnie”. I podobnie jak Minnie lubiła nosić we włosach kolorowe kokardy.

Magda Jaczyńska, zwana przez nas Madzią, była jej przeciwieństwem. Cicha, skromna, zakompleksiona, wiecznie bujająca w obłokach. Odkąd pamiętam, próbowała zejść z rozmiaru L do S. Miała za sobą kilka mniej lub bardziej udanych związków, a każdy z nich zakończył się fiaskiem. Powodem jej sercowych niepowodzeń był fakt, że marnych kandydatów na partnerów wybierała sobie przez kompleksy, jakby żyła w przekonaniu, że na nic lepszego nie może liczyć. Lecz mimo że miała prawie trzydzieści lat i żadnych perspektyw na złapanie męża, sprawiała wrażenie, jakby niespecjalnie ją to obchodziło. W życiu Madzi były bowiem trzy wielkie miłości: jej szary mastif Hugo, czekolada i wiersze, które namiętnie pisała.

Niedługo po poznaniu Mini i Madzi odkryłam, że kobieta powinna mieć dwie przyjaciółki. Jedną, która ją aktywizuje (jak Mini), i drugą, która jest jej buforem (jak Madzia). Bez cienia wątpliwości nasza przyjaźń była czymś, z czego mogłyśmy być dumne.

Kilka minut po siódmej zwlekłam się w końcu z łóżka i ruszyłam do łazienki. Szczotkując zęby, wyjrzałam przez okno. Mieszkaliśmy w poniemieckiej kamienicy

przy ulicy Mickiewicza, w ścisłym centrum Radomia. Powrót do rodzinnego domu po paru latach nieobecności nie był łatwy ani dla mnie, ani dla moich rodziców, ale w krótkim czasie udało nam się wypracować zasady, które uczyniły naszą wzajemną obecność całkiem znośną.

Z pewnych względów żyło się tu lepiej niż w ciasnym mieszkaniu do niedawna wynajmowanym przeze mnie i Jacka. Miałam dla siebie duży pokój i pięć minut spacerkiem do pracy, a okna od strony zachodniej wychodziły na podwórko otulone kamienicami, które choć lata świetności miały za sobą, to tkwiły dumnie na swoich miejscach, osobliwe i intrygujące, jakby żywcem wyjęte z filmu Tima Burtona. Lubiłam w moim mieście to, że wystarczyło wejść w dowolną bramę, aby dotrzeć na ukryte między budynkami placyki, które były niczym mikroświat dostępny tylko dla wtajemniczonych. W ten sposób jako mała dziewczynka odkryłam opuszczone sady i urokliwe zakątki, gdzie czas stawał w miejscu, mimo że życie tuż obok toczyło się w zawrotnym tempie.

Skończyłam czyścić zęby i spojrzałam w lustro. Moje jasne, półdługie włosy sterczały na wszystkie strony, jakby w nie piorun strzelił – kara za to, że wczoraj poszłam spać z mokrą czupryną. Chwyciłam szczotkę z zamiarem przywrócenia ładu na swojej głowie. Byłam przeciętnie ładna, choć akurat to sprawdzało się w moim zawodzie. Mogłam robić zdjęcia niezauważona i po cichutku, bez ryzyka, że ktoś zwróci na mnie uwagę albo, co gorsza, mnie zaczepi. Kiedyś usłyszałam, że mam „naturalnie szczerą twarz”. Dziwny był to komplement, a jednak z jakiegoś powodu zapadł mi w pamięć.

Zjadłam szybkie śniadanie w towarzystwie mamy Krysi i taty Krzysia, zabrałam torbę z aparatem i parę minut po dziewiątej ruszyłam do redakcji. Gdy dostałam pracę w „Głosie Radomia”, byłam dwudziestoczterolatką świeżo po studiach. Oczywiście polonistyka miała niewiele wspólnego z robieniem zdjęć, ale fotografia od zawsze była moją pasją i dobre portfolio oraz parę ukończonych kursów wystarczyły, by redaktor naczelna królowa Zoja Adamska (uch!) zechciała dołączyć mnie do swojego orszaku.

Już samo myślenie o tej kobiecie przyprawiało mnie o zawroty głowy. Mojej szefowej po prostu nie dało się lubić. Była nieprzyjemna, jawnie faworyzowała męską część redakcji i miewała okropne humory, a my musieliśmy chodzić koło niej na paluszkach, by nie doczekać się jednego z jej słynnych wybuchów złości. Była żoną dyrektora największej radomskiej placówki kulturalnej i okropnie zadzierała przez to nosa. I w ogóle co to za imię: Zoja? Gdzieś wyczytałam, że wywodzi się ono z greki i oznacza „życie”. Jeśli chodziło o uprzykrzanie życia innym, to w zasadzie wszystko się zgadzało. Nie mogłam zapomnieć świństwa, jakie zrobiła jednej z dziennikarek – gdy ta zaszła w ciążę, moja szefowa z miejsca podziękowała jej za współpracę. Dziewczyna nie miała etatu, tylko śmieciówkę. Z dnia na dzień została więc bez

pieniędzy i zaplecza socjalnego, za to z brzuchem.

Redakcja „Głosu Radomia” mieściła się w sercu miasta, na parterze elegancko odrestaurowanej kamienicy przy ulicy Piłsudskiego, w sąsiedztwie kościoła garnizonowego. Pracowało tutaj dziewięć osób – ja, królowa Zoja, trójka dziennikarzy, grafik, sekretarz redakcji i dwójka od reklam. Było to miejsce mocno sfeminizowane, sześć kobiet i trzech mężczyzn. W takim babskim towarzystwie często dochodziło do spięć, ale ogólnie dało się wytrzymać. Szczególnie gdy, jak ja, lubiło się swoje zajęcie.

Dzisiaj w redakcji wrzało jak w ulu. W czwartki zamykaliśmy numer, jednak tym razem atmosfera była znacznie bardziej napięta niż zazwyczaj. Gdy weszłam do środka, wpadł na mnie Piotrek, dziennikarz od spraw miejskich i sportu.

– Kaja, chwała Bogu, że już jesteś, Zoja na ciebie czeka, lepiej idź do niej od razu – wyrzucił z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego i wbił wzrok w notatki, które trzymał drżącymi rękami.

– Co jest grane? – zapytałam i rozejrzałam się po twarzach pozostałych, którzy byli tak skupieni, że nawet nie zauważyli mojego przyjścia.

– Zmieniamy jedynekę – odparł Piotrek i usiadł za biurkiem. – Mam pół godziny, żeby skończyć artykuł.

Zmieniamy jedynekę – oto dwa słowa, których nie chciałby usłyszeć żaden redaktor na chwilę przed zamknięciem gazety. Jutro na pierwszej stronie naszego tygodnika miał ukazać się sympatyczny artykuł o trzynastoletniej Julce, dziewczynie, która zebrała kilkadziesiąt tysięcy złotych dla radomskiego schroniska. Zrobiłam zdjęcia, z których byłam dumna, a poza tym młodej radomiance należał się tekst na jedynce. Najwyraźniej jednak wydarzyło się coś, co królowa-od-siedmiu-boleści Zoja uznała za ważniejsze.

Zostawiłam torbę przy swoim biurku i ruszyłam do pokoju, w którym urzędowała naczelna. Ledwo się w nim pojawiłam, a Adamska spojrzała na mnie z zaciętym wyrazem twarzy, prychając niczym byk gotowy do ataku.

– Kaja, myślałam, że już się ciebie nie doczekam – wycedziła z wyższością w głosie i niedbałym ruchem dłoni wskazała krzesło.

Ubrana była w obcisłą do granic przyzwoitości, błękitną garsonkę, w której wyglądała, jakby miała za chwilę eksplodować. Jej sylwetka do złudzenia przypominała kilka położonych jeden na drugim pączków, a całość dopełniały sztywne jasne loki tworzące szpetny hełm. Lecz moja szefowa nie byłaby sobą, gdyby na biurku, w widocznym miejscu, nie ustawiła swojej błyszczącej, krwistoczerwonej jak jej usta torebki z napisem PRADA.

Przekłeta, złośliwa, gruba baba, pomyślałam, zajmując miejsce naprzeciwko. Nam płaciła śmieszne pieniądze, a sama obnosiła się z torebkami wartymi kilka przeciętnych

radomskich pensji. Nie zamierzałam jednak psuć sobie humoru na dzień dobry, zwłaszcza że miałam za sobą nie najlepszą noc.

– Zmieniamy jedynekę? – zapytałam, a królowa Zoja wbiła we mnie swoje małe oczka.

– Tak. Potrzebne mi są dobre zdjęcia – odparła i zastukała długimi pazurami w klawiaturę swojego śnieżnobiałego laptopa.

– A co będzie na jedyńce?

– Jak to co? Nie słyszałaś, że Radom został uznany za „najgorsze polskie miasto do życia”?

Aż mnie coś ścisnęło w dołku. Ależ oczywiście! Jak mogłam być tak naiwna, łudząc się, że moja żadna krwi szefowa przegapi taki temat? Co ją obchodziła trzynastolatka, która poruszyła niebo i ziemię, żeby zebrać parę groszy dla bezdomnych psiaków? Jezu.

– Dajemy to na pierwszą stronę? – zadałam pytanie retoryczne, po którym naczelna spojrzała na mnie z politowaniem.

– To chyba jasne. Piotrek pisze tekst, Olga poszła zrobić sondę uliczną, a od ciebie potrzebuję paru zdjęć do artykułu.

Siedziałam jak na bombie zegarowej, zła i zdenerwowana. Tak, nie byłam głupia, wiedziałam, że im więcej biedy, makabry i przekrętów w artykule, tym lepiej, mimo wszystko wierzyłam jednak, że nie będziemy robić we własne gniazdo.

– Jakich zdjęć? – spytałam.

– Takich, które dobrze zilustrują te badania.

– To znaczy? – odparłam, ledwo panując nad głosem. – Czyli jakich?

Zachodziłam w głowę, jakie miałabym zrobić zdjęcia do artykułu o tym, że Radom znowu uznano za miejsce zapomniane przez Pana Boga.

– Kochana, wysił się – powiedziała jadowicie królowa Zoja i splotła ręce na obfitych piersiach. – Potrzebujemy czegoś mocnego. No nie wiem, niech będą jakieś puste bramy, lokale do wynajęcia, może spotkasz po drodze jakiegoś zataczającego się pijaczka. – Zarechotała jak z najlepszego dowcipu. – Albo idź na dworzec. Radomianie wsiadający do pociągu zawsze wyglądają jak z krzyża zdjęci.

Nie wiem, czy to efekt kiepskiej nocy, czy ta kobieta działała na mnie alergicznie, ale nie wytrzymałam. Z łomoczącym sercem poderwałam się z krzesła.

– A co z artykułem o tej dziewczynce? – prawie krzyknęłam. – Jest przekonana, że przeczyta go jutro w naszej gazecie.

Królowa Zoja pokręciła głową. (Przekłeta. Złośliwa. Gruba baba).

– Damy go za tydzień. Masz jakiś problem? – spytała, patrząc na mnie z wyższością.

– Owszem, mam – odparłam, nie zważając na konsekwencje. Zawsze starałam się mówić to, co myślę, co mi przeszkadzało i z czym nie mogłam się pogodzić. A tej przeklętej kobiety miałam po dziurki w nosie. – Nie będę robić zdjęć ośmieszających Radom. Nawet nie ma mowy. Mogę dać zdjęcia ogólne, ale żadnych pustych lokali i pijaczków.

Powiedziałam to i od razu mi ulżyło. (Rany, jakie to miłe uczucie). Przez kilka długich sekund pojedynkowałyśmy się na spojrzenia, aż w końcu moja szefowa prychnęła pogardliwie i chwyciła jakieś czasopismo.

– Oj, Kaja, Kaja, tobie się ciągle wydaje, że Radom to Nowy Jork.

– Nie, wcale mi się tak nie wydaje – odrzekłam krótko.

Byłam świadoma niedostatków tego miasta i nawet uciekałam stąd na dwa lata do Lublina. Ale wróciłam, bo jakaś siła ciągnęła mnie w te strony.

Nie uwierzycie, co stało się za chwilę.

Musiała czuwać nade mną jakaś opatrność, palec boży jakiś, bo grzmotnęło i w kilka sekund rozpętała się burza. Królowa Zoja, zniesmaczona i kipiąca złością, wyskoczyła zza biurka (dół jej żakietu otoczony był falbanką, a na stopach miała wysokie szpilki, które na krótkich, grubych nóżkach wyglądały co najmniej głupio) i wyrzała przez okno. Wymamrotała coś pod nosem, rzuciła mi jadowite spojrzenie i bąknęła przez zaciśnięte zęby:

– Masz szczęście. Jeśli nie przestanie padać do południa, dasz mi kilka jakichś swoich ogólnych zdjęć Radomia. To wszystko – zakończyła rozmowę i ponownie rozsiadła się za biurkiem, chwytając magazyn i nie zaszczycając mnie spojrzeniem. Gdy wychodziłam, zauważyłam, że było to pisemko – ależ oczywiście – z sandałkami za siedem tysięcy.

Wróciłam do siebie zadowolona, choć było jasne, że mój jawny sprzeciw wobec pomysłu ośmieszenia Radomia żalosznymi fotografiami nie ujdzie mi na sucho. Moja szefowa była pamiętliwa i mściwa. Mogłam tylko czekać, aż znajdzie okazję, by mi dokuczyć albo mnie upokorzyć (bo, że to robi, było oczywiste), ale miałam to w nosie.

Padało aż do późnego popołudnia, gdy parę minut po siedemnastej wysłaliśmy najnowszy numer „Głosu” do drukarni. Z tytułem *Jest aż tak źle?* na pierwszej stronie i dwoma moimi niezłymi zdjęciami przedstawiającymi ulicę Żeromskiego, główną arterię Radomia, oraz tłumy kłębiące się przed urzędem pracy – królowa Zoja uparła się, by pokazać, jak wielu radomian jest bezrobotnych, bo w końcu mniej więcej do tego sprowadzały się te nieszczęsne badania. Nie było sensu się spierać.

Ten dzień dał mi mocno w kość, więc wieczorem umówiłam się z Madzią.

Spotkałyśmy się w naszej ulubionej kawiarni – Słodka Babka, gdzie goście siedzą na miękkich kanapach, serwuje się przepyszne desery, a na stołach leżą bajecznie kolorowe obrusy. Obie nie miałyśmy najlepszych nastrojów. Ja wciąż byłam wytrącona z równowagi po zmianie jedyńki i rozmowie z królową Zoją, a na dokładkę Madzia, dowiedziawszy się, że miałam sen o Jacku, zrobiła mi wykład – stwierdziła, że powinnam się z nim skontaktować (sic!), by „na spokojnie raz jeszcze o wszystkim pogadać”. Uznałam jej pomysł za bardzo zły i prędko zmieniałam temat. Madzia natomiast miała chandrę po nocnej uczcie i pocieszała się... mussem czekoladowym.

Nasze wzajemne towarzystwo dobrze na nas działało i pewnie dłużej zamarudziłybyśmy w Słodkiej Babce, gdyby nie dwóch siedzących obok, wymuskanych gogusiów, którzy zamówili sobie „expresso” (nie espresso) i z przekonaniem, że są wystrzałowi, zaczęli nas podrywać.

– Idioci – skwitowała Madzia, gdy opuściłyśmy lokal. Na jej puciołowatej twarzy malowała się irytacja.

– Idioci – powtórzyłam i złapałam ją pod rękę. Był rześki wrześniowy wieczór, a po ulewie jeszcze bardziej się ochłodziło. – Który porządny facet przychodzi do Słodkiej Babki?

– No wiesz – odparła Madzia – różowa koszulka tamtego blondyna nawet pasowała do kwiecistego obrusa na ich stoliku.

– I do EXPRESSO – dodałam, puszczając przyjaciółce oko i obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Rozdział 4

Zasnęłam błyskawicznie, prawie jak dziecko, kilkanaście minut po dziesiątej. Zanim to jednak nastąpiło, leżałam w łóżku i słyszałam dochodzące z salonu podniesione głosy moich rodziców, którzy prowadzili ożywioną dyskusję o tym, czy nie wybrać się w Boże Narodzenie na zagraniczną wycieczkę. Byli dobranym małżeństwem – z trzydziestoletnim stażem – i mogłam sobie tylko życzyć, by i mnie przytrafił się taki związek. Mimo woli znowu pomyślałam o Jacku i o sugestii Madzi, by się do niego odezwać. Może nawet przez chwilę (bardzo, bardzo krótką) korciło mnie, żeby tak zrobić, ostatecznie jednak (na całe szczęście!) zdrowy rozsądek wziął górę.

A potem miałam sen.

Było gorące, duszne lato. Umówiliśmy się na naszą pierwszą wspólną wyprawę rowerową. Jacek powiedział, że pokaże mi pewne bliskie swojemu sercu miejsce. Zabrał mnie na Piotrówkę, radomskie grodzisko, gdzie w średniowieczu kwitła osada. Wiedziałam o jego istnieniu, ale wcześniej nie bywałam tu często. Dopiero Jacek pomógł mi na nowo odkryć ten zakątek.

Siedzieliśmy na soczyście zielonej trawie, w dolinie rzeki Mlecznej, wdychaliśmy czyste, świeże powietrze, rozmawialiśmy o różnych sprawach i zerkaliśmy na siebie dyskretnie. Nagle coś zaszeleściło pomiędzy gałęziami rosnących w pobliżu drzew i oboje zamilkliśmy. Ponieważ nic się nie wydarzyło, już mieliśmy wrócić do rozmowy, gdy z gąszczy wyłoniła się sarna. Zwinna i młoda, o bystrym spojrzeniu, skubała trawę, korzystając z uroków letniego dnia. Była jednocześnie niewinna i dzika. Wprost nie mogłam uwierzyć, że coś takiego spotkało nas tak blisko centrum miasta.

Serce we mnie zamarło. Patrzyliśmy na nią niczym zahipnotyzowani.

Jacek chwycił moją rękę.

Nie myliłam się, gdy opuszczałam gabinet królowej Zoi przekonana, że moja szefowa znajdzie sposób, aby mi dokuczyć. Nie spodziewałam się jednak, że zrobi to już następnego dnia.

Punktualnie o szóstej, Matko Święta, moja komórka rozdzwoniła się jak szalona

i dzień zaczęłam od siarczystych przekleństw, wściekła na siebie, że jej na noc nie wyciszyłam. Sięgnęłam po nią nieprzytomna, strącając z szafki *Idealne życie na obcasach* (a przy okazji również porcelanowego słonika od Madzi). Przetarłam oczy i spojrzałam na wyświetlacz: dzwoniła królowa. Nie miałam pojęcia, czego ta kobieta może ode mnie chcieć w piątek o tak wczesnej porze – w dniu ukazywania się naszej gazety w redakcji nie było zbyt wiele do roboty i przychodziliśmy do pracy grubo po dziewiątej.

– Ha-halo? – przemówiłam zachrypniętym głosem, ziewając.

– Kaja, o siódmej masz spotkanie z Renatą Gołębiowską, w jej mieszkaniu numer osiem przy Paderewskiego siedemnaście. Zrobisz jej zdjęcia.

Nie od razu dotarło do mnie to, co właśnie usłyszałam.

– Dziewczyna prowadzi bloga o gotowaniu i właśnie wydaje książkę, już cię z nią umówiłam – wyjaśniła Zoja i oczami wyobraźni zobaczyłam złośliwy uśmieszek wykrzywający jej zarozumiałą twarz.

Zmarszczyłam czoło i gdy zdałam sobie sprawę, że królowa nie żartuje, otworzyłam szeroko oczy i aż podskoczyłam na łóżku.

– Co?! – wyrzuciłam z siebie. – Dzisiaj? O siódmej rano? Za godzinę?

– Tak, za godzinę. Zapamiętałaś adres?

Renata Gołębiowska, Paderewskiego osiem, mieszkania siedemnaście. Nie, raczej na odwrót!

– Ale dlaczego tak wcześnie?! – zapytałam z wyrzutem, bo nie zdarzyło mi się jeszcze robić sesji zdjęciowej w czyimś mieszkaniu o siódmej rano. I to w piątek!

– Bo tylko ta godzina jej pasowała. Martyna napisze tekst – wyjaśniła królowa Zoja i już miałam się rozłączyć, gdy jeszcze mnie zaczęła: – Kaja?

– Słucham – warknęłam.

– Tylko się nie spóźnij. Jest już pięć po szóstej.

Czując wzbierający we mnie gniew, rzuciłam telefon na łóżko i w ekspresowym tempie wyplątałam się z kołdry, która najwyraźniej za wszelką cenę chciała mnie zatrzymać. Nie przestając przeklinać jak szewc, ruszyłam w stronę łazienki i zacisnęłam zęby, gdy usłyszałam, jak moja nowa komórka spada na podłogę.

Zoja Adamska. ZŁA, OBRZYDLIWA, JĘDZOWATA i ANTYPATYCZNA żmija. Przekłeta, złośliwa, gruba baba!

Nie pytajcie, jak tego dokonałam, ale jakimś cudem przed drzwiami mieszkania

niejakiej Renaty Gołębiowskiej byłam za dwie siódma. W tempie komety umyłam się, założyłam pierwsze lepsze spodnie i sweter, związałam włosy w kitkę, umalowałam rzęsy, chwyciłam torbę ze sprzętem fotograficznym i wezwałam taksówkę. W takiej chwili żałowałam, że nie dorobiłam się jeszcze samochodu – taksówkarz grzebał się niemiłosiernie, rzucał dwuznaczne tekściki i zażyczył sobie za kurs stanowczo za dużo pieniędzy. (Wcześniej korzystałam z auta należącego do Jacka, a teraz pożyczałam samochód od taty. Pech jednak chciał, że toyota mojego ojca po długich latach wiernej służby trafiła w końcu pod opiekę mechanika). Całe szczęście, że przynajmniej moja komórka nie ucierpiała, gdy spadła na podłogę, bo tego bym nie zniosła!

Zadzwoiłam do drzwi i po krótkiej chwili oczekiwania otworzyła je niewysoka kobieta, na oko trzydziestoparoletnia, z ciemnymi, sięgającymi brody włosami i grzywką przyciętą na prosto, jak spod linijki. Gdy ją zobaczyłam, zamurowało mnie.

– O rany, wygląda pani zupełnie jak Uma Thurman w *Pulp Fiction* – wypaliłam bez zastanowienia i od razu tego pożałowałam.

Co ty wygadujesz?, skarciłam się w duchu i już otwierałam usta, by to odwołać, kiedy kobieta roześmiała się i energicznie pokiwała głową.

– Tak, jak Mia Wallace, wszyscy mi to mówią. Pani jest pewnie z „Głosu Radomia”.

Odetchnęłam. Czyli nie skompromitowałam się na dzień dobry, choć podjęłam postanowienie, że nie będę paplała bez opamiętania.

– Zgadza się, nazywam się Kaja Redo – oznajmiłam z uśmiechem. – A pani...

– Renata Gołębiowska. Mówmy sobie po imieniu – odparła radomska Uma i zrobiła dla mnie miejsce w przejściu. – Zapraszam do środka.

Było to urządzone ze smakiem, nowoczesne mieszkanie, pełne zdjęć w ramach i kwiatów w doniczkach.

– Mam nadzieję, że to nie za wczesna pora dla ciebie – powiedziała Renata, gdy weszliśmy do kuchni, którą parę sekund wcześniej nazwała „swoim niebem”.

Zerknęłam w przelocie na ścienne lustro w przedpokoju i myślałam, że zemdleję – z tego roztargnienia wpięłam sobie w uszy dwa różne kolczyki i wyglądałam jak jakaś pomyłona cudaczka! Zdjęłam je pośpiesznie za plecami Renaty i wcisnęłam do kieszeni.

– To był pomysł pani Zoi – ciągnęła radomska Uma. – Stwierdziła, że rano wychodzą najlepsze zdjęcia, szczególnie że pogodę mamy ostatnio niepewną. Dla mnie to nie problem, bo wstaję przed szóstą...

– Och – stęknęłam i usiadłam za okrągłym stołem, na którym czekało śniadanie.

Gdy dotarły do mnie słowa Renaty, aż się we mnie zagotowało: „To był pomysł pani

Zoi, stwierdziła, że rano wychodzą najlepsze zdjęcia”... Oczywiście! Mogłam się domyślić, że to całe spotkanie o absurdalnie wczesnej porze jest sprawką mojej szefowej.

– Myślałam, że tylko ta godzina ci pasowała – odparłam, przypominając sobie słowa królowej.

– Nie, dlaczego? – zdziwiła się Renata. – Kawy?

Kiwnęłam głową. Mocna kawa to był teraz bardzo dobry pomysł. Niech piekło pochłonie Zoję Adamską.

– Mniejsza z tym. – Ucięłam temat. – Tutaj zrobimy zdjęcia?

Renata rozpromieniła się. Entuzjazm i pogoda ducha, które od niej emanowały, podziały na mnie jak balsam.

– Pomyślałam sobie, że chyba dobrze byłoby zrobić zdjęcia, na których jestem w akcji. – Zachichotała i chwyciła bułeczkę z żurawiną i makiem. – Sama je piekłam. – Puściła mi oko. – Możemy najpierw zjeść śniadanie, potem zrobisz mi zdjęcia przy stole z moimi wypiekami, a jak będziemy chciały, to wymyślimy coś jeszcze.

Ponieważ nie przygotowałam się do tej sesji i – prawdę powiedziawszy – nie miałam zbyt wielu pomysłów, ucieszyła mnie kreatywność Renaty. A sugestia, żebyśmy w pierwszej kolejności zjadły śniadanie, spodobała mi się najbardziej.

– Dziwnie bym się czuła, gdybyś robiła mi zdjęcia, nie wiedząc właściwie, czym się zajmuję. Dlatego postanowiłam poczęstować cię moimi specjałami – mówiła Renata, gdy pałaszowałam bułeczkę (jej roboty) z konfiturą morelową (również jej roboty). Głupio było się tak objadać, zwłaszcza że wczoraj znowu nie ćwiczyłam, ale wyglądało na to, że Renata naprawdę ma rękę do pieczenia.

– Wydajesz książkę? – spytałam, kiedy już się najadłam, a kawa przywróciła mi pełną przytomność umysłu.

– Och, tak – odparła radośnie. Złapała poradnik w twardej oprawie i podała mi go nad stołem. Na okładce było zdjęcie apetycznego bezowego tortu, imię i nazwisko mojej rozmówczynie oraz tytuł: *Moja kuchnia na słodko*. – Wczoraj przysłali z wydawnictwa. W przyszłym tygodniu jest premiera.

Wytarłam ręce i przejrzałam książkę. Z każdą kolejną stroną byłam pod coraz większym wrażeniem. Książka Renaty pełna była przepisów na ciasta i ciasteczka, desery, pralinki, torty, chleby i bułeczki, koktajle, przetwory i inne cuda, na widok których ślinka sama ciekła. I zdjęcia były naprawdę niezłe – Renata zrobiła je sama.

– Każdego miesiąca mój blog kulinarny ma ponad milion odwiedzin – pochwaliła się i spuściła wzrok, jakby zawstydzona.

– Jej, jestem pod wrażeniem – przyznałam zgodnie z prawdą i spojrzałam na tę

niepozorną, przypominającą Umę radomiankę, która osiągnęła niewątpliwy sukces. – To jest naprawdę coś. Gratuluję. A zdjęcia są świetne.

Patrzyłam na nią i czułam, jak wraca mi dobry humor. Zapomniałam nawet, która jest godzina. Cieszyłam się, że spotkałam się z tą dziewczyną, miała w sobie dużo pozytywnej energii, której poszukiwałam w mieszkańcach mojego miasta. I była żywym przykładem na to, że również w Radomiu można było coś osiągnąć.

Zabrałyśmy się do pracy – Renata pozowała mi za stołem, z książką, przed komputerem. Jej mąż zaczynał pracę o szóstej, a córki wyjechały na wycieczkę szkolną, więc miałyśmy dużo swobody. Złapałyśmy wspólny język i ani się spostrzegłyśmy, kiedy zaczęłyśmy dyskutować jak dobre koleżanki.

– Słyszałaś o tych badaniach, z których wynika, że Radom jest najgorszym polskim miastem do życia? – zapytała, gdy patrzyłam na nią zza obiektywu. – Aż mi się gorąco zrobiło, gdy to usłyszałam.

– Nie tylko tobie – przyznałam.

Renata zaczęła obracać w dłoniach jedną ze swoich bułeczek.

– Wiesz, wkurza mnie, że każdy wyciera sobie tym miastem twarz jak ścierką. Niektórym się wydaje, że Radom ledwie zipie. Nasi wyjeżdżają do Warszawy jak do ziemi obiecanej i potem piszą na Facebooku, że mieszkają „w Łorsoł”, a tam się z nich śmieją i nazywają słoikami. Co się więc dziwić, że w badaniach wychodzi potem, jaki to Radom jest beznadziejny.

Zwiesiła głowę i trwałyśmy w milczeniu przez chwilę, która wydawała się wiecznością. Umysł pośpiesznie analizował zdania, które dotarły do moich uszu. Zgadzałam się absolutnie ze wszystkim, co powiedziała Renata. Z każdym słowem. Przecinkiem. Kropką. Jej emocje były mi tak bliskie, jakby je sobie ode mnie wzięła w wieczyste użytkowanie. Obie zapuściłyśmy korzenie w Radomiu i nie podobało nam się, gdy inni zachowywali się, jakby takie postępowanie było głupotą.

– To w końcu moje miasto – powiedziała Renata i zaczęła porządkować stół. – Nie mówię o nim źle i staram się, by żyło mi się w nim jak najlepiej. Przecież wiadomo, że nie jest tu jak w bajce, ale gdzie jest? – Zmieniła temat tak nagle, że aż potrzebowałam chwili, by dojść do siebie: – Jeśli chcesz, podaruję ci egzemplarz *Mojej kuchni...* i napiszę ci dedykację na pierwszej stronie.

Patrzyłam na radomską Umę pochyloną nad książką i chciałam przetrzeć oczy ze zdumienia. To była prawdziwa Błękitna Dziewczyna! Gatunek na wyginięciu, żywy przykład na to, że w tym mieście były pochowane kobiety perły, których rozpaczliwie szukałam.

Pożegnałyśmy się serdecznie z mocnym postanowieniem ponownego spotkania.

Opuściłam mieszkanie Renaty w trudnym do zdefiniowania stanie – było to coś na pograniczu euforii i ulgi. Wsiadłam do autobusu, który jechał do centrum, i rozłożyłam sobie na kolanach *Moją kuchnię na słodko*. Dedykacja brzmiała:

Sympatycznej fotografce Kai – słodkiego, miłego życia i udanych wypieków!
Renata G.

Jakże różne dedykacje pisano w książkach, którymi byłam obdarowywana. Lubiłam je, bo mówiły wiele o ich autorach. Renata życzyła mi „słodkiego, miłego życia”, co w dużej mierze odzwierciedlało jej stosunek do codzienności. Uśmiechnęłam się pod nosem i przeczuciłam stronę. Trafiłam na życiorys autorki, którego wcześniej nie zauważyłam. Przeczytałam go z uwagą.

„Renata Gołębiowska – radomianka od urodzenia i z wyboru. Studiowała ekonomię na Uniwersytecie Wrocławskim, ale porzuciła stolicę województwa dolnośląskiego i wróciła do Radomia, bo jak mówi, lubi jego »specyficzną słodycz«. Pracowała jako księgowa i bankowiec. Obecnie prowadzi nieduże biuro rachunkowe. Ma dwie córki w wieku siedmiu i dziewięciu lat. O swojej miłości do pieczenia opowiada, że »to jedyne zajęcie, które zawsze kończy, gdy raz je zacznie«. Blog Renaty każdego miesiąca odwiedza ponad milion internautów. Książka *Moja kuchnia na słodko* to debiut autorki”.

Wyrzałam przez okno – krajobraz po drugiej stronie zmieniał się szybko, przelatywał mi przed oczami jak filmowe kadry. Miałam już pewność, że spotkałam Błękitną Dziewczynę. Jakiś czas temu, lecz nie tak odległy, gdy do mojego życia wprasały się poważne zmiany, zaczęłam uważniej przyglądać się otaczającej mnie rzeczywistości. Filtrowałam ją, skanowałam raz po raz. Choć nie chciałam się do tego przed sobą przyznać, robiłam to, by utwierdzić się w przekonaniu, że dokonałam właściwego wyboru.

I wiecie, co zauważyłam? Że stykam się z trzema rodzajami kobiet.

Dziewczyny Szare (póki co, niestety, to grupa dominująca) tworzą kobiety, które z mlekiem matki wyssały narzekanie, użalanie się nad sobą i swoim losem. Po prostu mają to we krwi. Roztaczają wokół siebie aurę depresji. Wampiry energetyczne odbierające innym chęć do życia. Wyznają zasadę: wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

Druga grupa to Dziewczyny Pomarańczowe. (Pomyślcie przez chwilę o sygnalizacji świetlnej. Macie prawo jazdy? Tym lepiej. Pomarańczowe to takie dziwne światło – jeszcze nie możecie ruszyć, ale prawą nogę trzymacie już na gazie i korci was niemiłosiernie, by go nacisnąć, prawda?) Kobiety z tej grupy są pomarańczowe, bo łączą w sobie wiele sprzecznych cech. Jednego dnia przechodzą przez życie

w podskokach, by drugiego spaść na dno i zakopać się w brudzie szarej rzeczywistości. Pomarańczowe są na przykład Madzia i Mini.

Ale istnieją jeszcze Błękitne Dziewczyny nazwane tak przeze mnie na cześć tego szlachetnego koloru. Perełki! Mają w sobie ducha, akceptują się i są szczęśliwe. To kobiety, które odnalazły swoje miejsce na świecie. Dzięki uporowi, wytrwałości i otwartym umysłom osiągnęły sukces mierzony własną miarą. Jako kobiety spełniły się.

W moim rozumieniu Błękitna Dziewczyna to taka, która sama układa sobie życie. Nie czeka na gwiazdkę z nieba i nie kręci nosem, tylko bierze się do roboty, by do czegoś dojść, by czuć się dobrze i bezpiecznie. Błękitna Dziewczyna jest związana z miejscem, które wybrała. Nie psioczy na własne miasto, miasteczko czy wieś. Bo jeśli jej ono nie odpowiada, to je zmienia na inne. Albo zostaje w nim i zmienia swoje życie.

Błękitnymi Dziewczynami, ma się rozumieć, nie są te, które mają kasy jak lodu, dostatek i żadnych problemów, dzięki czemu mogą zachować pogodę ducha i krzywić się na widok malkontentów. One są zupełnie inne – skoro z jakiegoś powodu żyją tu, a nie gdzie indziej, to biorą los w swoje ręce i dążą do tego, by uczynić go więcej niż znośnym. Błękitne Dziewczyny to dzielne dziewczyny.

Jak Renata Gołębowska. Jak pani Alinka! Może trochę jak ja...

„Każdy wyciera sobie tym miastem twarz jak ścierką” – w mojej głowie rozjarzyły się słowa blogerki. Ileż gorzkiej prawdy było w tym twierdzeniu. Myślenie o tym kojarzyło mi się z przykrym bólem brzucha. Bólem, którego nie miałam zamiaru tolerować.

Właśnie wtedy zakiełkowało we mnie poczucie, że powinnam coś z tym zrobić.

Rozdział 5

Gdy zbudziłam się w poniedziałek wczesnym rankiem, nie miałam pojęcia, że zakończę ten dzień kompletnie obolała. Czy raczej zmęczona jak owad uwięziony w pajęczej sieci.

Bolała mnie głowa – bo przesadziłam z pigwówką, którą poczęstowała mnie Mini (mogłam się domyślić, że picie tego wynalazku nie będzie dobrym pomysłem).

Bolał mnie brzuch – bo się najadłam obłędnie pysznych i bardzo kalorycznych gruszkowych babeczek (nawet nie wiem, ile ich było, przestałam liczyć po trzeciej).

Bolały mnie oczy – bo przed snem wpadłam w histerię (co praktycznie mi się nie zdarzało).

Bolała mnie cała twarz – bo przez cały wieczór nie mogłam przestać się śmiać (Mini i Madzia, kocham je za to).

I bolało mnie serce – bo po tym, co mi się przydarzyło po południu, miałam taką mieszankę uczuć, że nie mogłam sobie z nią poradzić. Prawie czułam, jak moje serce rozlatuje się na tysiąc kawałków. Gdyby nie moje dziewczyny...

A zaczęło się niewinnie. Po pracy wybrałam się do niedużego zakładu fotograficznego Migawka, który mieścił się mniej więcej w połowie drogi między redakcją a moim mieszkaniem. Wpadałam tu dość często przy okazji wywoływania zdjęć. Obsługiwał mnie sympatyczny pan po sześćdziesiątce, dżentelmen w starym dobrym stylu. Lubiłam go, bo był rzetelny, uprzejmy i kilka razy pochwalił moje fotografie, co, och jej, było naprawdę miłe. W piątek obiecałam Renacie, że podrzucę jej kilka zdjęć z naszej sesji, postanowiłam więc nie odkładać tego na później – naprawdę czułam, że spotkałam bratnią duszę i miałam ochotę znowu się z nią zobaczyć.

Spacerkiem dotarłam do zakładu i weszłam do środka. Od razu zwróciłam uwagę, że sympatyczny starszy pan jest dziś nieobecny, a jego miejsce zajął szczupły, bardzo wysoki, krótko ostrzyżony chłopak w niebieskiej kraciastej koszuli. Typ intelektualisty w prostokątnych okularach o przyjemnej, choć nie zabójczej aparycji.

Podeszłam do lady i zaczęłam grzebać w swojej przepastnej torbie fotograficznej, szukając płyty, na którą poprzedniego wieczoru zgrałam zdjęcia do wywołania. Fotki okazały się naprawdę dobre! Byłam przekonana, że Renata się z nich ucieszy.

Dopadła mnie jednak typowa złośliwość rzeczy martwych, bo płytę diabeł ogonem

nakrył. Zdenerwowana zaczęłam po kolei wyjmować rzeczy, które trzymałam w bocznej kieszeni – komórkę, klucze, puder, kalendarzyk, jakieś wyniki badań (o rany, ale miałam bałagan!) i inne drobiazgi, kiedy poczułam, że sprzedawca mi się przygląda.

– Kaja? Kaja Redo? – usłyszałam i podniosłam wzrok.

Nie miałam pojęcia, kim był (do diabła, kto to taki? Jego ironiczny uśmieszek doprowadzał mnie do szału). Zmarszczyłam czoło, zamierając w bezruchu, i wyteżyłam wszystkie komórki umysłu, by zidentyfikować jegomościa.

– Przepraszam, ale czy my... – zaczęłam, mając kompletną pustkę w głowie.

– Nie poznajesz mnie? To ja, Michał Miciak.

Michał Miciak? I nagle spłynęło na mnie olśnienie. Michał Miciak! Zaraz, czy to możliwe, żeby z tego przyszczatego, irytującego, zarozumiałego bałwana, który nazywał mnie Kajakiem, wyrósł ten całkiem do rzeczy facet?

– Chodziliśmy razem... – odezwał się mój rozmówca, ale tym razem to ja mu przerwałam.

– Tak, wiem, do podstawówki – odparłam, przyglądając mu się intensywnie niczym muzealnemu eksponatowi. – Łał, ale się zmieniłeś.

– Ty też. – Michał zaśmiał się.

Na gorsze? Na lepsze? Tego już nie raczył dodać.

– Pracujesz tutaj? – zapytałam z nieskrywaną ciekawością.

– Zastępuję dziadka, gorzej się poczuł...

Kolejne olśnienie. Czyżby ten uroczy starszy pan, który lubił moje zdjęcia, był dziadkiem Michała?

– To twój dziadek? Coś mu się stało? Nigdy wcześniej cię tu nie widziałam – wytrajkotałam na jednym wydechu i Michał pokręcił głową.

– Nic poważnego, ale wiesz, latka lecą, a dziadek ciągle się zachowuje jak dwudziestoletni partyzant. Ktoś musiał go zastąpić i padło na mnie.

– Padło? – spytałam trochę oburzona; zabrzmiało to tak, jakby robił dziadkowi łaskę, a ja jestem wyczulona na wszelką krytykę mojej pasji i zawodu.

– No, w tym sensie, że jestem jego jedynym wnukiem. – Michał znowu się zaśmiał.

– Ale to nawet miłe zajęcie, trochę interesuję się fotografią, a poza tym właśnie wróciłem do Radomia i...

– Wróciłeś do Radomia?

Obożeboże. Znowu wyszłam na wścibską, więc wróciłam do przeglądania

zawartości torby, choć jakoś trudno mi było się na tym skupić.

– Przez ostatnie trzy lata mieszkałem w Warszawie – wyjaśnił Michał.

– O, to ciekawe. I co, zrezygnowałeś z życia w stolicy?

– Można tak powiedzieć – odpowiedział krótko i oparł się o ladę. Był o głowę ode mnie wyższy. Odnotowałam, że nie nosił obrączki (tak, naprawdę zwróciłam na to uwagę). – Ale tobie się powiodło, pracujesz w „Głosie”, widziałem twoje zdjęcia, gratuluję.

– Robię to, co lubię – stwierdziłam i posłałam mu uśmiech. Bo za królową Zoję i śmiesznie niską pensję przyjmować gratulacji nie zamierzałam. Pod względem zawodowym miałam jeszcze do spełnienia swój *american-polish* czy raczej: *radomski dream*.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę i aż nie mogłam uwierzyć, że po tylu latach rozmawiałam z Michałem Miciakiem, za którym w podstawówce, delikatnie mówiąc, nie przepadałam. To nie był dobry moment, by mu wygarnąć, że jako dwunastolatka zrobiłam pierwszą w swoim życiu laleczkę voodoo na jego podobieństwo, w którą ochoczo wbiłam całe pudełeczko szpilek. Bo w gruncie rzeczy (musiałam uczciwie to przyznać) Michał wyrósł na całkiem przyzwoitego faceta. Jeszcze parę lat temu dla Mini byłby jednym z „emgieemów” i pewnie za punkt honoru postawiłaby sobie jego zdobycie.

Przez moment czułam między nami pewnego rodzaju napięcie, którego nie doświadczałam od lat. Michał stał oparty o ladę, z szeroko rozłożonymi ramionami, i przyglądał mi się z błyskiem w oku. Ja natomiast poczułam się dziwnie zagubiona, bezbronna, jakbym nagle skurczyła się do rozmiarów kilkuletniej dziewczynki. W tej jednej chwili przez mój umysł przepłynęło morze hipotetycznych pytań: Co by było gdyby... Gdybym ja i Michał... Gdyby tak... Gdybyśmy...

Zgłupiałaś do reszty! Błyskawicznie przywołałam się do porządku, szybko pokręciłam głową i wróciłam do przeszukiwania bocznej kieszeni.

– Gdzie jest ta przeklęta płyta? – warknęłam i w tym momencie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, krążek zmaterializował się między moimi palcami. – Jest! – zawołałam i podałam go Michałowi. – Do wywołania.

Znowu przeszył mnie wzrokiem zza tych swoich prostokątnych okularów i posłał mi zniewalający uśmiech, błyskając zębami (czy to naprawdę był Michał Miciak?!).

– Będą na jutro – powiedział i potrząsnął płytą jak wachlarzem.

– Super. – Pozbierałam swoje rzeczy i zarzuciłam torbę na ramię. Nagle poczułam, że powinnam jak najszybciej opuścić studio należące do dziadka Michała, bo zaczynałam tracić kontrolę nad swoimi uczuciami, myślami i, o zgrozo, zachowaniem.

Po prawie pięciu latach w stałym związku kompletnie zdziczałam! Coś wam powiem: kobiety, które mają stałego partnera, przestają być sobą. Tyją, nie depilują nóg, a gdy nagle zostają same, zachowują się jak histeryczki („muszę zdobyć jakiegoś faceta”) albo pustelnice („już nigdy z nikim nie będę”). – W takim razie do zobaczenia. Będziesz jutro? – zapytałam na odchodne.

– Jeśli dziadek nie poczuje się lepiej, to będę – odparł i gdy dotarło do mnie, co powiedział, poczułam się dziwnie. Oczywiście życzyłam dziadkowi Michała powrotu do zdrowia, ale z drugiej strony uznałam, że miło byłoby spotkać się znowu z jego wnukiem...

– Mam nadzieję, że szybko wróci do zdrowia – rzekłam, choć nie byłam przekonana, czy przypadkiem nie skłamałam. – To do zobaczenia.

– Cześć, Kaja. – Pożegnał mnie Michał, jeszcze raz skrzyżowaliśmy spojrzenia i czując się nieswojo, opuściłam Migawkę.

Leżałam na łóżku pod ciepłym polarowym kocem w czerwono-zieloną kratę i gapiłam się w sufit. Minęła dziewiętnasta. Moi rodzice wybrali się na przyjęcie do znajomych, więc nasze mieszkanie było puste i nieprzyjemnie ciche. Prawie słyszałam bicie własnego serca, a nie było to trudne, bo dudniło jak szalone. Choć bardzo się starałam, nie mogłam wyrzucić z głowy tego, co wydarzyło się po południu. A starałam się ze wszystkich sił!

Michał wcale mi się nie podobał. Owszem, nie był jakiś ostatni, miał ładny uśmiech, wydawał się sympatyczny i w ogóle... Dlaczego więc o nim myślałam? Odpowiedź była jasna – bo to pierwszy facet, na którego zwróciłam uwagę, odkąd Jacek... Znowu zaczęłam się zastanawiać, jak by to było, gdybym miała zacząć randkować czy stworzyć nowy związek, i zdałam sobie sprawę, że nie jestem na to gotowa. Wiedziałam, że to musi kiedyś nastąpić, nie zamierzałam przecież do końca życia być sama, a mimo to poczułam się tym wszystkim strasznie przytłoczona.

Im usilniej starałam się nie myśleć o Jacku, tym bardziej jego obraz wyostrzał się w moim umyśle. Przecież powinnam powoli na nowo układać sobie życie, w którym – chcąc, nie chcąc – trzeba było znaleźć miejsce dla mężczyzn. To jakiś piekielny obłęd!

Zacisnęłam dłonie w pięści i przewróciłam się na bok. Weź się w garść, weź się w garść, powtarzałam sobie w duchu. Na facetach świat się nie kończy!

Czując, jak narasta we mnie napięcie, z którym ledwo mogłam dać sobie radę, rozejrzałam się po pokoju. Sprawiał wrażenie, jakby nikt w nim nie mieszkał albo wprowadził się tylko na chwilę – po jednej stronie znajdowały się moje rzeczy, a po

drugiej stare meble i inne rupiecie, wstawione tutaj przez mamę Krysę, do których się nie dotykałam. Mój wzrok zatrzymał się na kwadratowym obrazku w jasnobrązowej ramce. Odrzuciłam koc i wstałam, by mu się przyjrzeć.

Był to jeden z tych zabawnych gadżetów, które można kupić w sklepie ze śmiesznymi rzeczami. W środku, wyeksponowany na czerwonym tle, znajdował się papieros, pod nim zapałka, draska i napis: *W RAZIE POTRZEBY ZBIJ SZYBKĘ*. Chociaż wróciłam do rodzinnego domu dwa miesiące temu, dopiero teraz zwróciłam na niego uwagę. Dostałam go na osiemnaste urodziny od jednej z koleżanek, z którą nie widziałyśmy się od lat. Teraz utrzymywałam z nią kontakt przez Facebooka.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie tamtego okresu mojego życia i miałam już wrócić do łóżka, kiedy dzika myśl eksplodowała w mojej głowie. *W RAZIE POTRZEBY ZBIJ SZYBKĘ*. Teraz była potrzeba! Właściwie nie paliłam nigdy, lecz w tej chwili całą sobą poczułam, że papieros jest tym, na co mam ochotę. Nie przejmowałam się przestrogą Madzi, która gdzieś wyczytała, że jeden papieros skraca życie o osiem minut.

Potrzebowałam tylko czegoś, czym mogłam stłuc szybkę. Mój wzrok powędrował na podłogę. Spod łóżka wyglądały noski czarnych szpilek, które Mini dla żartu nazywała „labątenami”, chociaż kosztowały nie więcej niż dwieście złotych. Obcas miał jedenaście centymetrów i był zabójczy. Zabawne – my, kobiety, mamy w nosie, że możemy połamać sobie nogi, byle tylko dobrze wyglądać. Mężczyźni pod tym względem mają więcej oleju w głowie – nigdy nie przedkładają wyglądu nad komfort i wygodę.

Złapałam jeden z „labątenów”, szybkim ruchem dłoni starłam z niego kurz i trzymając mocno, zbliżyłam się do obrazka. Głęboko odetchnęłam, zamachnęłam się i z całej siły wbiłam w szkło metalowy obcas; był ostry jak nóż do kruszenia lodu. Szybka pokryła się mapą pęknięć i rozsypała w drobny mak. Uśmiechnęłam się szeroko niczym kot z *Alicji w Krainie Czarów*. Ostrożnie zdjęłam zbity obrazek ze ściany i usiadłam na łóżku, trzymając go na kolanach jak noworodka. Wyjęłam ze środka papierosa, wsunęłam do ust i przypaliłam dołączoną zapałką.

To było ekstremalne doznanie! Smak tytoniu błyskawicznie wypełnił mój organizm, wnikał w komórkę po komórce, co skończyło się, a jakże, atakiem niekontrolowanego kaszlu. Ale gdy już opanowałam technikę zaciągania się i wydmuchiwanie dymu, paląc papierosa powoli i z godnością jak jakaś paniusia, moje myśli znowu popędziły w stronę Jacka. I Michała.

Nie chciałam zachowywać się jak wojująca feministka, która potępia męski gatunek, ale faceci byli tacy okropni! Zawsze przychodzili i odchodzili nie w porę. Tyle że zdaniem Mini nie miałam prawa się nad sobą użalać, bo przecież w moim ostatnim

związku to ja podjęłam decyzję. Dobrze sobie. Ja tylko postawiłam kropkę na końcu zdania, które od dawna było już napisane.

Bądź dzielna. Bądź Błękitną Dziewczyną – mówiłam do siebie w duchu, ale brzmiało to dziwnie nienaturalne i pretensjonalne jak powieść *Idealne życie na obcasach*, która leżała w zasięgu mojego wzroku i doprowadzała mnie do szału.

Trzymając w ustach papierosa niczym sam James Dean, złapałam komórkę i wysłałam do dziewczyn rozpaczliwego SMS-a: „Awaria”.

Rozdział 6

Awaria. Oto słowo klucz w naszym sekretnym języku. Pierwszy raz, jeszcze na studiach, użyła go Madzia. Zadzwoiła do mnie pewnego kwietniowego wieczoru i powiedziała łamiącym się głosem: „Awaria. Potrzebuję pomocy. Możesz przyjechać?”. A ponieważ była u mnie Mini, obie popędziłyśmy jej na ratunek.

Gdy dotarłyśmy na miejsce, otworzyła nam drzwi z opuchniętą twarzą, cała zapłakana. Było oczywiste, że łkała przez faceta, pytanie brzmiało tylko, co jej zrobił. Kiedy wreszcie doszła do siebie, a to jakieś pół godziny, wielkie opakowanie zużytych chusteczek higienicznych i kilka ataków hysterii później, zwierzyła się nam, że chłopak, który bardzo jej się podobał, stwierdził, że jest za gruba i powinna schudnąć. Auć.

– Jezu Chryste – zdenerwowała się Mini, reagując w charakterystyczny dla siebie sposób. – To łajdak. Naprawdę to zrobił?!

Madzia bezradnie pokiwała głową.

– Ale dlaczego? Spotkaliście się i co, wypalił tak prosto z mostu? – dopytywała Mini, mimo że próbowałam przywołać ją do porządku surowym spojrzeniem.

I Madzia, czkając i zanosząc się szlochem, opowiedziała nam, że spotkali się „na szybkim piwku”. Oboje jednak wypili za dużo i po trzech kufiach język mu się rozwiązał... A ona pewnie liczyła, że obiekt jej westchnień padnie na kolana i powie, że od dawna jest w niej zakochany... Madzia nigdy nie zdradziła nam nawet, jak miał na imię, ale gdy czasem go wspominałyśmy, nazywałyśmy go Panem Bezczelnym.

Również tym razem dziewczyny stanęły na wysokości zadania, tak samo jak ja i Mini tamtego kwietniowego wieczoru. Wychylałam się właśnie przez okno swojego pokoju, próbując pocieszyć się miłym widokiem zachodzącego słońca, zła, zdenerwowana i bezsilna, gdy rozległ się dźwięk domofonu. W pustym mieszkaniu zabrzmiał niczym spadające na posadzkę garnki. Wysłałam na korytarz i podniosłam słuchawkę.

– Kto tam? – zapytałam.

– Pogotowie ratunkowe – opowiedziały Mini i Madzia w duecie.

Czując, jak schodzi ze mnie napięcie, wpuściłam je do środka.

Gdyby ktoś zapytał mnie kiedyś, co może być lepsze od wiernej, oddanej, zabawnej przyjaciółki, odpowiedziałabym bez wahania: dwie takie przyjaciółki.

Z prędkością światła posłałam łóżko, wrzuciłam rozbity obrazek do kosza, pozbyłam się odłamków szkła, odłożyłam „labatena” na swoje miejsce – czyli pod łóżko – i włączyłam lampkę nocną, by pokój nie wyglądał tak ponuro. Zdążyłam jeszcze zmienić wyciągniętą szarą bluzę, w której wyglądałam naprawdę żałośnie, na czarną koszulkę (to podobno najbezpieczniejszy kolor dla kobiety), gdy rozległo się pukanie.

– Idę, już idę! – zawołałam i otworzyłam drzwi.

To, co wydarzyło się za chwilę, przerosło moje oczekiwania. Mini od razu rzuciła się w moją stronę, ścisnęła mnie mocno za ramiona i kilka razy potrząsnęła jak marionetką, lustrując mnie od stóp do głów.

– No, kamień z serca, wcale nie wyglądasz tak źle. Jeszcze by tego brakowało, żebyś TY się załamała! – Wywróciła oczami. – Zaraz nam opowiesz, co się stało. Co tu tak cicho, sama jesteś? Przyniosłam coś, co poprawi ci humor. – Zamachała przed moją twarzą butelką z bursztynowym płynem. – Pigwóweczka, moja matka twierdzi, że wybije ci głupie myśli z głowy. Prawie czterdzieści procent alkoholu, robi wrażenie, co nie? No już, idę po kieliszki. – Obróciła się na pięcie i wystrzeliła w stronę kuchni, zostawiając za sobą mgiełkę owocowych perfum.

Stałam w progu mieszkania jak wryta. Na szczęście była jeszcze Madzia. Przywitała mnie łagodnym uśmiechem i cmoknęła w policzek.

– Miło cię widzieć – powiedziała i zmarszczyła czoło. – Paliaś?

Zrobiłam niezdarną minę, coś pomiędzy uśmiechem a skrzywieniem. Madzia objęła mnie ramieniem i razem pomaszerowałyśmy do kuchni, gdzie Mini już siedziała przy stole i rozlewała trunek do literatek. Nie byłam zwolenniczką zapijania problemów, ale skoro nalewka pigwowa miała rekomendację pani Alinki, postanowiłam zaryzykować.

– Nie ma twoich rodziców? – zapytała Mini i szczupłą ręką, którą otulał co najmniej tuzin cienkich bransoletek, pchnęła w moją stronę kieliszek.

– Poszli do znajomych.

– Oj, to się świetnie składa! – Klasnęła w dłonie; wymieniliśmy z Madzią dyskretne spojrzenia. – Możemy gadać głośno i do woli, więc mów całą prawdę. Ale najpierw się napij.

Tak też zrobiłam. Pigwówka od razu dała mi w kość, ale musiałam przyznać się sama przed sobą, że była pyszna. I jak na komendę rozwiązał mi się język. Nie było sensu niczego ukrywać, wypowiedziałam się więc ze wszystkiego – z tego, że spotkałam Michała i że dziwna z nim była rozmowa. Że mimo woli porównałam go do Jacka i że chyba nie jestem jeszcze gotowa na randkowanie, nawet jeśli bardzo bym tego chciała.

– Mówiłam Kai, że moim zdaniem powinna odezwać się do Jacka i porozmawiać z nim – oznajmiła Madzia, szukając na etykiecie pigwówki informacji o kaloriach. Zauważyłam, że żółta bluzka opina się na niej bardziej niż zwykle; biedaczka wyglądała jak napompowany kanarek.

– Oszalałaś?! – zagrzmiała Mini i potrząsnęła bujną czupryną. – Zasada numer jeden: nigdy nie dzwoń do byłego faceta. Zasada numer dwa: nigdy nie dzwoń do byłego faceta po alkoholu.

– Ale dlaczego nie? – zdziwiła się Madzia, czerwona na twarzy od pigwówki. – Naprawdę uważam, że powinni się raz jeszcze spotkać, porozmawiać... Sama wiesz, że to wszystko nie najlepiej się skończyło.

Mini popatrzyła na nią jak na nienormalną.

– Przecież rozeszli się raptem dwa miesiące temu. Kaja po prostu potrzebuje czasu!

Gdy to powiedziała, poczułam ścisnięcie w żołądku. Miała rację. To były dopiero dwa miesiące (już dwa miesiące?). Faktycznie, rozstanie wisiało nad nami znacznie dłużej, ale nasz związek oficjalnie rozpadł się w lipcu. Mini, gdy chciała, potrafiła jednak trzeźwo myśleć.

– A ten Michał, o którym wspomniałaś, to jakiś fajny? – spytała.

– „Emgieem”. W twoim typie – odpowiedziałam i mogłabym przysiąc, że dostrzegłam w jej oczach błysk.

– I co, nosi obrączkę?

– Rany, Mini – skarciła ją Madzia.

– No co? Olaboga, nie bądź taka święta. To co, nosi czy nie?

Poczułam, że się czerwienię. (Ostatecznie, gdyby dziewczyny to dostrzegły, mogłam wytłumaczyć się pigwówką, której wypiałam już kilka kieliszków).

– Nie nosi.

– Ulala... – Mini zaczęła głośno klaskać. – Niczym się nie przejmuj, kochana, ale oczy miej szeroko otwarte. Jak nie nosi obrączki, to warto trzymać go w zapasie, gdybyś nagle poczuła się bardzo samotna.

Madzia prychnęła oburzona, więc Mini spojrzała na nią jadowniczo.

– Widzę, że nie masz za wiele rad dla Kai, to może opowiesz, jak było na randce?

Jaką byłam okropną egoistką! Przecież w niedzielę Madzia miała spotkać się z Karolem, chłopakiem, który niedawno zaczął pracować z nią w księgarni. Ponoć „nadawali na tych samych falach” i widać było, że wpadł Madzi w oko, która nie posiadała się z radości, gdy Karol zaprosił ją do teatru.

– No właśnie, jak poszło? – zapytałam z ciekawością w głosie.

Madzia spuściła wzrok i wzruszyła ramionami. Spojrzałam na Mini, która zagryzła wargi. Choć często sobie dokuczały, były dla siebie jak siostry.

– Coś nie tak? – spytała Mini.

Madzia głośno westchnęła.

– Kompletna katastrofa – oznajmiła.

– Ale dlaczego? – chciałam wiedzieć.

– Szkoda gadać. – Madzia machnęła ręką. – Nic z tego nie będzie.

– Masz nam wszystko opowiedzieć! – zażądała Mini tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Madzia popatrzyła na nas smutnymi oczami.

– Przyszedł ze swoją dziewczyną.

– CO?! – ryknęłyśmy jednocześnie.

– Nie gadaj! – huknęła Mini.

– Mówię, jak było. Umówiliśmy się pod teatrem, więc poszłam wystrojona jak na randkę, a on czekał na mnie ze swoją dziewczyną, słodką, szczupłą Klaudią. Chyba się zorientował, czego się spodziewałam, bo strasznie się zmieszał i stwierdził, że myślał, że przyjdę ze swoim chłopakiem. Ciekawe którym! Mini, nalej mi jeszcze tej pigwówki.

Madzia naprawdę nie miała szczęścia w miłości. Była dotąd w dwóch poważnych związkach, pomiędzy którymi zaliczyła kilka przelotnych romansów. Tak naprawdę jednak żaden z mężczyzn obecnych w jej życiu do niej nie pasował. Ze swoim ostatnim facetem, Markiem Figarskim, chyba najsensowniejszym ze wszystkich jej partnerów, rozstała się na początku roku po trzech latach, bo Marek obudził się pewnego dnia i stwierdził, że jego uczucie – pstryk! – po prostu się wypaliło. Na całe szczęście Madzia nie była typem dziewczyny, która za wszelką cenę chciała złapać męża i urodzić dziecko przed trzydziestką.

– I co, poszłaś z nimi na ten spektakl? – zapytała Mini.

– Poszłam, co miałam zrobić? Przecież nie mogłam zwać. W ogóle nie ma o czym mówić. Zrobiłam z siebie idiotkę.

– No przepraszam – prychnęła Mini i wycelowała w Madzię palcem. – To ON zrobił z siebie idiotę i faktycznie nie ma o czym mówić – podsumowała i sięgnęła po *Moją kuchnię na słodko* Renaty Gołębiewskiej.

– Może w Radomiu po prostu nie ma już ciekawych facetów? – zastanowiła się Madzia; w jej głosie pobrzmiwała rezygnacja.

– Może w Polsce nie ma już ciekawych facetów? – powtórzyłam i podparłam głowę ręką.

– A może to z nami jest coś nie tak?

Mini zerknęła na Madzię znad książki.

– Oj, przestańcie się nad sobą użalać, gadacie jak stare kwoki. Mam lepszy pomysł. Upieczemy babeczki! – oznajmiła bardzo z siebie zadowolona i pokazała nam książkę otwartą na stronie z przepisem na gruszkowe muffinki.

– Ale... ale ja jestem na diecie – wyszeptała Madzia, rzucając głodne spojrzenie na zdjęcie babeczek.

– Jakiej znowu? – zadrwiła Mini i Madzia aż się cofnęła, wyraźnie dotknięta.

– Garstkowej – odpowiedziała prawie szeptem, jakby się tego wstydziła. – Jem tyle, ile zmieści się w dłoni.

– Jezuniu – stęknęła Mini i pokręciła głową, ostentacyjnie wybałuszając oczy (a nie mówiłam, że lubi sobie postękać?).

– Babeczka spokojnie zmieści się w dłoni – spróbowałam pocieszyć Madzię, ta jednak posłała mi groźne spojrzenie. – Oj, to zjesz jedną, niecałą – dodałam pośpiesznie.

W końcu zabrałyśmy się do dzieła. I, jak się potem okazało, to był świetny pomysł. Odmierzałyśmy i łączyłyśmy składniki, mieszałyśmy je w misce i napełniałyśmy papilotki gruszkową masą, brudząc się przy tym i śmiejąc wniebogłoso. Włączyłyśmy muzykę i bawiłyśmy się beztrąsko, niepomne na zmartwienia i wszelkie przykrości, którymi wcześniej zaprzętałyśmy sobie głowy.

– Wiecie, co robią dziewczyny, by pozbyć się cellulitu? – zagadnęła nas Madzia, gdy wypełniałyśmy ciastem foremki. Po jej zgrabnej, krótkiej fryzurce nie było śladu, grzywka lepiła jej się do czoła, a końcówki wywinęły się w różne strony. Wyglądała, jakby miała na głowie nieudolnie wykonaną złotą perukę. – Przykładają sobie odkurzacze do ciała.

– Żartujesz! – parsknęła Mini.

– Tak wyczytałam w internecie. Ciśnienie zasysa skórę i...

– Próbowałaś tego? – zapytała Mini, śmiejąc się pod nosem.

Madzia popatrzyła na nią urażona.

– No coś ty, wiadomo, że nie – odrzekła i odwróciła się do nas plecami, by umieścić blachę z babeczkami w piekarniku. Nie zabrzmiało to szczególnie przekonująco.

– Mam genialny pomysł, Madzia, napisz o tym wiersz! – zawołała Mini, rozłożyła

ręce i zaczęła recytować: – Biorę odkurzacz do ręki, bo chcę być jędrna. O, cellulicie okropny, żegnaj, żegnaj!

Wybuchnęła śmiechem i opadła na krzesło, nie mogąc się opanować. Szajbuska. Madzia umyła ręce i pokręciła głową. Bardzo nie lubiła, gdy ktoś żartował z jej zamiłowania do poezji.

– Jędrna i żegnaj się nie rymuje – oznajmiła sucho.

– Dla mnie tam się rymuje – odrzekła Mini i zajrzała do pustej butelki po pigwówce, krzywiąc się z niezadowoleniem.

– Fajna ta książka – powiedziała Madzia, przeglądając *Moją kuchnię na słodko*. – Napisała ją radomianka?

– Mhm... – Pokiwałam głową. – W piątek będzie w „Głosie” artykuł o niej.

Popatrzyłam na Madzię i na Mini, która siedziała między nami półprzytomna. Nagle poczułam całą sobą, że chcę im o czymś powiedzieć. I słowa ze mnie wybuchły.

– Renata, autorka tej książki, to świetna babka. Mówię wam, na pewno byście ją polubiły. Ma trzeźwe podejście do życia. To taka... – Głęboko odetchnęłam. – Błękitna Dziewczyna.

Przyjaciółki spojrzały na mnie zdębiałe.

– Co? – jęknęła Mini.

– Jaka dziewczyna? – prychnęła Madzia.

Patrzyły na mnie jak na obłąkaną. I wyraźnie wyczekiwały odpowiedzi. Więc ją dostały. Wytłumaczyłam im od a do zet, kim są Błękitne, Pomarańczowe i Szare Dziewczyny. Ani razu mi przy tym nie zadrżał głos.

– Czyś ty na głowę upadła? – Mini, przebudziła się z letargu. – Zawsze wiedziałam, że jesteś marzycielką, ale teraz to normalnie przegięłaś. Znajdź mi tę, jak to ujęłaś, Błękitną Dziewczynę – to mówiąc, skrzywiła się z niesmakiem – gdy co druga zarabia tysiąc złotych, haruje jak wół i ma cały dom na głowie. Trudno się dziwić, że narzeka!

Zezłościły mnie jej słowa. Dziwne, że nagle zaczęła wysławiać się tak płynnie, mimo że jeszcze przed kwadransem była bliska zaśnięcia na siedząco. Ale w jej gorzkich słowach było więcej niż ziarno prawdy. I to drażniło mnie najbardziej.

– Poza tym mieszkamy w Radomiu – kontynuowała pewnym głosem. – W Radomiu, kochana. Gdzie ty chcesz szukać tych Błękitnych Dziewczyn? Na dworcu? W Tesco? Na Żeromce?

Tak, właśnie tam. Wszędzie, jeśli to będzie konieczne, pomyślałam. Lecz z jakiegoś powodu nie powiedziałam tego głośno.

– Myślicie, że w innym mieście byłybyście szczęśliwsze? – zapytałam ostro.

Spojrzały na siebie, ale nie zająknęły się słowem.

Rozdzwonił się piekarnik i Madzia poderwała się z miejsca.

– Babeczki gotowe! – zawołała i razem z Mini dołączyłyśmy do niej, czując ulgę z nagłej zmiany tematu.

Muffinki wyglądały wspaniale, a pachniały jeszcze lepiej – kuchnia wypełniła się cudownym, gruszkowo-cynamonowym aromatem. To był zapach jak w najlepszej kawiarni, wcale nie gorszy niż w Słodkiej Babce.

Gdy nasze wypieki nieco przestygły, roztopiłyśmy czekoladę deserową i pokryłyśmy nią babeczki. A kiedy się nimi wreszcie poczęstowałyśmy, stwierdziłyśmy – pękając z dumy – że smakują obłędnie. Mama Krysia trzymała w szafce różne cukrowe ozdoby do ciast – barwne kulki, kształtne różyczki i połyskujące gwiazdki, które wykorzystaliśmy, zdobiąc nimi nasze słodkie dzieła.

Madzia zjadła tylko jedną muffinkę (modląc się nad każdym kęsem: „O mój Boże, a obiecałam sobie – zero słodyczy. Matko i córko, jaka pyszna czekolada, a te gruszki... Od jutra ostra dieta, o Jezu kochany”), za to my z Mini spałaszowałyśmy po kilka.

Dochodziła północ, kiedy Mini wpadła na pomysł, żebyśmy zrobiły sobie *selfie*, czyli fotkę z ręki, to wrzuci ją na swojego Facebooka. W normalnych okolicznościach kategorycznie byśmy z Madzią odmówiły, ale nalewka pigwowa zrobiła swoje, ustawiliśmy się więc w równym rzędku, przyklejone do siebie bokami, ściskając po babeczce i uśmiechając się jak gwiazdy filmowe. Mini wyjęła telefon i pstryknęła nam zdjęcie, które od razu opublikowała w internecie.

To był jeden z tych momentów, gdy czułam się szczęśliwa. Ale, niestety, nie miało to trwać długo. Pożegnaliśmy się grubo po północy, rozkosznie upojone trunkami, najedzone muffinkami do granic przyzwoitości i w bardzo dobrych humorach – Mini nawet nie drgnęła powieka, gdy zadzwonił do niej Arek i zrugął ją, że „szwenda się po mieście, a on musi na nią czekać, bo nie wzięła kluczy”. Miała za męża bałwana, choć ani ja, ani Madzia nie miałyśmy serca, by jej o tym powiedzieć.

Rodzice wrócili koło pierwszej. Śmiali się i wzajemnie uciszali („Krysińko, zachowuj się, bo obudzisz Kaję”. „Przecież jestem cicho, ale ciągle myślę o Ance, jak zalała się sosem z czerwonego wina, widziałeś jej minę?”). Musieli się nieźle zabawić.

A ja leżałam w ciemnym pokoju, w piżamie z dżerseju w różowe motyle, zakopana pod kołdrą po nos i czułam się idiotycznie. Znowu nie poćwiczyłam przed snem (mimo że, och, dałam sobie słowo), a moi własni rodzice traktowali mnie jak małe dzieciątko, niemowlaka prawie, koło którego trzeba chodzić na paluszkach. Lecz nie to bolało mnie najbardziej – byli idealną parą, pasowali do siebie i podświadomie im tego

zazdrościłam. Ich radość z bycia razem mnie dobijała. Zwłaszcza po takim dniu jak ten.

Tyle wystarczyło, bym znowu poczuła się jak kilka godzin wcześniej, gdy wezwałam dziewczyny na pomoc. Wszystko do mnie wróciło ze zdwojoną siłą. Nadmiar pigwówki dawał o sobie znać szumieniem w głowie i kiepskim nastrojem (a jednak upiłam się na smutno), w moim brzuchu działało się jakieś dzikie szaleństwo. Przed oczami znowu miałam Jacka i panicznie bałam się odpłynąć, by znowu mi się nie przyśnił.

A na dokładkę przypomniałam sobie słowa Mini: „Znajdź mi tę, jak to ujęłaś, Błękitną Dziewczynę, gdy co druga zarabia tysiąc złotych, haruje jak wół i ma cały dom na głowie. Trudno się dziwić, że narzeka! Poza tym mieszkamy w Radomiu. Gdzie ty chcesz szukać tych Błękitnych Dziewczyn? Na dworcu? W Tesco? Na Żeromce?”.

Mini. Przeklęta, kochana Mini. Psiakość, miała rację! W jakim ja żyłam świecie, łudząc się, że kobiety mieszkające w Radomiu (i w każdym innym podobnym do niego mieście) mogły być szczęśliwe mimo wszystko? Że mogły być dzielne? Pełne optymizmu? Coś sobie po prostu wymyśliłam i naiwnie w to uwierzyłam. Z tych marzeń nie mogło wyniknąć nic dobrego. A już na pewno nic serio.

Nie dałam rady i w jednej chwili wybuchnęłam płaczem. Pękłam. Kompletnie się rozkleiłam. Dotarło do mnie – i nie było to miłe – że bujam w obłokach. Co ja sobie w ogóle wyobrażałam? Byłam sama, zarabiałam grosze, mieszkałam z rodzicami. Zachowywałam się jak przeklęty donkiszot w spódnicy. Coraz bardziej zdawałam sobie sprawę ze swojej naiwności czy wręcz śmieszności. Gdyby nie obecność mamy Krysi i taty Krzysia, pewnie wyłabym do księżyca.

Zacisnęłam powieki i ukryłam twarz w dłoniach. Brawo, moja droga, właśnie stałaś się Szarą Dziewczyną. Cudnie. Uroczo. Beznadziejnie!

Rozdział 7

Ja, Mini i Madzia znałyśmy się jak łyse konie i spędzałyśmy ze sobą dużo czasu, każda z nas miała jednak także swoje grono znajomych – z pracy, przeszłości albo zapoznanych w innych okolicznościach. Jedną z dobrych koleżanek Madzi, o istnieniu której nie miałam dotąd pojęcia, była Iwona Bajeka, trzydziestodwulatka mieszkająca w jej sąsiedztwie, dwa domy dalej. Życiowym osiągnięciem Iwony było zrzucenie ponad trzydziestu kilogramów (ponad *trzydziestu!*), więc Madzia traktowała ją niemalże niczym świętą i wpatrywała się w nią jak w obrazek. Iwona nagrywała filmiki z opracowanymi przez siebie treningami i udostępniała je za darmo w internecie. Madzia stwierdziła, że „są fantastyczne i szybko widać efekty”, więc zaprosiła nas do siebie w piątkowy wieczór, byśmy mogły poćwiczyć we trzy. Zgodziłam się, bo brakowało mi ruchu. Mini też miała przyjść, choć jestem pewna, że bardziej dla towarzystwa.

Po poniedziałkowym załamaniu nie było ze mną najlepiej. Kiedy obudziłam się we wtorek rano, miałam wybitnie kiepski nastrój, co jeszcze bardziej wytrąciło mnie z równowagi, bo nie lubiłam zaczynać dnia w niedyspozycji. Od płaczu spuchły mi powieki, psiamać, musiałam więc w jakiś sposób ukryć to pod makijażem – a to dla mnie nie lada wyzwanie, ponieważ zazwyczaj nie malowałam się mocno.

W masochistycznym odruchu wskoczyłam jeszcze na wagę i z przerażeniem odkryłam, że przybyło mi półtora kilograma. Nigdy nie miałam obsesji na tym punkcie, ale do licha, która dziewczyna lubi tyć?! Natychmiast włączyłam laptopa, by sprawdzić, czy mój wskaźnik masy ciała, BMI, nadal był w normie. Na szczęście uratował mnie wzrost, bo wyszło na to, że moje sześćdziesiąt dwa kilogramy przy stu siedemdziesięciu dwóch centymetrach oznaczają „wagę idealną”.

Przy śniadaniu rodzice z pasją wspominali wczorajsze przyjęcie, chichocząc bez umiaru i łapiąc się za ręce niczym para zakochanych nastolatków (tylko spróbujcie to sobie wyobrazić), więc po dwóch minutach tego teatru stwierdziłam, że jednak zjem w pracy, i czym prędzej wyszłam z domu. Bożemójboże, jak nisko upadłam, skoro byłam zazdrosna o szczęście własnej matki i ojca?

Ale w redakcji humor mi się nie poprawił. Królowa Zoja – wystrojona jak świąteczna choinka, obwieszona wisiorami i wciśnięta w nieprzyzwoicie kusą sukienkę – nie szczędziła mi uszczypliwości.

– Co ja widzę, moja droga, nieprzespana noc? Pracowałaś? Czytałaś? Bo chyba

obecnie z nikim się nie spotykasz, prawda?

Przekłeta, złośliwa, gruba baba! Robiła wszystko, by trafić na moją listę najbardziej nielubianych osób, choć „nie lubianych” to chyba zbyt łagodne słowo.

Mimo wszystko jakoś zniosłabym ten dzień, gdyby nie niedźwiedzia przysługa, którą wyświadczyła mi Olga, publicznie komentując zdjęcie zrobione przez Mini, na którym ścisaliśmy gruszkowo-czekoladowe babeczki.

– Łał, niezła fotka, wyglądacie jak po bitwie. – Zaśmiała się i reszta redakcji otoczyła ją szczelnym półpierścieniem, zlatując się do jej komputera jak muchy do miodu. – Urządziłyście sobie wieczorną ucztę?

Olga była w porządku, ale obsesyjnie dbała o zdrowie i krytykowała wszystko, co nie było bio i eko. Odwróciłam się, by jej odpowiedzieć, gdy spostrzegłam królową Zoję kroczącą na swoich krótkich, tłustych nóżkach w stronę biurka Olgi. Precisnęła się na sam front, dokładnie przyjrzała fotografii i parsknęła.

– Ach, to dlatego nasza Kaja nie wygląda dzisiaj najlepiej. Miałam nosa, że to nie przez faceta.

Reszta załogi „Głosu” wydała z siebie zduszone „uuu” i wybuchnęła śmiechem, a Piotrek odwrócił się w moją stronę i puścił mi oko.

– Jak dla mnie ta fotka jest super. Zaraz odpalę Facebooka i ją polubię.

– Stokrotne dzięki. – Stęknęłam i spojrzałam na królową, która uśmiechnęła się sardonicznie, z wyrazem triumfu na twarzy i odmaszerowała do swojego pokoju. Wprost nie mieściło mi się w głowie, jak można było być taką jędzą! Guzik mnie obchodziły jej żarty, ale nie miała prawa oceniać mojego prywatnego życia. I pomyśleć, że musiałam to znosić za takie marne pieniądze. Obiecałam sobie, że jeśli tylko trafi się okazja, by zmienić pracę, zrobię to bez mrugnięcia okiem. Do tego czasu musiałam pocieszać się myślą, że lubię swoje zajęcie. Kiedyś wyczytałam, że w Polsce tylko co trzecia osoba ma pracę zgodną ze swoim wykształceniem. Dla Radomia takich statystyk nie było, ale mogłam przypuszczać, że u nas wygląda to jeszcze gorzej.

Zoja Zoją, musiałam jednak oddać Mini sprawiedliwość, że pstryknięte przez nią zdjęcie wyszło naprawdę dobrze i przynajmniej to na jakiś czas poprawiło mi humor. Fotografię polubiło osiemnaście osób, a trzy zostawiły komentarz. „Wyglądacie super”, „Fajne babeczki z babeczkami”, „Zjadłbym” – ten ostatni wpis należał do jakiegoś kolegi Mini i nie było wiadomo, czy chodziło mu o nas, czy o nasze wypieki.

Miałam już wylogować się z Facebooka, gdy spostrzegłam, że ktoś zaprosił mnie do grona znajomych i ze zdumieniem odkryłam, że był to Michał Miciak. Trzewia zwinęły mi się w trąbkę, kiedy zdałam sobie sprawę, że dzisiaj miałam odebrać z Migawki zdjęcia zrobione u Renaty. A wyglądałam i czułam się tak podle – włosy byle jak

spięte w koński ogon, zwykłe jeansy, czarna tunika i boleściwa mina. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy nie przełożyć tego na jutro, uznałam jednak, że przecież nie ma żadnego powodu, bym miała się stroić dla Michała – przecież nie było, prawda? – i ruszyłam do zakładu jego dziadka.

Wkroczyłam do środka; Michał siedział przed komputerem. Był sam. Na mój widok twarz mu się wydłużyła i natychmiast poderwał się z krzesła.

– O, Kaja, cześć – rzucił wesoło.

– Cześć, Michał – przywitałam się. Początkowo unikałam kontaktu wzrokowego i nieustannie poprawiałam włosy, próbując zasłonić się ręką, szybko jednak uznałam, że narażam się na śmieszność.

Idiotka.

Nie przyszłam tu przecież złowić faceta.

– Twoje zdjęcia wyszły świetnie, myślę, że będziesz zadowolona – powiedział Michał i wyjął z koperty zrobione przeze mnie fotografie. Przejrzałam je i z ulgą stwierdziłam, że miał rację. Uśmiechałam się pod nosem i myślałam mniej więcej tak:

Renata wyszła świetnie.

Bo Renata jest świetna.

Świetna Błękitna Dziewczyna.

I nagle bomba: w mojej głowie rozbrzmiały słowa Mini na temat Błękitnych Dziewczyn, radomskich kobiet i naszego miasta („Znajdź mi tę, jak to ujęłaś, Błękitną Dziewczynę, gdy co druga zarabia tysiąc złotych, haruje jak wół i ma cały dom na głowie”, bla, bla, bla). Musiałam zamyślić się na dłużej, bo Michał zmarszczył czoło i popatrzył na mnie przenikliwie.

– Hej, stało się coś?

– Przepraszam cię, ale mam kiepski dzień – odparłam krótko.

A zaczęło się od ciebie, pomyślałam i położyłam na ladzie należność za zdjęcia.

– Serio? Może mógłbym pomóc? – spytał Michał i zdziwiło mnie, gdy wyczułam w jego głosie troskę.

Westchnęłam, śmiejąc się cierpko.

– Nie, dzięki.

– Wiesz co, mam na zapleczu pyszną kawę. Dasz się namówić?

Spojrzałam na niego oniemiała.

– Coś ty, przecież jesteś w pracy, a poza tym ja...

No właśnie, co? Muszę wracać do pustego pokoju? Do zimnego łóżka, pizamy

w motyle, ćwierkających jak skowronki rodziców?

– Daj spokój, napijemy się, pogadamy, od razu zrobi ci się lepiej.

Nie musiał prosić długo. Już po chwili siedzieliśmy w niedużym kantorku, przy kwadratowym stoliku, i piliśmy gorącą kawę z czerwonych kubków. Michał nie kłamał. Faktycznie błyskawicznie poprawił mi się nastrój.

– Więc zdradzisz, co ci leży na wątrobie? – zaczął, rzucając na mnie spojrzenia zza okularów.

– A, takie tam, babskie sprawy. – Machnęłam ręką. – Wczoraj za dużo wypiałam i wiesz, różne głupie myśli przyszły mi do głowy.

– Och, wy, kobiety, prawie zawsze upijacie się na smutno. Macie to chyba zapisane w kodzie genetycznym.

Zaśmiałam się.

– Coś w tym jest. Uwierzysz, że wczoraj wypaliłam pierwszego chyba od dziesięciu lat papierosa?

– To i tak niezła statystyka. Ja rzuciłem sześć lat temu.

– Paliłeś?

– Pytanie, jak smok! Ale potem przytyłem z dziesięć kilo i sporo się namęczyłem, żeby je zrzucić.

– O, masz jakiś sposób na nadwagę? Bo moja przyjaciółka walczy z nią, odkąd sięgam pamięcią, i jak na razie ciągle przegrywa.

– Jak dla mnie jest tylko jedna skuteczna dieta: NJD.

– Tak? Nie słyszałam o niej.

– Nie jeść dużo – wyjaśnił Michał i puścił mi oko.

– Aha, spoko, przekażę to mojej przyjaciółce. Na pewno zmienię tą informacją jej życie – zażartowałam.

Nagle poczułam, że jest coś, o co bardzo chciałam go zapytać.

– Mówiłeś wczoraj, że wróciłeś do Radomia z Warszawy... Zawsze mnie to ciekawi, bo wiesz, ludzie zazwyczaj podróżują w drugą stronę.

– To prawda. – Michał pokiwał głową. – Ale tak mi się różne sprawy poukładały, że musiałem wrócić.

Nie odpowiedziałam, licząc po cichu, że sam mi powie, jakie to były te „różne sprawy”.

– Rozstałem się z dziewczyną i uznałem, że nic mnie tam już nie trzyma.

Ach, takie sprawy...

– Nie wiedziałam, przykro mi.

– Niepotrzebnie, nie pasowaliśmy do siebie. Ale nie mówmy o tym. Powiedz lepiej, czy masz kontakt z kimś z podstawówki.

Przez następny kwadrans plotkowaliśmy wesoło o dawnych i obecnych czasach, a ja bardzo się cieszyłam, że nikt nie wszedł do zakładu i nam nie przeszkodził. Miło było po prostu zwyczajnie porozmawiać na różne tematy, nie kokietując przy tym faceta. Wymieniliśmy się nawet numerami telefonów, jak koleżanka z kolegą. Cieszyłam się, że Michał nie próbował mnie podrywać, bo tego bym nie zniosła. Nie dzisiaj.

– Wpadniesz jeszcze? – spytał, gdy zbierałam się do wyjścia.

– Pewnie tak. A już na pewno, gdy będę miała zły dzień, bo jesteś mistrzem w poprawianiu humoru.

Michał się rozpromienił.

– Jak to mówią, cała przyjemność po mojej stronie.

– Oj, raczej po mojej – poprawiłam go i uśmiechnęłam się na pożegnanie. – Na mnie już czas. Powiedz tylko, jak się czuje twój dziadek.

– Na razie bez zmian. Ani lepiej, ani gorzej. Szczerze mówiąc, zaczynam się zastanawiać, czy nie przejąć po nim tego zakładu.

– Poważnie? – zdziwiłam się, bo Michał miło mnie zaskoczył. – To chyba niezły pomysł. Mogłabym ci pomóc, gdybyś czegoś potrzebował.

– Dzięki, przyda się wiedza fachowca. Będę pamiętał – odpowiedział z uśmiechem.

– Powiedz dziadkowi, że życzę mu zdrowia. To na razie.

– Powiem mu na pewno. Na razie – odrzekł Michał i odprowadził mnie wzrokiem. Zerknęłam jeszcze na niego, gdy opuszczałam Migawkę i zdumiało mnie, że ciągle mi się przygląda.

Madzia była w błędzie, twierdząc, że w Radomiu nie ma już ciekawych facetów. Sama się myliłam, gdy odpowiedziałam jej, że być może takich mężczyzn nie ma w Polsce. W życiu bym się nie spodziewała, że tę teorię obali chłopak, którego w szkole podstawowej szczerze nie cierpiałam i który przezywał mnie Kajakiem.

W domu włączyłam Facebooka – oficjalnie, by zerknąć na komentarze pod naszą fotką z babeczkami (przybył nowy – serduszko wklejone przez Mini), a tak naprawdę, by przejrzeć profil Michała. Był skromny – główne zdjęcie przedstawiało go na tle morza. Oprócz tego Michał zamieścił dwie swoje fotografie; jedną pod Pałacem Kultury i Nauki, a drugą z biszkoptowym labradorem u boku. Obie bez podpisu. Z zakładki „Informacje” wiele się nie dowiedziałam, ale jego „Status związku” potwierdził, że Michał jest wolny.

Wolny.

Z niewiadomych powodów ulżyło mi, gdy to przeczytałam. Ba, nawet się ucieszyłam.

Ucieszyłam się!

Niestety, parę godzin później to wszystko nie miało już żadnego znaczenia, bo znowu przyśnił mi się Jacek.

Rozdział 8

Jednym z najlepszych przyjaciół Jacka był Wojtek Traczyk, początkujący filmowiec i miłośnik filmów Quentina Tarantino, w wolnych chwilach tworzący niezwykle czarno-białe grafiki przedstawiające ludzi, zwierzęta albo postaci z książek fantasy.

Jakiś miesiąc po naszym pierwszym spotkaniu Jacek zabrał mnie na wernisaż Wojtka, który odbywał się w jednym z radomskich kin. Byłam bardzo podekscytowana tym spotkaniem z dwóch powodów – po pierwsze, bardzo chciałam zobaczyć prace Wojtka, a po drugie (choć w zasadzie po pierwsze), to było coś w rodzaju randki.

Wystawa, mimo że nie była szczególnie wypromowana, okazała się sukcesem. Grafiki faktycznie były świetne, a ich autor nie mógł opędzić się od dziennikarzy i dyrektorów placówek kulturalnych, znalazł się nawet jakiś gość, radomska gruba ryba, który złożył mu propozycję sponsoringu czy raczej mecenatu (co brzmiało zdecydowanie lepiej).

Przez całą uroczystość Jacek nie odstępował mnie na krok. A ja... Ja wprost nie posiadałam się z radości. Już dawno, a może nawet nigdy nie spotkałam mężczyzny, który zrobiłby na mnie tak duże wrażenie.

Po wernisażu Wojtek uznał, że taki sukces trzeba uczcić. Wylądowaliśmy w pobliskim barze, bardzo klimatycznym, gdzie na ścianach wisiały obrazki w kolorze sepii, blaty okrągłych stolików oblepione były woskiem ze świeczek, a z głośników sączył się dobry polski rock. Było nas osiem osób – ja, Jacek, Wojtek ze swoją dziewczyną i czwórka ich dobrych znajomych, z którymi szybko znalazłam wspólny język. Czułam się jak część tej ekipy, związana z nią dzięki zażyłości z Jackiem.

Wszyscy piliśmy dużo; ja upiłam się błyskawicznie. Piwo zaszumiło w głowie również Jackowi i – jak to zwykle wtedy bywa – zaczęliśmy prawić sobie komplementy, zerkać na siebie spod rzęs, szukać bliskiego kontaktu. Puściły nam hamulce, a ja przestałam się zastanawiać, co wypada zrobić lub powiedzieć.

Zbliżała się północ, gdy towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Jacek zaproponował, że mnie odprowadzi. Dziękowałam w duchu, że mieszkam niedaleko, mogliśmy więc wracać spacerkiem. Noc była przyjemnie ciepła.

– Te grafiki Wojtka są naprawdę świetne – wymamrotałam odurzona alkoholem

i faktem, że Jacek mocno ścisnął moją rękę.

– To prawda, ale ja wolę oglądać ciebie – odpowiedział, przystanął i przyciągnął mnie do siebie.

Staliśmy pod rozłożystym drzewem, w centrum miasta; wokół nas nie było żywego ducha. Neony pobliskich sklepów przecinały chodnik, rozświetlając go feerią szalonych barw. W oddali słychać było huk rozpędzonego motocykla. Gdzieś w bramie wył pies. Lecz w tej jednej chwili liczyło się tylko to, że Jacek – mężczyzna jak z marzeń – obejmował mnie w pasie, bezwstydnie zaglądał w oczy i uśmiechał się zawadiacko, jak ktoś, kto wie, że się podoba, i zamierza to wykorzystać. Zanim zdążyłam odpowiedzieć czy raczej rzucić jakiś głupawy tekst, przysunął się jeszcze bliżej i pocałował mnie w usta.

Trwało to dłużej niż chwilę. Choć oboje byliśmy pod silnym wpływem alkoholu, nie byłam aż tak pijana, żeby nie wiedzieć, że było wspaniale. Całowałam się z Jackiem Urbańskim i byłam tym faktem podekscytowana do tego stopnia, że gdyby poprosił mnie o rękę, zgodziłabym się bez wahania.

Ze snu – w środku nocy – wyrwały mnie tak silne emocje, że aż usiadłam na łóżku. Trwało chwilę, zanim dotarło do mnie, gdzie się znajduję (rozczarowanie), ile mam lat (przerażenie) i jaki jest mój stan cywilny (kubel zimnej wody). Serce mi łomotało, ciało było złane lodowatym potem. Dyszałam ciężko. Położyłam drżące dłonie na policzkach, próbując się uspokoić.

Nie mogłam pogodzić się z faktem, że nie mam absolutnie żadnej kontroli nad swoimi snami, a te zdawały się ze mnie drwić. Kolejny raz przyśnił mi się wycinek przeszłości – scena sprzed pięciu lat odwzorowana w moim niesfornym umyśle ze zdumiewającą precyzją, jak jeden do jednego. Wtedy to były miłe chwile, ale teraz...

Motyła noga! Miałam tego po dziurki w nosie. Nie czułam nawet najmniejszej, chociażby mikroskopijnej ochoty, by raz jeszcze przerabiać to, co wydarzyło się w moim życiu, a już na pewno nie interesowały mnie wspominki z udziałem Jacka. Przecież na co dzień starałam się o nim nie myśleć (z różnym skutkiem, to fakt), więc dlaczego, do diabła, śnił mi się nocami? Ten etap mojego życia nieodwracalnie, nieodwołalnie, ostatecznie był skończony i choć miałam świadomość, że sprawa jest świeża, naprawdę bardzo się starałam jakoś wyjść na prostą.

A dyszałam jak po przebiegnięciu maratonu.

*I byłam tak wściekła, że miałam ochotę kogoś rozszarpać. Mocno zacisnęłam dłonie w pięści, rozejrzałam się po pokoju i spostrzegłam *Idealne życie na obcasach*. To*

żadna powieść, tylko makulatura, pomyślałam. Bzdurna, idiotyczna książka, której koniec można przewidzieć już na pierwszej stronie („I żyli długo i szczęśliwie”, ohyda). Litości, to miał być bestseller?! Niech lepiej napiszą, jak wieść idealne życie w mieście takim jak Radom, gdy się nie ma u swojego boku bogatego prawnika, przystojnego lekarza albo seksownego sportowca, a z nędznej pensji wypadałoby zapłacić rachunki i przeżyć przyzwoicie do końca miesiąca.

– Przepraszam cię, mamó – wycodziłam przez zęby, złapałam książkę i nie zastanawiając się chwili dłużej, rozerwałam ją na strzępy.

Boże jedyny niebie! Nie uwierzylibyście, jak wielką ulgę sprawiało mi rwanie kartek, jaką dużą radość dawało. Wyrывałam strony jedna po drugiej, niszczyłam je i rozrzucałam wokół siebie niczym weselne konfetti. Pani Alinka zwykła mawiać: „Jest ci źle? Wyżyj się na kimś albo na czymś”. Niech skonam, to były święte słowa!

Oszczędziłam tylko stronę z dedykacją od mamy Krysi. Złożyłam ją w kwadracik i wsunęłam pod poduszkę, a resztki zniszczonej powieści, która wyglądała, jakby dorwał się do niej wściekły pies, trafiły pod łóżko obok „labątenów”.

Cudowna ulga. Jak miętowa herbata i Ranigast po kolacji wigilijnej.

Opadłam z powrotem na plecy, zrzuciłam z kołdry papierowe strzępki i zaśmiałam się cierpko pod nosem. Miałam powyżej uszu głupich książek, głupich ludzi i głupich snów.

Zegarek wskazywał czwartą, co oznaczało, że zostały mi jeszcze jakieś trzy godziny snu. Bałam się zamknąć oczy, aby znowu pod zaciśniętymi powiekami nie ujrzeć Jacka, stwierdziłam jednak, że najgorsze, co mogłoby mnie po tym wszystkim spotkać, to drwiąca ze mnie królowa Zoja (przeklęta, złośliwa, gruba baba), pytająca mnie, dlaczego wyglądam tak, a nie inaczej i czy przypadkiem znowu miałam nieprzespaną noc.

O nie, niech sobie szanowna redaktor naczelna, bezczelna, uprawia swój ogródek i się ode mnie odczepi. Słodki Jezu, ileż racji miał Albert Einstein, gdy stwierdził, że „tylko dwie rzeczy są nieskończone: wszechświat oraz ludzka głupota, choć nie jestem pewien co do tej pierwszej”.

Niewiele brakowało, a wykręciłabym się z piątkowego treningu u Madzi. To był naprawdę żalony tydzień i marzyłam tylko o tym, by wreszcie zakopać się pod koc, włączyć *Pamiętnik*, mój ukochany film o miłości, i zapomnieć o bożym świecie. W piątek po pracy byłam bliska wysłania Madzi SMS-a, że jednak do niej nie wpadnę, ale mnie ubiegła, śląc mi krótką i nieznoszącą sprzeciwu wiadomość: „Tylko bez wykrętów. O szóstej u mnie”. Bardzo nieszczęśliwa przebrałam się więc w dres, zamówiłam taksówkę i ruszyłam na Glinice.

Madzia mieszkała w niedużym domku jednorodzinny – rodzice oddali jej do dyspozycji całe poddasze, zupełnie jakby uznali, że ich córka raczej nieprędko wyjdzie za mąż i się wyprowadzi, sami natomiast, razem z Olą, dziewiętnastoletnią siostrą Madzi, zainstalowali się na parterze.

Rozliczyłam się z taksówkarzem („Pani jakaś smutna, czy mi się wydaje? Jak bym był o dwajścia lat młodszy, tobym panią chętnie pocieszył, hehe, bo kobitka z pani całkiem, całkiem”), trzasnęłam drzwiami i przeklełam w duchu, że nie przyjechałam autobusem (właśnie, dlaczego na to nie wpadłam?! Człowiek szybko przyzwyczaja się do wygody).

Zadzwoiłam trzy razy; po chwili w drzwiach ukazała się nakrapiana piegami twarz Oli otoczona burzą kręconych włosów. Wyglądała, jakby była w trakcie przemiany z larwy w motyla. Okres dojrzewania to bezsprzecznie najgorszy czas w życiu kobiety, choć Ola teoretycznie powinna mieć go już za sobą.

Na piętrze znajdowały się dwa pokoje i łazienka. Madzia miała sypialnię na lewo od schodów. Pokój obok – gdzie paliło się światło – był znacznie większy i pełnił rolę salonu. Gdy mieszkał tu ostatni facet Madzi, Marek, na korytarzu zalegały ciężarki, a w rogu stał rowerek do ćwiczeń. Teraz jednak nie było po nich śladu – życie.

– Dzień dob... – przemówiłam, uchylając drzwi, gdy mnie zamurowało, bo moim oczom ukazały się dwie pary wypiętych pośladków; szczupłe i wąskie w fioletowych getrach (należące do Mini) oraz szersze i pełniejsze w luźnych, szarych dresach (należące do Madzi).

– O, super, że już jesteś – rzuciła ta druga, poderwała się z podłogi i dała mi całusa na powitanie. – Właśnie zaczęłyśmy rozgrzewkę.

Mini spojrzała na mnie w przelocie, robiąc jakąś skomplikowaną figurę na dywanie, i machnęła ręką.

– Jak miała być ta noga? Prosta czy zgięta? Jezus Maria, zaraz chyba na pogotowiu wyląduję.

– I co, zaczynamy od razu? – zdziwiłam się. – Myślałam, że najpierw pogadamy...

Madzia rzuciła mi spojrzenie pełne wyrzutu.

– Żartujesz? Przecież spotkałyśmy się na trening – zrugła mnie i zaczęła, aż do nich dołączę. Następnie dopadła do komputera, odnalazła filmik, który ją interesował, powiększyła go na cały ekran i szybko wróciła na swoje miejsce. – Dobra, startujemy.

Gdy Madzia powiedziała mi, że Iwona Bajeczka zrzuciła ponad trzydzieści kilogramów i zaczęła nagrywać filmy treningowe, wyobrażałam ją sobie jako masywną (nie wiem dlaczego; z jakiegoś powodu założyłam, że przed odchudzaniem musiała ważyć koło stówki) i raczej zarozumiałą kobietę. Tymczasem na ekranie pojawiła się

wysportowana, choć nie chuda jak szczapa, wesółą dziewczyna, od której bił blask i której uśmiech był zaraźliwy. Stała w ogrodzie ubrana w sportowe getry i koszulkę na ramiączkach. Ciemne włosy miała związane w ciasny koczek.

– Cześć! – rozległ się jej wysoki, radosny głos. – Jestem Iwona i cieszę się, że oglądasz mój filmik. W ciągu ostatniego roku schudłam trzydzieści dwa kilogramy, nie katując się specjalnie dietą...

– Ta, jasne – prychnęła Mini.

– ...ale przede wszystkim dużo ćwicząc. Przeczytałam dziesiątki poradników, byłam na różnych kursach i szkoleniach, a teraz swoją wiedzę chcę przekazać tobie.

Mini cały czas stękała – jakże by inaczej – i wzdychała przy prawym boku Madzi, która gotowała się w sobie. A mnie początkowa niechęć do ćwiczeń zaczęła powoli mijać, gdy słuchałam, jak Iwona z przejęciem i entuzjazmem opowiada o ruchu, treningu, spalaniu kalorii i tak dalej.

– Tylko pamiętaj – mówiła, bez przerwy podskakując. – Nie ma oszukiwania, obijania się, odpuszczania sobie! Dasz radę! Robiłam te ćwiczenia, gdy ważyłam dziewięćdziesiąt kilo i uwierz mi, da się. Nie musisz być ciasteczkowym potworem! Złóż z kanapy, wojowniczo, i do dzieła!

Zaśmiałam się.

– Zabawna jest – przyznałam.

– Jak cholera – stwierdziła Mini, która zdążyła się już porządnie spocić. Miała szczęście, że była szczupła z natury, bo do ćwiczeń zabierała się jak pies do jeża.

Zaczęłyśmy. W ślad za Iwoną robiłyśmy przysiady, podskoki, skłony, wymachiwałyśmy nogami i rękami, klnąc przy tym siarczyście, śmiejąc się i denerwując, że znowu coś nam nie wyszło i że umieramy ze zmęczenia. Bogiem a prawdą ten trening wcale nie był forsowny, ale jeśli nie ćwiczyło się regularnie, porządnie dawał w kość.

Iwona cały czas krzyczała z ekranu, żebyśmy się nie poddawały, że mamy zasuwać jak konie pociągowe, że musimy spalić ten nieszczęsny tłuszcz i że potem będziemy z siebie cholernie dumne.

Po czterdziestu minutach wylewania siódmych potów Mini padła na ziemię, rozłożyła szeroko ramiona i dyszała ciężko – zupełnie jak ja tamtej nocy, gdy przyśnił mi się pierwszy pocałunek z Jackiem. Madzia skuliła się, bo właśnie złapała ją kolka. Widać było, że się bardzo zmęczyła, ale na szczęście nie użalała się nad sobą. Natomiast ja, kiedy wreszcie odtajałam i poczułam się lepiej, podeszłam do laptopa i zabrałam się do przeglądania filmików udostępnionych przez Iwonę. Było ich

kilkanaście, trwały średnio ponad pół godziny. Najbardziej imponująca była jednak liczba ich wyświetleń – każdy obejrzało po kilkaset tysięcy osób!

– Łał, ona jest bardzo popularna w sieci. Naprawdę mieszka dwa domy dalej? – zapytałam Madzię pełna podziwu dla domorosłej trenerki.

– Tak. I ma też stronę na Fejsie, gdzie udziela porad, jak schudnąć i jak... – tu spauzowała, by odetchnąć – trenować, czego nie robić i w ogóle.

– Poważnie? – zapytałam i odpaliłam Facebooka, by odszukać Iwonę Bajecką.

Udało się błyskawicznie. Gdy tylko weszłam na jej profil, zatkało mnie: miała ponad osiemdziesiąt tysięcy fanów. Mało tego. Wyglądało na to, że odpisywała na wszystkie komentarze i pytania czytelników, oceniała diety, udostępniła również swoje zdjęcia sprzed odchudzania i w trakcie spalania nadwagi. Wprost nie mogłam uwierzyć (rany, rany, rany), że to ta sama osoba.

– Ona jest super, polubiłabyś ją – oznajmiła Madzia i usiadła na kanapie, by zająć się swoim ukochanym szarym mastifem, który właśnie wpadł do pokoju. – Chodź do mnie, Hugo, kochany mój. Kto powiedział, że diamenty są najlepszym przyjacielem kobiety? To psy nim są!

Mini przewróciła się na brzuch, podparła brodę rękami i zaczęła się śmiać.

Zerknęłam na Hugona, a potem na Madzię i wyczułam między nimi bardzo silną więź. Przez dłuższą chwilę nie odrywali od siebie wzroku. Hugo był poczciwym brytanem w sile psiego wieku, czarującym i lgnącym do ludzi, ale miał swoje przyzwyczajenia. Nie lubił nocować poza domem, a gdy Madzia podawała mu suchą karmę, podobno potrafił obrazić się na nią na kilka dni. No i był dość leniwy. Mini chlapanęła kiedyś, że z aktywniejszym psem Madzia mogłaby biegać po lesie albo chodzić na długie spacerzy. Ponieważ Madzia bardzo wtedy przytyła i źle się z tym czuła, powiedziała Mini, że jest durna, i nie odzywała się potem do niej przez tydzień.

Gdy na nich patrzyłam, poczułam, że Hugo naprawdę jest najlepszym przyjacielem Madzi. Takim, dzięki któremu samotność stawała się bardziej znośna, a rany po rozstaniu jakby szybciej się goiły. To znacznie większy skarb, przyznacie, niż wszystkie diamenty świata razem wzięte.

Wykorzystując rozleniwienie, które na nas spłynęło, przejrzałam filmiki nagrane przez Iwonę. Na każdym była równie energiczna, pogodna i zarażała pozytywnym usposobieniem. Do kobiet, które ją oglądały, zwracała się per wojowniczeki, w trakcie treningów krzyczała, próbując zmotywować oglądających do większego wysiłku i zapewniała swoje fanki, że nie muszą być ciasteczkowym potworem, kanapowym leniem albo jakimś innym ociężałym stworem. W tej komando dziewczynie, bez cienia wątpliwości, było coś wyjątkowego. A jej ćwiczenia musiały być skuteczne, bo poczułam się znacznie lepiej i minął mi podły nastrój.

– Słuchaj, Madzia – zagadnęłam, siadając obok niej na kanapie i drapiąc Hugona za uchem przypominającym plaster szynki. – Musimy o niej koniecznie napisać artykuł. Ta dziewczyna naprawdę jest popularna, a poza tym robi coś pozytywnego. Ona się z tego utrzymuje?

– Nie, pracuje jako dietetyczka i instruktorka fitness w jednym z klubów, a filmiki nagrywa po godzinach – wyjaśniła Madzia, intensywnie czerwona na twarzy po treningu. – Spodobałaby ci się, bo to taka sama lokalna patriotka jak ty.

O proszę.

– To znaczy?

– Nie wyjechała z Radomia, bo twierdzi, że bardzo go lubi. Przez trzy lata dojeżdżała na studia do Warszawy i powiedziała, że stolica okropnie ją zmęczyła. Ma jakąś dziwną słabość do naszego miasta, nigdy na niego nie narzeka.

– To chyba ma nierówno pod sufitem – uznała Mini i przysunęła sobie laptopa.

– Kaja też twoim zdaniem ma nierówno pod sufitem? – zagrzmiała Madzia i posłała jej zabójcze spojrzenie. Mini wzruszyła ramionami.

– Słuchaj – zwróciłam się do Madzi, dosłownie paląc się, by poznać Iwonę. Wydawała się bardzo interesującą osobą i chciałam się przekonać, czy jest Błękitną Dziewczyną, na jaką wygląda. – Myślisz, że dałaby się namówić na wywiad i zdjęcia?

Madzia energicznie pokiwała głową i pogładziła wielki pocziwy pysk Hugona.

– O tak, na pewno. Ona jest bardzo otwarta na różne pomysły. Zapisz sobie jej numer. Jak do niej zadzwonisz, to powiedz, że się znamy – zaznaczyła i podyktowała numer telefonu Iwony, który wpisałam sobie do komórki.

Z głośników laptopa popłynęła piosenka *Dwa serca, dwa smutki* i Mini zaczęła nucić pod nosem:

– „Więc teraz serca mam dwa, smutki dwa. I miłość po kres, i radość do łez. Wieczory długie i złe, krótkie dnie...”

Te słowa pasowały do mnie jak ulał i gdybym usłyszała je na początku tygodnia, wpadłabym w jeszcze większy dołek. Lecz teraz puściłam je mimo uszu, przepłynęły przeze mnie łagodnie. Ważniejsza była dla mnie świadomość, że wokół nas żyły – poukrywane w różnych miejscach – wspaniałe kobiety, które bardzo chciałam poznać.

Rozdział 9

To było jakieś pięć czy sześć lat temu. Rodzinny obiad w kuchni.

– Ciekawe porównanie usłyszałam dziś w telewizji – oznajmiła mama Krysia, wtrącając się między brzęczenie sztućców a nasze żucie i mlaskanie. – Że kobieta jest jak cebula.

– Bo jak ją rozbierasz, to płaczesz? – zażartował tata Krzyś, ale zamilkł pod wpływem surowego spojrzenia swojej żony.

– Chodzi o to – zaczęła wyjaśniać mama – że cebula składa się z warstw, co oddaje nasz złożony charakter. Te warstwy to nasze wspomnienia, życiowe doświadczenia, marzenia, plany. Wszystko, co nas ukształtowało i zaprowadziło do miejsca, w jakim się teraz znajdujemy. Bardzo zgrabne porównanie, sami przyznajcie.

Słowa wypowiedziane wtedy przez matkę wyostrzyły się w moim umyśle, gdy poznałam Iwonę Bajecką. Madzia umówiła nas na wtorek. Do domu Iwony miałam pojechać razem z Olgą, której pomysł na artykuł przypadł do gustu. Królowa Zoja miała pewne opory – dla niej liczył się przede wszystkim negatywizm informacji. Człowiek, który wymyśliłby szczepionkę na AIDS, mniej by ją obchodził niż osiedlowy złodziejaszek. Ostatecznie Olga przekonała ją argumentem, że po publikacji artykułu o Renacie i jej książce kucharskiej oraz Julce, która pomogła bezpiecznym zwierzątkom, odzew był naprawdę duży – ludzie dzwoniли do nas z pytaniem, gdzie w Radomiu dostępna jest *Moja kuchnia na słodko*, a także, w jaki sposób można przekazać parę groszy na schronisko.

Gdy zegary biły drugą, zapakowałyśmy się do autobusu, za pół godziny byłyśmy umówione z Iwoną. Zadzwoiłam do niej w poniedziałek, kiedy miałam już pewność, że Olga weźmie ten temat. Przez telefon jej głos brzmiał ciepło i radośnie. Bardzo się ucieszyła, że chcemy o niej napisać. Poinformowała mnie, że we wtorek między drugą a piątą ma okienko.

Na miejscu byłyśmy parę minut przed czasem. Olga ze swoją równiutko przyciętą blond grzywką i fryzurą typu bob, ze spojrzeniem ukrytym za wielkimi okularami w ciemnych oprawkach, wyglądała bardziej jak nauczycielka niż dziennikarka. Jednak pomimo osobliwego wyglądu była naprawdę dobra w tym, co robiła. Jej mocną stroną były tak zwane ludzkie tematy – umiała sprawnie przelewać emocje na papier i po jej artykułach do redakcji często przychodziły listy od wzruszonych czytelników.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich niewysoka, zgrabna kobieta, która w piątek, wirtualnie, prowadziła nasz trening. Miała na sobie czarne legginsy, sportowe buty i miękką bluzę z kapturem w kolorze intensywnej zieleni. Włosy zaplotła w warkocz. Nie mogłam uwierzyć, że zgubiła ponad trzydzieści kilogramów (tylko spróbujcie to wymówić: zgubiła ponad trzydzieści kilogramów, ponad trzydzieści kilogramów, ponad trzydzieści, niesamowite). Powitała nas szerokim uśmiechem.

– Dzień dobry, jesteśmy z „Głosu Radomia” – oznajmiła Olga i skinęła głową.

– Tak, oczywiście, czekałam na panie – odpowiedziała Iwona i nie przestając się uśmiechać, wpuściła nas do środka.

Przedstawiłyśmy się; Iwona od razu zaproponowała, żebyśmy przeszły na ty, co bardzo spodobało się Oldze, która uważała, że dzięki temu rozmowa nie jest sztywna, a bohater artykułu szybciej i chętniej otwiera się przed dziennikarzem.

– Zapraszam do salonu, kawę czy herbatę?

Obie poprosiłyśmy o zieloną herbatę. Olga zajęła miejsce naprzeciwko Iwony, a ja zapadłam się w fotelu nieco z boku. Rzadko kiedy przysłuchiwałam się rozmowom dziennikarzy „Głosu”, bo na sesje zdjęciowe zazwyczaj umawiałam się w innym terminie, ale teraz przyszłyśmy tutaj jako zespół i najpierw swoją pracę miała do wykonania Olga, a potem ja. Wyjątkowo mi to jednak odpowiadało, bo bardzo byłam ciekawa opowieści tej kobiety.

– Zawiozłam moją córkę do jej koleżanki, więc mamy spokój. – Iwona zaśmiała się i wręczyła nam po filiżance.

– Masz córkę? – zapytałam; Olga rzuciła mi jadowite spojrzenie, nie lubiła, gdy ktoś wchodził w jej kompetencje i wyręczał ją, gdy to ona przeprowadzała wywiad.

– Tak, tak, zdolną i bardzo energiczną pięciolatkę. Wdała się w mamusię. – Iwona znowu zachichotała.

Poczułam, że już ją lubię.

Olga położyła na szklanym stoliku dyktafon, wyjęła notatnik i długopis, odchrząknęła i zaczęła rozmowę.

– Gdybyśmy spotkały się rok temu, ważyłabyś dziewięćdziesiąt kilogramów.

Iwona, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, pokiwała głową.

– Dokładnie tak. Dzisiaj ważę pięćdziesiąt osiem.

– Jak udało ci się schudnąć aż tyle? Wyobrażam sobie, że nie było łatwo.

I wtedy Iwona zaczęła swoją opowieść, która pochłonęła mnie bez reszty.

– Może zacznę od tego, jak to się stało, że dobiłam do dziewięćdziesięciu kilogramów, czyli tyłu, ile waży małe słoniątko. – Mrugnęła do nas porozumiewawczo.

– Odkąd pamiętam, miałam problemy z nadwagą. Odziedziczyłam to po rodzicach i cóż, męczyłam się z tym przez lata. To było raptem parę kilo za dużo, ale przy moim niskim wzroście rzucało się w oczy. Dorastanie z nadwagą to naprawdę nic przyjemnego. Próbowалам się odchudzać chyba z tysiąc razy, ale co zrzuciłam, to zaraz mi wracało. Z nawiązką. Klasyczne jo-jo.

Na studiach poznałam Grześka, mojego obecnego męża, i wreszcie zaczęłam myśleć o sobie pozytywnie. Zauważyłyście, że kobiety tego nie potrafią? W ogóle nie umiemy przyjmować komplementów i lubimy się nad sobą pastwić. Teraz wiem, że to niedorzeczne i bardzo, bardzo szkodliwe, ale do niedawna byłam taka sama.

Grzesiek sprawił, że chyba po raz pierwszy w życiu poczułam się atrakcyjna. Powiedział mi kiedyś, że dla niego nie muszę się odchudzać, ale zrozumie, jeśli postanowię zrobić to dla siebie. Uznałam więc, że skoro mam męża i jestem szczęśliwa, faktycznie nie muszę się katować dietami. Całe życie sobie wszystkiego odmawiać? Błagam, kto by to wytrzymał, prawda?

Przytaknęłyśmy.

– Można więc powiedzieć, że zaakceptowałam, a nawet polubiłam swój rozmiar, ale problem zaczął się, gdy zaszłam w ciążę z Natalką. Zaczęłam tyć na potęgę. To był jakiś koszmar. Specjalnie się nie objadałam, broń Boże, ale na wadze przybierałam ekspresowo. Do tego zaczęłam puchnąć, miałam problemy z trawieniem, kręgosłup mi wysiadał. Przez ostatni miesiąc ciąży nie podnosiłam się z łóżka, potraficie to sobie w ogóle wyobrazić? Marzyłam tylko o tym, żeby ta makabra wreszcie się skończyła. Nawet nie oglądałam się w lustrze, chyba bym nie zniosła swojego widoku. Byłam załamana. Miałam nawet chwile, gdy żałowałam tej ciąży, ale proszę tego nie pisać.

Iwona na chwilę spauzowała, by odetchnąć, napić się herbaty i zebrać myśli. Olga nie zadawała pytań i razem czekałyśmy na dalszą część opowieści.

– Poród był dla mnie szokujący. Myślałam, że tego nie wytrzymam. Zresztą zanim zaczęłam rodzić, usłyszałam, jak jedna z pielęgniarek mówi o mnie do drugiej: „Widziałaś, jak się spała w tej ciąży?”. Zabolało okropnie, popłakałam się. Być może dlatego gorzej zniosłam poród, po prostu psychika mi wysiadła.

W sumie przytyłam prawie trzydzieści kilogramów. Moje ciało wyglądało strasznie. Tak mało mówi się o tym, jak kobieta wygląda po ciąży. Drukują w tych kolorowych pisemkach zdjęcia pięknych modelek, które urodziły dziecko i za pięć dni wróciły do pracy. Dla mnie to fikcja. Prawdziwa kobieta z krwi i kości w dziewięciu przypadkach na dziesięć po urodzeniu dziecka ma ciało starej babuszki. Opuchlizna, rozciągnięta skóra, popękane naczynka, wałki tłuszczu. Chcę, żebyś to napisała. Nie powinnyśmy się tego wstydzić. To cud, że nie zrobiły mi się rozstępy. Cud nad Wisłą. W ogóle rodzenie dzieci jest cudem. Żaden mężczyzna by tego nie wytrzymał.

Ale potem nie było ze mną dobrze. Wyglądałam źle, psychicznie czułam się jeszcze gorzej. Po porodzie, owszem, parę kilogramów mi ubyło, ale waga zatrzymała się na tej przekłętej dziewięćdziesiątce. Wyobrażacie to sobie? Nie miałam sił, by się sobą zająć, bo Natalka pochłonęła mnie całkowicie. Ciągłe tylko karmienie, kupki, pieluchy, kąpanie, pranie, prasowanie i tak w kółko. Grzesiek pomagał mi, jak tylko mógł, ale nie wymagałam od niego wiele, bo harował, by niczego nam nie brakowało.

Nie wiem, czy powinno to znaleźć się w tym artykule... Chociaż tak, proszę o tym napisać, nie wstydzę się tego.

Miałam depresję poporodową.

Nie spałam po nocach, nienawidziłam siebie, nic mnie nie cieszyło, w pewnym momencie nawet opieka nad Natalką była dla mnie ciężarem, kulą u nogi. Wmawiałam sobie, że jestem złą matką, że sobie nie radzę, że nie umiem się zająć sobą, a co dopiero małą, bezbronną istotą. Zdarzało się, że Grzesiek wracał do domu, wchodził do kuchni, a na podłodze, cała umazana kaszką, siedziała i płakała Natalia, a ja obok niej wyłam z rozpacz. Czasem zastanawiałam się, po co to wszystko? Kim właściwie jestem?

Gdyby nie Grzesiek, nie wiem, jak by się to skończyło. Zaciągnął mnie do lekarza, zaczęłam brać leki. Trwało to kilka miesięcy i w końcu jakoś do siebie doszłam. Każda kobieta powinna mieć obok siebie takiego mężczyznę jak mój mąż. Nie ma nic gorszego od samotności, a samotność zdarza się również w związku.

Nie minął jednak mój problem z wagą. Rodzina robiła uwagi na temat mojej tuszy, przyjaciółki, które nie śpieszyły się z macierzyństwem, wyglądały świetnie i zaczęłam ich unikać, bo po prostu fatalnie się przy nich czułam. Urodziłam Natalię w wieku dwudziestu siedmiu lat i zanim podjęłam decyzję o odchudzaniu, minęły cztery lata. Cztery najgorsze lata w moim życiu. Grzesiek zachęcał mnie, bym wróciła do pracy, twierdził, że zmiana otoczenia i wyjście z domu dobrze mi zrobią, ale ja nie chciałam o tym słyszeć. Nawet wycieczka po zakupy czy spacer z córką były wielkim wyzwaniem, bo wydawało mi się, że ludzie mnie obserwują i jestem, cha, cha, pośmiewiskiem.

Coś wam powiem. Możesz ważyć nawet sto kilo, ale jeśli czujesz się dobrze w swojej skórze, to w porządku. Nie ma jednak nic gorszego, szczególnie dla kobiety, niż nieakceptowanie swojego ciała. Wtedy nawet gdybyś wyglądała jak Anja Rubik, będziesz czuła się jak baryła i nic tego nie zmieni.

Cztery lata, dacie głowę? Teraz, gdy o tym myślę, trudno mi uwierzyć, że skazałam się na coś takiego. Trzeba było od razu wziąć się za siebie, a ja każdego dnia zapadałam się w sobie, odsuwałam od ludzi. Mój Grzesiek jest aniołem, że jakoś to wszystko przetrzymał, choć widziałam, że momentami nie dawał już rady.

Cztery lata... I nagle nastąpił przełom. Zupełnym przypadkiem w czasie zakupów wpadłam na koleżankę z dawnych lat. Szczerze mówiąc, w pierwszej chwili jej nie poznałam. Wyglądała świetnie, zdrowo, zeszczupiała chyba o połowę. To było niesamowite. Zapytałam ją, jak tego dokonała, a ona powiedziała mi bardzo mądrą rzecz: „Przeczytałam artykuł o chłopaku, który bez ręki i bez nogi zdobył oba bieguny, i to w bardzo młodym wieku, i pomyślałam sobie: on dokonał czegoś takiego, a ty nie możesz zgubić nadwagi, by poczuć się lepiej?”.

Chyba żadnych słów w swoim życiu nie wzięłam sobie tak bardzo do serca. Pamiętam, że siedziały mi w głowie przez cały następny tydzień. Wkrótce potem spojrzałam na swoją śliczną córeczkę bawiącą się klockami na dywanie i stwierdziłam, że nie zasłużyła na taką matkę. Poza tym przy takiej wadze groziły mi różne choroby. To już nie były żarty. Zaczęłam się zastanawiać, co by się stało z Natalką, gdyby mnie zabrakło... Jak Grzegorz dałby sobie sam radę... Pomyślałam nawet, że lada rok moja córka zacznie się wstydzić własnej matki i będzie miała do tego prawo.

Iwona znowu na chwilę przerwała swoją opowieść. Ja i Olga byliśmy tak głęboko poruszone, że nawet nie drgnęliśmy. Iwona dyskretnie otarła łzy.

– Więc powiedziałam sobie: „Dosyć tego, dotarłaś do muru, którego nie pokonasz. Musisz wziąć się w garść”. I zrobiłam to. Poszłam do dietetyka, który ułożył mi dietę, zapisałam się na fitness, kupiłam sobie płytę z treningami i ostro wzięłam się do pracy. Co wam będę mówić, że było trudno. Było strasznie! Momentami załamywałam się kompletnie, mówiłam sobie, że nie dam rady, że nawet jeśli schudnę parę kilogramów, to na pewno wszystko wróci z nawiązką. Bywały dni, gdy obsesyjnie myślałam o jedzeniu. Zaczęłam sobie nawet wmawiać, że przecież nie jest tak źle, w końcu kobieta powinna mieć trochę ciała, wydawało mi się, że wcale nie potrzebuję diety... Ale wtedy na ratunek przychodził mi Grzegorz. Stał przy mnie murem przez ten cały, cholernie ciężki czas. A ja w chwilach największego kryzysu, gdy chciałam rzucić wszystko w diabły, przypominałam sobie historię niepełnosprawnego zdobywcy biegunów: on dokonał czegoś takiego, a ty nie możesz zgubić nadwagi, by poczuć się lepiej? Więc zbierałam się do kupy i walczyłam dalej.

Teraz wiem już, że w odchudzaniu najgorsze są pierwsze trzy miesiące. Zapamiętajcie to, gdybyście kiedykolwiek chciały się odchudzić. – Zaśmiała się. – Jeśli przetrwacie ten czas, to potem dacie sobie radę. Ja po tych trzech miesiącach zauważyłam, że chudnę. Ubrania zaczęły na mnie wisieć, ktoś powiedział mi komplement. I nagle, ku swojemu najwyższemu zdziwieniu, odkryłam, że treningi są przyjemne, a dieta wcale nie musi być katorżnicza. Chodzi po prostu o to, by być zdrowym, być, jak to mówią, *fit*, rozumiecie? Ja nie chciałam być chuda, tylko właśnie zdrowa i *fit*. Ćwiczenia tak bardzo weszły mi w krew, że zaczęłam czytać o aktywności

fizycznej wszystko, co wpadło mi w ręce. Brałam udział w szkoleniach i kursach dotyczących fitnessu. Profesjonalni trenerzy mieli mnie dosyć, bo bombardowałam ich pytaniami. A ja po prostu chłonełam tę wiedzę jak gąbka.

– Tak to się zaczęło. Dziś ważę pięćdziesiąt osiem kilogramów, a pamiętajcie, że mięśnie są cięższe od tłuszczu. Poza tym w tym całym odchudzaniu nie chodziło tylko o wygląd. To było jak podróż w głąb siebie. Musiałam pokonać własne słabości i wyjść z jakiejś przeklętej skorupy, która utrudniała mi normalne funkcjonowanie, by dotrzeć do miejsca, w którym jestem teraz.

Gdy pozbyłam się nadwagi, stwierdziłam, że muszę pomóc innym. Zwłaszcza matkom, które po urodzeniu dziecka przestają być kobietami. Wiecie, jak się o nich mówi? Że zmatkowały. Tyją, nie dbają o siebie, rezygnują z własnych zainteresowań i marzeń. Żyją pod dyktando dziecka, a tak nie można. Przekonałam się o tym boleśnie na własnej skórze. Zaczęłam nagrywać filmiki treningowe, założyłam stronę na Facebooku. W parę miesięcy zdobyłam ponad osiemdziesiąt tysięcy fanów, nieźle, co nie? Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak wiele osób do mnie pisze. Twierdzą, że jestem dla nich motywacją do działania, że zaczęły ćwiczyć dzięki moim nagraniom, że chcą, by im się udało, jak udało się mnie. Zmieniło się całe moje życie. Wróciłam do pracy! Jestem dietetyczką, pracuję w klubie fitness. Uwielbiam pokazywać kobietom, że mogą osiągnąć, co tylko chcą. Bo mogą! Muszą tylko w to uwierzyć. Ja naprawdę żyłam w jakiejś śpiączce, jakiejś parszywej komie, która zatrzymywała życie mnie i moim bliskim. Ale wyszłam z tego i dzisiaj jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Na tym Iwona skończyła swoją opowieść. Utkwiła wzrok w dywanie i nie odzywała się przez dłuższy czas. Ja i Olga siedziałyśmy wbite w fotele, porażone historią naszej rozmówczynie. Bałyśmy się powiedzieć cokolwiek, jakbyśmy nie chciały zniszczyć wyjątkowości tej chwili. Bo bez wątpienia moment, gdy kobieta otwiera się tak jak Iwona, a słowa płyną potokiem z wnętrza jej duszy, jest wyjątkowy.

Nagle Iwona popatrzyła na mnie łagodnym, choć tajemniczym wzrokiem. To było spojrzenie kobiety doświadczonej przez los. Kobiety, która pokonała samą siebie. Jakże niewiarygodnie długą drogę przeszła! Znalazła w sobie dość sił, by odbić się od dna i stawić czoła swoim słabościom.

Stężałam w zamyśleniu.

Patrzyłam na Iwonę i prawie czułam, jak jej dusza materializuje się obok niczym ektoplazma. To było bardzo intymne doznanie.

Chyba właśnie wtedy pierwszy raz całą sobą poczułam, że kobiety są niesamowite.

Kobiety, właśnie. Nie tylko w ciele Iwony była zamknięta tak złożona dusza. W zasadzie miała ją każda z nas. Również ja.

Gra w domino nabrała tempa.

Rozdział 10

Moja mama była wielką miłośniczką gier karcianych. Pasją zaraził ją ojciec – a mój dziadek – który za życia organizował w swoim domu pokerowe wieczorki dla przyjaciół. Na te spotkania schodziło się całe okoliczne towarzystwo (przynajmniej tak mi mówiono). A ponieważ dziadek nie miał syna, uparł się, by tę niezwykłą miłość zaszcześcić swojej córce, która szybko połknęła karcianego bakcyła.

Mama Krysia w karty grała często i namiętnie – uwielbiała tysiaca, makao, brydza i pokera, ma się rozumieć. Na studiach założyła kółko karciane i organizowała rozgrywki między uczelniami. Podczas jednego z takich turniejów poznała swojego przyszłego męża (tatę Krzysia), który również miał słabość do kart. Pamiętam z dzieciństwa, że czasem zdarzało się mojej matce przypalić obiad, bo akurat grała w karty z koleżanką. Zapominała wtedy o całym świecie.

Miałam jakieś szesnaście lat, gdy zapytałam ją, po co właściwie to robi. Odpowiedziała:

– Trzeba mieć pasję, by nie zwariować w tym szalonym świecie. Z pasją lepiej się żyje, a chwilami pomaga ci przetrwać. Jest jak maska tlenowa.

Moją maską tlenową okazała się fotografia. Było coś magicznego w obserwowaniu rzeczywistości przez szklany obiektyw. W robieniu zdjęć uwielbiałam absolutnie wszystko – szukanie tematów, przyglądanie się ludziom i sytuacjom, pstrykanie zdjęć ukradkiem, planowanie sesji, eksperymentowanie z opcjami sprzętu, dawanie wskazówek fotografowanym osobom... Jednak bezsprzecznie największą radość sprawiało mi oglądanie gotowych zdjęć. Byłam szczęśliwa, gdy udawało mi się uchwycić ulotność chwili, jej czar i tajemnicę. Uwielbiałam, kiedy zdjęcie wyrażało emocje. Kilka razy zdarzyło mi się wśród zrobionych przez siebie fotografii odkryć perełki, z których byłam szczególnie dumna, choć nawet nie spodziewałam się, że będą tak dobre.

I nie podejrzewałam, że coś takiego spotka mnie dzisiaj.

Był wieczór. Klapnęłam na łóżku z laptopem na kolanach, otuliłam nogi kocem i zabrałam się do przeglądania zdjęć z Iwoną w roli głównej.

Jej historia bardzo mnie poruszyła, Olga też była pod wrażeniem. Iwona zaproponowała, by zdjęcia zrobić w ogrodzie, gdzie nagrywała większość swoich filmów treningowych. Zgodziłam się, bo pogoda dopisywała. Dobrze bawiłyśmy się

w czasie sesji i miałam przeczucie, że fotografie będą niezłe.

Oglądałam je zadowolona. Iwona w stroju sportowym. Iwona z ciężarkami. Iwona oparta o drzewo. Iwona w trakcie ćwiczeń. Zawsze uśmiechnięta, z cudownym spokojem wypisanym na twarzy.

Nagle osłupiałam.

Mniej więcej w połowie sesji Iwona stwierdziła, że nasze zdjęcia będą za mało wymowne. Owszem, uśmiechała się i wyglądała dobrze, bardzo dobrze, ale nie o to chodziło. Chciała, by kobiety od razu wiedziały, co ją spotkało i przez co przeszła. Zależało jej, by pokazać swoją historię. Nie chciała wyglądać na pustą, wysportowaną ślicznotkę.

– Wiecie, jak to jest z czytaniem artykułów, ale zdjęcie zobaczy każdy, kto weźmie gazetę do ręki – powiedziała, obróciła się na pięcie i pobiegła do domu. Wróciła błyskawicznie z czystą kartką i czarnym mazakiem. Usiadła przy plastikowym stoliku i coś napisała. W ciszy. W końcu podeszła do jednego z drzew, obróciła kartkę w stronę obiektywu i oznajmiła, że jest gotowa.

Teraz miałam przed oczami to zdjęcie. Iwona stała na tle wspaniałego, wiekowego dębu, spokojna i jednocześnie elektryzująca, z subtelnym uśmiechem Mony Lisy. Wyglądała na zdrową, zwinną dziewczynę. Była *fit*. Na wysokości biustu trzymała kartkę, na której wypisała słowa:

**WYSZŁAM Z DEPRESJI POPORODOWEJ
ZMIENIŁAM SWOJE ŻYCIE
SCHUDŁAM 32 KG**

W spojrzeniu Iwony udało mi się uchwycić to, co dostrzegłam w jej oczach, gdy dzieliła się z nami swoją historią. Tę siłę, by pokonać samą siebie i zacząć żyć od nowa. To nie była dziewczyna, która ot tak wymarzyła sobie figurę modelki. To była kobieta z krwi i kości, która osiągnęła osobisty sukces. Lecz, co istotne, na zdjęciu nie wyglądała na zmęczoną tym, przez co przeszła. Przeciwnie – chociaż akurat na tej fotografii nie śmiała się serdecznie, w jakiś sposób udało mi się pokazać jej pogodę ducha, życiową radość i optymizm. Mogła stanowić wzór dla innych kobiet.

I jeszcze ten dąb – król wśród drzew symbolizujący moc, siłę, rozwój, pewność siebie, ludzką wytrzymałość, odwagę, triumf. Iwona miała to wszystko.

Uśmiechnęłam się i odetchnęłam głęboko. Zdjęcie bez dwóch zdań było świetne. Mocne. Niezwykłe. Prawdziwe. Rany!

Przejrzałam pozostałe fotografie z sesji, ale tylko ta mnie zahipnotyzowała. Skanowałam ją wzrokiem przez dobrych parę minut. Być może trwałoby to dłużej,

gdyby nie dźwięk telefonu. Wiadomość z Facebooka: pisała Madzia.

Magda Jaczyńska

Hej, i co, byłaś u Iwony?

Kaja Redo

Hej Madzia :)

byłam dzisiaj. Fajna dziewczyna. :)

Magda Jaczyńska

No jasne! Mówiłam Ci. Jak wyszły zdjęcia?

Kaja Redo

(Załączyłam zdjęcie Iwony na tle dębu i wysłałam je Madzi).

Zobacz sobie. Co sądzisz?

Magda Jaczyńska

O WOW! Rewelacja! To zdjęcie jest super! :D :D :D

Kaja Redo

Też mi się podoba

Magda Jaczyńska

Iwona opowiedziała wam wszystko?? O swojej depresji poporodowej itp.??

Kaja Redo

wszystko co do joty

i zastrzegła, że ma się to znaleźć w artykule.

A tak przy okazji, nigdy nie mówiłaś, że chdziłaś na spotkania wsparcia dla osob z nadwaga

Magda Jaczyńska

?

Kaja Redo

Zapytałam Iwonę skąd się znacie i powiedziała, że z AG. Z Anonimowych Grubasków wytłumaczyła. Powiedziała, że prowadzi teraz takie spotkania i kilka razy brałaś w nich udział....

Magda Jaczyńska

No brałam raz czy dwa jakiś czas temu, ale zrezygnowałam, ne ma o czym mówić.

Kaja Redo

A jak tam dieta garstkowa?

Magda Jaczyńska

dupa z króla z tej diety

Kaja Redo

?????

Magda Jaczyńska

Ola miała urodziny, był tort i takie tam, no i domyślasz się, jak się to skończyło.

Kaja Redo

(O Boże, Madziu, biedaczko, twój organizm kiedyś tego nie wytrzyma).

To może na razie odpuść sobie odchudzanie?

Magda Jaczyńska

Zobaczę. ;)

Pisała do Ciebie Mini?

Kaja Redo

Nie, a o co cho?

Magda Jaczyńska

Zaprasza nas jutro do siebie. Chyba się oblowiła na zakupach i chce się pochwalić swoimi nowymi MTM-ami. ;) ;) Przejrzyj jej fotki na fejsie

Kaja Redo

oki.

O której?

Magda Jaczyńska

ok 19

Wiesz co, tylko nie mów tego Mini, ale wydaje mi się, że jej się nie za bardzo układa z Arkiem

Kaja Redo

(Prychnęłam i pokręciłam głową. Jakiej dziewczynie mogło układać się z kimś takim jak Arek Filipek?)

Bo Arek to palant

Magda Jaczyńska

Kaja...

Kaja Redo

a nie?!?! Przecież też go nie trawisz, nigdy nie ma dla Mini czasu, a sam ciągle jest „potrzebowski”.

Już nie pamiętasz jak Ci kiedyś powiedział, że jesteś za gruba i powinnaś schudnąć?
(Pomyślałam o tym i krew ścięła mi się w żyłach. Arek Filipek nie był palantem. On był palantem do kwadratu czy raczej do sześcianu).

Magda Jaczyńska

Pamiętam

ale to mąż Mini, więc nie powinnyśmy się wychlać

(Jak mnie denerwowało takie podejście! Wrr!)

Kaja Redo

wychlać? ;)

Magda Jaczyńska

ups, literówka, WYCHYLAĆ głuptasku

Kaja Redo

Niby tak, ale czuję, że kiedyś nie wytrzymam i mu wygarnę

Magda Jaczyńska

Spox

A jak ten chłopak z Migawki? Michał ?

(Poczułam uderzenie gorąca).

Kaja Redo

OK. I tyle, nic się nie dzieje.

Magda Jaczyńska

A Jacek?

Kaja Redo

(Jacek, Jacek, Jacek, psiamać).

Jacka nie ma

KROPKA.

Magda Jaczyńska

Ok, rozumiem

Coś Ci podeślę, powinno Cię zainteresować.

Czekałam niecałą minutę, aż w końcu Madzia podesłała mi przekierowanie do

strony jednego z radomskich dzienników. Kliknęłam je i moim oczom ukazał się artykuł pod parszywym tytułem *Radom – co myślą o nas inni? Nie jest dobrze*. Napisała go nieznaną mi dziennikarka – dziwne, bo w mieście takim jak Radom w mediach znali się prawie wszyscy. Przyszło mi do głowy, że autorka musiała być stażystką (których w małych redakcjach nie brakowało). Zerknęłam na nagłówek tekstu i poczułam, że nerwy biorą górę.

Magda Jaczyńska

Podobno mówią na Radom DZIADOM

(Ciśnienie podniosło mi się błyskawicznie. Jak my lubiliśmy się nad sobą pastwić! To nie była tylko radomska, ale wręcz polska przypadłość).

Kaja Redo

Przeczytam to jutro

Jestem zadowolona po spotkaniu z Iwona i nie chciałabym sobie psuć humoru, ok?

Magda Jaczyńska

Pwne.

*Pewnie

Dobra, wracam do swoich zadań

Mam pomysł na nowy wiersz :)

(Uśmiechnęłam się).

Kaja Redo

O czym?

Magda Jaczyńska

Jak zawsze, o miłości.

Kaja Redo

No tak :)

Magda Jaczyńska

To do zobaczenia jutro u Mini.

Kaja Redo

Tak,tak, będę na pewno, tylko trzymaj mnie z dala od wina z Biedronki, bo mi nie służy... :P

Magda Jaczyńska

Hihi

Oki.

To ja uciekam

Buziaki i do jutra :-*

Kaja Redo

Buziaki i weny twórczej! :-*

Magda Jaczyńska

dziękować.

A zdjęcie jest piękne!!

Kaja Redo

:)

Okłamałam Madzię. Gdy tylko zakończyłyśmy rozmowę, błyskawicznie przeczytałam artykuł na temat Radomia. Owszem, zdenerwował mnie bardzo, ale niczym nie zaskoczył. Jego autorka zebrała do kupy wypowiedzi osób z różnych stron Polski. Wyszperała je w internecie. Ktoś faktycznie nazwał Radom Dziadomiem, ktoś inny napisał, że nasze miasto kojarzy mu się tylko z „zupkami chińskimi, disco polo i chytrą babą”, nie brakowało też takich, którzy myślą stereotypowo: „Nigdy w Radomiu nie byłam, ale to chyba smutne miasto”. Jakże błyskotliwie! Nigdy nie próbowałam kawioru, ale wiem, że mi nie smakuje. A w ogóle wiesz, gdzie masz mózg?! Na takich ludzi, uch, byłam szczególnie uczulona.

Poza tym niespecjalne wrażenie zrobiło na mnie źródło artykułu o Radomiu-Dziadomiu – internet. Ściek zawiści i nienawiści. Rwący potok ohydztwa. Busz po polsku. Wystarczyło przeczytać komentarze pod jakimkolwiek (*jakimkolwiek*) artykułem, by przekonać się, że Polacy uwielbiają krytykować absolutnie wszystko i wszystkich. Kiedyś natrafiłam na komentarz: „Artykuł ujdzie, ale autor i tak jest idiotą”. Uznałam wtedy, że internauci, wypisując takie rzeczy, prawdopodobnie leczą się z własnych kompleksów i z pewnością muszą być bardzo nieszczęśliwymi ludźmi. Dla nich w zasadzie nie miało znaczenia, czy chodziło o Radom, Ciechocinek, Kozią Wólkę, Warszawę, Paryż, Tokio czy Rio de Janeiro. A że z Radomia śmiali się wszyscy, to tylko ułatwiało sprawę.

Wściekła jak osa zamknęłam stronę z przeklętym artykułem i weszłam na Facebooka, by przejrzeć zdjęcia dodane przez Mini, o których wspomniała Madzia. Pojawiły się dwa nowe – na obu chwaliła się ubraniami, a podpis brzmiał: „8 zł i jestem ubrana od stóp do głów”. Ekonomicznie, sami przyznajcie.

Czy kiedykolwiek pomyślałam, że Mini czasem zachowuje się, jakby miała nie więcej rozumu od kury? Nie, czasem Mini miała mniej rozumu od komara. Na obu

fotografiach wyglądała jednak uroczo, więc kliknęłam „Lubię to!” i zerknęłam na nasze zdjęcie z babeczkami, które zrobiliśmy tamtego wieczoru, gdy nie było ze mną najlepiej. Popatrzyłam na nazwiska osób, które je polubiły.

Wśród nich był – ojej, jak miło – Michał Miciak.

Ucieszyłam się. Gdy Madzia mnie o niego zapytała, odpowiedziałam, zresztą zgodnie z prawdą, że nic się nie dzieje. Uświadomiłam sobie jednak, że brakuje mi naszych rozmów, więc obiecałam sobie, że jutro po pracy wpadnę do Migawki.

A Jacek? Jacka nie było. Kropka. Naprawdę zaczynałam w to wierzyć.

Na chwilę odwiedziłam jeszcze stronę Iwony Bajeckiej, która parę minut wcześniej udostępniła darmowy filmik z instrukcją, w jaki sposób przeprowadzić rozgrzewkę. Obejrzałam go z zainteresowaniem, nie przestając się uśmiechać. Konsekwentnie nazywała kobiety wojowniczkami i przekonywała je, że mogą osiągnąć w życiu, co tylko chcą – a nie chodziło jej przecież wyłącznie o pozbycie się niechcianych kilogramów.

Kiedy pstrykałam zdjęcia w ogrodzie, był taki moment, gdy zebrałam się na odwagę i rzuciłam:

– A wiesz, Madzia nazwała cię lokalną patriotką. Faktycznie tak jest?

Iwona spojrzała na mnie z powagą, podparła się pod boki i otworzyła usta, z których popłynęły słowa:

– No pewnie. Coś w tym dziwnego, że lubię Radom? Znam tutaj mnóstwo fantastycznych osób i uwierz mi, wiem, co mówię.

Wierzyłam jej.

Rozdział 11

Pierwsze zbliżenie z nowym mężczyzną może być intrygujące. Podniecające. Fascynujące. Niepokojące. Przeróżające. Boskie. Fatalne. Dziwne. Przyjemne.

Tak skrajne uczucia towarzyszyły mi pewnego lipcowego wieczoru, który spędzaliśmy z Jackiem u niego w domu. Sami – jego koledzy, z którymi dzielił mieszkanie, wyjechali na weekend. Byłam tu już wcześniej, ale teraz atmosfera wydawała się zgoła inna. O szyby rozbijały się ciężkie krople – padał deszcz. Niebo przesłaniał grafitowy dywan. Ulewa w środku lata zawsze była czymś niezwykłym, tak jak niezwykły był ten wieczór.

Wylegiwaliśmy się na kanapie i oglądaliśmy ósmy sezon Simpsonów. Nie było żadnych świateł, romantycznej muzyki, nic z tych rzeczy. Ale bawiliśmy się świetnie, nie przestając się śmiać. Popijaliśmy zimne piwo – moje było z miodem – zajadaliśmy paluszki i prażoną kukurydzę. To była jedna z tych chwil, gdy czujesz szczęście pełną piersią i myślisz sobie, że właściwie niczego więcej nie potrzebujesz.

Wtedy przy Jacku wiele było takich chwil.

A potem wszystko potoczyło się schematycznie. Pocałunek. Dotyk. Zapach skóry, zapach włosów. Uderzenie gorąca. Wypieki na twarzy. Krótki oddech. Wyostrzone zmysły. Nagość. Bliskość. Intymność. Momentami nieporadność, momentami finezja. Harmonia.

Byłam wtedy bardzo szczęśliwa. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Następnego dnia – wreszcie – znalazłam czas, żeby wybrać się do Renaty Gołębiewskiej i wręczyć jej zdjęcia. Postanowiłam, że zrobię to z samego rana, jeszcze przed pracą. Po tym, co przyśniło mi się w nocy, bardzo potrzebowałam rozmowy z kimś radosnym, ciepłym, optymistycznym i stwierdziłam, że Renata to dobry kierunek. Kiedy jednak dotarłam na miejsce, okazało się, że nikogo nie ma w domu. No cóż, a dlaczego miałoby być inaczej? Był środek tygodnia, kilkanaście minut przed dziewiątą. Od rana w mojej głowie, mimo woli, przewijał się obraz Jacka, więc z tego wszystkiego nie pomyślałam nawet, by zadzwonić do Renaty i się z nią umówić. Na kartce wyrwanej z notatnika napisałam, że byłam pod jej drzwiami i liczę

na ponowne spotkanie; kopertę z wiadomością i zdjęciami wrzuciłam do skrzynki na listy i powlokłam się na przystanek.

Wczoraj królowa Zoja poinformowała nas, że dzisiaj będzie w redakcji nieco później, bo musi „załatwić coś pilnego” (czytaj: miała wizytę u fryzjera albo kosmetyczki), uznałam więc, że skoro mam zapas czasu, odwiedzę Michała. Dotarłam w samą porę – właśnie otwierał studio.

– O, cześć, Kaja, co tu robisz tak wcześnie? – zapytał zdziwiony, choć na mój widok twarz mu się rozpromieniła.

– Idę do pracy i pomyślałam, że wpadnę do ciebie na szybką kawę.

Zmarszczył czoło, jakby węszył spisek, jednak widać było, że się cieszy.

– Dobry pomysł. Zimno dzisiaj, więc chętnie się rozgrzeję.

Z zainteresowaniem przyglądałam się, jak rozpoczyna kolejny dzień pracy – rozsunął żaluzje i włączył komputer, zajrzał we wszystkie kąty, by sprawdzić, czy jest czysto, poustawiał równo ramki na zdjęcia, zerknął do zeszytu, by sprawdzić, czy ma jakieś pilne zamówienia et cetera. Widać było, że sprawia mu to przyjemność i naprawdę się przykłada. Musiałam przyznać sama przed sobą, że w pewnym sensie mi imponuje. Nie lubiłam ludzi, którzy robią wszystko byle jak. A Michał naprawdę się zaangażował w prowadzenie Migawki.

Siedzieliśmy na zapleczu przez jakiś kwadrans. Rozkoszowaliśmy się aromatyczną kawą i rozmawialiśmy na różne tematy, śmiejąc się przy tym beztrosko, aż zaczęli schodzić się klienci, stwierdziłam więc, że na mnie już pora.

– Powiedz jeszcze tylko, jak czuje się twój dziadek – zagadnęłam, zmierzając do wyjścia.

– A wiesz, dużo lepiej. Najchętniej wróciłby już do pracy, ale zmusiliśmy go, żeby jeszcze został w domu i sobie odpoczął.

– To dobrze – stwierdziłam, choć z drugiej strony wcale nie chciałam, żeby dziadek zastąpił Michała w Migawce. Przyzwyczaiłam się do myśli, że mogę wpaść tutaj o każdej porze dnia i porozmawiać z tym drugim. – A co z twoimi planami przejęcia zakładu?

– Są, są, ale na razie w powijakach. Trzymam cię za słowo, że w razie czego mi pomożesz.

Rozchmurzyłam się.

– No jasne. W każdej chwili.

Zaczepiła go niska kobieta – wyglądała, jakby miała za chwilę wybuchnąć, bo jeszcze nie została obsłużona, więc się pożegnaliśmy.

A jednak postęp! Mogłam już bez żadnych przeszkód spotykać się z Michałem i nie rozpaczać potem z tęsknoty za Jackiem, o którym trudno mi było zapomnieć z powodu nawiedzających mnie snów. Nie musiałam też, jak na razie, nadawać charakteru naszej znajomości. Wiele kobiet, kiedy relacja z mężczyzną się zacieśnia, zastanawia się, co z tego będzie: flirt, romans czy może związek? Tymczasem ja czułam, że znalazłam bratnią duszę i odpowiadało mi, że Michał traktuje mnie tak samo.

Wieczorem spotkałyśmy się u Mini. Przez pierwszą godzinę chwaliła się swoimi nowymi ubraniami z drugiej ręki, które kupiła za grosze. Niektóre były naprawdę niezłe i wyglądały na nieużywane. Inna sprawa, że Mini miała świetną figurę, więc wszystko dobrze na niej leżało.

– Mam superpomysł – wypaliła Madzia, popijając czerwoną herbatę (kiedyś przeczytała artykuł, z którego wynikało, że czerwona herbata to pożeracz tłuszczu, więc domyśliłam się, że podjęła kolejną w swoim życiu próbę zrzucenia nadwagi. Szkoda, że nigdy nie wpadł jej w ręce tekst o tym, jak groźne jest odchudzanie się i tycie bez końca). – Załóż bloga i wrzucaj na niego swoje zdjęcia w ciuchach z lumpeksów.

Bingo! Energicznie pokiwałam głową.

– Madzia ma rację. Nie słyszałaś, jakie blogerki modowe są teraz popularne?

– Wiem, mówią na nie szafiarki – przyznała Mini i zamyśliła się, ściskając kremowe spodnie w jednej ręce i granatową tunikę w drugiej. – Podobno zarabiają niezłą kasę.

– No, nie wszystkie – zwróciła uwagę Madzia. – Ale niektóre tak. A ty pokazywałabyś, jak się ubrać za dwadzieścia złotych.

Mini rzuciła ubrania na fotel, napiła się kawy i splotła ręce na piersiach.

– Kochana, ja mogę pokazać, jak się ubrać za piątaka.

– Sama widzisz! – ucieszyła się Madzia i klasnęła w dłonie. – To chyba lepsze niż sandałki za siedem tysięcy, co nie?

– Potwierdzam – przyznałam, patrząc to na podekscytowaną Madzię, to na zadumaną Mini. – Prowadzenie bloga nic nie kosztuje, a w zasadzie masz teraz dużo wolnego czasu. Mogę ci robić zdjęcia, jeśli chcesz.

– Oj, Kajuchna, nie będę cię fatygować, masz swoje sprawy, ale dzięki za propozycję.

– Więc ją rozważysz? – spytała Madzia, nie mogąc usiedzieć w miejscu. Sprawiała wrażenie, jakby rozpierała ją duma, że wpadła na pomysł z blogiem.

– W zasadzie chwilowo nie mam nic lepszego do roboty. – Mini wzruszyła ramionami. – Poza tym mam po dziurki w nosie wysyłania CV i czekania, aż ktoś łaskawie zaprosi mnie na rozmowę. A potem przesłuchuje cię taka sztywna paniusia, która myśli, że pozjadała wszystkie rozumy, a ty się musisz wygłupiać, płaszczyć przed

nią i pocisz się jak mysz w połogu.

Pocisz się jak mysz w połogu, urocze.

– No właśnie, tyle że ciężko w inny sposób znaleźć pracę – stwierdziła Madzia i wróciła do picia czerwonej herbaty. – Ale jak ci dobrze pójdzie – siorbnięcie – to może na tym blogu zarobisz więcej niż tysiąc złotych miesięcznie.

Mini zaśmiała się i zaczęła składać w kosteczkę – lewy rękaw, prawy rękaw, zakładka, cyk i gotowe – ubrania upolowane na ciuchach. Przyjrzałam się jej – miała na sobie ciemne spodnie i jasną bluzkę z kokardką pod szyją. Wyglądała naprawdę dobrze, a przecież to był zestaw, który kosztował grosze. Sama żałowałam, że nie umiem bobrować, jak o kupowaniu ubrań w second handach mówiły Mini i pani Alinka. Kiedyś próbowały nawet mnie tego nauczyć, ale się nie udało.

To był miły, babski wieczór. Nawet nie zauważyłyśmy, kiedy zrobiło się późno. Po dziewiątej wrócił Arek i zajrzał do pokoju, w którym siedziałyśmy. Nosił bardzo krótko przystrzyżone włosy; o kimś, kto wygląda jak on, mówi się, że ma urodę radiową albo dla konesera. Jego twarz przybrała natomiast taki wyraz, że brakowało mu tylko tabliczki z napisem: UWAGA! ZŁY PIES. Ujrzałam to w swojej wyobraźni i zaśmiałam się pod nosem. Spojrzał na mnie groźnie (tak, tabliczka pasowałaby mu jak ulał).

– Chodź! – warknął do Mini, która posłusznie wyszła na korytarz.

– Nawet się z nami nie przywitał – zauważyła Madzia, gdy zostałyśmy same, czerwona ze złości. – I w ogóle nie podoba mi się, jak on ją traktuje.

– Mówiłam ci, że Arek to palant – wyszeptałam i spojrzałam na przeszklone drzwi, za którymi Mini stała nieruchomo, a Arek wymachiwał rękami. Mówił tak głośno, że chcąc, nie chcąc, wszystko słyszałyśmy.

– Znowu nie ma kolacji – ryknął. Spojrzałam na Madzię, która zagryzła wargi, najwyraźniej tak samo jak ja czując się głupio, że jest świadkiem małżeńskiej sprzeczki. – I one znowu tu siedzą.

One to my. Wymieniłyśmy z Madzią spojrzenia.

– Ale... – wymamrotała Mini, jednak Arek natychmiast wszedł jej w słowo.

– To naprawdę taki wielki wysiłek wrzucić kielbasę do garnka? – syknął. Widziałam, jak mierzy w Mini palcem. – To ja się zaharowuję...

– Chyba grubo przesadzasz z tym zaharowywaniem – odezwała się w końcu Mini; Madzia wybałuszyła oczy, a ja pokiwałam głową, ciesząc się z tego, co właśnie usłyszałam. – Poza tym mów ciszej, nie jesteśmy sami.

– No tak, jak zwykle sprowadzasz sobie koleżanki. Kiedy poszukasz sobie jakiegoś normalnego zajęcia?

Boże Przenajświętszy, Arek Filipek właśnie oficjalnie awansował z palanta na dupka. Przypomniały mi się słowa mojej mamy, która powiedziała kiedyś: „Kobieta powinna mieć swoje pieniądze, by facet nigdy jej nie wypomniął, że musi ją utrzymywać”.

– Daj spokój, nie będziemy teraz o tym gadać – zachnęła się Mini. – A kolację zaraz ci zrobię.

– Tylko zrób mi coś na ciepło – powiedział Arek z naciskiem, brzmiąc jak stetryczały facet po czterdziestce, którego całe życie kręci się wokół pracy i jedzenia. – Mam już dość kanapek.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło i dlaczego akurat żądanie przygotowania ciepłej kolacji tak mnie rozwścieczyło, ale zanim zdążyłam pomyśleć, stałam już na korytarzu między Mini i Arkiem, którzy wyglądali na bardzo zaskoczonych moją obecnością.

– Mogę się wtrącić? – zadałam pytanie retoryczne, bo i tak zamierzałam to za chwilę zrobić. Spojrzałam na Arka; już od samego patrzenia na tego człowieka robiło mi się słabo. – Po pierwsze, to cześć, Arek. Po drugie, to siedzimy z Madzią w pokoju i wszystko słyszałyśmy, a mama Mini, Malwiny – poprawiłam się; Arek zawsze naśmiewał się z przydomka swojej żony – jest w kuchni i słuch ma dobry.

Arek gapił się na mnie z otwartymi ustami.

– Kaja... – wyszeptła Mini, wyraźnie przerażona tym, co działo się na jej oczach, ale zignorowałam ją. Wczoraj napisałam Madzi, że kiedyś nie wytrzymam i wygarnę Arkowi. Nie spodziewałam się, że stanie się to tak szybko.

– Mam już dość słuchania twoich pretensji do Mi... Malwiny. Ciągłe się o coś czepiasz, nigdy nie masz dla niej czasu i wiecznie masz muchy w nosie. Poza tym jesteś nieprzyjemny i tak wkurzający, że powinieneś dziękować, że Malwina jeszcze nie kopnęła cię w cztery litery.

– Kaja! – tym razem Mini krzyknęła, ściągając mój wzrok. Wyglądała na wściekłą. Nozdrza jej się rozszerzyły, na twarzy wykwitły bordowe plamy.

– Mini, przecież dobrze wiesz, że mam rację! – uniosłam się. Wreszcie mówiłam to, co od dawna leżało mi na sercu. – Arek traktuje cię podle, a ty siedzisz cicho jak mysz pod miotłą i boisz mu się sprzeciwić.

Na korytarzu pojawiła się pani Alinka (w obcisłej bluzce obszytej koronką i z elektronicznym papierosem w dłoni).

– A co tu się, do diabła ciężkiego, dzieje? – zapytała wysokim głosem i przystanęła obok. – Malwina? Arek? Kaja? – zwracała się do nas po kolei.

– To nie są twoje sprawy – zagrzniał Arek i tym razem wymierzył palcem we mnie. – Nie wtrącaj się, rozmawiam z Malwiną.

– Chyba już zapomniałeś, że mieszkasz tutaj wyłącznie dzięki uprzejmości swojej teściowej – wycodziłam przez zęby. Cierpkie słowa wylewały się ze mnie strumieniem.

Trafiłam w czuły punkt, bo Arek wyraźnie się wściekł. Mini, niestety, też.

– Kaja, co ty wyprawiasz?! – krzyknęła na mnie i zaczęła szybko kręcić głową. – Oszalałaś?! Jak możesz mówić coś takiego?!

– Przestańcie się wreszcie kłócić! – ryknęła pani Alinka i tupnęła nogą.

Do naszej rozbudzonej czwórki dołączyła Madzia; stała w drzwiach i patrzyła na nas przerażona.

Zatrzymałam wzrok na Mini i nagle do mnie dotarło, że nie stanęła po mojej stronie.

– Przecież wiesz, że mam rację – powiedziałam spokojniej, chociaż serce łomotało mi w piersi. – Wiesz, że Arek źle cię traktuje.

Wiedziała, bo zaczęła unikać mojego spojrzenia. Zdołała tylko wyszeptać:

– Nie powinnaś się wtrącać.

– Drzwi są tam – oznajmił Arek, wyraźnie bardzo podbudowany faktem, że ma po swojej stronie Mini, a mnie nie poparł nikt, bo Madzia nie zająknęła się słowem.

– Nie wyprasza Kai z mojego mieszkania – pouczyła go pani Alinka, lecz wystarczyło jedno przelotne spojrzenie rzucone na Mini, by dotarło do mnie, że powinnam była wyjść, co zresztą ona sama potwierdziła słowami:

– Kaja, sorry, ale chyba na ciebie już pora.

W korytarzu zrobiła się cisza. Cisza jak makiem zasiał, dla ścisłości. Mini poszła do sypialni, nawet się ze mną nie żegnając. Arek nagle urósł o dobrych parę centymetrów i stał nade mną jak kat, czekając, aż zamknę drzwi z drugiej strony. Prawie czułam jego gorący oddech na karku. Pani Alinka ruszyła za córką, a Madzia wymamrotała pod nosem coś niezrozumiałego.

Nabrałam do płuc powietrza, wróciłam się po torebkę i w biegu złapałam kurtkę.

– Cześć, Madzia – pożegnałam się migiem.

– Ale Kaja... – wyszeptała, zbyt zdenerwowana, by dodać coś jeszcze.

Na Arka nawet nie spojrzałam. Wyszłam z mieszkania Mini, trzaskając za sobą drzwiami, czy raczej zostałam z niego wyrzucona.

Rozdział 12

Przez kolejnych kilka dni miałam urwanie głowy. Moje zapracowanie wynikało z faktu, że królowa – niech ją kule biją – Zoja podłapała temat Dziadomia i zamarzył jej się obszerny reportaż o tym, co o naszym mieście sądzą jego mieszkańcy oraz osoby spoza niego. Wyczytała gdzieś, że śmieją się z nas, bo w Radomiu podobno wszyscy na potęgę chodzą z reklamówkami. I chciała mieć na to dowód w postaci zdjęcia.

Okropna, złośliwa prukwa. Wiedziała, że dokumentowanie takich rzeczy gryzie się z moją etyką fotoreporterską, ale co to ją obchodziło? Przeciwnie – z pewnością zacierała tłuste rączki, zadowolona, że może mi w ten sposób dogryźć.

Złożyłam sobie obietnicę, że po nowym roku znajdę nową pracę – choćbym miała się przebranzowić i zacząć sprzedawać obwarzanki pod kościołem. Zdjęcia zawsze mogłam pstrykać w wolnym czasie. Musiałam się więc przemęczyć jeszcze przez trzy miesiące.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że w tym całym zabieganiu nie miałam czasu, by pomyśleć o Mini. Bo myślałam o niej cały czas. Od tamtego feralnego wieczoru nie zamieniłyśmy słowa. Madzia już dwukrotnie interweniowała, by nas ze sobą pogodzić – bezskutecznie. Mini czuła się urażona, że nakrzyczałam na jej męża i niepytana wtrącałam się w ich sprawy, ja natomiast nie mogłam jej wybaczyć, że nie stanęła po mojej stronie, choć dobrze wiedziała, że mam rację, a na domiar złego wyprosiła mnie ze swojego mieszkania.

Ciągle szukałam odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się zachowała. Powiedźcie mi, błagam, czemu kobieta, która jest źle traktowana przez partnera, nie odchodzi od niego? Dlaczego jest w stanie wytłumaczyć i usprawiedliwić każdy jego występki? Czemu nie reaguje nawet wtedy, gdy ktoś mówi jej prawdę prosto w twarz? Taka kobieta pada ofiarą jakiejś piekielnej odmiany syndromu sztokholmskiego. Jak porwany, który odczuwa solidarność wobec swoich oprawców.

Nie mogłam tego pojąć. Dobry Jezu, nie mogłam! Już sama nie wiem, kto przerażał mnie bardziej – bezwzględni mężczyźni, którzy robili ze swoimi partnerkami, co tylko chcieli, czy uległe kobiety, które zgadzały się na to wszystko i trzymały buzię na kłódkę.

Tydzień po kłótni u Mini Madzia chciała wyciągnąć mnie na kawę do Słodkiej Babki, ale A – kawa źle mi się kojarzyła, bo Mini piła ją tamtego wieczoru, i B – słowo „słodki” nijak do mnie nie pasowało, bo nastrój miałam żaloszny, i C –

zwyczajnie nie miałam humoru na pogaduszki, a tym bardziej na wysłuchiwanie rad Madzi, jak powinnam się teraz zachować, i D – chciałam побыć sama. Stwierdziłam, że dobrze mi zrobi wizyta na basenie, więc zapakowałam potrzebne rzeczy do torby, pożyczyłam samochód od taty i ruszyłam na pływalnię.

Nawet nie zaprzętałam sobie głowy tym, jak wyglądam. Wystarczyło, że BMI (chyba wciąż) miałam w normie. Jeszcze tego brakowało, żeby zdołowała mnie własna prezencja (czy nieprezencja). Szukałam w końcu sposobu na poprawienie sobie humoru, a nie jego pogorszenie, choć w przypadku nas, kobiet, nieszczęścia lubiły chodzić parami.

Pływałam przez jakąś godzinę z krótkimi przerwami na odpoczynek. Miałam ćwiczyć codziennie, a tego nie robiłam, więc tym razem poszłam na całość. Zupełnie jakbym chciała wyrzucić z siebie złą energię, wyładować się, wyżyć za wszystkie czasy. Były sprawy, na które nie miałam wpływu, a które doprowadzały mnie do szewskiej pasji. Radom-Dziadom najgorszym polskim miastem do życia, Mini i Arek, sny o Jacku, podły charakter królowej Zoi... Tata Krzyś miał rację, gdy mówił, że ciężko jest lekko żyć!

Pływało mi się całkiem przyjemnie. Do czasu. Byłam mniej więcej w połowie basenu, pokonując dystans żabką, gdy poczułam, że coś jest nie tak. Złapałam się za biodro, bo to ono było przyczyną mojego dyskomfortu, i zdałam sobie sprawę, że – święci pańscy – pękł mi dół od bikini. Majtki rozerwały się z boku, na szwie. Nie wiem, jakim cudem się to stało, ale fakty były takie, że znajdowałam się w wodzie, na publicznej pływalni, i miałam na sobie strój nadający się do wyrzucenia.

Jasna cholera, zakląłam pod nosem. Że też musiało mnie spotkać coś takiego! Nieszczęścia nie chodzą parami, tylko całymi grupami. I śmieją nam się w twarz.

W ten oto niecodzienny sposób skończył się relaks na basenie, a zaczęło się kombinowanie, jak błyskawicznie przemieścić się do szatni. Dotąd myślałam, że takie historie zdarzają się jedynie w filmach albo książkach, ale cóż, myliłam się... Choć byłam wściekła, próbowałam się uspokoić i zebrać myśli. Skup się, powtarzałam sobie jak w transie. Wdech, wydech, wdech, jasna cholera, wydech.

Prawą dłonią przytrzymałam rozerwany dół od bikini, by się ze mnie nie zsunął i żeby nie było widać pęknięcia, a lewą ręką oraz nogami pracowałam niczym stachanowiec, by jak najprędzej dopłynąć do brzegu i pognać do szatni. Ale dziewczyny miałyby teraz ze mnie ubaw! Oczami wyobraźni widziałam ich rozbawione twarze, odepchnęłam jednak od siebie ten obraz, bo mi nie pomagał. Tak to zazwyczaj jest, że w trudnych chwilach kobieta może liczyć wyłącznie na siebie.

Płynęłam tuż przy krawędzi, by mieć asekurację, a drabinka powoli rosła w moich oczach. Jeszcze parę metrów... Wdech, wydech, bardzo ładnie. Na całe szczęście nie

było dzikich tłumów, więc szansa, że błyskawicznie wymknę się do szatni, wydawała się duża. Najgorsze jednak dopiero nadchodziło: wiedziałam, że trudno będzie wyjść z wody, mając wolną tylko jedną rękę, ale nie miałam innego wyjścia – musiałam przecież cały czas przytrzymywać rozerwany kostium. Co za obłąd! Coś wymyślę, obiecałam sobie w duchu.

Jeszcze kilka ruchów, które kosztowały mnie sporo wysiłku, i już byłam przy drabince, szczęśliwa, że nie czeka za mną kolejka osób pragnących szybko wydostać się z wody. Chwyciłam ją lewą ręką i nagle spostrzegłam barczystego mężczyznę. Miał na sobie czarne kąpielówki, węża wytatuowanego na ramieniu, bardzo krótko przystrzyżone włosy i kuczał tuż przy drabince. Taki typ spod ciemnej gwiazdy, za którym szaleją nastolatki i niektóre spragnione doznań singielki. Świdrował mnie wzrokiem i uśmiechał się z uniesioną brwią.

Zamarłam. Nie było mowy, abym wyszła z basenu na jego oczach – potrzebowałam intymności i przestrzeni. Pewności, że nikt nie zwróci na mnie uwagi! A on wprost rozbierał mnie wzrokiem.

– W czymś ci pomóc? – zapytał; miał niski, głęboki głos. Był nawet przystojny, ale, na Boga, jakie to miało teraz znaczenie?!

Skrzywiłam się.

– Nie, dzięki.

– Zauważyłem, że dziwnie się zachowujesz, więc pomyślałem, że może coś się stało.

Tylko tego brakowało, dobry samarytanin się znalazł.

– Nie, wszystko w porządku – odrzekłam szorstko, dając mu do zrozumienia, że nie jestem zainteresowana rozmową. Tyle że on najwyraźniej nie zamierzał odpuścić, a obserwował mnie z taką przenikliwością, że poczułam się naga. Nie wierzyłam, że wpadłam mu w oko, mając wciśnięty na głowę pomarańczowy czepek i minę wściekłego byka.

– Obserwowałem cię, jak pływałaś, i powiem ci, że niezła z siebie zawodniczka. Często tu jesteś?

Jezuniu Przenajświętszy!

– Nie, w zasadzie to rzadko – powiedziałam obojętnym głosem, unikając jego wzroku. Jakaś szczupła dziewczynka w fioletowym kostiumie chciała wyjść z wody, więc niezgrabnym ruchem odsunęłam się na bok.

– Nie wychodzisz? – zapytał nieznajomy z tatuażem. – Mają tutaj fajny barek, może pójdziemy się czegoś napić i pogadać?

Czyli jednak wpadłam mu w oko i byłam oficjalnie podrywana. W każdym innym

okolicznościach bardzo by mnie to cieszyło, tyle że nie teraz, kiedy byłam w opałach i miałam wybitnie kiepski nastrój.

– Dzięki, ale może innym razem – powiedziałam i mój rozmówca aż się cofnął, wyraźnie niezadowolony.

– Dlaczego? To nie przestępstwo porozmawiać przy coli – oznajmił, zalotnie unosząc brew, choć było widać, że moja odmowa go uraziła. – W ogóle to jestem Marcin – przedstawił się; jego dłoń znalazła się parę centymetrów od mojej twarzy. – Chodź, pomogę ci chociaż wyjść z wody, a potem się zastanowisz, co dalej.

Kucał z wyciągniętą ręką przez dobrych kilka sekund, które wydawały się wiecznością, a ja wiedziałam jedno: za chwilę wyjdę na zółzę i nic już tego nie zmieni. Moja prawa dłoń spoczywała na pękniętym kostiumie, nie było więc mowy, bym uścisnęła rękę Marcina.

– Posłuchaj – powiedziałam w końcu z naciskiem, a Marcin, zakłopotany i zaskoczony, zabrał rękę i wzruszył umięśnionymi ramionami. – Naprawdę dzięki za wszystko, ale nie lubię, gdy ktoś jest natrętny. Wolałabym, żebyś dał mi spokój.

Ojej, powiedziałam to... Niczym sobie na to nie zasłużyłam, lecz miał pecha, że znalazł się w złym miejscu o niewłaściwym czasie. *Wrong place, wrong time*. Poza tym nie byłam zupą pomidorową, żeby mnie wszyscy lubili.

Marcin poderwał się na równe nogi i uniósł obie ręce w poddańczym geście.

– Dobra, jak chcesz – rzucił na odchodne i zostawił mnie samą.

Zaczekałam, aż zniknie z pola widzenia, przepuściłam wesołą gromadkę roześmianych dzieciaków i wreszcie mogłam wyjść z tej cholernej wody. Nie było to jednak takie proste. Miałam naprężone chyba wszystkie mięśnie, a przecież dawno ich nie używałam. Musiałam raz jeszcze zdobyć się na spory wysiłek, by wyjść na powierzchnię, cały czas trzymając prawą rękę na biodrze z kawałkami materiału między palcami. Co za dziadostwo to całe bikini. Miałam nauczkę, by na basen wkładać kostium jednoczęściowy, a także, by nie ufać ciuchom z wyprzedaży.

Dysząc i ociekając wodą, wydostałam się wreszcie z basenu, odnalazłam swoje klapki i ze spuszczoną głową, przemykając między ludźmi jak duch, pobiegłam do szatni. Gdy tylko chwyciłam swoje rzeczy i weszłam do przebieralni, osunęłam się na ławeczkę i odetchnęłam z ulgą.

Ponieważ wizyta na basenie jednak nie poprawiła mi humoru, chciałam jak najszybciej wrócić do domu, zakopać się pod kołdrę i w końcu obejrzyć *Pamiętnik* – wyciskacz łez, za którym przepadałam. Stwierdziłam, że jeśli trochę sobie popłaczę w samotności, zrobi mi się lepiej.

Przebrałam się naprędce, bikini wyrzuciłam do kosza, podsuszyłam włosy i miałam

się już kierować w stronę wyjścia, gdy usłyszałam swoje imię.

– Kaja!

Obróciłam się, przeklinając w duchu, że ciągle ktoś ode mnie czegoś chce, i ujrzałam znajomą, choć nieco zmienioną twarz. Była to Aldona Ignielewicz, dziewczyna, z którą chodziłam do liceum. Ta sama, która na osiemnaste urodziny wręczyła mi zestaw kryzysowy – papierosa za szybką. Tak, TEN zestaw. Miałam ją wśród znajomych na Facebooku, więc jej widok nie powinien mnie zdziwić, uderzyło mnie jednak, jak szybko się zestarzała. Wciąż farbowała się na czarno i z uporem maniaczki przesadzała z opalaniem, tyle że przede wszystkim zaczęła się robić pomarszczona jak rodzynka. A przecież nie miała nawet trzydziestki.

– Dona? O rany, cześć – przywitałam się zaskoczona tym spotkaniem.

Ucałowałyśmy się. W liceum nie byłyśmy przyjaciółkami, ale się lubiłyśmy.

– Widziałam, jak biegłaś do szatni, i tak mi się, kurczę, właśnie wydawało, że to ty. Niezły sprint. – Zaśmiała się, a ja zdobyłam się jedynie na pokiwanie głową. – Opowiadaj, co u ciebie! Chyba nie wyjechałaś z Radomia, prawda?

– Nie, nie wyjechałam. W zasadzie to w porządku. Pracuję w „Głosie” jako fotoreporterka, żyję jak każdy. Nie narzekam. A u ciebie co słychać? – szybko zmieniłam temat.

– Wiem, wiem, moja mama czyta waszą gazetkę i mi ją odkłada, żebym sobie twoje zdjęcia pooglądała. W mediach to chyba dobrze wam płacą, co nie?

Prychnęłam bezwiednie i Aldona spojrzała na mnie zdumiona.

– Yy, jak wszędzie – odpowiedziałam wymijająco. – Ty też gdzieś pracujesz?

– Mhm, jako eką menażer w dużej firmie w stolicy.

– Przepraszam, jako kto?

– EKĄT MENAŻER – powtórzyła Aldona, wysoko zadzierając głowę. Wyglądała, jakby połknęła kij od szczotki, taka była z siebie dumna. – To tak jakby opiekun klienta. Mam pod sobą różne przedsiębiorstwa i je obrabiam, że tak powiem. – Zaśmiała się głośno jak ze świetnego dowcipu.

Eką menażer. Czy my, do ciężkiej Anielki, nie mamy w Polsce normalnych nazw? Żeby Polak we własnym kraju musiał korzystać ze słownika, aby zrozumieć rodaka, to chyba jest gruba przesada. A ponieważ studiowałam polonistykę, byłam na to szczególnie wyczulona. Kiedyś wyczytałam, że ten cały *account manager* to jedno z najniższych stanowisk kierowniczych, ale oczywiście brzmiało to po stokroć lepiej niż „opiekun klienta”.

– Codziennie dojeżdżam do Warszawy i trochę zaczyna mnie to męczyć. Jak idę na

dworzec, jest ciemno. Jak wracam, prawie noc. – Aldona westchnęła. – Szkoda, że tego nie widziałaś. Kiedy wsiadamy rano w pociąg, to każdy walczy o jak najlepsze miejsce, te naj są przy oknie, bo można się zdrzemnąć. Mówię ci, ludzie normalnie wyciągają poduszki i śpią na całego, a potem przed Wawą całe towarzystwo się budzi i zaczynają się przebieranki... Wskakiwanie w gajer, szpilki, garsonki... Komedialność, ale raczej czarna, bo to normalne życie, dzień za dniem.

– Wiem – przyznałam i nawet zrobiło mi się jej żal. – Moja koleżanka z redakcji robiła o tym reportaż. Faktycznie chyba tak się nie da na dłuższą metę.

Dona przytaknęła smętnie.

– Ale przynajmniej kasa mi to rekompensuje – stwierdziła, jakby chciała przekonać do tego przede wszystkim samą siebie. – A tak z niusów to pochwalę się, że postanowiliśmy z Kamilem się pobrać.

O, to faktycznie był nius. Aldona spotykała się z Kamilem jeszcze w czasach licealnych; byli u mnie nawet na osiemnastce, ale jakoś nigdy nie mówili o ślubie. A przynajmniej Kamil nie mówił, bo nie przypominam sobie, by Dona była przeciwniczką instytucji małżeństwa. Zastanawiałam się, co się stało, że jednak po takim czasie postanowili się pobrać. Pani Alinka stwierdziła kiedyś, że jeśli facet nie oświadczy się kobiecie w ciągu trzech lat, to już tego nie zrobi.

– Mój tata obiecał nam mieszkanie, jeśli się hajtniemy, więc stwierdziliśmy, że nie ma na co czekać.

Aha, czyli tak to się stało.

– Ale to dopiero za rok. Słuchaj... – Zerknęła na zegarek. – Kurczę, muszę lecieć. Wybierasz się może w sobotę do Bastionu?

Zmarszczyłam czoło, a Dona, widząc moją reakcję, dodała szybko:

– Robią imprezę na powitanie jesieni. Dla kobiet wejście za friko i jeszcze darmowe drinki do dziesiątej. – Puściła mi oko. – Przyjdź, ja będę, to sobie pogadamy.

– Zobaczę.

– Oj, Kaja, nie daj się prosić, przyjdź – Aldona nie dawała za wygraną. – Będzie fajnie, ja tam chodzę co tydzień.

– I dajesz radę? – spytałam zdumiona, myśląc o jej codziennych dojazdach do pracy i późnych powrotach.

– Właśnie po to chodzę, by dawać radę – odrzekła z szelmowskim uśmiechem i cmoknęła mnie w policzek. – Do zobaczenia w sobotę! – powiedziała głośno i wyraźnie, tonem nieznoszącym sprzeciwu, obróciła się na pięcie i odmaszerowała.

Bastion. Klub muzyczny w centrum Radomia.

Jedno z miejsc, które z Jackiem lubiliśmy najbardziej.

Rozdział 13

O Radomiu powiedziano wiele niedobrego. Że to duszne miasto, gdzie powietrze pachnie beznadzieją. Że nie jest poematem, nawet o wschodzie słońca. Że ze wszystkich zakątków straszy tu szarzyzna. Że lepiej stąd zwiać, zanim człowiek przesiąknie tym ciężkim i smutnym mikroklimatem.

Nigdy się z tym nie zgadzałam. Nie, nie dlatego, że mam nierówno pod sufitem i na przekór wszystkim widzę w moim rodzinnym mieście to, czego inni dostrzec nie chcieli. Po prostu zawsze wierzyłam, że miasto to ludzie. To oni byli dla mnie najważniejsi.

Jak Mini, z którą nie rozmawiałam od ubiegłej środy, i czułam się przez to okropnie. Nie miałam wyrzutów sumienia, że wtrąciłam się w jej kłótnię z Arkiem i powiedziałam mu do słuchu, ale brak kontaktu z przyjaciółką był dla mnie dotkliwy. Zdawałam sobie sprawę, że czekała na moje przeprosiny, i gotowa nawet byłam wyciągnąć do niej pierwszą rękę na zgodę, wolałam jednak zrobić to twarzą w twarz, byśmy mogły wszystko sobie wyjaśnić.

Dwa dni przed imprezą w Bastionie, o której wspomniała Aldona, zadzwoniłam do Madzi i wyrecytowałam z prędkością karabinu maszynowego, że ma ściągnąć na nią Mini. Przez krótką chwilę próbowała się wykręcić, w końcu jednak – słysząc mój stanowczy ton – uznała, że sobotni wypad dobrze nam zrobi, szczególnie jeśli miałyśmy nie płacić za wstęp i drinki.

– Tylko ani słowa Mini, że też tam będę, bo nie przyjdzie – zażądałam. – Umawiamy się o dwudziestą przed wejściem.

– Niech ci będzie. Nie mogę was znieść, gdy się do siebie nie odzywacie.

Minęłabym się z prawdą, gdybym stwierdziła, że miałam wielką ochotę na zabawę z okazji nadejścia jesieni – szczególnie że pogoda była depresyjna i nie zachęcała do wyjścia z domu – a już na pewno nie do klubu, w którym często bywałam z Jackiem, zagryzłam jednak zęby, uznając, że wyprostowanie stosunków z Mini jest dla mnie ważniejsze. Założyłam ciemne spodnie, bluzkę w pepitkę i czarny zakiet. Ba, nawet wsunęłam na stopy „labąteny”. Doskonale wiedziałam, że w przypadku kobiet zadowolenie z własnego wyglądu równa się dobry humor, więc postanowiłam posłużyć się tą prostą zasadą. Zrobiłam mocniejszy makijaż, związałam włosy w koński ogon wysoko nad karkiem, zarzuciłam płaszcz i ruszyłam.

Do Bastionu miałam parę minut spacerkiem – klub znajdował się w ścisłym centrum Radomia. Powinnam była się cieszyć, że idę na imprezę, do ludzi, ale maszerowałam nerwowo i dziwacznie jak robot. Zupełnie jakbym kroczyła lwom na pożarcie. Tak, byłam bardzo zdenerwowana. Z jakiegoś powodu obawiałam się konfrontacji z Mini. Pewnie dlatego, że zależało mi, by nasze relacje wróciły do normy. Gdyby było mi wszystko jedno, szłabym do Bastionu na wielkim luzie. Wierzyłam jednak, że przyjaciółki są jak małżonkowie – kłócą się, obrażają, grożą odejściem, ale koniec końców wracają do siebie z ulgą.

Nie zastanawiałam się nad tym, co powiem. To byłby chyba koniec świata, gdybym musiała planować wcześniej, co powiem dziewczynie, która jest dla mnie jak siostra. Bądź spontaniczna, bądź sobą, powtarzałam sobie w duchu. Ta metoda (prawie) zawsze się sprawdzała.

Serce zabiło mi nierówno, gdy dotarłam do końca ulicy Mickiewicza i skręciłam w Żeromskiego. Do klubu miałam już niedaleko, więc zaczęłam z oddali wypatrywać dziewczyn. Spojrzałam na zegarek – dwie do dwudziestej, idealnie. Bądź spontaniczna, bądź sobą. Bądź, do licha, spontaniczna...

Kilkanaście metrów przede mną zamajaczyła solidna sylwetka Madzi. Poznałam ją po miętowej kurtce ze sztucznej skóry, którą sprawiła sobie na tegoroczną jesień. Obok niej, a tyłem do mnie – na szczęście! – stała szczupła i wysoka dziewczyna z nieprzyzwoicie długimi nogami podkreślonymi krótką spódniczką. Mini w mini. Wyglądały jak Flip i Flap. Zaśmiałam się mimo woli.

Przyśpieszyłam kroku i Madzia mnie wypatrzyła. Machnęła do mnie ręką i Mini odwróciła się. Na mój widok zmarszczyła czoło i wbiła wzrok w Madzię.

– Co ona tu robi?! – ryknęła i podparła się pod boki.

– Mini, daj spokój, przecież to Kaja – wymamrotała Madzia, ale ku mojemu rozczarowaniu brzmiała mało przekonująco.

– Właśnie, *to Kaja!* Zmywam się stąd – rzuciła Mini oschle, nawet na mnie nie patrząc, i już szykowała się do odwrotu, kiedy zawołałam do niej:

– Ta „ona” to twoja najlepsza przyjaciółka.

Madzia zagryzła wargi z nerwów, kiedy do niej dołączyłam. Mini zatrzymała się i obróciła cała w moją stronę. Patrzyła na mnie, kipiąc złością. Nie umknęło mojej uwadze, że zrobiła na dzisiejszy wieczór staranny makijaż, a fryzurę miała wystrzałową.

– Daj spokój, nie mamy o czym gadać – syknęła. Znowu się odwróciła, a wtedy ja zawołałam:

– Mini, na litość boską, możesz przestać się wygłupiać?! Kazałam Madzi, żeby

wyciągnęła cię na tę imprezę, bo chciałam się wreszcie z tobą pogodzić! Chyba że tobie odpowiadają nasze obecne relacje, to w porządku, nie będę naciskać.

Stała przez kilka sekund tyłem do nas i stękała coś pod nosem. W końcu obróciła się w naszą stronę, spuściła głowę, odetchnęła głęboko i jęknęła.

– Wcale mi nie odpowiadają.

Spłótłam ręce na piersiach. Madzia pisnęła z przejęcia.

– Posłuchaj, Mini – powiedziałam dużo łagodniej. – Zapomnijmy o tym, co wydarzyło się u ciebie. Wiem, że nie powinnam była się wtrącać i krzyczeć na Arka, ale za to nie przeproszę. Mogę przeprosić jedynie za to, że cię uraziłam.

– Wiesz... ja wywaliłam cię z domu, też mam cię za co przeprosić – przyznała Mini i popatrzyła na mnie ze skruszoną miną. – Ale wkurzyłaś mnie tak, że nie wiem!

– Więc jesteśmy kwita – odparłam i uśmiechnęłam się.

– No jesteśmy, jesteśmy – potwierdziła Mini, zawahała się przez krótką chwilę, a potem przyłgnęła do mnie całą sobą, tuląc się na zgodę. Wyściskałyśmy się, jakbyśmy nie widziały się całe lata. Dwóch mijających nas chłopaków zagwizdało pod nosem i rzuciło jakiś niewybredny komentarz. Gdy wreszcie odkleiłyśmy się od siebie, czując, jakbyśmy zrzuciły ze swoich barków niewyobrażalny ciężar, Madzia klasnęła w dłonie i popędziła nas.

– Chwała Bogu, żeście się wreszcie pogodziły. Pokłócone jesteście okropne. Aż strach gadać z którąkolwiek. A teraz w drogę, Bastion czeka!

Gdy wracasz do miejsca, które kojarzy ci się z przeszłością, ciężko zerwać ze wspomnieniami, ale przekonałam się, że nie jest to niemożliwe. Z Jackiem bardzo lubiliśmy Bastion, bo był to jeden z najbardziej klimatycznych klubów muzycznych na mapie Radomia. Znajdował się na drugim piętrze zrewitalizowanej kamienicy, skąd rozpościerał się piękny widok na Śródmieście. Pod sufitami wisały połyskujące dyskotekowe kule rodem z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Kanapy były obite jasnym pluszem, a bar rozciągał się przez całą długość lokalu. Uwielbialiśmy tu przychodzić z Jackiem, gdy grali przeboje z poprzednich dziesięcioleci, i kiedy weszłam do środka razem z dziewczynami, ucieszyło mnie, że również na dzisiaj zaplanowano taką muzykę.

Lecz Jacek przeminął, choć ciężko było o nim zapomnieć. Nie tylko dlatego, że kroczyłam po śladach, które zostawiliśmy. Dzisiejszej nocy znowu mi się przyśnił – a dokładnie pierwsze spotkanie naszych rodziców, w mieszkaniu na Mickiewicza. Byłam wtedy strasznie spięta. Do tego stopnia, że upuściłam dzbanek z sokiem porzeczkowym, który wylał się na kremowy dywan. Moja mama o włos nie przypłaciła tego zawałem serca, a tata Jacka prawie udławił się ze śmiechu. Śniły mi się zapachy,

dźwięki i smaki, jakby żywcem przeniesione z tamtego wieczoru. Towarzyszyły mi takie same emocje.

Niesamowicie, jak bardzo niezbadany jest mózg człowieka. Myślmy, że pozbyliśmy się pewnych wspomnień, a one pochowane są w różnych szufladach, jak gdyby tylko czekały, by wyłonić się w najmniej odpowiednim momencie. Mój umysł wspomnienia dotyczące Jacka odtwarzał z niebywałą precyzją, a do tego chronologicznie, na co nie miałam żadnego wpływu. Uznałam jednak, że nie czas i miejsce, by zaprzętać sobie tym głowę. Dziś zamierzałam po prostu się dobrze bawić.

Zamówiliśmy mojito, faktycznie za darmo, i zajęliśmy miejsce na kanapie. Gdy Madzia zdjęła swoją miętową kurtkę, zauważyłam, że ma na sobie nową bluzkę. Dżinsową na guziki. I świetnie w niej wygląda.

– Madziu, wydaje mi się, czy trochę schudłaś? – zapytałam.

– Naprawdę widać?! Codziennie ćwiczę z filmikami Iwony, zrzuciłam już prawie dwa kilo – szczebiotała z entuzjazmem.

Mini spojrzała na nią z politowaniem. Czasem bywała naprawdę okropna.

– Dobra, dobra, powiedz lepiej, jak tam w sprawach sercowych. Coś drgnęło?

Madzia wzruszyła ramionami, sącząc drinka.

– Chybabym się wam pochwaliła, gdybym kogoś poznała, nie sądzisz? – mruknęła. – Nie, nic nie drgnęło. I dobrze. Nie szukam teraz faceta.

– Nie gadaj, każda baba szuka faceta.

Madzia spojrzała na nią zaskoczona.

– Bzdury opowiadasz. Kaja też nikogo nie szuka.

– Bo Kaja jest świeżo po rozstaniu, kluseczko.

Chwała Bogu, że Madzia obruszyła się za nazwanie jej „kluseczką” i zaczęły się sprzeczać, więc nie musiałam wciągać się w tę dziwną rozmowę, mimo że poczułam się wywołana do tablicy. Ominęła mnie dyskusja na ten temat. Mężczyźni przychodzili i odchodzili, zupełnie jak turyści w hotelu. Ot, cała tajemnica.

– A jak ci idzie szukanie pracy, Mini? – zagadnęłam, gdy wzięłyśmy sobie po drugim drinku.

– A nijak – odrzekła krótko i zarzuciła nogę na nogę, rozglądając się po klubie ze słomką wetkniętą w usta. – Z pracą w Radomiu to jest kicha.

– Nie tylko w Radomiu – stwierdziłam. – Szukasz czegoś konkretnego?

– Czy ja wiem? – Mini wzruszyła ramionami. – Nie gadajmy teraz o tym.

Zauważyłam, że twarz jej stężała i wyczułam, co leży jej na wątrobie. Podczas

naszego ostatniego spotkania u niej w domu, które zakończyło się bardzo nieprzyjemnie, Arek też wytknął Mini, że powinna poszukać sobie „normalnego” zajęcia. Najwyraźniej bardzo nie lubiła tego tematu.

W Bastionie szybko przybywało ludzi. Zawsze lubiłam ich obserwować w większych skupiskach. Każdy z nich miał swoją historię, jakieś plany i marzenia. Czasem z Jackiem siadaliśmy w ciemnym kącie i zgadywaliśmy, kim mogła być wybrana przez nas osoba. Zazwyczaj puszczaliśmy wodze fantazji i tworzyliśmy coraz to bujniejsze charakterystyki, świetnie się przy tym bawiąc.

– Kaja? – głos Madzi wyrwał mnie z zadumy. – O czym tak intensywnie myślisz?

Szybko przywołałam się do porządku i wlałam w siebie sporą ilość alkoholu.

– O niczym. Zupełnie o niczym – mruknęłam, wycierając usta. – Opowiem wam coś zabawnego. Normalnie nie uwierzycie.

Tym sposobem uwolniłam się od myśli o Jacku, by zrelacjonować, co spotkało mnie na basenie. Gdy mówiłam, dziewczyny nie mogły zapanować nad śmiechem. Rechotały jak szalone, zwracając na siebie uwagę. W końcu ja też musiałam przyznać, że to wszystko brzmiało naprawdę śmiesznie.

– Potraktowałaś go strasznie – stwierdziła Madzia, mając na myśli Marcina, który podrywał mnie na pływalni. – Przecież mogłaś się z nim umówić na później – zauważyła i pokręciła głową. – Nie żałujesz?

– A tobie się wydaje – wtrąciła się Mini, popatrując na Madzię i nie czekając, aż odpowiem – że miałabyś ochotę na umizgi z pękniętymi gatkami?

Moją uwagę zwróciło słowo „umizgi” w ustach Mini i już miałam to skomentować, gdy spostrzegłam znajomą twarz kilka stolików dalej. Nie, nie była to Aldona, której od początku wieczoru wypatrywałam w tłumie, tylko Michał we własnej osobie. W jasnych spodniach i prążkowanej koszuli wyglądał świetnie. Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, on też mnie zauważył. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, posłał mi rozbrajający uśmiech. Machnęłam do niego nieśmiało na powitanie.

– A to kto? – zdziwiła się Mini.

Nie odpowiedziałam, bo Michał już był przy nas. Najpierw przywitał się ze mną, a potem przedstawił go dziewczynom. I Mini, i Madzia popatrzyły na niego niewinnymi oczami, wyprężając biusty i wciągając brzuchy. Zagryzłam wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Ach, czyli to ty jesteś Michał – powiedziała Mini, kokieteryjnie przeciągając sylaby. Nie byłaby sobą, gdyby od czasu do czasu nie poflirtowała. – Sporo o tobie słyszałyśmy.

Uduszę cię, pomyślałam.

Michał usiadł koło mnie i uniósł brwi.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy.

Gdy mówił, patrzył na mnie, nie na dziewczyny.

– Ależ absolutnie – zachichotała Mini. – Kaja mówiła...

– Mini, chodź ze mną do toalety – przerwała jej Madzia, chwiała Bogu, chwyciła ją za rękę i poderwały się z kanapy.

Tak, kobieta potrzebuje zdecydowanie dwóch przyjaciółek. Z Mini nie zawsze było łatwo, a Madzia była aniołem.

Michał zaśmiał się.

– Fajne dziewczyny. Przynieść ci coś do picia?

Zajrzałam do swojej szklanki – do połowy była wypełniona mojito.

– Może za chwilę. Jesteś tu ze znajomymi?

I tak rozpoczęliśmy rozmowę, która trwała kilka godzin z przerwami na taniec przy hitach Abby, które – jak się okazało – oboje ubóstwiamy. Wypiliśmy niemało, więc na parkiecie kilka razy zrobiło się naprawdę gorąco. Niewiele brakowało, a nasza koleżeńska znajomość w okamgnieniu stałaby się skomplikowaną damsko-męską relacją, wstępem do czegoś więcej, choć prawdę powiedziawszy, nie wiadomo, do czego dokładnie.

Kiedy Michał był blisko i mnie przytulał, zrozumiałam, jak bardzo brakuje mi mężczyzny, i to odkrycie było jak lodowaty prysznic. Na miły Bóg, nawet gdybym tego bardzo chciała, nie byłam samowystarczalna. Kobieta potrzebuje mężczyzny, a mężczyzna kobiety. Jesteśmy od siebie zależni i jedno nie może istnieć bez drugiego. Ponieważ jednak nie miałam pewności, czy Michał był tym, od kogo chciałam zależeć, powstrzymałam się od zrobienia jakiegoś głupstwa, po którym dziwnie byłoby wpadać do Migawki na szybką kawę.

Lecz jedno nie ulegało wątpliwości – bawiliśmy się świetnie, a gdy wytknęłam mu, że w podstawówce go nie cierpiałam, bo nazywał mnie Kajakiem, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, objął mnie ramieniem i odparł, że przyznaje się do winy, prosi o rozgrzeszenie i naznaczenie pokuty.

Minęła druga w nocy, kiedy dziewczyny, przez cały wieczór – na szczęście – zajęte sobą i plotkowaniem, zdecydowały, że chcą wracać do domu. Madzia szepnęła mi na ucho, że naprawdę powinnyśmy się zbierać, bo „Arek będzie znowu gadał Mini”, więc z ciężkim sercem pożegnałam się z Michałem.

– Wpadniesz po weekendzie na kawę? – zapytał, jakby czytał w moich myślach, pomagając mi założyć płaszcz. Widziałam, że na ten widok Madzia wybałuszyła oczy;

miała słabość do dżentelmenów, więc prosty, acz uprzejmy gest Michała zrobił na niej wrażenie.

– Pewnie – odpowiedziałam z uśmiechem. – A jak dziadek?

– Dużo lepiej. Wprost się pali, żeby wrócić do pracy.

– Cieszę się. Ale ty jeszcze będziesz? – spytałam, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to tak, jakby mi za bardzo na tym zależało.

– Pewnie, na razie nigdzie się nie wybieram.

– Kaja, ruchy – ponagliła mnie Madzia, dyskretnie wskazując głową rozmawiającą przez telefon Mini, a ta druga minę miała nietęgą – mogłam dać sobie uciąć obie ręce, że była na linii ze swoim małżonkiem od siedmiu boleści.

– To ja zmykam. – Popatrzyłam na Michała, który cały czas mi się przyglądał. – Do zobaczenia.

– Trzymaj się, Kaja.

To, co wydarzyło się za chwilę, trwało ułamek sekundy. Michał nachylił się w moją stronę, ja przysunęłam twarz do jego twarzy i pocałowaliśmy się w policzek. Tak, w policzek, więc nie było to nic wielkiego, ale znowu wytworzyło się między nami napięcie, jak wtedy, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz w zakładzie jego dziadka, i co doprowadziło mnie wkrótce potem na skraj załamania.

Miał szorstką skórę, co mi się spodobało, bo uważam kilkudniowy zarost za bardzo męski. Poza tym znowu odurzył mnie zapach jego perfum. Rany, jak on pachniał!

Popatrzyliśmy na siebie bez słowa, uśmiechnęłam się ostatni raz i zostawiłam go samego. Pani Alinka powiedziała mi kiedyś: „Jeśli nie chcesz mieć nic wspólnego z facetami, to się od nich trzymaj z daleka”. Było to genialne w swojej prostocie, choć trudne w realizacji. A ja po imprezie w Bastionie sama już nie wiedziałam, czego chcę.

Mimo wszystko kończyłam ten dzień zadowolona. Pogodziłam się z Mini i bardzo miło spędziłam czas z Michałem. Gdy wracałyśmy do domu, Madzia nazwała go „niezłym ciachem” i „emgieemem”, ale zapewniła mnie jednocześnie, że jest mój i nie zamierza do niego startować.

– Co ty znowu opowiadasz, jaki on mój? – obruszyłam się.

– Oj, Kaja, odpuść – powiedziała Mini. – Przecież wiemy, co widziałyśmy. Gapił się na ciebie jak sroka w gnat.

Parsknęłam śmiechem.

– No, Mini ma rację – przytaknęła jej Madzia. – A w tańcu nie mógł oderwać od ciebie rąk.

– Bierz się za niego – zachęciła mnie Mini.

– Czy wyście na głowę upadły? My się tylko przyjaźnimy, nic więcej. Nul, ziroł, nic.

Po powrocie do domu, mimo późnej pory, od nadmiaru wrażeń nie chciało mi się spać. Włączyłam laptopa, bo parę minut wcześniej dostałam od Mini SMS-a z adresem strony internetowej: www.minisiestroi.pl i bardzo chciałam sprawdzić, o co chodzi. Wypiłam trochę za dużo, więc ten zbitek literek niewiele mi powiedział. Dopiero po wpisaniu ich w przeglądarkę olśniło mnie – to były trzy słowa: Mini się stroi! Czyżby...?

A jednak zrobiła to! Założyła bloga poświęconego modzie! Jak dotąd opublikowała dwie stylizacje skomponowane z ubrań kupionych za niewiarygodnie małe pieniądze. Wyglądała naprawdę dobrze i fotografie były całkiem przyzwoite. Miała już nawet kilka komentarzy. Wszystkie pozytywne!

„Dziecino, czemu nie pochwaliłaś się wcześniej?! Jestem z Ciebie dumna!” – szybko wysłałam jej wiadomość, zbyt dobrze jednak znałam Mini, żeby nie wiedzieć, jaka była odpowiedź na moje pytanie: nie chciała, żebyśmy z Madzią przez cały wieczór ciągnęły ją za język albo weszły na jej bloga przez komórki i komentowały to, co zdążyła już umieścić. Rozumiałam ją. Sama pewnie zachowałabym się tak samo.

Opadłam na oparcie krzesła z kubkiem herbaty w rękę i zapatrzyłam się na zdjęcie przychepione do tablicy korkowej. Była na nim Iwona BajECKa z kartką o treści:

**WYSZŁAM Z DEPRESJI POPORODOWEJ
ZMIENIŁAM SWOJE ŻYCIE
SCHUDŁAM 32 KG**

Uwielbiałam tę kobietę za jej siłę, pogodę ducha i wytrwałość. Zdjęcie wydrukowałam jeszcze tego samego dnia, gdy byliśmy u niej z Olgą. Miałam w swoim portfolio setki fotografii, ale ta była na pewno jedną z najlepszych. I nagle zapragnęłam podzielić się nią ze światem. Odszukałam zdjęcie w wersji cyfrowej na dysku twardym i długo się nie zastanawiając, udostępniłam je na Facebooku z podpisem: „Iwona z Radomia”.

Jeśli jest ciężko, to znaczy, że jesteś na dobrej drodze, przeczytałam kiedyś te słowa i z jakiegoś powodu teraz mi się przypomniały. Iwona uosabiała tę myśl, dlatego chciałam, żeby ludzie poznali chociaż część jej historii, liznęli fragment jej duszy. Moje życie też układało się ostatnio w kratkę, uznałam więc, że muszę być na dobrej drodze. Dokądkolwiek.

Rozdział 14

– Mamo, gdy poznałaś tatę, od razu wiedziałaś, że to ten jedyny?

Zajadałyśmy przy kuchennym stole rogaliki z masłem i konfiturą malinową, popijając je gorącą kawą z mlekiem. Dochodziła dziesiąta. Tata Krzyś wybrał się skoro świt na grzyby i jeszcze nie wrócił, co mnie cieszyło, bo czułam potrzebę pogadania z mamą od serca. Miałam prawie trzydziestkę na karku, mimo to niezmiennie od lat trudne tematy omawiałam właśnie z nią. Przynajmniej niektóre.

– Skąd to pytanie? – Popatrzyła na mnie badawczo.

Wzruszyłam ramionami.

– Tak jak większość, z ciekawości.

To nie była do końca prawda. Obudziłam się wczesnym rankiem i pierwsze, co przyszło mi do głowy, to wczorajszy pocałunek z Michałem. Chociaż pocałunek to za dużo powiedziane – raczej szybkie, spontaniczne cmoknięcie na do widzenia. Zwykły przyjacielski gest. Sprawiał jednak, że zaczęłam się zastanawiać, kim właściwie jest dla mnie Michał. I kim mógłby być. Może udany związek nie musi zaczynać się trzęsieniem ziemi, jak to było, gdy poznałam Jacka?

Mama Krysia uśmiechnęła się, chyba do własnych wspomnień.

– Nie, nie wiedziałam, że to ten jedyny. Myślę, że na początku to się wie bardzo rzadko.

Wypiłam kawę duszkiem, bo po wczorajszej imprezie bolała mnie głowa, i ponownie napełniłam filiżankę czarnym napojem, rozcieńczając go mlekiem.

– No to kiedy się zorientowałaś, że jednak chcesz być z tatą na stałe? Bo przecież nie wyszłaś za niego z rozsądku...

Albo tak przynajmniej mi się zdawało. Skoro tworzyli zgodne małżeństwo od trzydziestu lat, a związek od trzydziestu czterech, było dla mnie oczywiste, że musiało ich połączyć gorące uczucie. A może się myliłam?

– Nie, nie z rozsądku. – Mama zaśmiała się i upiła kawy. – Po prostu po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że do siebie pasujemy.

– Tylko tyle?

– Aż tyle, Kaja, aż tyle. Nie jest łatwo dopasować się do drugiego człowieka. Ale uważam, że chyba właśnie to decyduje o tym, czy dwoje ludzi może być ze sobą

szczęśliwych: dopasowanie.

Zamyśliłam się na krótką chwilę. Dopasowanie... Tak, to miało sens.

– Jesteś pewna – ciągnęła mama Krysia – że zadajesz mi to pytanie bez konkretnego powodu?

– Jestem – uciełam i podniosłam się z miejsca, by posprzątać po śniadaniu. Czułam jednak, że mama tak szybko nie złoży broni.

– A co u Jacka?

Mogłam się spodziewać wszystkiego, tylko nie tego. Pytanie o Jacka w miłe niedzielne przedpołudnie było nie na miejscu i moja matka powinna o tym wiedzieć.

– A skąd mam wiedzieć? – obruszyłam się. Szybko zaczęłam zmywać, ustawiona do niej plecami, by nie mogła widzieć mojej zarumienionej twarzy.

– No nie wiem, myślałam, że może macie ze sobą jakiś kontakt...

– Żadnego.

Moi rodzice faktycznie do siebie pasowali, a przynajmniej pod tym względem, że oboje potrafili zadać niezręczne pytanie w najmniej odpowiednim momencie. Nigdy nie zapomnę, jak w dniu mojej studniówki, gdy przyszedł po mnie mój ówczesny chłopak Bartek, tata Krzyś zapytał nas, czy w razie czego wiemy, jak się zabezpieczyć. Myślałam, że zapadnę się pod ziemię ze wstydu, szczególnie że z Bartkiem byłam krótko i nie łączyły nas „te” sprawy.

Resztę dnia przeleżałam, oglądając *Pamiętnik* (nareszcie!) i popłakując w trakcie seansu, trochę przysypiałam i czytałam *Przeminęło z wiatrem* Margaret Mitchell. Późnym wieczorem Madzia zaskoczyła mnie SMS-em, w którym napisała, że po nocy dotarło do niej, że Michał wygląda jak Justin Timberlake w okularach. Odpisałam jej, że ma nie po kolei.

Szykowałam się do snu, gdy wpadłam na pomysł, by ponownie odwiedzić blog Mini. Położyłam sobie na kolanach laptopa i weszłam na jej stronę. Nie dodała jednak nic nowego. Postanowiłam trochę wypromować ją na Facebooku, by mogła w ten sposób zdobyć nowych czytelników. Ledwie się zalogowałam, a zaskoczyła mnie liczba nieprzeczytanych wiadomości: cztery. Kto mógł je wysłać? Zaczęłam je po kolei otwierać.

Magda Jaczyńska

Kochana, jak sie czujesz po imprezie?? Zobacz,ile osob lubi Twoje zdjecie!!! ♥

Iwona Bajeczka

Witaj Kaja, cieszę się, że dodałaś to zdjęcie. Mogłyśmy zrobić to wcześniej!

Kradnę je do siebie, niech inspiruje inne kobitki! Pozdrawiam serdecznie, Iwona :)

I jeszcze dwie wiadomości od moich dalszych koleżanek, które również stwierdziły, że TO zdjęcie zrobiło na nich ogromne wrażenie, że mi gratulują i przesyłają pozdrowienia dziewczynie z tej fotografii. Nie od razu dotarło do mnie, o co właściwie chodzi – gdy robisz coś późną nocą po wieczorze pełnym wrażeń (i napojów wyskokowych), nad ranem mózg często się resetuje, a ty zapominasz, co działo się kilka godzin wcześniej. Tak jak ja zapomniałam, że udostępniłam zdjęcie Iwony, tym bardziej więc byłam ciekawa odzewu.

A ten zaskoczył mnie zupełnie. Fotografię zdążyło już polubić dwadzieścia sześć osób, czternaście napisało komentarz – że zarówno zdjęcie, jak i kobieta na nim są niesamowite, że fotka inspiruje i motywuje do działania, że robi wrażenie. Kilka osób udostępniło ją na swoim profilu – między innymi zgodnie z zapowiedzią sama Iwona. Podzieliła się nią na stronie, którą obserwowały już prawie osiemdziesiąt trzy tysiące internautów. I to, co się tam działo z tą fotografią, przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

Osiemset piętnaście lajków. Dziewięćdziesiąt dwa komentarze. Siedemnaście udostępnień. Matko jedyna.

Podobno trzy największe kłamstwa to statystyka, prognoza pogody i obietnice wyborcze, jednak w tym wypadku liczby mówiły same za siebie. Wprost nie mogłam w to uwierzyć.

„Pani Iwono, jest Pani wielka, wiem, co to znaczy wyjść z depresji poporodowej”.

„Od dzisiaj biorę się za siebie. Cel: minus 10 kg, dam radę!”

„Pani jest żywym przykładem na to, że można osiągnąć wszystko”.

„To zdjęcie jest niesamowite. Wydrukuję je sobie i powieszę nad łóżkiem”.

„Pani jest z Radomia?! O kurczę, to niespodzianka, przeprowadzam się do Was :)”.

Tak brzmiały tylko niektóre komentarze. Choć to niebywałe, nie znalazłam żadnego negatywnego, a przeczytałam je wszystkie. Wyglądało na to, że tym jednym zdjęciem poruszyliśmy serca innych ludzi – zwłaszcza kobiet. A jednak sukces!

„Bądź zmianą, którą pragniesz ujrzeć w świecie” – powiedział Mahatma Gandhi. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak wielkie zmiany wkrótce mnie czekają.

Październik był wyjątkowo dokuczliwy. Ponury, zimny, smętny. O tej porze roku zawsze żałowałam, że nie mogę zapaść w sen zimowy i obudzić się na wiosnę. Królowa Zoja dokładała swoje trzy grosze, żądając od nas mocnych tematów i jeszcze

mocniejszych zdjęć. Zaciskałam zęby i robiłam, co kazała – fotografowałam rozpadające się kamienice, wściekłe miny samorządowców w czasie sesji Rady Miejskiej, szare podwórka, przygnębionych ludzi z reklamówkami. Takie genialne miała pomysły. Zawsze jednak starałam się uchwycić na zdjęciu jakiś detal, który sprawiał, że fotografia z depresyjnej stawała się na swój sposób interesująca. Jeśli stary budynek, to pod niebem w niesamowitym kolorze. Jeśli polityczne sprzeczki, to nieco przerysowane, by wyglądały na komiczne. Jeśli przygnębieni ludzie, to w kolorowych ubraniach albo z barwnymi parasolami itepe, itede. Królowa Zoja kręciła na te zdjęcia nosem, ale szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to obchodziło. To znaczy, może trochę, nie chciałam przecież stracić pracy, z drugiej strony gdyby Adamska mnie wyrzuciła, miałabym większą motywację, by zacząć wszystko od nowa.

Poprawiałam sobie humor, odwiedzając Michała w Migawce. Nasze relacje nadal pozostawały koleżeńskie i uznałam, że tak jest najlepiej. Było nam dobrze w swoim towarzystwie, rozmawialiśmy o błahostkach, obgadywaliśmy wspólnych znajomych, którzy chwalili się swoim życiem na Facebooku, piliśmy kawę z czerwonych kubków – i odpowiadało mi to. To był klarowny, uczciwy układ.

Jacek nie przestał mi się śnić. Ostatnim razem mój mózg z aptekarską dokładnością odtworzył dzień, kiedy wprowadziliśmy się do wynajętego mieszkania na Gołębiowie. Dwa pokoje, czwarte piętro. Miałam stamtąd daleko do centrum, ale kochałam to miejsce, bo dzieliliśmy je razem. Tylko to się wtedy liczyło.

Teraz jednak moją głowę zaprzętały inne sprawy. Zdjęcie Iwony zrobiło furorę w internecie i trafiło nawet na popularną stronę dla kobiet, za co otrzymałam symboliczne wynagrodzenie. Wszędzie, gdzie się pojawiło, siało zamieszanie. Pękałam z dumy. Móc pochwalić się własną pracą, która przedstawiała radomską Błękitną Dziewczynę z krwi i kości, a do tego będącą inspiracją dla innych kobiet, było naprawdę wielkim szczęściem. Cieszyło mnie to jak nie wiem co. Byłam uskrzydłona.

Moje relacje z Mini wróciły do normy. Nie zmieniło się jednak to, że jej małżonek wciąż był gburowatym samolubem. Sama Mini, alleluja, wreszcie zdała sobie z tego sprawę pewnego czwartkowego wieczoru.

– Kaja! – ryknęła, gdy odebrałam od niej telefon. Głos jej drżał. – Cholera jasna, mam awarię! Musisz mi pomóc.

– Uspokój się, Mini, co się stało?

– Jezu Chryste, masakra normalnie. Samochód mi się rozkraczył na środku ulicy!

Bez chwili namysłu pożyczyłam auto od taty i pojechałam ratować przyjaciółkę. Jeździli z Arkiem piętnastoletnim oplem vectrą, który miał tendencję do psucia się właśnie wtedy, gdy był najbardziej potrzebny. Mini nie czuła się pewnie za kierownicą,

więc to jasne, że musiała być spanikowana.

Samochód odmówił jej posłuszeństwa w ścisłym centrum miasta, na Słowackiego, za wiaduktem. Mini miała tyle oleju w głowie, że włączyła światła awaryjne i ustawiła za pojazdem trójkąt ostrzegawczy. Gdy dotarłam na miejsce, stała oparta o auto, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i miną wysyłającą światu komunikat: „Nie zbliżać się”.

– Chyba musicie zmienić środek transportu – powiedziałam, wysiadając z toyoty. – Co się stało?

Mini bez słowa przytuliła mnie. Widziałam, że jest wściekła.

– Bo ja wiem, co się stało? Wracam sobie od fryzjera, a tu, kurwa jego mać, samochód mi gaśnie na amen!

Wzdrygnęłam się, gdy do moich uszu dotarło siarczyste przekleństwo. Rzadko przeklinałyśmy, a jeśli już, to wyłącznie w takich ekstremalnie kryzysowych sytuacjach.

– Mini, uspokój się, to nic wielkiego. Samochody ciągle się psują – próbowałam przywołać ją do porządku. – Przecież toyota mojego ojca też ostatnio rozkraczyła się na środku skrzyżowania, nie pamiętasz?

Mini machnęła ręką.

– Może i tak, ale teraz spotkało to *mnie*, rozumiesz?! Do diabła z takim rzęchem. I co ja mam teraz, kurwa, zrobić?

– Po pierwsze: przestać przeklinać – pouczyłam ją, doczekując się w odpowiedzi lodowatego spojrzenia przyjaciółki. – Wskakuj za kierownicę, a ja spróbuję cię popchnąć.

– Ocipiałaś?! – stęknęła Mini, a we mnie się zagotowało. – Chcesz pchać *sama*?!

– Przecież jest lekko z górki. Nie marudź, tylko wskakuj za kółko.

Ale Mini najwyraźniej nie miała na to szczególnej ochoty. Pokręciła głową i westchnęła głęboko.

– Miałaś rację, Kaja. Miałaś, kurwa mać, rację! Arek się do niczego nie nadaje! – zawołała ze łzami w oczach. – Taki z niego mąż jak z koziej dupy trąba. Dzwonię do niego i mówię mu, że stoję rozkraczona na środku Słowackiego, a on z japą, że nie ma teraz czasu i muszę sobie poradzić sama. Czaisz?! Taki z niego pieprzony mąż!

Cóż, nie zdziwiło mnie to specjalnie. Ostatnio stwierdziłam przecież, że Arek Filipek nie jest palantem, tylko dupkiem do potęgi entej, który nie zasługuje na uczucie Mini. Co miałam jej powiedzieć? Że nie chciał? Że się zmieni? Lepiej milczeć.

– A ja jeszcze niedawno myślałam, że może powinniśmy zdecydować się na dziecko! – wrzasnęła roztrzęsiona. – Chyba byłam nienormalna jakaś czy coś. Ojciec

pewnie byłby z niego jeszcze gorszy! Pier...

Cieszyło mnie, że Mini w końcu przejrzała na oczy, jednak nie czas był i miejsce na taką rozmowę, dlatego szybko jej przerwałam.

– Dobra, Mini, za chwilę o tym pogadamy – powiedziałam spokojnie – tylko zepchnijmy ten samochód do zatoki, bo stoimy na środku ulicy i blokujemy pas.

Ale Mini nie zdążyła usiąść za kierownicą, bo w tym momencie zatrzymał się koło nas samochód policyjny i wysiadło z niego dwóch mundurowych.

– Jezu, oni do nas? – stęknęła, patrząc na mnie z przerażeniem, a ja zdołałam jedynie wzruszyć niemrawo ramionami. Świetnie. Tylko policji nam teraz brakowało.

– Witamy szanowne panie – przywitał się niższy funkcjonariusz i stanął obok zepsutego opla. – Jakiś problem?

– Nie, żaden – mruknęła niegrzecznie Mini. Poczulałam, jak wywracają mi się wnętrzności. Nawet dziecko w przedszkolu wie, że do policjantów należy zwracać się uprzejmie. – Poza tym chyba widać! – podniosła głos.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Strasznie pani nabuzowana – stwierdził niższy policjant, a jego kolega skinął głową. – Może jednak pomożemy?

– Tak, bardzo chętnie – ucieszyłam się, ale na nieszczęście wtrąciła się Mini swoim wysokim, donośnym głosem.

– Nie, wielkie dzięki – syknęła. – Poradzimy sobie same. Zastrany samochód – dodała, ścisząc głos, ale po minach mundurowych było widać, że niedostatecznie.

Serce podeszło mi do gardła. Czy musi być wulgarna właśnie w takim momencie? Mini rzeczywiście nie jest mądrzejsza od motyla!

– Mini, daj spokój – zwróciłam się do niej, jednocześnie posyłając sztuczny uśmiech wytrąconym z równowagi funkcjonariuszom. – Panowie nam pomogą, przecież jeszcze przed chwilą dziwiłaś się, że chcę cię pchać sama. No to zobacz, jak się wszystko super układa.

Nie wiem, czy kierowała nią złość na cały męski gatunek, czy po prostu chciała pozbyć się policjantów, ale wstąpił w nią jakiś pieruński diabeł, bo nie była niegrzeczna – była opryskliwa, krnąbrna i ordynarna.

– Nie chcę! – huknęła. – We dwie świetnie damy sobie radę. Mam w dupie pomoc od jakiegokolwiek samca!

Czyli jednak była to złość na cały męski gatunek, którą wywołał Arek Filipek.

– Pani się chyba zapomina – odezwał się niższy z funkcjonariuszy. Był wściekły. – Dokumenty proszę.

– Co?! – ryknęła Mini, wytrzeszczając oczy. – Nawet nie ma mowy.

Jezusie Święty Panienko Przenajświętsza Aniołowie. Moja przyjaciółka to skończona idiotka.

– Najmocniej przepraszam za koleżankę – wyszczebiałam przesłodzonym głosem, patrząc im głęboko w oczy. – Jest trochę zdenerwowana, sami panowie rozumieją. – Zmusiłam się do chichotu. – Jeśli nie chce pomocy, to może nas panowie puszczać i jakoś damy sobie radę?

Ale oni pozostali niewzruszeni.

– Proszę pokazać dokumenty – zażądał mundurowy stanowczym głosem. Po tonie poznałam, że żarty się skończyły i naprawdę jesteśmy w opałach.

– Muszę iść do samochodu – wskazałam toyotę – mam tam torebkę.

– Pogrzało cię, Kaja?! – wrzasnęła Mini. – Mamy ważniejsze sprawy na głowie!

Spojrzała na funkcjonariuszy i bez zastanowienia rzuciła w ich stronę:

– Walcie się.

Czasem zastanawiamy się, co by było, gdyby... Co by się stało, gdybyśmy powiedziały do słuchu niesprawiedliwemu nauczycielowi czy szefowi? Wygarnęły wszystko przyjaciółce, chłopakowi, rodzicom? Gdybyśmy nie trzymały języka za zębami w chwilach, gdy wprost nosi nas, by wyznać wszystko, co nam leży na sercu? Ale się na to nie decydujemy. Bo nie wypada, bo brakuje nam odwagi, bo się boimy, bo po prostu tak się nie robi. To taka umowa społeczna, że pewnych rzeczy się nie mówi.

Lecz dziś przekonałam się, co się dzieje, gdy wściekła kobieta mówi do policjantów, aby się walili.

Szóstego października, parę minut po dwudziestej, wylądowałyśmy na komisariacie.

Rozdział 15

Niewiele znam mądrzejszych przysłów od tego, że milczenie jest złotem, a mowa tylko srebrem. Gdyby Mini ugryzła się w język, spędzałabym przyjemny wieczór w domu, przy muzyce lub czytaniu, ćwicząc (daj Boże) albo udoskonalając swoje portfolio ze zdjęciami. Tymczasem siedziałam na niewygodnym krześle naprzeciwko oficera dyżurnego, w smętnych czterech ścianach, z których schodziła farba. Bóg się nad nami zlitował, że oficer przynajmniej był przystojny. Przedstawił się jako Robert Wysocki. Jak z książki lub filmu, pomyślałam.

Nie odzywałam się do Mini. Chyba jeszcze nigdy nie byłam na nią tak wściekła – nawet wtedy, gdy wyrzuciła mnie ze swojego domu. Dzisiaj dała popis własnej głupoty. Nie mogłam na nią patrzeć. Gdy mundurowi zdecydowali, że zepchną jej zepsutego opla do zatoki i kazali nam wsiąść do radiowozu z zamiarem zabrania nas na komisariat, warknęłam, żeby nic do mnie nie mówiła, i cudem się powstrzymałam, by nie wydlubać jej oczu. Mini zresztą też nie była szczególnie rozmowna.

– Nieźle panie nabroiły – odezwał się dyżurny, dobrze zbudowany ciemnowłosy mężczyzna po czterdziestce, kiedy spisał już nasze dane z dowodów osobistych. Obie siedziałyśmy do siebie bokiem, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i nogami założonymi na nogę. – Jest takie peerelowskie powiedzenie – mówił dalej – „dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”. Po tym, co panie dziś zrobiły, tych paragrafów znalazłoby się całkiem sporo.

Wbiłam w niego mordercze spojrzenie.

– Co dokładnie nam pan zarzuca? – zapytałam.

Uśmiechnął się, jakby ta cała sytuacja bardzo go bawiła.

– Zablokowanie pasa ruchu, rzucanie przekleństw w miejscu publicznym, obraza policjanta na służbie, odmowa pokazania dokumentu tożsamości...

Świetnie, pomyślałam, tyle że akurat ja nie mam nic na sumieniu. Nie mogłam jednak wstać i wyjść, bo siedziałam w tym po uszy, a poza tym, bądź co bądź, Mini to moja przyjaciółka, nawet jeśli się chwilami zachowywała jak ktoś bez piątej klepki.

– Dobrze, więc skoro dałyśmy dowody osobiste – zwróciłam się do dyżurnego, próbując opanować zdenerwowanie – i zanotował pan tam sobie co trzeba, możemy już pójść?

Zaśmiał się głośno i bezczelnie.

– Podoba mi się pani, pani Kajo.

– Kaju – poprawiłam go.

– Słucham?

– Moje imię w wołaczu brzmi Kaju, nie Kajo – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

– Skoro tak... – Dyżurny machnął ręką. – Teraz dmuchną panie w balonik.

Mini raptownie poderwała się z miejsca i wybuchła niczym mina na polu.

– Niech pan mnie posłucha, panie władzo, posterunkowy czy jak tam na pana mówią. Może i byłam wściekła i nie pasowało mi towarzystwo pana kolegów, ale chyba nie sądzi pan, że byłam tak głupia, by wsiąść za kółko po pijaku?!

Ze świstem wypuściłam z ust powietrze. Czy ta kobieta nie może się po prostu przymknąć? Żałowałam, że nie ma z nami Madzi, bo pewnie bym się tak nie denerwowała.

Dyżurny popatrzył na Mini z politowaniem, znowu coś zanotował, a po chwili spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem, który przyprawił mnie o dreszcz. Miał z nas niezły ubaw, a Mini nadal się ośmieszała, zamiast siedzieć z buzią na kłódkę.

Test alkomatem, co jasne, zdałyśmy i po czterdziestu pięciu minutach dyżurny oznajmił, że jesteśmy wolne.

– Na pani miejscu – zwrócił się do Mini, która nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem i pośpiesznie próbowała napisać SMS-a, w czym przeszkadzały jej szponiaste paznokcie – tak bardzo bym się nie cieszył. Za te wszystkie wykroczenia spodziewałbym się na dniach mandatu.

Mini jęknęła coś niezrozumiałego, wywróciła oczami i bez słowa pożegnania opuściła komisariat. Byłam już przy drzwiach, gdy Robert Wysocki mnie zatrzymał.

– A co do pani, pani KAJU... – wyraźnie zaakcentował moje imię.

– Widzę, że szybko się pan uczy.

Jego twarz rozświetlił zawadiacki uśmiech.

– Tak, to, co mnie interesuje, przyswajam błyskawicznie. Więc jest pani wolna, ale radzę mieć oko na koleżankę. Ma niewyparzony język.

– Nie musi mi pan tego mówić – odparłam i chwyciłam za klamkę.

– Do zobaczenia – pożegnał się miękkim głosem, nie odrywając ode mnie wzroku.

Do zobaczenia?! O nie, po moim trupie. Nigdy w życiu!

– Dobranoc – powiedziałam stanowczo i wyszłam z komisariatu.

Złość na Mini szybko mi przeszła. Ostatecznie wszystko skończyło się dobrze, a gdy odprowadziła mnie do domu, zgodziła się, że dała ciała i wyraziła szczerą skruchę.

Aby jej nie dołować, nie wróciłam do tematu Arka, choć czułam przez skórę, że w głębi serca miała do niego żal, że nie pomógł jej w potrzebie.

– Ten posterunkowy chyba miał na ciebie oko – stwierdziła przed wyjściem.

– Mini, daj spokój. Niby wszyscy mają na mnie oko, a jakoś ciągle mieszkam z rodzicami.

Choć zabrzmiało to poważnie, wybuchnęliśmy śmiechem i przytuliliśmy się.

– Dasz sobie radę? – zapytałam.

– Wróć taksówką. A samochód niech sobie teraz Areczek odbiera sam. – Zachichotała jak przebiegła czarownica, złapała taryfę i odjechała.

Następnego dnia przygoda z oplem Mini i policjantami była już anegdotą, którą z rozbawieniem opowiedziałam rodzicom oraz współpracownikom (królowa Zoja przysłuchiwała się na uboczu, a gdy Piotrek trzeci raz zapytał, czy moja koleżanka naprawdę powiedziała mundurowym „walcie się”, lodowatym głosem zwróciła mi uwagę, bym nie zawracała innym głowy głupstwami i zajęła się tym, co do mnie należy). Kiedy w piątek po pracy spotkałyśmy się we trójkę w Słodkiej Babce, Madzia o mało nie spadła z krzesła, tak ją ta historia rozbawiła.

Czekałyśmy jeszcze, czy Mini dostanie mandat – i w jakiej wysokości – jednak to do mnie w sobotę po południu zadzwonił oficer dyżurny Robert Wysocki. Byłam właśnie na klatce schodowej, wracałam ze ślubnej sesji zdjęciowej, którą w ramach prezentu zaproponowałam dobrej koleżance, gdy moja komórka rozbrzmiała szaloną melodyjką.

– Słucham? – przemówiłam niepewnie, bo numer był mi nieznanym.

– Dzień dobry, tu oficer Robert Wysocki, spotkaliśmy się dwa dni temu na komisariacie...

Ze zdziwienia przystanąłam.

– Dzień dobry. Tak, pamiętam pana. Coś się stało?

– Nie, nie, nic się nie stało. – Zaśmiał się w typowym dla siebie stylu. – Trzeba tylko jeszcze złożyć na dokumentach kilka podpisów.

– Jak to? – spytałam, marszcząc czoło. – Myślałam, że wszystko załatwione.

– To nic poważnego, po prostu zapomniałem o paru podpisach, niech się pani nie martwi. Taka procedura.

Bardzo dziwna, pomyślałam. Cóż, papierologia. Nic nowego w tym kraju.

– No dobrze, mogę przyjść na komisariat po weekendzie?

– Wie pani, nie bardzo – jęknął Robert Wysocki. – W zasadzie muszę mieć to na już. Ale spokojnie, przyjadę do pani. Jest pani teraz w domu?

Jak żyję, jeszcze nigdy nie słyszałam, by w takich drobnych sprawach oficerowie sami fatygowali się do domów zwykłych zjadaczy chleba po podpis na jakichś mało istotnych dokumentach. Ale skoro nalegał, w zasadzie tym lepiej dla mnie.

– Jestem.

– Za pół godziny by pani pasowało?

– Tak.

– Świetnie, w takim razie zadzwonię, gdy podjadę pod pani dom.

O ironio losu. A jednak jego „do zobaczenia”, którym pożegnał mnie w czwartek, okazało się prorocze. Jak samospełniająca się przepowiednia. Gdyby się tak wtedy z nas nie śmiał, nie musiałby teraz zawracać mi głowy jakimiś podpisami. Szkoda, że nie zapytałam, czy do domu Mini też pofatyguje się osobiście.

Zdażyłam jedynie odświeżyć się naprędce, włożyć cieplejsze ubranie, bo październikowe wieczory były już chłodne, spiąć włosy, gdy Robert Wysocki ponownie zadzwonił. Miałam nadzieję, że załatwimy to w pięć, dziesięć minut, na wszelki wypadek jednak chwyciłam torebkę.

Wyszłam z kamienicy i rozejrzałam się zdezorientowana – w zasięgu wzroku nie było żadnego radiowozu, Roberta też ani śladu. Zmarszczyłam brwi, gdy rozjarzyły się przednie światła czarnego volva zaparkowanego w zatoce. Wytężyłam wzrok i zauważyłam, że za kierownicą siedzi mężczyzna. Robert Wysocki we własnej osobie. Gdy po chwili pukałam w boczną szybę, wyraźnie ucieszył się na mój widok – wyglądał jak dziecko, które pogodnieje, gdy wręcza się mu wymarzoną zabawkę. Ruchem dłoni zaprosił mnie do środka, więc posłusznie wsiadłam.

– Dzień dobry – przywitałam się. – Ależ pan punktualny.

– Dzień dobry. Ma się rozumieć, choć zapewniam, że zalet mam znacznie więcej. – Uniósł grubą brew, patrząc na mnie niczym Don Juan.

– Myślałam, że przyjedzie pan radiowozem – rzekłam, puszczając jego uwagę o zaletach mimo uszu.

– To *jest* radiowóz, tyle że nieoznakowany. – Mrugnął do mnie i odpalił silnik.

– Jedziemy dokądś? – spytałam zaskoczona.

– Przecież pani nie porwę. – Zachichotał. – Niech się pani zrelaksuje, taka procedura.

Powtórzył to już drugi raz, a ja zachodziłam w głowę, z jakiego to właściwie powodu w tak dziwaczny sposób spędzałam sobotnie popołudnie. Włączył się do ruchu i zaczął mnie zagadywać.

– Pani jest bardzo wyjątkową kobietą, pani Kaję. A myślałem, że w Radomiu nie ma

już takich kobiet.

– Tak? A to niby czemu? – zdenerwowałam się. Co za tupet!

– Bo wszystkie co ciekawsze stąd pouciekały – stwierdził i nachylił się w moją stronę. – Nie wie pani, jak mówią na Radom? Że to stolica zmęczenia. Radom – stolica zmęczenia, tak właśnie mówią.

– Zrozumiałam za pierwszym razem – mruknęłam, czując, że to wszystko coraz mniej mi się podoba. – Dokąd właściwie jedziemy? Minął pan komisariat.

Zaśmiał się bezczelnie jak Rhett Butler naigrywający się ze Scarlett O'Hary, choć daleko mu do niego było. Mnie do Scarlett zresztą też.

– Właściwie to panią oszukałem, pani Kaju – oznajmił nagle. – Prawda jest taka, że panią porywam.

– Słucham?!

– Porywam panią na randkę.

Jezuniuświętyaniolowieświęciboże – pomyślałam z prędkością światła, z trudem mogąc się skupić. Czulałam, jak w moim mózgu powstaje gigantycznych rozmiarów bryła wypchana po brzegi znakami zapytania.

– Na jaką znowu randkę?! – prawie krzyknęłam.

Spojrzał na mnie jak na nieposłuszne dziecko.

– No na najnormalniejszą w świecie randkę – wytłumaczył, jakby to było zupełnie normalne. – Chciałem mieć pewność, że mi pani nie odmówi.

Opadłam na fotel. W głowie mi się kręciło.

– To znaczy, że mnie pan okłamał? Nie ma żadnych podpisów? Żadnych dokumentów?

– Od razu okłamał, to takie brzydkie słowo. Niech będzie, że minąłem się z prawdą. – Znowu do mnie mrugnął. – Nie ma pani ochoty na dobrą kolację?

Byłam na niego wkurzona jak diabli, choć jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie zrobił ze mną czegoś takiego... Było to jednocześnie frustrujące i fascynujące – Mini nazwała kiedyś tego typu sytuacje „2F”. Stwierdziła, że w głębi ducha marzy o tym każda kobieta. By być kokietowaną, zdobywaną, uwiedzioną. Skoro więc wsiadłam już do tego samochodu i znałam prawdę, nie było sensu psuć sobie krwi. Miałam swoje 2F.

– W zasadzie to jestem głodna jak wilk – stwierdziłam, uśmiechając się do Wysockiego. – Może zatem zacniemy od przejścia na ty?

Po parunastu minutach jazdy Robert zatrzymał volvo, a zaparkował w takim miejscu, że aż włosy stanęły mi dęba. Zastawił pół chodnika, a mimo to był wyraźnie z siebie zadowolony, jakby fakt, że ma władzę i różne przywileje, pozwalał mu łamać przepisy.

Zaprowadził mnie do Pieczonej Kaczki, eleganckiej restauracji niedaleko miejskiego parku. Ciągle jeszcze nie wiedziałam, czy go polubiłam, postanowiłam jednak po prostu dobrze się bawić.

Zajęliśmy stolik w sali dla niepalących. Robert nie miał na sobie munduru, tylko czarny sweter. Był przystojniakiem. Rzuciłam okiem, czy nosi obrączkę. Nie nosił.

Zamówiłam makaron z kurkami i prędko pobiegłam do łazienki. Gdybym wiedziała, że to randka, coś bym zrobiła z włosami, mocniej się umalowała, ubrała jak należy... Tymczasem miałam na sobie sprane jeansy, biały top i luźną szarą tunikę. Zsunęłam ją z ramienia, odsłaniając nieco ciała, zmierzwiłam włosy, by nie wyglądały na przylizane, szczyptałam się kilka razy w policzki i porządnie wytuszczałam rzęsy – całe szczęście, że miałam przy sobie maskarę. To śmieszne, pomyślałam, że kobieta zawsze chce się podobać. Nawet jeśli nie jest pewna, czy facet wpadł jej w oko.

Gdy uznałam wreszcie, że wyglądam znośnie, wróciłam do stolika, gdzie czekała już na mnie lampka czerwonego wina. Robert popijał colę. Widziałam w jego oczach, że mu się podobam. To miłe, ale nie lubię, gdy ktoś tak bezczelnie lustruje mnie wzrokiem. Szybko chwyciłam kieliszek i wlałam w siebie połowę jego zawartości.

– Półśłodkie. Chyba trafiłem w twój gust. – Zaśmiał się.

– Trafiłeś – odparłam krótko.

Miał taką minę, jakby wyobrażał mnie sobie nago. Frustrujące i fascynujące.

– Może opowiesz mi coś o sobie? Dobrze pamiętam, że pracujesz w gazecie jako fotografka?

– Fotoreporterka – poprawiłam go. Ależ byłam okropna. – Tak, w „Głosie Radomia”.

– Pięknie. – Zaczekał. – Czytałem ostatnio jakiś wasz artykuł. Rozśmieszyło mnie, że nazywają Radom Dziadomiem.

Posłałam mu nieszczerzy uśmiech.

– W ogóle wpisz sobie w Google „Radom to...”, a przekonasz się, mała – produkował się dalej – jaka opinia o nas krąży. Radom to wiocha, dziura, zadupie. Niektórzy nawet pytają wujka Google, czy Radom jest bezpieczny. Chyba im się wydaje, że tu ludziom gardła w biały dzień podrzynają.

Nie podobał mi się sposób, w jaki ze mną rozmawiał. Ja byłam małą, a Radom zadupiem. Cudownie.

– Możemy zmienić temat? – mruknęłam.

– Pewnie, jeśli chcesz. To może jednak porozmawiamy o tobie? – spytał i poprosił kelnerkę, by przyniosła mi drugi kieliszek wina. – Widzę, że lubisz się napić.

– To nie tak – zaprotestowałam szybko, chociaż właściwie nie wiem dlaczego. – Może trochę. Chyba mnie za to nie aresztujesz?

Znowu parsknął śmiechem. Był frustrujący i fascynujący. Niebezpieczny typ mężczyzny. Z jednej strony miałam go po dziurki w nosie, z drugiej coś mnie jednak do niego ciągnęło.

Zjedliśmy smaczną kolację, a po niej deser, wyborny sernik. Robert flirtował ze mną przez cały wieczór. I mimo że po dwóch spędzonych razem godzinach nadal nie wiedziałam, czy go lubię – podobał mi się, ale bardzo denerwował mnie jego sposób bycia, zwłaszcza stosunek do Radomia – również zaczęłam go kokietować. Wino też zrobiło swoje; po alkoholu zazwyczaj nie poznawałam samej siebie.

Kiedy więc wsiedliśmy z powrotem do volva i Robert zapytał, czy mam ochotę pojechać do niego, nie musiał mnie długo namawiać.

Zgodziłam się. Naprawdę to zrobiłam!

Rozdział 16

Każda kobieta powinna powiesić sobie nad łóżkiem tabliczkę ze słowami (albo jeszcze lepiej wytatuować je sobie na grzbiecie dłoni): NIE KONTYNUUJ ZNAJOMOŚCI Z MĘŻCZYZNĄ, KTÓREGO NIE POLUBIŁAŚ. Jakie to oczywiste, prawda? W teorii – a i owszem. Ale w praktyce, gdy jesteś świeżo po rozstaniu, masz prawie trzydzieści lat na karku i swoje potrzeby i podrywa cię przystojny policjant, a w dodatku lekko ci się kręci w głowie po spożyciu alkoholu – sprawa się komplikuje. Wtedy trudno stwierdzić, co jest dobre, a co złe.

Popełniłam ten błąd, przyjmując zaproszenie od Roberta Wysockiego. Mądra Polka po szkodzie. Do końca życia będę sobie powtarzać, że jeśli mężczyzna nie budzi sympatii, to po prostu należy usunąć go ze swojego otoczenia.

Moje sumienie obciążało niewiele głupstw natury damsko-męskiej, a tego wieczoru postanowiłam, że mogę pozwolić sobie na coś więcej. Powiedzieć TAK w sytuacji, w której powinnam powiedzieć NIE. Bo miałam na to ochotę.

– Naprawdę rzadko spotykam takie kobiety jak ty – oznajmił Robert, gdy jechaliśmy do niego. Szumiało mi w głowie jak nie wiem co, więc oparłam czoło o zimną szybę. – Pomijam już fakt, że jesteś atrakcyjna... Ale masz charakterek i to mi się podoba. Nie dajesz sobie w kaszę dmuchać.

Na Boga, ciągle frustrujący i jednocześnie fascynujący.

– Radomianki i w ogóle kobitki w większości są jak ptaszki w klatce – mówił z przejęciem. – Niby ładne, intrygujące, przyciągające uwagę, ale jakieś takie kompletnie bezwolne, wiecznie naburmuszone i nieszczęśliwe. Brak im pewności siebie. Nudzą ci się po paru dniach. Jak papużki faliste albo kanarki.

Aż się we mnie zagotowało. Nie, zdecydowanie go nie lubiłam. Starłam się jednak o tym nie myśleć, gdy zatrzymał samochód pod kamienicą, w której mieszkał. Za chwilę będę w jego domu. Ulica Główna. Znałam tę okolicę, bo kiedyś przyjeżdżaliśmy tu na rowerach z...

– Zapraszam do siebie. – Mrugnął do mnie zalotnie, objął ramieniem i zaprowadził do swojego mieszkania. Znajdowało się na drugim piętrze czterokondygnacyjnego, wysłużonego, choć zadbanego budynku – balkony pełne kwiatów, krótkie firaneczki w oknach i takie tam. Było już grubo po dwudziestej drugiej, cisza wokół jak makiem zasiał, aż dreszcz mnie przeszedł. Gdyby coś mi się stało i zaczęłabym krzyczeć

uwięziona w mieszkaniu policjanta psychopaty, czy ktokolwiek zdołałby pomóc?

– Kaja? Zamyślona? Bo mam nadzieję, że nie zmęczona. – Złapał mnie za podbródek, spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się niczym Rhett Butler (który to już raz! Był niemożliwy z tym swoim uśmiechem).

Weszliśmy do środka. Już w progu zauważyłam, że mieszkanie było odnowione w gustowny sposób i pachniało nowoczesnością. Podobało mi się. Nie zdążyłam się jednak nawet rozejrzeć, bo Robert bez słowa objął mnie w pól, przyciągnął do siebie i obsypał gradem pocałunków.

Kręciło mi się w głowie od nadmiaru drinków, emocji i wrażeń. Całowaliśmy się szybko, zachłannie i namiętnie. Nasze ubrania utworzyły zygzakowatą ścieżkę prowadzącą do jednego z pokoi, a gdy się w nim znaleźliśmy, byliśmy już półnaczy. Wszystko działo się w tak błyskawicznym tempie, że nie zdążyłam się nawet zastanowić nad tym, co robię, i ewentualnie się wycofać. Nie polubiłam Roberta, ale był przystojny i w tym momencie akurat to okazało się ważniejsze.

Kobiety w chwili takiej jak ta zwykle martwią się, czy dobrze pachną, czy nie wyglądają grubo, czy założyły ładną bieliznę, kiedy ostatnio się depilowały... Ja nie miałam na to czasu! Nie zdążyłam się nawet obejrzeć, a już byliśmy w łóżku, rozpaleni do czerwoności, dyszący ciężko i przede wszystkim mocno rozochoceni.

Wpiłam paznokcie w kark Roberta i odchyliłam głowę, kiedy zaczął całować mnie w szyję, gdy nagle (o Boże) coś usłyszałam. Oboje zastygliśmy w bezruchu.

– Słyszałeś to?

– Słyszałaś to?

Słowa wyskoczyły z nas równocześnie – leżeliśmy spleceni w mocnym uścisku, wyęzając słuch. Minęło kilka sekund i dźwięk rozległ się znowu. Brzmiał jak skrobanie w ścianę albo raczej... jak obracanie klucza w zamku.

Robert wytrzeszczył oczy, zeskoczył ze mnie i zaczął nerwowo rozglądać się za jakimś ubraniem.

– Co jest grane? Kto to? – zapytałam, okrywając się kołdrą i czując się jak skończona idiotka.

Robert w mig wsunął na siebie bokserki, złapał szlafrok, który wisiał na drzwiach, i syknął do mnie:

– Ubieraj się! Już!

Bardzo, bardzo, *bardzo* mi się to nie podobało, ale nie chciałam się ośmieszyć, więc odnalazłam przy łóżku swoją bieliznę i gdy zaczęłam się w pośpiechu ubierać, Robert wymknął się z pokoju, pozostawiając mnie samą za zamkniętymi drzwiami. Usłyszałam, jak rozmawia z jakąś kobietą. Kim była? Matką? Niewykluczone,

choć...

Dopiero teraz mogłam rozejrzeć się po pokoju, w którym wylądowaliśmy, i kiedy włączyłam lampkę, o mało nie zemdlłam. Patrzyłam na podwójne, małżeńskie łóżce, na którym leżała pognieciona, ogromna kołdra, stanowczo za duża jak na jedną osobę. Po obu stronach łóżka stały szafki nocne – na jednej wypatrzyłam stosik książek i zegarek, a na drugiej paprotkę, jakieś czasopismo i krem do rąk. Na drzwiach wisiał szlafrok w jasnym kolorze. Pod ścianą znajdowała się toaletka z owalnym lustrem, a przed nią futrzana pufa. Ściany pomalowano na beżowo i fioletowo, co raczej nie pasowało do czterdziestoletniego policjanta.

Ja chyba śnię, pomyślałam i zaczęłam nerwowo rozglądać się za swoimi ubraniami – odnalazłam bieliznę i bawełniany top; reszta została za drzwiami. Skamieniałam. Poczulałam się, jakbym dostała w twarz. To skurczybyk! Jeszcze chwila i byłam pewna, że eksploduję. Chciałam tylko jak najszybciej wydostać się z tego przekłętą mieszkania, nawet jeśli oznaczałoby to brak możliwości powiedzenia Robertowi, co o nim myślę. Że też nie mogłam się teleportować jak Harry Potter!

Drżącymi rękami wkładałam koszulkę, kiedy drzwi rozwarły się szeroko. W progu stanęła całkiem ładna, choć sporo ode mnie starsza kobieta. Krótka obcięta blondynka z modną grzywką na bok, mocno umalowana i ubrana w beżowy płaszcz po kostki. Jej twarz dosłownie pulsowała od emocji. Była wściekła. Zdezorientowana. Załamana. Rozczarowana. Smutna. Rozżalona. Poruszona. Rozgoryczona. Tuż za jej plecami stał Robert i mamrotał coś niezrozumiałego. Nim zdążyłam wydusić z siebie choćby słówko, blondynka rzuciła się w moją stronę.

– TY ŚCIERKO! – ryknęła, chwyciła mnie za włosy i mocno je pociągnęła. – JAK ŚMIESZ?! W MOIM DOMU... – krzyczała mi do ucha, podczas gdy ja próbowałam się wyrwać. Marzyłam, by zniknąć, zapaść się pod ziemię.

Dopadł nas Robert, usiłując rozdzielić. Z oczu blondynki trysnęły łzy. Odepchnęłam ją z całych sił i wrzasnęłam:

– Nie mówił, że kogoś ma! Nic nie powiedział!

Kobieta w końcu skapitulowała – stała jak manekin na środku sypialni, płacząc i ciężko dysząc. Patrzyła to na mnie, to na Roberta, któremu wstyd wylazł na twarz w postaci wielkich bordowych plam. Rzucił mi krótkie spojrzenie – pierwszy raz, odkąd jego partnerka, narzeczona, żona, eksmałżonka (niepotrzebne skreślić) wróciła do domu.

– Przecież nie pytałaś – mruknął do mnie.

To bydlak.

Blondynka chwyciła go za nadgarstek i przyjrzała się jego dłoni.

– Boże Świąty – przemówiła o pół tonu ciszej. – Gdzie. Masz. Obrączkę? – spytała, akcentując każdy wyraz i sztyletując Roberta spojrzeniem.

To był dobry moment, by się ulotnić. A jednak żona. Żona! Boże, Boże, Boże. W najśmielszych snach bym nie podejrzewała, że spotka mnie coś takiego. Już nawet nie chodzi o wstyd, tylko zrobiło mi się żal tej kobiety. Robert Wysocki swoim zachowaniem przebił Arka Filipka, chociaż w zasadzie przeszedł sam siebie.

– GDZIE MASZ OBRĄCZKĘ, SIĘ PYTAM?! – wrzasnęła blondynka. Był to dopiero początek hysterii, w którą za chwilę miała wpaść. Słuchałam, jak obrzuca Roberta inwektywami, podczas gdy ja z prędkością światła zbierałam swoje ubrania z podłogi i próbowałam założyć je na siebie w możliwie jak najkrótszym czasie. – Kim jest ta kobieta?! – krzyczała dalej. – Jesteś skończonym łajdakiem! Jesteś skurwysynem! Już raz to zrobiłeś, a ja, idiotka, ci wybaczyłam! I tak mi się odwdzięczasz?!

Już przy drzwiach przeszło mi przez myśl, że może dobrze byłoby wrócić i coś powiedzieć żonie Roberta. Tylko co? Że ją przepraszam? Nic gorszego bym nie mogła zrobić. Że nie wskakuję facetom do łóżka na pierwszej randce? Że gdybym wiedziała, że Robert ma żonę, nigdy, przenigdy bym się tu nie znalazła? Tak, chciałam, żeby to wiedziała, ale te słowa miały pozostać niewypowiedziane na zawsze. Mogłam jej tylko szczerze współczuć.

Chwyciłam płaszcz, torebkę i wybiegłam z mieszkania. Chłodny wiatr, który omiatał moją twarz, dawał ukojenie, ale tylko na krótką chwilę. Wciąż miałam ściśnięte gardło, rozpalone policzki, drżące dłonie. Stawiałam szybkie, choć niepewne kroki, przepełniona złością i rozgoryczeniem.

Powiedzieć, że czułam się poniżona, to za mało. Wydawało mi się, że odchodzę od zmysłów! Serce łomotało mi w piersi, pot spływał po plecach. Gnałam na postój taksówek jak w transie, modląc się w duchu, żeby to był tylko zły sen, z którego zaraz się obudzę. Wciąż miałam przed oczami Roberta, jego sypialnię i tę kobietę, o której nie mogłam przestać myśleć. Doskonale pamiętałam, jak nazwała mnie ścierką i jak spytała Roberta, gdzie ten ma obrączkę. Dlaczego pamięć w takich chwilach nie zawodziła? Dlaczego zamiast przejmować się sobą, zastanawiałam się, czy blondynka wyrzuciła niewiernego męża z domu, czy może sama odeszła? Czy będzie miało znaczenie, jeśli Robert jej powie, że nie zdążyliśmy tego zrobić?

Kiedy wsiadałam do taksówki, czując, jak łyzy palą mnie pod powiekami, towarzyszyło mi właściwie jedno uczucie.

Smutek.

Nie mogłam spać tej nocy. Przez kilka godzin wierciłam się w łóżku, przewracając się z boku na bok, jakbym spała na ziarnku grochu. Próbowałam jakoś sobie to wszystko poskładać, ale właściwie nie było nad czym się rozczulać. „Dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”. O, ironio! Czy próba zdradzenia własnej żony była wykroczeniem, czy może już przestępstwem? A oszukanie kobiety, by zaciągnąć ją do łóżka?

Tak, Robert miał rację. Nie zapytałam go, czy się z kimś spotyka. Chyba powinnam włączyć Facebooka i napisać na tablicy wielkimi literami przesłanie do kobiet: „Zawsze pytajcie mężczyznę, z którym zamierzacie się kochać, czy kogoś ma. Bo obrączkę może trzymać w szufladzie”. Dziękowałam Bogu, że jego żona nie pojawiła się parę minut później, bo wtedy zdrada małżeńska z moim udziałem stałaby się faktem i musiałabym dźwigać taki ciężar. A przecież kobieta nie powinna być kobiecie wilkiem.

Naprawdę wierzyłam, że przeżywam swoje 2F. Owszem, było fascynująco – do czasu. Potem już tylko frustrująco. Miałam jednak w nosie takie przeżycia. Wiedziałam, że nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy żony Roberta. Wyglądała, jak gdyby spłynęły na nią wszystkie negatywne uczucia świata, jak gdyby otworzyła własną puszkę Pandory. To cud, że gdy się na mnie rzuciła, nie poraziła mnie prądem. Wciąż jeszcze czułam ból głowy po tej szarpaninie – ciągnięcie za włosy to zdecydowanie nic przyjemnego.

„Pani jest bardzo wyjątkową kobietą, pani Kaju. A myślałem, że w Radomiu nie ma już takich kobiet. Bo wszystkie co ciekawsze stąd puciekały”.

„Nie wie pani, jak mówią na Radom? Że to stolica zmęczenia”.

„Czytałem ostatnio jakiś wasz artykuł. Rozśmieszyło mnie, że nazywają Radom Dziadomiem”.

„W ogóle wpisz sobie w Google *Radom to...*, a przekonasz się, mała, jaka opinia o nas krąży. Radom to wiocha, dziura, zadupie. Niektórzy nawet pytają wujka Google, czy Radom jest bezpieczny. Chyba im się wydaje, że tu ludziom gardła w biały dzień podrzynają”.

„Radomianki i w ogóle kobitki w większości są jak ptaszki w klatce. Niby ładne, intrygujące, przyciągające uwagę, ale jakieś takie kompletnie bezwolne, wiecznie naburmuszone i nieszczęśliwe. Brak im pewności siebie. Nudzą ci się po paru dniach. Jak papużki faliste albo kanarki”.

Kolejne zatrute zdania wypowiedziane przez Roberta eksplodowały w mojej głowie z siłą wulkanu. Nie zdawałam sobie sprawy, że było ich aż tyle. Jak to możliwe, że jeden człowiek wypowiedział tak wiele gorzkich słów o moim mieście i o kobietach w jeden wieczór, a ja nie kazałam mu iść do diabła? Musiałam być albo pijana, albo spragniona bliskości. A przecież nawet go nie polubiłam! Już nigdy, przenigdy,

w żadnym wypadku nie będę zawracała sobie głowy mężczyzną, który nie wzbudzi mojej sympatii.

Wmawiałam sobie, że muszę być twarda, ale nad ranem, gdy już świtało, pękłam i popłakałam się jak dziecko. W poduszkę, by nie usłyszeli mnie rodzice. Wiedziałam, że zachowuję się żałośnie, ale pani Alinka zawsze mówiła, że złe emocje trzeba wypłakać. A ja musiałam się ich pozbyć za wszelką cenę.

Kuliłam się z upokorzenia, gdy uświadomiłam sobie, że chciał mnie zaliczyć żonaty facet. Stróż prawa, dodajmy. Byłam wściekła i smutna, że zostałam tak potraktowana. Głowa puchła mi od wspomnień. „W ogóle wpisz sobie w Google *Radom to...*, a przekonasz się, mała, jaka opinia o nas krąży. Radom to wiocha, dziura, zadupie”.

A żebyś wiedział, że wpiszę to w Google, i sprawdzę, co tacy jak ty wypisują o naszym mieście. Otarłam łzy spod oczu, wzięłam się w garść, położyłam sobie laptopa na brzuchu i połączyłam się z internetem.

Rozdział 17

Chciałabym powiedzieć, że Robert się mylił. Niestety. Opinia o Radomiu krążąca po sieci była przygnębiająca – w jej ustaleniu pomogły mi podpowiedzi Google’a fachowo zwane autouzupełnianiem, które podobno odzwierciedlały najczęstsze wyszukiwania internautów.

Wpisałam „Radom to...” i Google dokończyły za mnie: wiocha, dziura; nie miasto, to stan umysłu; stolica zmęczenia (Robert był jednak dobrze poinformowany).

Dalej: „Radom nie jest poematem”, pytanie, czy Radom jest bezpieczny (no nie, Wysocki znowu miał rację!) albo w jakim jest województwie. Mazowieckim! – miałam ochotę krzyknąć do monitora. To była nietypowa (i nieco denerwująca) zabawa, która wciągnęła mnie na dobre – wołałam to od wspomnienia wydarzeń sprzed paru godzin, które zalegały w moim umyśle niczym nieświeży posiłek na żołądku. Od czasu do czasu natrafiałam na perełki typu „Najmądrzejsi ludzie pochodzą z Radomia”. Niewiele podpowiedzi było na temat radomianek, chyba że ktoś szukał przepisu na to pyszne ciasto. Natomiast o Polkach...

Polki to pasztety; materialistki; wieśniary; piękne biedaczki (że co, proszę?!); brzydule; najładniejsze dziewczyny świata (ciekawy rozdzźwięk); idiotki. Lecz to i tak był tylko czubek góry lodowej. Przeglądanie podpowiedzi było jednocześnie fascynujące i frustrujące. Czyli miałam jednak swoje 2F.

Wujek Google wyrzucał z siebie kolejne dziwaczne (i zazwyczaj smutne) hasła. Do „Polki są” dorzucił: łatwe; niedokochane (nowy wyraz w moim słowniku); wredne, najpiękniejsze; głupie; agresywne; zakompleksione. Gdy jednak natrafiłam na: „Dlaczego Polki nie lubią Polaków i wolą obcokrajowców”, ręce mi opadły i stwierdziłam, że na dzisiaj wystarczy.

Mówią, że głupota + ideologia to mieszkanca wybuchowa, tymczasem okazało się, że głupota + internet to jeszcze gorsze zestawienie. Z tych poszukiwań zapamiętałam jednak dwa zdania (choć licząc podpowiedź ze słowem „niedokochane”, które wbiło mi się w umysł, to w sumie trzy):

„Radom to nie miasto, to stan umysłu”

oraz

„Polki są zakompleksione”.

Nagle ogarnęło mnie uczucie tak dziwne i tak piorunujące, że aż musiałam na chwilę

złożyć głowę na poduszce i odetchnąć. Pomyślałam o żonie Roberta, o Madzi i Mini, Renacie Gołębiowskiej i Iwonie Bajeckiej. O wszystkich kobietach, które znałam dobrze i jedynie przelotnie. Pomyślałam o sobie.

Spotykam wiele atrakcyjnych, mądrych dziewczyn, które nie sprawiają wrażenia szczęśliwych. Nie umieją przyjmować komplementów, nie wierzą w siebie, nie są świadome swoich mocnych stron. Zrozumiałam, że kobieta powinna najpierw pogodzić się ze sobą, żeby móc wyznaczać sobie kolejne cele. Tylko w ten sposób można ruszyć z miejsca!

I nie ma znaczenia, czy się mieszka w Las Vegas, czy w Tychach, zarabia najniższą krajową na umowie o dzieło czy kilkadziesiąt tysięcy euro miesięcznie, zajmuje mieszkanie socjalne czy apartament w centrum Warszawy. Tu chodzi o coś więcej. O odkrycie samej siebie i pogodzenie się z kobietą, którą się jest. Jak Renata. Jak Iwona. Jak moja mama.

Madzia byłaby szczęśliwsza, gdyby zaakceptowała swój wygląd i nie próbowała bez końca być kimś innym.

Mini byłaby szczęśliwsza, gdyby nie patrzyła na siebie oczami własnego męża.

Ja byłabym szczęśliwsza, gdyby... gdyby inne kobiety stały się szczęśliwsze. Gdyby radomianki zrozumiały, że Radom może być ich miejscem na ziemi, ich przystanią. Ktoś mógłby powiedzieć, że to zbyt górnotłone, egzaltowane. Ale taka właśnie byłam! Dobrze się czułam we własnej skórze i kochałam Radom (nawet mimo tego, że mieszkały w nim gnidy pokroju Roberta Wysockiego). W zasadzie to mi teraz wystarczało. A poza tym naprawdę nie chciałam, żeby Polki były zakompleksione.

Radom to stan umysłu.

Szczęście to stan umysłu!

Pomyślałam o Robercie, który porównał kobiety do ptaszków w klatce, i zacisnęłam dłoń w pięści. Już ja ci pokażę! Przekonasz się, jakie wspaniałe dziewczyny mieszkają w naszym mieście. I nie tylko tutaj.

Zalogowałam się na Facebooku – zdumiało mnie, że pomimo takiej pory (czwarta z minutami to późna noc czy wczesny ranek?) niektórzy moi znajomi ciągle są dostępni. Utworzyłam stronę zwaną fanpejdzem i zaczęłam wpisywać jej nazwę: SZCZĘŚLIWE RADOMIA... Choć nie, moment. Skasowałam niedokończone słowo i wystukałam na klawiaturze laptopa inne. W rubryce *Informacje* napisałam: „Strona szczęśliwych, pogodzonych ze sobą kobiet”. Od razu opublikowałam pierwszy wpis – zdjęcie Iwony Bajeckiej, to, które zrobiło taką furorę:

WYSZŁAM Z DEPRESJI POPORODOWEJ

ZMIENIŁAM SWOJE ŻYCIE SCHUDŁAM 32 KG

Wszystkim moim znajomym zaproponowałam, by polubili stworzony przeze mnie profil, którego byłam założycielką i jednocześnie pierwszą fanką. W ten oto prosty sposób po kilku minutach w internecie pojawiła się strona pod nazwą SZCZĘŚLIWE POLKI.

Miałam w głowie konkretny plan, co zamierzam publikować, czyje zdjęcie będzie następne i w jaki sposób wpłynę na stan umysłu kobiet, nie tylko z Radomia. Pokażę światu całe szeregi Błękitnych Dziewczyn!

Mama Krysia nie pomyliła się, nazywając mnie niepoprawną idealistką. Takie myślenie i postępowanie dawało mi tyle frajdy i tak bardzo motywowało mnie do działania, że skoro już wystartowałam, nie zamierzałam się zatrzymać.

Jedno wymaga wyjaśnienia. Wiedziałam, że nie sprawię, że bezrobotne kobiety nagle znajdą dobrze płatne posady, a ich mężowie zaczną garnąć się do domowych obowiązków. Ale mogłam spowodować, by zaczęły myśleć o sobie dobrze i polubiły własne odbicie w lustrze. A żeby to osiągnąć, na początek potrzebowałam kilku Błękitnych Dziewczyn, które mogły natchnąć inne kobiety.

Z takim nastawieniem w poniedziałek przed południem popędziłam do Renaty Gołębiewskiej – blogerki od *Mojej kuchni na słodko*. Miałam, dzięki Bogu, wolny dzień, którego nie zamierzałam zmarnować. Uprzedziłam Renatę, że chcę jej zrobić parę zdjęć. Była zdziwiona, ale zgodziła się chętnie.

Gdy otworzyła drzwi, znowu uderzyło mnie, że jest kopią Umy Thurman w *Pulp Fiction*, mimo że przecież wiedziałam, jak wygląda. Tym razem nie powiedziałam jednak słowa na ten temat, bo ważniejsze było, że weszłam do domu Błękitnej Dziewczyny – szczęśliwej, lubiącej swoje miasto i pogodzonej ze sobą.

– Bardzo żałowałam, że się nie spotkałyśmy, gdy przywiozłaś mi zdjęcia – powiedziała Renata, rozlewając kawę do filiżanek. Siedziałyśmy same przy kuchennym stole – córki w szkole, mąż w delegacji, a ona wybierała się dziś do pracy nieco później. – Ale naprawdę wyszły świetnie, dziękuję, że o mnie pamiętałaś.

Od rana czułam to dziwne podniecenie, które towarzyszy nam, gdy coś sobie zaplanujemy, wpadniemy na pomysł, który nas opęta. Chciałam wytłumaczyć Renacie, w jakim celu złożyłam jej wizytę, ale nie wiedziałam, od czego zacząć, więc poprosiłam, by włączyła komputer.

– Jak się sprzedaje twoja książka? – zapytałam.

Twarz Renaty rozpromienił szeroki uśmiech. Zarumieniła się.

– Och, bardzo dobrze! Wskoczyła na listę bestsellerów.

Spojrzałam na nią zaskoczona, ale szczęśliwa.

– O rany, to świetna wiadomość! Muszę powiedzieć w redakcji, żeby koniecznie o tym napisali!

Machnęła ręką i zaraz przeczesła swoje czarne, lśniące włosy.

– Oj, nie musicie przecież, ale byłoby fajnie. Dostaję sporo listów od czytelników, nie tylko od kobiet. – Głową wskazała stosik kopert piętrzący się na szafce pod ścianą.
– Te przyszły w piątek.

– Poważnie? To superwiadomość! I co piszą?

Renata wzruszyła ramionami.

– A różnie. Głównie o tym, że smakują im moje wypieki, że ciasta się udają. Wiele kobiet pisze, że ku swojemu zdumieniu odkryły, że potrafią piec. – Zaśmiała się.

Wbiłam w nią spojrzenie. A jednak już była inspiracją dla innych! Wspaniale. To tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że dobrze postąpiłam, przyjeżdżając tutaj.

– Naprawdę szczerze ci gratuluję – Uśmiechnęłam się do Renaty.

Zalogowałam się na Facebooku i weszłam na stronę SZCZĘŚLIWYCH POLEK. No proszę. W ciągu paru godzin polubiło ją pięćdziesiąt osiem osób. To nic, że głównie moi znajomi. A fotografia z Iwoną zdobyła dziewiętnaście lajków i komentarz Madzi: „Piękna kobieta. Piękne zdjęcie”.

Przesunęłam komputer w stronę Renaty. Przez dłuższą chwilę przyglądała się opublikowanej przeze mnie fotce.

– To Iwona Bajeczka?

– Tak – odparłam, nie kryjąc zaskoczenia jej reakcją. – Znasz ją?

Zachichotała.

– Można tak powiedzieć... Wiesz, pieczenie równa się jedzenie. Byłabym gruba jak balon, gdybym nie ćwiczyła. Do siłowni jakoś nie mam serca, więc włączam sobie jej filmiki przed snem, by trochę się poruszać. Ona jest bardzo popularna w sieci.

– I jest z Radomia – dodałam.

Renata wytrzeszczyła oczy.

– Naprawdę? Nie wiedziałam! No w życiu! Faktycznie, tu jest napisane: „Iwona z Radomia” – zauważyła, przyglądając się mojemu dopiskowi pod zdjęciem. – Ona miała depresję poporodową?

Pokiwałam głową.

– To zdjęcie jest świetne. Ty je zrobiłaś? – ciągnęła Renata cała w euforii. – „Strona szczęśliwych, pogodzonych ze sobą kobiet?” – ze zdziwieniem przeczytała na głos informacje o moim profilu.

– Właśnie w tej sprawie do ciebie przyjechałam. To moje zdjęcie i stworzony przeze mnie fanpejdż. Profil szczęśliwych Polek. Chcę tu zamieszczać właśnie takie fotografie. Z przesłaniem od zwykłych kobiet do zwykłych kobiet. Ma to być taka forma terapii dla fotografowanych dziewczyn i tych, które będą te zdjęcia oglądać.

Renata patrzyła na mnie zdumiona.

– Jej, Kaja, to świetny pomysł. Ale co ja mam z tym wspólnego?

– Chcę, żebyś była druga.

– Ja? Druga? Ale jak to?

Przekonanie Renaty, że jest natchnieniem dla wielu kobiet, a może zainspirować jeszcze więcej, trwało ładnych parę minut. W końcu wyjaśniłam, że chodzi tylko o zapisanie czystej kartki i sfotografowanie się z nią.

– Tylko co ja miałabym na niej napisać?

– Co chcesz. Coś, co uważasz za swój sukces. Coś, z czego jesteś dumna. Możesz napisać zarówno: „Napisałam bestseller”, jak i „Jestem dobra w pieczeniu”. Rozumiesz? To zależy wyłącznie od ciebie.

Chciałam rzucić jeszcze kilka podpowiedzi, ale zdałam sobie sprawę, że Renata już mnie nie słucha. Patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem, a uśmiech na jej twarzy powoli robił się coraz szerszy. W końcu zerwała się z krzesła, krzyknęła, bym szykowała aparat, i po chwili wróciła z dużą kartką oraz czarnym markerem w dłoni.

– Tutaj robimy zdjęcia? – upewniłam się.

– No pewnie, przecież to moje niebo – rzuciła w odpowiedzi i przypomniało mi się, że nazwała tak swoją kuchnię, gdy się poznałyśmy.

Wyjęłam aparat z torby i zaczęłam zmieniać ustawienia, ukradkiem obserwując Renatę, jak ze skupieniem na twarzy pochyla się nad stołem. Cieszyło mnie jej zaangażowanie, choć żałowałam, że nie uprzedziła mnie, z jakim przesłaniem zamierza dać się sfotografować. Kiedy wszystko było już przygotowane, stanęła przede mną i zaprezentowała swoją kartkę, ściskając ją oburącz na wysokości biustu.

– Może być? – zapytała, cała rozpalona i podekscytowana naszą akcją.

Przeczytałam, co napisała, spojrzałam jej w oczy i westchnęłam z ulgą.

– Wspaniale.

Wieczorem na profilu SZCZĘŚLIWYCH POLEK pojawiło się drugie zdjęcie. Była

to czarnowłosa kobieta z grzywką, ładząco podobna do Umy Thurman w *Pulp Fiction*, choć niższa i pulchniejsza. Stała w kuchni, przy stole, na którym znajdowała się stolnica, mikser, słoiczki z mąką, cukrem, masłem orzechowym i miodem. Miała na sobie czerwoną bluzkę w białe grochy. Uśmiechała się subtelnie, ale na tyle wyraźnie, by z miejsca wzbudzić sympatię. Typ dziewczyny, o której i kobieta, i mężczyzna pomyśleliby zgodnie, że wydaje się bardzo miła.

I ta miła dziewczyna, podpisana jako „Renata z Radomia”, ścisnęła kartkę formatu A4, na której grubym czarnym mazakiem napisała:

**WYDAŁAM KSIĄŻKĘ KUCHARSKĄ
POKAZAŁAM KOBIECIOM, ŻE POTRAFIĄ PIEC**

Rozdział 18

Przez kilka kolejnych dni żyłam praktycznie tylko SZCZĘŚLIWYMI POLKAMI. Codziennie przybywało fanów strony, również wśród obcych mi osób. Zdjęcia wzbudziły szerokie zainteresowanie – fotografia z Iwoną miała już ponad trzydzieści polubień i kilka komentarzy. Spodobała się również fotka z Renatą, co cieszyło mnie jeszcze bardziej, bo tego zdjęcia wcześniej nikt nie widział. Odzew był bardzo pozytywny – dwadzieścia siedem lajków i komentarze typu:

„Mam książkę pani Renaty i jestem zachwycona! Dzięki niej zaczęłam piec. Dziękuję!”

„Uwielbiam kobiety z pasją”.

„To zdjęcie to inspiracja! Drukuję i wieszam nad łóżkiem :)”.

„A jednak można mieszkać w Radomiu i osiągnąć sukces”.

„Zamurowała mnie ta fotka ♥♥♥”.

„O rany, mamy polską Umę Thurman! ;)”

Cóż, chodziłam z głową w chmurach. To, co działo się wokół SZCZĘŚLIWYCH POLEK, dodawało mi skrzydeł. Do tego stopnia, że w niepamięć poszła przygoda z gnidą Robertem, a gdy spotkałam się z Mini i Madzią na kawie w Słodkiej Babce, opowiedziałam im zupełnie bez emocji o numerze, jaki wyciął mi ten zakichany policjant. Za to Mini nie kryła oburzenia jego zachowaniem, a Madzia tym, że mówiłam o nim tak spokojnie, jakby nic się nie stało.

– Od razu mi się nie spodobał – zrywała się ta pierwsza. – Cholerny błazen!

– Ale nie jest ci przykro? – przekrzykiwała ją ta druga. – Kaja, przecież wyciął ci okropny numer i w ogóle cię skompromitował, ja bym chyba umarła...

Przez kwadrans mówiły na zmianę.

– Powinni wieszać takich bydlaków!

– Myślę, że nie chcesz się przyznać, ale w głębi serca jest ci przykro. Daj spokój, Kaja, nam możesz powiedzieć wszystko...

– Olaboga, nadajesz jak zacięta płyta. Chyba widać po Kai, że ma to gdzieś? I dobrze, chociaż moim zdaniem trzeba się zemścić na tym skurczybyku.

– Biedactwo, faceci rzeczywiście są jacyś nie tego...

– To szuja! Naprawdę nie miał nawet śladu po obrączce? Może często robi takie numery...

I tak w kółko. Ja jednak myślami byłam daleko, zastanawiając się, kogo zaangażować do następnej sesji. A gdybym chciała wybrać moje dziewczyny, to od której zacząć?

– Hej, ogłuchłaś? – Dostałam szturchańca od Mini i zauważyłam, że obie z Madzią się na mnie gapią. – W ogóle nie reagujesz, jak się do ciebie mówi.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

– Pytamy, co słyhać u tego Michała – odezwała się Madzia i poczułam, że oblewam się zimnym potem.

Michał! O nim też kompletnie zapomniałam! Jeszcze trochę i zapomnę własnej głowy... Zbyłam dziewczyny lakoniczną odpowiedzią, że dawno u niego nie byłam, i poprosiłam, by opowiedziały, co u nich.

U Mini wiele się nie zmieniło – Arek wciąż zachowywał się jak bałwan, nie mogła znaleźć pracy (uśmiełyśmy się, gdy powiedziała nam, że chciała zostać hostessą w supermarkecie, ale usłyszała, że jest ZA STARA), za to jej blog miał się całkiem dobrze – przybywało czytelników i komentarzy. Obiecałam sobie, że wieczorem zajrzę na jej stronę.

Z kolei Madzia pochwaliła się, że dzięki niskokalorycznej diecie i regularnym treningom z Iwoną schudła już pięć kilogramów. I faktycznie, zauważyłam, że ubyło jej tu i ówdzie. Przyznała też, że poznała kogoś przez internet, ale zaznaczyła, że jeszcze się nie spotkali i póki co nie ma o czym mówić. Widać było jednak po niej, że zaangażowała się w tę wirtualną znajomość.

Cieszyło mnie, że nie użalają się nad sobą i generalnie są zadowolone ze swojego życia. Naprawdę miały zadatki na Błękitne Dziewczyny.

Kiedy się rozstałyśmy, przypomniało mi się pytanie o Michała. Nie skłamałam, mówiąc, że dawno się nie widzieliśmy, więc następnego dnia postanowiłam to nadrobić. Do Migawki poszłam rano, przed pracą. Właśnie otwierał zakład. Wyraźnie rozpromienił się na mój widok.

– O, cześć, Kaja, dawno cię nie było.

– Wiem, miałam urwanie głowy. Mogę wejść na szybką kawę? Strasznie dziś zimno.

– Przecież nie musisz pytać. Chodź, chodź, sam też się chętnie napiję.

Usiedliśmy na zapleczu. Przyglądałam się mu, gdy parzył kawę – podobało mi się, jak dziś wyglądał. W czarnej koszuli było mu do twarzy, zauważyłam też, że miał trochę dłuższe włosy, które bardzo do niego pasowały.

Pożerasz go wzrokiem, kobieto, skarciłam się i szybko spojrzałam na swoje kolana (nie były cudem natury, ale uznałam, że lepsze to niż beczelne gapienie się na kolegę). Michał podał mi kubek z gorącym napojem i usiadł naprzeciwko.

– Wydaje mi się, czy jesteś dziś zamyślona?

Udałam, że nie wiem, o czym mówi.

– Ja? Nie, skąd. Może się nie wyspałam. O tej porze roku jestem jak zombie.

Michał głośno się zaśmiał.

– Mam tak samo. No to czym się ostatnio zajmowałaś, że miałaś takie urwanie głowy?

Co miałam mu powiedzieć? Nie było sensu niczego ukrywać. Opowiedziałam o stronie ze SZCZĘŚLIWYMI POLKAMI – o dwóch zdjęciach, które już opublikowałam, o kobietach, które były ich bohaterkami, i ogólnie o mojej koncepcji. Mówiłam długo i z pasją. Dopiero gdy do Migawki wszedł klient i Michał poszedł go obsłużyć, złapałam się na tym, że od kilku, jeśli nie kilkunastu minut nawijam o siebie. I to na temat, który wcale nie musiał go interesować.

– Jezuniu, przepraszam, że cię tak zanudzam – wyrzuciłam z siebie, składając ręce jak do modlitwy, gdy Michał wrócił na zaplecze. – Gadanie o babach, co cię to może obchodzić?

I wtedy Michał otulił moje dłonie swoimi. Poczułam bijące od niego ciepło. Nie byłam w stanie wydusić słowa. Trwało to chwilę, ale wystarczyło, by ogarnęło mnie dziwne wrażenie.

– Co ty mówisz, Kaja, bardzo mnie to obchodzi i wcale mnie nie zanudzasz – powiedział i usiadł na krześle, zupełnie jakby nic się nie stało. – Ostatnio rzadko zaglądam na Fejsa.

Gapiłam się na niego intensywnie, jak gdyby pozieleniał na twarzy albo dostał wysypki. Zupełnie nie spodziewałam się tego, co zrobił, a jeszcze bardziej zaskakujące było to, że mi się spodobało, i żałowałam, że trwało tak krótko.

– Coś szczególnego skłoniło cię, by założyć taką stronę? – zapytał i upił kawy z kubka. Czy on nie zdawał sobie sprawy, co też najlepszego wyprawia? Chociaż z drugiej strony jesteśmy kumplami, a to był przecież zwykły, przyjacielski gest, którym niepotrzebnie zawracam sobie głowę.

Wciąż jednak czułam się dziwnie, jakbym znalazła się nie w swoim ciele albo wypijała za dużo alkoholu. Zdecydowanie byłam wytrącona z równowagi, a w takich chwilach zazwyczaj robię głupie rzeczy.

– A wiesz, szkoda gadać. – Wzruszyłam ramionami. – Zaczęło się od nieudanej randki.

Michał błyskawicznie się wyprostował i zacmokał.

– Serio? No proszę.

– Wyobraź sobie, że POLICJANT zamierzał zdradzić ze mną własną żonę.

Ledwo to powiedziałam, a twarz Michała się zmieniła. Teraz on wyglądał dziwnie. Nerwowo podrapał się po udach, zerwał się z krzesła i zaczął szorować swój kubek w małej umywalce, choć nigdy dotąd przy mnie tego nie robił.

– To miałaś pecha – skwitował. – No i co, pogoniłaś go?

Dokończyłam swoją kawę.

– Można tak powiedzieć. Najlepsze było, jak mi powiedział, że przecież go nie pytałam, czy się z kimś spotyka, czujesz? Taka bezczelność. Aż boję się pomyśleć, co by było, gdyby jego żona wróciła do domu parę minut później.

– Skończyłaś? – zapytał Michał i nie czekając na moją odpowiedź, zabrał mi sprzed nosa kubek. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

– Wszystko okej?

– Co? A tak, po prostu zapomniałem, że miałem zrobić pilne zamówienie, więc musisz mi wybaczyć, ale robota czeka.

Stał nade mną jakiś taki dziwnie nachmurzony jak nauczyciel, który właśnie przyłapał ucznia na ściąganiu. Wyraźnie czekał, aż sobie pójdę.

– Powiedziałam coś nie tak?

– Nie, skąd, wszystko gra. Super się rozmawia, ale naprawdę mam kupę roboty.

Był na tyle uprzejmy, by mnie nie wyprosić, ale zorientowałam się, że w tej chwili nie jestem mile widziana w Migawce. Zaczerwieniłam się. Może Michał rzeczywiście miał dużo pracy, ale poczułam się, jakbym mu się narzucała, a przecież to nieprawda. Wstałam, założyłam kurtkę i zawiesiłam torbę na ramieniu. Krótco patrzyliśmy sobie w oczy, ale nie była to magiczna chwila, bo twarz Michała nie zdradzała żadnych uczuć – w każdym razie żadnych pozytywnych.

– No dobrze, w zasadzie powinnam być już w redakcji – stwierdziłam, obserwując Michała, jak siada przy komputerze i traktuje mnie niczym powietrze.

– Mhm – mruknął.

– No to cześć.

– Cześć.

Okręciłam się na pięcie i wymknęłam z Migawki. Już zapomniałam, jak Michał otulił moje dłonie swoimi. Jego późniejsze zachowanie skutecznie sprawiło, że poczułam się jak intruz. O co właściwie mu chodziło? Przecież wszystko było

w porządku... I nagle BACH! „Po prostu zapomniałem, że miałem zrobić pilne zamówienie, więc musisz mi wybaczyć, ale robota czeka”. Naprawdę nie mógł zrobić tego przy mnie? Musiał sprawić, żebym poczuła się jak persona non grata?

Byłam zła i smutna. Moje serce biło nierówno. Niech to wszystko szlag!

Trzecią osobą, której zdjęcie dołączyło do grona SZCZĘŚLIWYCH POLEK, była mama Krysia. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że każdego kolejnego dnia są z tatą coraz szczęśliwsi. Ponieważ oboje byli na emeryturze, mieli sporo czasu dla siebie. Sporo, nie mnóstwo, bo tata Krzyś doglądał jeszcze rodzinnego interesu, który prowadził teraz mój kuzyn Mateusz – sklepu z garniturami i koszulami dla mężczyzn. Gdy wracał, mama witała go dwudaniowym obiadem, a czasem również deserem. W wolnych chwilach bezkarnie wylegiwali się na kanapie, spotykali ze znajomymi albo rozmawiali ze sobą na przeróżne tematy. Potrafili przegadać cały wieczór i tak bardzo angażowali się w konwersację, że zapominali o moim istnieniu. Momentami miałam już dość ich szczebiotu, ale musiałam przyznać, że stanowią wyjątkową parę.

Starym zwyczajem zagadnęłam mamę Krysę w niedzielne przedpołudnie, które spędzałyśmy w duecie, bo tata znowu wybrał się na grzyby. Była w wybitnie dobrym nastroju, aż zaczęłam się zastanawiać, co też takiego mogło się wydarzyć, i gdy dostrzegłam rumieńce na jej policzkach, wzdrygnęłam się. O Jezusie Nazareńskim. Wyobrażanie sobie własnych rodziców w akcji było zdecydowanie ponad moje siły.

Pokazałam jej profil SZCZĘŚLIWYCH POLEK i wyjaśniłam, jaki mam na niego pomysł.

– Przepiękne zdjęcia, Kaja, naprawdę, ale ja się chyba nie nadaję...

– Mamo, jesteś szczęśliwa? – zapytałam prosto z mostu.

Zmarszczyła czoło.

– Oczywiście, jestem, i to bardzo – odpowiedziała bez namysłu, jakbym zapytała ją, jaki dziś dzień tygodnia. – Czytałaś *Przeminęło z wiatrem*, prawda, kochanie? Jest taka scena, gdy Melania mówi do Rhetta: „Jestem tak bardzo szczęśliwa, mam wszystko w świecie, o czym może marzyć kobieta”. A przecież przy Scarlett miała tak niewiele... Scarlett była od niej piękniejsza, zaradniejsza, bogatsza, a i mimo to nie była szczęśliwa. Ja też, córciu, mam wszystko, o czym może marzyć kobieta.

– Bo szczęście to stan umysłu – rzekłam bardziej do siebie niż do matki.

– Tak, dobrze powiedziane, całkowicie się z tym zgadzam – odparła mama Krysia łagodnym głosem, uśmiechając się subtelnie.

– Dlatego musisz trafić do grona SZCZĘŚLIWYCH POLEK – oznajmiłam

z naciskiem.

Skrzyżowałyśmy spojrzenia.

– Boże drogi, Kaja, a niby co ja miałabym napisać na tej kartce?

– Myślę, że wiesz.

Zgodziła się. Przebrała się w ładną błękitną bluzkę z plisami, do której dobrała delikatny wisiołek – dostała go od taty na trzydziestą rocznicę ślubu – uczesała swoje krótkie blond włosy i stanęła na środku salonu.

OD PONAD 30 LAT JESTEM W SZCZĘŚLIWYM ZWIĄZKU MAŁŻEŃSKIM

Tak brzmiała wiadomość, którą mama Krysia chciała przekazać innym kobietom. Najbardziej byłam jednak dumna z wyrazu jej twarzy, który udało mi się uchwycić na zdjęciu. Mama, podobnie jak Iwona oraz Renata, uśmiechała się delikatnie, a jej twarz była łagodna i spokojna. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Popatrz na mnie, jestem taka sama jak ty, ciebie też to może spotkać”.

Twarz kobiety pogodzonej ze sobą. Błękitnej Dziewczyny. Szczerze wierzyłam, że moja mama może być natchnieniem dla innych.

– Pokaż, jak wyszłam – poprosiła, gdy skończyłyśmy sesję.

Od razu zgrałam zdjęcia do laptopa. Oglądałyśmy je podekscytowane. Podobały nam się.

– Wszystkie są ładne, nawet nieźle wyglądam – stwierdziła moja matka i zaśmiała się. – I co, to będzie w internecie? – spytała, przygryzając wargę.

Energicznie pokiwałam głową.

– Oczywiście. Cały świat cię zobaczy – zażartowałam.

– O Jezu. I każdy będzie mógł napisać komentarz?

– Już może – oznajmiłam. Właśnie opublikowałam najlepsze ze zdjęć na stronie SZCZĘŚLIWYCH POLEK z dopiskiem „Krystyna z Radomia”. Mama nachyliła się nad moim ramieniem i zakryła usta dłonią.

– Co takiego? To już jest w internecie?

– Dokładnie tak.

Patrzyłyśmy na fotografię bez słowa, stężale z podniecenia. Obie odczuwałyśmy napięcie – takie jak przed pierwszą randką czy rozmową o pracę – choć z różnych powodów. Mama, byłam tego pewna, zastanawiała się, jak ją odbiorą obcy ludzie i czy

nie wygłupiła się napisem na swojej kartce. Ja z kolei dumałam nad tym, co poczują kobiety oglądające to zdjęcie. Uwierzą w prawdziwą miłość? Przyjrzą się swojemu związkowi?

– Ciekawe, co powie ojciec, jak to zobaczy – wyszeptała mama Krysia i poklepała mnie po plecach. – Cieszę się, że to robisz.

– Co takiego?

– Chcesz pomóc innym kobietom.

– Daj spokój, mamó, to nic takiego. Po prostu sprawia mi to przyjemność. O, ktoś już polubił twoje zdjęcie.

Mama znowu zawisła obok mojego ramienia i wbiła wzrok w monitor.

– Kto? – spytała zniecierpliwiona.

Poczułam ucisk w żołądku, gdy zobaczyłam, że ten ktoś to Michał Miciak.

Rozdział 19

Przyszedł listopad, a wraz z nim krótkie dni, chłodne noce i wszechobecna szarość. Dla mnie to najbardziej depresyjny miesiąc w roku – i nie inaczej było teraz. Snułam się głównie z domu do pracy (gdzie królowa Zoja straszyła nas zwolnieniami) i z pracy do domu, ewentualnie do Mini, Madzi lub Słodkiej Babki. Migawkę omijałam szerokim łukiem.

Też tak czasem macie, że – raczej wbrew własnej woli – ze swoich największych zmartwień zwierzacie się matce? Właśnie to mi się przytrafiło tamtego październikowego dnia, gdy robiłam mamie Krysi zdjęcia na Facebooka. Gdy Michał jako pierwszy kliknął pod jej fotografią „Lubię to!”, musiałam wyjaśnić, co to za chłopak. Nie pominęłam też wątku naszego ostatniego spotkania, gdy prawie wyprosił mnie z zakładu. Mama przyjrzała mi się z politowaniem i pokręciła głową.

– Dziecko, ile ty masz lat? Dziewięć czy dwadzieścia dziewięć?

Obserwowałam ją bez słowa, ciekawa, do czego zmierza.

– Palnęłaś gafę.

– Ja? Niby jaką?

– No jak to jaką, na miłość boską! Opowiadając mu o randce z innym facetem i podkreślając, że zamierzał zdradzić z tobą swoją żonę! To prawie tak, jakbyś pokazała mu wasze wspólne zdjęcie pod kołdrą.

– Mamo!

– Jak mogłaś się nie zorientować?! Mężczyznom nie mówi się takich rzeczy! To dla nich prawie jak policzek.

Już otwierałam usta, aby zaprotestować i wytknąć jej, że jest w błędzie, gdy nagle zrozumiałam. Oczywiście, że miała rację! Ranyboskiejezuchryste. Zachowałam się jak kompletna idiotka! Dlaczego nie zorientowałam się wcześniej? Bo żyłam w przekonaniu, że Michał traktuje mnie jak jednego ze swoich kumpli? A jak *ja* bym się poczuła, gdyby to on oznajmił, że nie wyszła mu randka z dziewczyną, którą zamierzał zaciągnąć do łóżka? Niełatwo było się do tego przed sobą przyznać, nie ulegało jednak wątpliwości, że czułabym się wtedy głupio i niezręcznie. Poza tym nie miałam pewności, kim właściwie jestem dla Michała, szczególnie po naszym wieczorze w Bastionie.

– Rozumiesz już? – zapytała mama Krysia, wyraźnie zaskoczona, że nie zorientowałam się od razu. – Powiem ci jedno, Kaja, mężczyznę bardzo łatwo zranić.

Tak, zraniłam Michała, ale czy świadomość, że to zrobiłam, zmieniała cokolwiek? Skądże znowu. Teraz, gdy wreszcie wszystko do mnie dotarło, było jeszcze gorzej. Nie miałam pomysłu, co mogłabym mu powiedzieć. Czy powinnam wracać do tej sytuacji, czy może zachowywać się, jakby nic się nie stało? A co, gdyby w ramach wyrównywania rachunków Michał nagle zaczął opowiadać o swoich podbojach? Chyba zapadłabym się pod ziemię. To były rozważania na poziomie gimnazjalnym, ale ponieważ nic rozsądnego nie przychodziło mi do głowy, trzymałam się od Migawki z daleka.

W połowie listopada miałam wreszcie powody do radości, bo na skrzynkę SZCZĘŚLIWYCH POLEK przyszła wiadomość od młodej dziewczyny z Sosnowca.

Lidia Puławczyk

Szanowni Panstwo! Nazywam się Lidia Pulawczyk i mam 19 lat. Z zainteresowaniem obserwuję Państwa stronę SZCZESLIWYCH POLEK i jestem pod wrażeniem! To jest to, czego kobiety potrzebują - pokazywać swoje atuty, mocne strony, a przy okazji inspirować inne kobiety do działania. Pozwalam sobie przesłać swoje zdjęcie z moim największym osobistym osiągnięciem. Może nie jest ono spektakularne, ale ma dla mnie WIELKIE znaczenie. No i zdjęcie robiła moja młodsza siostra, więc nie jest tak dobre. Pozwalam na jego publikację na facebooku, mam nadzieję, że się Państwu spodoba :) Z poważaniem, Lidia Pulawczyk

Literówki i brak polskich znaków nie miały znaczenia wobec tego, co ujrzałam w załączniku. Na środku skromnie urządzonego pokoju, którego ściany miały jadowicie zielony kolor, stała szczupła brunetka przeciętnej urody w okrągłych okularach. Miała na sobie malinową bluzę i proste jeansy, a na kartce, którą trzymała, widniał napis:

PRZESTAŁAM SIĘ JĄKAĆ NIE BOJĘ SIĘ ROZMAWIAĆ Z LUDŹMI

Przeczytałam to ponownie i znowu, a potem jeszcze kilka razy. Zdjęcie było nieostre, wściekły kolor ścian kłuł w oczy, ale przeciętna twarz Lidii nagle wydała mi się niesamowicie piękna. Powtórnie przyjrzałam się temu, co odnotowała na kartce.

I zaczęłam płakać.

Trzy minuty później na profilu SZCZĘŚLIWYCH POLEK pojawiło się piąte zdjęcie podpisane „Lidia z Sosnowca”. A dziewczynie, która została sfotografowana, odpisałam:

Droga Lidio, bardzo, BARDZO dziękuję Ci za twoje zdjęcie. Bardzo mnie nim uszczęśliwiłaś i na pewno uszczęśliwisz wiele kobiet. Gratuluję Ci! Serdeczne pozdrowienia, Kaja (założycielka SZ.P.)

SZCZĘŚLIWE POLKI miały już sześciuset dwudziestu czterech fanów. Każde zdjęcie zdobywało po kilkadziesiąt polubień i bardzo dużo komentarzy, a ludzie chętnie udostępniali je na swoich profilach i przesyłali dalej. Po mamie Krysi, która doczekała się wielu komplementów na temat tego, co napisała na swojej kartce, sfotografowałam uroczą trzynastolatkę, „Julkę z Radomia”, która w naszym mieście była znana z tego, że uzbierała ponad pięćdziesiąt tysięcy złotych dla schroniska. Zapozowała mi na tle boksów z psiakami, a na swojej kartce śmiesznym, infantylnym, nieco koślawym pismem, zanotowała:

**ZEBRAŁAM 53547 ZŁ
DLA ZWIERZAKÓW ♥
Z RADOMSKIEGO SCHRONISKA**

Mama Julki początkowo miała opory – martwiła się, że takie zdjęcie może zostać źle odebrane, że ktoś zarzuci jej córce, że się przechwała, że może nie powinnyśmy... A że znałam specyfikę polskiego internetu, rozumiałam jej obawy. Ostatecznie się jednak zgodziła – doszłoby do absurdu, gdyby trzynastolatka miała się wstydzić, że udało jej się coś osiągnąć. Poza tym zebranie takiej sumy w kraju, gdzie ludzie przyzwyczajeni są do brania, a nie dawania, naprawdę było sukcesem. A od Julki bił taki blask, że aż głupio byłoby nie pokazać tego światu.

Komentarze, które pojawiły się wkrótce po publikacji zdjęcia, utwierdziły mnie w przekonaniu, że słusznie zrobiłam, namawiając ją na taką sesję.

„No i co, nie da się? DA SIĘ!!!”

„Serduszko przy zwierzakach jest urocze :)♥”.

„Aż miło na nią popatrzeć”.

„Dobrze wiedzieć, że nie wszystkim nastolatkom tylko seks i imprezy w głowie”.

„Jeszcze chwila, a przeprowadzę się do Radomia :P”.

Internauci chętnie komentowali też zdjęcie Lidii Puławczyk. Pisali, że jej gratulują, że cieszą się jej sukcesem. Mnie najbardziej rozczerzył jednak komentarz:

„Lidio, dobrze wiem, co to znaczy, bo jąkam się od dziecka... Leczyłam się latami, ale nawet gdy mówiłam w miarę płynnie, bałam się odezwać do ludzi. Dopiero niedawno się przełamałam, a dzięki Tobie wierzę, że będzie coraz lepiej! Bo można, prawda?”.

Jakiś czas później Lidia Puławczyk napisała mi, że po publikacji zdjęcia otrzymała wiele pozytywnych wiadomości. Poinformowała mnie też, że między nią a kobietą od rozczulającego komentarza wywiązała się korespondencja i mają zamiar się spotkać.

Byłam szczęśliwa jak diabli. Czerpałam z tej radości pełnymi garściami. Zupełnie zapomniałam o Robercie Wysockim, o Michale właściwie nie myślałam, a uwagi królowej Zoi puszczałam mimo uszu. Ba, nawet sny z Jackiem w roli głównej nie robiły na mnie wrażenia, mimo że wciąż mnie nawiedzały.

Tworzyliśmy parę od ponad trzech lat, a ponieważ – mimo że byliśmy bardzo szczęśliwi – czuliśmy, że dopadła nas rutyna, postanowiliśmy wyjechać na kilka dni i spędzić trochę czasu we dwoje. Był sylwester, Zakopane pełne śniegu, a wokół nas dzikie tłumy. Nie zaplanowaliśmy niczego szczególnego – ubrani w zimowe kurtki, grube szaliki, rękawice i czapy wyszliśmy na Krupówki, by trochę się poruszać, popatrzeć na sztuczne ognie i napić się szampana prosto z butelki.

Minęła północ; nowy rok powitał nas deszczem sztucznych ogni, które rozlały się na tle granatu, eksplozją korków wyskakujących z butelek, śmiechem turystów i wszechobecnym uroczym zamieszaniem, jak to pierwszego stycznia. Byłam w wyśmienitym humorze – próbowałam się właśnie dodzwonić do moich dziewczyn, by złożyć im noworoczne życzenia, kiedy mnie zatkało.

Jacek klęczał na śniegu, a w wyciągniętej dłoni opatulonej grubą rękawicą trzymał nieduże czerwone pudełeczko. Otwarte. W środku znajdował się najpiękniejszy pierścionek, jaki mogłam tylko sobie wyobrazić. Obrączka była cienka i złota, a oczko granatowe i lśniące. Przycisnęłam ręce do ust i zastygłam w zachwycie.

– Kochanie, nie będę owijał w bawełnę, kocham cię i chcę spędzić z tobą resztę życia. Wyjdiesz za mnie?

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że będę to sobie powtarzać przez kolejne dwa lata w momentach kryzysu albo w dołku.

Czułam na sobie wzrok otaczających nas osób – ktoś zaczął gwizdać, ktoś inny krzyknął: „Powiedz «tak»!”. Okrążył nas wianuszek wścibskich turystów, chociaż kto w takiej chwili nie byłby ciekawski?

Między mną a Jackiem, jak to w związku, było raz lepiej, raz gorzej, ale kochaliśmy się bardzo, a wspólne mieszkanie tylko utwierdziło nas w przekonaniu, że do siebie pasujemy. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego zarumienioną twarz i zniewalający uśmiech, którym mnie obdarzył, bym wykrzyknęła: „TAK!” i rzuciła

mu się w ramiona.

Gwizdom i oklaskom nie było końca; nad naszymi głowami wybuchały fajerwerki. Coś pięknego. Mimo że było mocno na minusie, ochoczo ściągnęłam rękawiczkę, by Jacek wsunął mi na palec pierścioneł. Cała drżałam. Scena jak z komedii romantycznej. Z tą różnicą, że, jak się później okazało, bez happy endu.

Po zdjęciu Lidii Puławczyk, dziewczyny od jkania, przysła kolej na Mini i panią Alinkę. Ta pierwsza poinformowała mnie stanowczo, że chce być następna, bo „taka terapia kartką bardzo by się jej przydała”. A co do pani Alinki nie miałam żadnych wątpliwości – była Błękitną Dziewczyną, więc musiała znaleźć się w mojej galerii.

Pojechałam do nich w czwartek po pracy. Arek raczył uprzedzić Mini, że dzisiaj wróci później, więc mogliśmy rozmawiać i pstrykać fotki bez obaw, że nagle nam przeszkodzi. Byłam pełna pozytywnej energii i zapału, gdy jednak znalazłam się na miejscu, poczułam się jak balon, z którego uchodzi powietrze. Mini siedziała na kanapie z podkulonymi nogami i wściekłą miną. Widziałam, że nie jest gotowa do sesji.

– Hej, co się dzieje? – zapytałam i przysiadłam się do niej.

Wzruszyła ramionami.

– Dupa będzie z tych zdjęć – stęknęła.

– Dlaczego?

– Ano dlatego, że mnie chujosa strzela, jak myślę o tym wszystkim – mówiła, zawzięcie gestykulując. – Jakoś się wszystko ostatnio do dupy układa, to znaczy niby wszystko gra, sama wiesz, ale roboty jak nie miałam, tak nie mam, na Arka też nie bardzo mogę liczyć. Dzisiaj mi powiedział, żebym się zatrudniła do rozdawania ulotek, praca pewna, od ręki, idziesz i dostajesz, żadna filozofia, stwierdził. Ulotki w ruch, uśmiech numer pięć i jedziesz, ulotkę proszę, dziękuję, do widzenia, pocałuj mnie w tyłek. Dniówki masz jakieś pięć dych, grosz marny, ale zawsze jakiś, co nie? Lepszy rydz niż nic, jak to mówią.

Mini wpadła w słowotok, więc położyłam jej rękę na kolanie. Spojrzała na mnie z taką miną, jak gdyby nagle dotarło do niej, że siedzę obok.

– I dlatego masz taki kiepski humor?

Znowu wzruszyła ramionami i podsunęła kolano pod brodę.

– Kurwica mnie bierze, jak on mną dyryguje, zupełnie jakbym była gorsza, bo nie mogę znaleźć roboty... A on co? U tatuńcia się zatrudnił i wielki pan, Jezuniu no, nie mogę na niego ogólnie narzekać, bo przecież nie zdradza mnie, nie szlaja się

z kolegami i wogle, ale mówię ci, Kaja, czasem to już normalnie nie mogę na niego patrzeć.

Odwróciła głowę, mimo to zdążyłam zauważyć, że miała oczy wypełnione łzami. Nie chciałam dolewać oliwy do ognia, lecz po prostu musiałam powiedzieć wszystko, co o tym sędzę.

– Dlatego pomyślałam sobie, że jak trafię do tych twoich SZCZĘŚLIWYCH POLEK, to poczuję się lepiej w swojej skórze, będę ponad to wszystko, ale teraz siedzę jak ten baran, bo nie mam pojęcia, co napisać na tej cholernej kartce!

Mini często miewała słowotok. Taki, w którym wyrazy i zdania nie trzymały się kupy, bo targały nią bardzo silne emocje, ale to była prawdziwa ona, szczerą i wylewną, jak teraz.

Czyli o to chodziło. Arek znowu podkopał jej pewność siebie i na chwilę zabrał radość życia. Podły sukinkot. Kazać swojej żonie iść rozdawać ulotki, podczas gdy sam zarabiał dzięki tatusiowi i mieszkał w domu teściowej... Już ja bym mu powiedziała do słuchu! Zaczęłabym od tego, że...

Opanuj się, odpuść, ofuknęłam się w duchu. Nic nie zmienisz, jeśli nazwiesz go niewiele wartym kutasiną. Inne sprawy były teraz ważniejsze – musiałam przede wszystkim pomóc Mini znaleźć słowa, które mogła wpisać na swoją kartkę.

– Wiesz, na jakie hasło ostatnio wpadłam w necie? – zagadnęłam; spojrziała na mnie, marszcząc czoło. – „Polaku, nie bądź ponury, rozwiń skrzydła, dziób do góry”.

Zaśmiałyśmy się głośno.

– Tak więc, kochana, dzióbek do góry, przynieś herbatkę i zaraz sobie pogadamy od serca – powiedziałam i uszczypnęłam ją w policzek. Wstała z kanapy, a gdy mnie minęła, rzuciłam: – Możesz sobie tutaj smęcić, ale za te nogi i tyłek powinnaś się smażyć w piekle.

Rozdział 20

Szybko i w zasadzie bezboleśnie udało mi się zepchnąć myślenie Mini na inne tory niż jej małżonek, brak pracy i tak dalej. Wywlekałam na wierzch różne historie z naszej wspólnej przeszłości, tworząc patchworkową opowiastkę, w której Mini grała główną rolę. Robiłam to z premedytacją, bo przecież była fantastyczną kobietą, tylko musiała sobie o tym przypomnieć. Tak się rozgadałyśmy, że aż do pokoju, w którym przesiadywałyśmy, zajrzała pani Alina z nadzieją przyłączenia się do dyskusji.

– O czym tam sobie, księżniczki, plotkujecie, księżniczki moje? – zapytała w charakterystycznym dla siebie stylu. Pani Alinka cała była zresztą w charakterystycznym stylu – trampki na obcasach, obcisłe spodnie, bluzka ze stanowczo za dużym dekoltem, masa biżuterii, burza natapirowanych włosów, ostry makijaż i – oczywiście – e-papierosek wciśnięty między szczupłe palce zakończone długimi, krwistoczerwonymi paznokciami. Cudowna.

– Mówiłam ci, mam, o tej akcji Kai. Ciągle nie wiem, co wpisać na kartkę – odparła Mini z lekką rezygnacją w głosie i wrzuciła do ust kilka migdałów.

– Chodzi ci o te SZCZĘŚLIWE POLKI? Słyszałam o tym, Kaju, Malwinka mi powiedziała wszystko co do joty, joty. – Usiadła w fotelu, patrząc na mnie i wymachując palcem. – Malwinka twierdzi, że mam się znaleźć w tej kolekcji, to prawda? Naprawdę uważasz, że się nadaję? No, ale skoro twoja mama się zgodziła, to dlaczego ja bym nie miała, hm?

Mini obrzuciła matkę kwaśnym spojrzeniem, a potem przeniósła wzrok na mnie.

– Olaboga, Kajka, ja się wcale nie łudzę, że jak mi ciachniesz tę fotkę, to zaraz się stanę superszczęśliwa, Arek przypełźnie do mnie na kolanach, a robota się znajdzie, o tak... – Pstryknęła palcami. – Ale liczyłam, że to będzie dla mnie taka forma... no, jak ty to mówisz? Pogodzenia się ze sobą. Właśnie, o to mi chodzi. Poza tym dobrze wiesz, że każda kobitka potrzebuje słów otuchy, zachęty, co nie? Więc może jak wrzucisz już to zdjęcie, a ludzie napiszą coś miłego, to zrobi mi się lepiej... Jezu Boże, no już sama nie wiem.

Pani Alinka przyglądała się własnej córce jak robalowi, który właśnie wylazł na dywan i straszyl swoją obecnością. Zarzuciła nogę na nogę i zaciągnęła się elektronicznym papierosem.

– Przestań gdakać, dobrze? – skarciła ją; oczy Mini o mało nie wyszły z orbit. – Kto

to widział, żeby moja własna osobista córka nie umiała znaleźć w sobie *ani jednej* zalety, z której byłaby dumna? Ani jednej, ani jednej! – Złożyła usta w dzióbek, by wydmuchać obłok dymu. – Dobrze, że chociaż ja mam tyle oleju w głowie, żeby wiedzieć, co nasza Kaja chce przekazać tą akcją. Dajże mi tę kartkę.

Przesunęła się do stolika, zdjęła zatyczkę z markera i przyłożyła go do papieru. Przyglądałyśmy się jej w kompletnym osłupieniu, z podziwem patrząc, jak kartkę pokrywają kolejne, pisane bez wysiłku litery.

Kiedy przed dwoma dniami Mini do mnie zadzwoniła, od razu zorientowałam się, że coś jest nie tak. Głos jej drżał, wpadła w słowotok. Oho, coś się święci, pomyślałam i miałam rację. Nie chciała się tłumaczyć. Powiedziała tylko, że „musi sobie poukładać w mózgu parę spraw, a że nie zamierza narzekać i uzalać się nad sobą jak zasmarkane dziecko, chce, żebym zrobiłam jej zdjęcie na Fejsa”. Dodała też, że z wielu powodów „taka terapia kartką bardzo by się jej przydała” i że „może do końca nie jest, kurczę, pogodzona ze sobą, ale bardzo tego chce”.

Ucieszyło mnie to. Jeszcze parę miesięcy temu w kryzysowych chwilach Mini zwijała się w kłębek na kanapie, zapijała smutki dyskontowym winem i sarkała na cały boży świat, oczekując ulitowania się nad nią i pocieszenia. A teraz była na dobrej drodze do przeistoczenia się w Błękitną Dziewczynę, co równało się poczuciu samospelnienia i szczęścia.

W czasie rozmowy zapytałam przy okazji, czy jej mama nie zechciałaby trafić na profil SZCZĘŚLIWYCH POLEK. Mini powiedziała, że zapyta, chociaż dla nas obu było oczywiste, że pani Alinka się zgodzi. Kazała mi poczekać minutę, a gdy usłyszałam ją ponownie, spytała retorycznie:

– No i jak myślisz?

Uśmiechnęłam się. Życzyłabym sobie, żeby każda dziewczyna w moim wieku miała pewność siebie, życiową energię i tę niesamowitą swobodę, które cechowały panią Alinę. Mini zakomunikowała, że „mama powiedziała, że chętnie się zaprezentuje na tej stronie, bo jest szczęśliwa jak psi ogon i nie zamierza się z tym kryć po kątach”.

Szczęśliwa jak psi ogon.

Kiedy pani Alinka skończyła pisać, czemu towarzyszyła grobowa cisza, wcisnęła zatyczkę na marker – pyk – popatrzyła na swoje dzieło i klasnęła w dłonie.

– No! Gut. Tylko się nie spodziewajcie, że napisałam tu Bóg wie co, że dostałam Nobla, zdobyłam Czomolungmę albo coś takiego.

– Nie spodziewamy się – odparła Mini złośliwie. – Nie przypominam sobie, żebyś dostała Nobla albo tym bardziej zdobyła Czomolungmę.

Szybko przytknęłam krawędź filiżanki do ust i napiłam się herbaty, żeby nie

wybuchnąć śmiechem. Pani Alinka jednak w ogóle nie zareagowała – Mini równie dobrze mogła odezwać się po chińsku.

– Ja tam jestem zadowolona, a chyba o to w tym chodzi, prawda, księżniczko? – Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. – Proszę bardzo.

Chwyciła długimi palcami swoją kartkę po obu jej stronach, do złudzenia przypominając więźnia z tabliczką, i posłała nam szelmowski uśmiech, jakby chciała powiedzieć: „No i co, sierotki? Chyba jest nieźle, prawda?”.

Niesamowita babka, ta pani Alinka. Bez szczegółowego tłumaczenia pojęła, o co chodzi w projekcie SZCZĘŚLIWYCH POLEK. Była prostą kobietą bez wyższego wykształcenia, która napracowała się w swoim życiu jako krawcowa (bardzo dobra zresztą) – żywy przykład na to, że nie dyplomy stanowią o człowieku.

KOCHAM ŻYCIE I KOCHAM LUDZI :)
UWIELBIAM TOWARZYSTWO DRUGIEGO CZŁOWIEKA
NIGDY NIE MIAŁAM KOMPLEKSÓW
JESTEM SZCZĘŚLIWĄ KOBIETĄ! :)

Oto, co mama Mini wpisała na swoją kartkę. Litery były małe i równe, jakby bała się, że nie wystarczy jej miejsca. Urzekło mnie absolutnie każde słowo, a najbardziej chyba dwie uśmiechnięte buzie, które narysowała na końcu pierwszej i ostatniej linijki. Pani Alinka nie miała zielonego pojęcia, że wśród Błękitnych Dziewczyn niewątpliwie była jedną z liderek.

– No i co, co? – zapytała głosem przepełnionym ekscytacją.

– No może być – odpowiedziała Mini.

– Tylko „może być”?

– No dobra, jest super, mam. Naprawdę NIGDY nie miałaś kompleksów?

Pani Alinka wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Przecież kompleksy są głupie – oznajmiła rozbijając.

Musiałam natychmiast uchwycić tę chwilę. Zerwałam się po aparat i kazałam się jej nie ruszać. Początkowo protestowała („Jezu, Jezu, przecież to zobaczą ludzie, muszę wyglądać jak człowiek, uszmińkować się i ufryzować!”), zapewniłyśmy ją jednak, że wygląda wystrzałowo, a gdy podsunęłam jej lusterko, by sprawdziła, czy wszystko gra, pozwoliła się sfotografować. Z zastrzeżeniem, że mam ją podpisać per Alinka, nie Alina.

Wyraz jej twarzy perfekcyjnie odzwierciedlał to, co napisała na kartce. Patrzyłam na nią, czując, jak serce bije mi w piersi. Ciekawe, że w ostatnim czasie to kobiety

działały na mnie mocniej od mężczyzn. Choć pani Alinka miała wyraźne zmarszczki, które próbowała ukryć pod grubą warstwą makijażu, a jej palce były żylaste i nieco przywiedłe, jakie to, na Boga, miało znaczenie, skoro jej oczy promieniały tak intensywnie, że ja, Mini czy Madzia mogłyśmy się co najwyżej zapaść pod ziemię?

Dobry Jezu, coraz mniej wierzyłam w to, że kobieta – jak wyliczyli naukowcy – czuje się najlepiej jako trzydziestojednolatka. Pani Alinka była jakieś dwa razy starsza, a zawstydziłaby niejednego mądralińskiego uczonego!

Kiedy pokazałam mamie Mini miniatuarki zdjęć w aparacie, stwierdziła, że wykonałyśmy robotę na medal, i uczepiła się swojej córki, która ciągle siedziała naburmuszona, z podkulonymi nogami, wcinając migdały i popijając herbatę.

– No dajże już spokój, skoro ciągle nie wiesz, co napisać na kartce, to mam propozycję: nie wyężaj już mózgowicy i przełoż to na inny dzień – zagrzmiała.

Bałam się, że Mini wybuchnie i albo powie swojej matce do słuchu, albo rzuci to wszystko w diabły i odłoży sprawę kartki na bliżej nieokreśloną przyszłość. Obu tych sytuacji chciałam uniknąć, więc zmieniłam temat.

– Wchodziłam dziś na twój blog – powiedziałam zgodnie z prawdą. – I jestem pod wrażeniem. Ta stylizacja z żółtą sukienką jest świetna. Rzeczywiście kupiłaś ją za piętnaście złotych?

Mini błyskawicznie wypogodniała i obróciła się całym ciałem w moją stronę.

– Za dwanaście! – poprawiła mnie. – Kupiłam ją w tym nowym lumpeksie niedaleko Leśniczówki. Muszę cię tam zabrać, Kaja, poważnie, to jest normalnie królestwo ciuchów!

Poranne odwiedziny na blogu www.minisiestroi.pl okazały się miłą niespodzianką. Mini nieraz w życiu miewała słomiany zapał, tymczasem w prowadzeniu bloga narzuciła sobie żołnierską dyscyplinę i dwa, trzy razy w tygodniu publikowała nową stylizację. Zauważyłam, że pod każdym wpisem pojawiały się komentarze, na które chętnie odpowiadała.

– Zdjęcia też są fajne, jak je robisz?

Pani Alinka pisnęła, a jej ręka wystrzeliła w powietrze, jakby zgłaszała się do odpowiedzi.

– Ja je pstrykam, księżniczko.

– Są bardzo ładne.

– Niektóre robię sama, samowyzwalaczem albo z ręki – wytłumaczyła Mini, prężąc się z dumy. – Mam już zaplanowaną kolejną stylizację, mówię ci, padniesz, jak ją zobaczysz, wybobrałam wystrzałowe skórzane spodnie na ciuchach, do tego mam taką fajną bordową tuniczkę, będzie pasowała jak ulał. Myślę jeszcze nad butami,

w końcu zima idzie, może jakieś fajne kozaki do tego dobiore, co nie? W ogóle to muszę iść na porządny szoping, jak rano stoję przed szafą, to wprost mnie mdli, no nie mam się w co ubrać!

Oho, znowu słowotok. Przez kolejnych kilka albo kilkanaście minut (dokładnie ile – nie mam pojęcia; prawdę powiedziawszy, wyłączyłam się, gdy Mini stwierdziła, że nie ma się w co ubrać. ONA! Dobrze sobie) moja przyjaciółka prowadziła monolog o ubraniach nowych i z drugiej ręki, ciucholandach, sklepach znanych sieciówek i prestiżowych marek, którymi gardziła, dodatkach, stylizacjach, blogach szafiarek itepe, itede. Nakręciła się tak bardzo, że buzia jej się nie zamykała, a oczy lśniły z taką samą intensywnością jak jeszcze przed chwilą oczy jej matki.

– Dużo masz wejść na bloga? – zapytałam w pewnym momencie tylko po to, żeby cokolwiek powiedzieć, bo zaschło mi w ustach.

– No trochę mam, koło dwóch tysięcy dziennie. I ćwierkam.

– Ee... słucham?

– No ćwierkam, twittuję. Na Twitterze.

– Aa, o to ćwierkanie ci chodzi. Poważnie? To nowina, nie mówiłaś wcześniej.

– A, bo to takie tam, wrzucam niusy o modzie, wskazówki, jak coś wyniucham, żeby kobitki wiedziały, jak się ubrać albo jaki kolor z jakim się gryzie. I odnośniki do mojego bloga też wrzucam. Już dwadzieścia osiem osób mnie obserwuje!

Nie byłam mocna z Twittera. Gubiłam się w gąszczu tych wszystkich Facebooków, Instagramów, Pinterestów. Mierziło mnie mnożenie bytów. Może dlatego, że kiedyś przeczytałam książkę o sztuce minimalizmu i choć trudno było zastosować się do wszystkich umieszczonych w niej porad, w głębi serca wierzyłam, że nie potrzebujemy tych wszystkich rzeczy, które nas otaczają. To nie to, że buntowałam się przeciwko portalom społecznościowym dla zasady. Po prostu nie były mi wszystkie potrzebne do szczęścia. Korzystałam tylko z tego pierwszego, co w zupełności mi wystarczało.

Patrzyłam na szczebioczącą Mini, która mówiła właśnie, że „wypatrzyła żakiet z ćwiekami za dwadzieścia złotych i przysięga, że widziała identyczny w gazecie za ponad pięć tysięcy”, i nagle spłynęło na mnie olśnienie.

Złapałam kartkę i markera, podałam je Mini i popatrzyłam jej głęboko w oczy. Pani Alinka obserwowała nas zaciekawiona, puszczając dymka.

– Jezu, wyglądasz, jakbyś dostała gorączki – jęknęła Mini i skrzywiła się.

– Tak, prawie dostałam. Ze zdziwienia, że wcześniej na to nie wpadłam.

– Hę?

– HE?

Mini i jej mama stęknęły równocześnie, z tym że ta pierwsza jednak głośniej. A ja odetchnęłam i przemówiłam spokojnie, jakbym odpowiadała na pytanie o dzień tygodnia:

– Już wiem, co napiszesz na swojej kartce.

Jeszcze tego samego dnia na profilu SZCZĘŚLIWYCH POLEK pojawiły się dwa nowe zdjęcia – „Alinki z Radomia” i „Malwiny z Radomia”. Że pani Alinka stanie na wysokości zadania i świetnie wypadnie ze swoim komunikatem, nie miałam wątpliwości. Bardziej cieszyło mnie jednak to, jak na zdjęciu z kartką prezentuje się Mini. Sfotografowałam ją na tle otwartej szafy, w której było tak dużo ubrań, że nie dałoby się wcisnąć nawet szpilki. A ona sama w obcisłej czarnej sukience i złotym barokowym naszyjniku, z włosami w mahoniowym kolorze, wyglądała świetnie. Uśmiechała się szeroko, ściskając kartkę z napisem:

JESTEM KRÓLOWĄ SECOND HANDÓW POTRAFIĘ SIĘ UBRAĆ ZA KILKA ZŁOTYCH

Tak, naprawdę wypisała na papierze takie słowa. Aż dziw bierze, że nie wpadłyśmy na to od razu. Po prostu gdy Mini z pasją opowiadała o swoim blogu, modzie i kupowaniu ubrań z drugiej ręki, zrozumiałam, że przecież właśnie w tym jest najmocniejsza. A w końcu zdjęcia, które trafiały na profil SZCZĘŚLIWYCH POLEK, nie przedstawiały wyłącznie kobiet z wielkimi osiągnięciami, bo nie taki był cel tej strony. Mini pochwaliła się tym, w czym była dobra. Swoją zwyczajną-niezwykłą pasją, której oddała całe serce.

Miałam nadzieję, że gdy zobaczy swoje zdjęcie w internecie, uwierzy w siebie i pomyśli o sobie lepiej, a pozytywne komentarze, na które liczyłam, tylko utwierdzą ją w przekonaniu, że jest fajną babką. Miałam też nadzieję, że inne kobiety, które zobaczą tę fotografię, zrozumieją, że szczęście i samospełnienie to nie tylko stumetrowy apartament, luksusowy samochód, wymiary 90–60–90 i akt małżeński z wpisanym nazwiskiem Brada Pitta, ale również pasja, która nakręca do działania i powoduje, że życie staje się przyjemniejsze. Szczęście to wszystkie te drobne czynności, które po prostu sprawiają nam radość.

Nie trzeba było otrzymać Nagrody Nobla albo wejść na Mount Everest, żeby stać się SZCZĘŚLIWĄ POLKĄ. Czasem jednak odkrycie swoich mocnych stron czy tym bardziej zaakceptowanie wad okazywało się znacznie większym wyzwaniem.

Rozdział 21

Niejedna kobieta, tak myślę, mogłaby podpisać się pod tym, co ze swoim życiem uczuciowym zrobiła Mini.

Poznała Arka jako dwudziestotrzylatka. Leczyła właśnie rany po rozstaniu ze swoim poprzednim chłopakiem, z którym była dwa lata. Szymon studiował z nami i dało się zauważyć, że Mini od razu wpadła mu w oko. Kręcił się koło niej aż do skutku – w końcu zostali parą. Oboje szczupli i wysocy, pełni życia i energii, lubiący dobrą zabawę i nieprzebierający w słowach. Gdy się kłócili, to talerze fruwały w powietrzu. Gdy się godzili, to w sypialni.

Ich związek nie przetrwał jednak próby czasu. Pewnego dnia Szymon stwierdził, że jego uczucie się wypaliło. Ot tak, po prostu. Mini w zasadzie czuła to samo, mimo to bardzo cierpiała. Pamiętam, jak powiedziała mi wtedy, że nigdy więcej nie chce już przechodzić przez rozstanie, bo kosztuje ją to zbyt wiele nerwów. A jeśli postanowi się z kimś związać, to na stałe.

Nie wiem, czy to dlatego nie pogoniła Arka w diabły, gdy zaczęły o sobie dawać znać podłe cechy jego charakteru, faktem jest jednak, wiążąc się z nim wpadła z deszczu pod rynnę. Ich pierwsze spotkanie było dość typowe – koleżanka Mini zaprosiła ją do siebie na grilla. Zabrała ze sobą Madzię i poszły razem na imprezę. Był tam też Arek. Z tego, co powiedziała mi potem Madzia, nie wywarł na Mini piorunującego wrażenia; na trzeźwo zamienili ze sobą raptem parę zdań. Ale po kilku piwach, gdy nagle przeciętnej urody facet wydaje ci się bogiem Apollem – szczególnie jeśli opłakujesz fiasko swojego związku – usiedli ramię w ramię i zaczęli ze sobą flirtować.

Tak to się zaczęło. Madzia nie piała z zachwytem nad Arkiem. Wydał jej się zarozumiałym i niesympatycznym bufonem. Kiedy on i Mini zostali parą, wielokrotnie byliśmy świadkami jego wstrętnego zachowania wobec naszej przyjaciółki, którą traktował jak głupią babę. Rzadko kiedy się uśmiechał. Wszystko mu przeszkadzało. Wiódł smutne życie malkontenta i byłam wściekła, że Mini dała się w to wciągnąć.

Pobrali się trzy lata później. W czasie wieczoru panieńskiego zapytałam ją, czy wie, co robi, wychodząc za Arka. Spojrzała na mnie swoimi wielkimi oczami i odpowiedziała:

– Nie wydaje mi się, żeby jakakolwiek kobieta to wiedziała.

Nie miała racji. Wtedy nie byłam jeszcze zaręczona z Jackiem, ale mogłabym dać sobie uciąć rękę, że gdybyśmy się na to zdecydowali, nie byłoby z mojej strony absolutnie żadnych wątpliwości. Nie ma sensu brać ślubu, jeśli tej pewności brak. Niektóre kobiety liczą, że papier coś zmieni, uzdrowi ich związek. To nonsens. Ludzie albo do siebie pasują, albo nie. A Mini i Arek nie pasowali do siebie nigdy.

Jest jednak również pewna grupa kobiet, które nie chcą być same i wychodzą za mąż tylko po to, by nie zostać na lodzie. Przez jakiś czas może nawet liczą, że poznają kogoś lepszego, ale gdy księżę na białym koniu się nie zjawia, biorą to, co mają. W końcu lepszy wróbel w garści... Arek Filipek zdecydowanie był takim wróblem. Choć Mini nigdy tego głośno nie powiedziała, a ja nie śmiałam ją o to zapytać, czułam w głębi serca, że zadowolona się Arkiem, bo bała się, że jeśli będzie wybrzydzać, zostanie z niczym. Na swój sposób na pewno go kochała, ale czy była szczęśliwa w tym związku? Śmiem wątpić.

Czasem chciałabym wytatuować sobie na czole: **KOBIETY! UNIKAJCIE MĘŻCZYZN, KTÓRZY WAS UNIESZCZĘŚLIWIAJĄ.** Ale każda z nas jest kowalem swojego losu i nie mam prawa kwestionować niczyich wyborów.

Na całe szczęście oba zdjęcia – Mini i jej matki – spodobały się. Miały sporo udostępnień, dużo pozytywnych komentarzy i jeszcze więcej polubień. Mini nie posiadała się z radości – jak to jest, że zaczynamy w coś wierzyć dopiero wtedy, gdy powie nam o tym zupełnie obca osoba? Poza tym miała jeszcze jeden powód do zadowolenia. Gdy poinformowała mnie, że jej bloga każdego dnia odwiedza dwa tysiące osób, podesłałam jej adres strony internetowej firmy, która zajmowała się pośrednictwem w sprzedaży reklam. zaproponowałam, żeby umieściła na swojej stronie parę banerów, za które dostałaby pieniądze. Niewielkie, ale zawsze jakieś. Po tygodniu okazało się, że jeśli nie straci czytelników, na samym wyświetlaniu reklam może zarobić kilkaset złotych miesięcznie. To dało jej jeszcze większą motywację do działania – teraz publikowała już cztery, pięć stylizacji tygodniowo. I przynajmniej zamknęła usta Arkowi, który ciągle wytykał jej, że nie ma pracy.

Magda Jaczyńska

Jesteś?

Kaja Redo

Jestem, jestem :)

Magda Jaczyńska

Zaszalalas ze zdjęciami Mini i pani Alinki :P Jedna lepsza od drugiej :D

Kaja Redo

:)

ważne, że są zadowolone, choć bałam się, że Mini nic nie wymyśli i zapozuje mi z pustą kartką :D

No i komentarze są pozytywne. Czytałaś?

Magda Jaczyńska

Tak, tak. A mnie byś sfotografowała?

(Ojej!)

Kaja Redo

ALEZ OCZYWISCIE! Powiedz tylko kiedy!! Może jutro???

Magda Jaczyńska

Spokojnie, nie ma pośpiechu... Ale odnośnie jutra to też mam sprawę...

Kaja Redo

Tak? Jaką?

Magda Jaczyńska

Umówiłam się z Konradem...

(Czy tak przypadkiem nie miał na imię ten chłopak z internetu, z którym korespondowała?)

Mówiłam Ci o nim, poznaliśmy się przez net ...

(Aha, no właśnie).

Kaja Redo

Poważnie? Chcecie się spotkać??

Magda Jaczyńska

Tak...

już się umwilimy na jutro, w galerii o 19...

Kaja Redo

Super, cieszę się, Madziu. Tylko jaka moja w tym rola? ;)

Magda Jaczyńska

Chcę, żebyś ze mną poszła...

To znaczy, jak on się pojawi to ja już dam sobie radę...

Ale będzie mi raxniej, jeśli pojedziesz ze mną.

Prose...

Kaja Redo

No dobrze, w porządku

Magda Jaczyńska

Jezuu, jesteś kochana! :-*

Jestem w pracy do 18, to może byś przyszła tak zaraz po?? Połączymy trochę po galerii, a potem pójdę się z nim spotkać... Pod kinem się umowiliśmy.

Księgarnia, w której pracowała Madzia, znajdowała się w Galerii Śródmieście. O tej porze roku, gdy ludzie zaczynali gonić za prezentami na Mikołajki i pod choinkę, było to prawdopodobnie najbardziej oblegane miejsce na mapie Radomia. Zrządzeniem losu właśnie teraz na świąteczne zakupy postanowiła wybrać się Mini, gdy więc powiedziałam jej, że umówiłam się z Madzią, oznajmiła, że pójdziemy po nią razem.

Na miejscu byliśmy parę minut po osiemnastej. Madzia wykladała właśnie książki z kartonów na półki i gdy nas zobaczyła, uśmiechnęła się radośnie.

– Już kończę! – Przywitała się z nami cmoknięciem. – A ty, Mini, co tu robisz?

– Ładne mi powitanie. – Mini zmrużyła oczy, jakby chciała zrobić Madzi krzywdę spojrzeniem. – Słyszałam, że idziesz na randkę – rzuciła i zaczęła przeglądać książki.

Co za pleciuga, uduszę ją! Czy tej kobiecie jadaczka nigdy się nie zamyka?

Zagryzłam wargi, gdy Madzia spojrzała na mnie z wyrzutem. Do Mini musiało dotrzeć, że się wygadała, bo popatrzyła to na mnie, to znów na Madzię, marszcząc czoło.

– Co? Chyba mi nie powiesz, że chciałaś to przede mną ukryć.

– Oj dobra, idę, ale pogadamy o tym później, teraz muszę szybko skończyć robotę. – Madzia wróciła do wykładania książek.

Mini przyjrzała się publikacji, którą trzymała w dłoniach, i pokazała nam okładkę.

– *Idealne życie na obcasach*. To coś ciekawego?

Zamurowało mnie. Mini wyciągnęła ją z półki z bestsellerami. Madzia spojrzała na książkę i wzruszyła ramionami.

– Nie czytałam, ale kobiety to kupują.

O Jezuniu. Dlaczego?!

– Ja *próbowałam* to przeczytać. Powinniście przenieść tę powieść do działu science fiction – stwierdziłam i obie popatrzyły na mnie ze zdziwieniem. Na szczęście Mini

odłożyła książkę na miejsce i chwyciła kolejną.

– O, tu jest coś dla nas – powiedziała, cicho chichocząc. – *Folwark zwierzęcy*.

Skrzyżowałyśmy spojrzenie z Madzią i po chwili wybuchłyśmy śmiechem.

– Głupia jesteś – rzuciła Madzia, cały czas rechocząc, i wyprostowała się z pustym kartonem pod pachą. – Za trzy minuty jestem z powrotem.

Wróciła wkrótce i opuściłyśmy księgarnię. Widać było po Madzi, że okropnie się stresuje. Gdy we trójkę wędrowaliśmy od sklepu do sklepu, sprawiała wrażenie nieobecnej.

– Brzuch mnie boli – mówiła co chwila, czym doprowadzała Mini do szału.

– Boże Jezu, masz szesnaście lat, żeby stresować się randką? – warczała na nią.

Ja wiedziałam jednak, co leżało Madzi na sercu – w wirtualnej przestrzeni ona i Konrad byli sobie bardzo bliscy, można by rzec, że perfekcyjnie dopasowani. Owszem, widzieli swoje zdjęcia i nawet parę razy rozmawiali przez telefon, ale to w końcu nie to samo, co spotkanie w cztery oczy. Po prostu bardzo jej zależało – bała się, że coś pójdzie nie tak i czar pryśnie, a wraz z nim szansa na stworzenie związku.

Brakowało pięciu minut do dziewiętnastej, gdy Madzia, czerwona na twarzy, stwierdziła, że na nią pora. Przytuliła nas na pożegnanie i wzięła kilka głębokich wdechów.

– Dam wam jutro znać, jak poszło.

– Jutro? – pisnęła Mini. – Masz dać znać dzisiaj! Może na ciebie poczekamy?

– Nie, nie, idźcie sobie. I nie obserwujcie mnie, bo będę się głupio czuła.

Mini oczywiście już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale uprzedziłam ją.

– Jasne. Trzymamy kciuki. I nie stresuj się. – Poklepałam Madzię czule po ramieniu i odciągnęłam Mini na bok.

– Co robisz? – jęknęła i spojrzała za siebie, wściekła, że prowadzę ją w przeciwnym kierunku. – Chodź, przynajmniej zobaczymy, jak on wygląda!

Nie zdążyłam nawet pisnąć, bo Mini już skradała się w stronę kina. Tak, to prawda, że dałam Madzi słowo, ostatecznie uznałam jednak, że świat się nie zawali, jeśli przez chwilę popatrzymy sobie na nich z ukrycia. Schowałyśmy się za choinką, zza której miałyśmy świetny widok. Madzia ze swoją zieloną kurtką przewieszoną przez ramię od razu rzuciła nam się w oczy.

– Tam jest! Widzisz ją? – spytała Mini półszepceniem, nie kryjąc podniecenia. Ledwo mogłam oddychać, bo jej gryzące perfumy drażniły mnie w nos. Musiała wylać na siebie z pół buteleczki.

– Widzę, uspokój się.

W ciszy patrzyłyśmy, jak Madzia podchodzi do wysokiego, ciemnego blondyna w okularach. Przeszło mi nawet przez myśl – choć trwało to jedynie ułamek sekundy – że Konrad podobny jest do Michała... Uśmiechnął się na jej widok, nachylił się i ucałował Madzię w policzek. Zaczęli ze sobą rozmawiać.

– Nawet nie najgorszy – oznajmiła Mini. – Taki „emgieem”. Wydaje mi się, czy Madzia tak jakby trochę schudła?

– Rzeczywiście, wygląda całkiem nieźle.

Przyjemnie było patrzeć na uśmiechniętą Madzię zajętą rozmową z Konradem. Z tego, co nam opowiadała, jej internetowy przyjaciel mieszkał w Kozienicach, był w naszym wieku i zajmował się naprawą komputerów. Najbardziej jednak urzekł ją swoją miłością do poezji – sam też pisywał wiersze, które zdaniem Madzi były „naprawdę dobre”. Miałam nadzieję, że ten facet nie złamie jej serca. Bogu dzięki nie wyglądał na cwaniaka.

Kiedy weszli do pijalni czekolady, Mini zarechotała, twierdząc, że pewnie z diety Madzi już nici, i oznajmiła, że musi zmykać, bo umówiła się z mamą „na szoping”.

– Myślałam, że nie ubierasz się w sieciówkach... – powiedziałam.

– Bo zazwyczaj się nie ubieram. Idę po buty i może wypatrzę coś dla Arka. To trzymaj się, kochana.

Odprowadziłam ją wzrokiem, zapięłam kurtkę i ruszyłam w stronę wyjścia. Te wszystkie choineczki, świecidelka, bombki, elfy, wstążeczki, promocje i wyprzedaże były bardzo kuszące, ale gdy Madzia odeszła z Konradem, a Mini ze swoją mamą, poczułam się trochę samotna i jak najszybciej chciałam znaleźć się w domu. Tam też, co prawda, nie czekał na mnie ukochany, tylko co najwyżej oddani sobie rodzice, jeśli jednak miałam smęcić, to wolałam robić to u siebie.

Obwiązałam szyję błękitnym szalikiem, zмирzając ku rozsuwanym drzwiom, za którymi ulice Radomia pokrywały się białym puchem, gdy nagle usłyszałam swoje imię.

– Kaja?

Wypowiedział je za moimi plecami jakiś mężczyzna. Jego głos brzmiał znajomo. Zatrzymałam się, odwróciłam i...

Mój Boże. Matko Boża. Święci Pańscy i aniołku na niebie.

!!!

Rozdział 22

– Ja-Jacek? – wymamrotałam, z trudem utrzymując się na nogach. Moje serce łomotało jak szalone, zupełnie jakbym właśnie przebiegła maraton.

– Cześć – powiedział łagodnie, a jego twarz rozpromienił uśmiech.

Uspokój się, uspokój, panuj na sobą.

– Rany, cześć – odparłam, czując, że się czerwienię. – Co ty tu robisz?

Bardzo się starałam zachowywać się i brzmieć naturalnie, choć z trudem kontrolowałam głos.

– Przyjechałem na parę dni. Pomyślałem, że może rozejrzę się jakimiś prezentami na Gwiazdkę. A ty już wychodzisz? – spytał, przesywając mnie wzrokiem na wskroś.

Poluzowałam sobie szalik pod szyją; brakowało mi tchu. Dlaczego on, do licha, musiał wyglądać tak dobrze? Pewnie gdybym po naszym rozstaniu nie usunęła go z Facebooka, jego widok tak bardzo by mnie nie zaskoczył, a i temat do rozmowy szybciej by się znalazł. Ale skoro postanowiłam wyrzucić go z grona swoich znajomych, teraz musiałam sobie jakoś radzić.

– Tak, spotkałam się z dziewczynami i wracam do siebie. Wszystko u ciebie w porządku?

– Mhm. – Pokiwał głową. – Jakoś się układa, nie narzekam. Mam sporo zajęć, ale ogólnie jest okej.

– To super – odrzekłam, chociaż chyba nie do końca szczerze.

– A ty jak się trzymasz? – zapytał.

– Też nie narzekam. Naprawdę wszystko w porządku.

Rozmowa się nie kleiła. Kiedy już doszłam do siebie, zdałam sobie sprawę, że właściwie nie wiem, co jeszcze moglibyśmy sobie powiedzieć. Pewni ludzie należeli do przeszłości i tam było ich miejsce. Jacek niewątpliwie był w tej grupie.

– Słuchaj, Kaja... – Przechesał dłonią swoje czarne włosy. Wyglądał, jakby zastanawiał się, w jaki sposób powiedzieć to, co leży mu na wątrobie. – Jeśli chodzi o nasze sprawy i o to wszystko, co się stało...

– Daj spokój – przerwałam mu i stanowczo pokręciłam głową. – W ogóle nie ma o czym mówić.

– Chyba właśnie jest, chciałbym ci pewne rzeczy wytłumaczyć...

– Ale ja nie chcę tego słuchać. – Zdenerwowałam się.

Nagle zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Jacek patrzył na mnie smętnym wzrokiem.

– Tamta dziewczyna... Ona nigdy nic dla mnie nie znaczyła, wiem, że cię to nie obchodzi, ale...

– Masz rację, nie obchodzi mnie – rzuciłam i zacisnęłam dłonie w pięści. – Słuchaj, trochę mi się śpieszy. Życzę ci powodzenia i w ogóle trzymaj się.

Obróciłam się na pięcie i nie czekając na odpowiedź, pognałam w stronę przeszkłonych drzwi. Jacek nie pobiegł za mną; w żaden inny sposób nie próbował mnie zatrzymać. Nie rzucił nawet „cześć” czy „pocałuj mnie w nos”. A ja się nie odwróciłam. Ten rozdział mojego życia był zamknięty i nie zamierzałam rozdrapywać ran, które z trudem się goiły. Jaki sens miały tłumaczenia? Chyba jedynie taki, że dzięki nim Jacek poczułby się lepiej – nie ja. Owszem, tworzyliśmy związek, mieliśmy się pobrać, ale dokonaliśmy pewnych wyborów i nasze drogi bezpowrotnie się rozeszły. Nie byliśmy dopasowani, oto cała tajemnica.

Wiecie co? Nie wracałam do domu zapłakana, nie biegłam jak jakaś postrzelona Bridget Jones goniąca za szczęściem. Nie, nie żywiłam urazy do całego męskiego gatunku, bo dlaczego bym miała? Gdyby mnie teraz sfilmowano, położyłabym każdą komedię romantyczną, tak byłam obojętna. Po prostu szłam przed siebie, zapadając się w płytkim śniegu i w zasadzie nie myśląc o niczym. I o nikim.

Każdy z nas jest sumą wyborów, których dokonuje. Mój wybór był taki, że postanowiłam nie wyjeżdżać z Radomia i tutaj spróbować poszukać szczęścia. A Jacek do tej koncepcji nie pasował.

Czas do Bożego Narodzenia mijał błyskawicznie. Przychodził dzień i odchodził, noc zaczynała się i kończyła. Tydzień upływał za tygodniem.

Moje życie uczuciowe w zasadzie nie istniało. Z Michałem nie miałam żadnego kontaktu. Zdjęcia wywoływałam w innych punktach. Skończyło się popijanie kawki z czerwonych kubków na zapleczu Migawki. Nie było wiadomości na Facebooku, SMS-ów, telefonów. Raz nawet mama Krysia zapytała mnie, co „z tym Michałem” i czy „załatwiłam tę sprawę”, ale odpowiedziałam jej wymijająco i dała spokój.

Tak, było mi głupio; z każdym kolejnym dniem coraz bardziej. Wisiało to nade mną jak chmura gradowa, której nie umiałam odpędzić. Ciężyło mi to okropnie. Lecz im więcej czasu mijało, tym mniej było we mnie odwagi, by odwiedzić Michała i spróbować wyprostować nasze relacje.

Dziewczyny też mi nie pomogły, gdy opowiedziałam im o spotkaniu z Jackiem. Napadły na mnie, że powinnam była pozwolić mu się wygadać. Zupełnie jakby nie chciały zrozumieć, że to etap definitywnie zakończony i żadne wygadywanie się tego nie zmieni. Madzia uznała nawet (nie wiem, czy przypadkiem nie miała wtedy gorączki), że powinnam do niego zadzwonić i porozmawiać. Powiedziała jej, że zgłupiała do reszty, po czym obraziła się na kilka dni. Na domiar złego sny o Jacku tylko się zintensyfikowały.

Już nawet nie próbowałam liczyć dni od czasu, gdy ostatni raz byłam w łóżku z mężczyzną. Robiło mi się gorąco na samą myśl, że najbliżej byłam z Robertem Wysockim, zarozumiałym i niewiernym policjantem. Chwała Bogu, że nie doszło między nami do niczego więcej, bo musiałabym żyć z okropnym kacem moralnym, że wkroczyłam między małżonków. Zadawanie się z takimi facetami było trujące jak potrawa z nieumiejętnie przyrządzonej ryby fugu.

Naprawdę bardzo chciałam, żeby ten rok już się skończył.

Coś jednak cieszyło mnie niewyobrażalnie – SZCZĘŚLIWE POLKI, czyli moja armia Błękitnych Dziewczyn. W przeddzień Mikołajek, piątego grudnia, założony przeze mnie profil miał już tysiąc fanów. A komentarze, jakie zostawiali, przeczyły obrazowi polskiego internauty malkontenta – praktycznie wszystkie były bardzo pozytywne. Każdego tygodnia zamieszczałam średnio dwie nowe fotografie. I nie musiałam się wysilać, żeby je zdobyć – przychodziły same, w dużej ilości. Czasem do zdjęć były załączone długie listy, czasem tylko kilkudzaniowe wiadomości, a czasem nie było żadnego dopisku. Raz zostałam nawet poproszona o podanie adresu – nadawczynie wyjaśniła, że jej mama koniecznie chce się ze mną skontaktować, a nie obsługuje Facebooka. Zaryzykowałam, podałam.

Zdjęcia słały kobiety tak różne, jak różne są kwiaty na łące – młodsze i starsze, grube i chude, blade i opalone, zaniedbane i wystylizowane, wysokie i niskie. Na swoje kartki wpisywały wszystko, z czego były dumne, czym chciały się pochwalić, co było dla nich ważne. Ania z Kielc okrążyła świat autostopem. Natalia z Mokrej urodziła dwie wspaniałe zdrowe córki. Bożena z Dąbrowy Górniczej wyszła z anoreksji, Olga z Leszna rzuciła pracę na etacie i otworzyła małą kawiarenkę, Marzena z Klikawy nauczyła się chińskiego, natomiast Jagoda spod Krakowa wyznała, że lubi słuchać innych ludzi i nigdy im nie przerywa.

Fotografie, uwierzcie, były wyjątkowe – nawet te nieostre czy prześwietlone. Żałowałam, że nie mogę się spotkać z tymi wszystkimi kobietami. Byłam z nich taka dumna! Kilka z nich po publikacji napisało do mnie, że mi dziękują, że gdy zobaczyły swoje zdjęcie w internecie, jeszcze bardziej uwierzyły w siebie i że powinnam otrzymać tytuł „Polki Roku”. Ja jednak nie potrzebowałam żadnych tytułów czy nagród, bo nie po to to wszystko robiłam.

W połowie grudnia odwiedziłam Madzię, która stwierdziła, że chciałaby dołączyć do SZCZĘŚLIWYCH POLEK.

– Wiesz, ja chyba jeszcze nie mogę powiedzieć, że jestem do końca ze sobą pogodzona, ale i tak jest już lepiej, a poza tym widzę po Mini, że zmieniła się na korzyść, odkąd cyknęłaś jej fotkę z tą całą kartką – oznajmiła, siedząc na kanapie i bawiąc się z Hugonem, podczas gdy ja przygotowywałam sprzęt do zdjęć.

Madzia, w przeciwieństwie do Mini, od razu wiedziała, jaki komunikat chce przekazać, i zamiast uzalać się nad sobą albo jęczeć, że nie ma pojęcia, w czym jest dobra, postanowiła opowiedzieć mi o swoim nowym wybranku.

Ona i Konrad Lizut oficjalnie byli parą. W ich przypadku znajomość nie skończyła się na pierwszej randce. Na razie jednak spotykali się głównie w weekendy, to u niej, to u niego. Wystarczyło spojrzenie na jej twarz, gdy o nim opowiadała, by mieć pewność, że zaangażowała się w ten związek. Wyglądała na szczęśliwą, cieszyło mnie jednak, że postanowiła być ostrożna. Sparzyć można się łatwo, tyle że rany goją się potem bardzo długo.

– Wiesz, nie mów tego Mini, bo będzie się ze mnie śmiała, ale... – wymamrotała, urywając nagle, jakby bała się dokończyć.

– Ale co? – spytałam i posłałam jej uśmiech na zachętę.

Madzia poklepała Hugona po wielkim pysku i sięgnęła po przygotowaną do sesji kartkę.

– Chyba się zakochałam.

Wyprostowałam się momentalnie i wbiłam w nią wzrok.

– To wspaniale!

Zaczerwieniła się i nieśmiało uśmiechnęła pod nosem.

– A ja myślałam już, że zostanę starą panną.

– Daj spokój, chyba złapanie męża nie jest twoją jedyną ambicją.

– No nie... Ale wiesz, głupio tak nie mieć nikogo, prawda?

Głupio, nie głupio – teraz, gdy byłam sama, starałam się nie zaprzętać sobie tym głowy. Bo w zasadzie nie sprowadzało się to do tego, czy głupio było być singielką, czy wcale nie. Liczyło się tylko to, co sama czułam. A tego akurat nie potrafiłam nazwać.

Madzia zapozowała mi na kanapie, z Hugonem, który złożył swój pysk na jej kolanach („Przynajmniej nie będzie widać, czy mam grube nogi” – uznała). Założyła bardzo ładną łososiową bluzkę, która dobrze na niej leżała. Z pewnością nie nosiła już L-ki, co najwyżej M-kę. Swoją kartkę trzymała na wysokości brzucha. Z komunikatem:

NAPISAŁAM 116 WIERSZY

Zanim zaczęłam robić jej zdjęcia, ogarnęły ją wątpliwości, czy fotografowanie się z takim przekazem ma sens.

– Chyba się wygłupię. Babki piszą, że wyszły z depresji poporodowej, a ja wyskoczę z wierszami, trochę lipa, nie? – spytała, zagryzając wargi.

– Posłuchaj – powiedziałam. – Kiedy tworzyłam tę stronę, od razu wiedziałam, że nie jest to miejsce dla celebrytek, tylko kobiet z krwi i kości, które pokonują własne słabości, rozumiesz? Które potrafią znaleźć to, co w nich najlepsze i zwyczajnie, po ludzku, pochwalić się tym przed światem. Twoje hasło jest świetne.

Nie wiem, skąd wynikał ten okropny brak pewności siebie u Madzi, udało mi się ją jednak przekonać, że wiersze to jej mocna strona i nie powinna zmieniać tego, co napisała.

– Wiesz, robisz to nie tylko dla siebie, ale też dla innych kobiet. – Po skończonej sesji rzuciłyśmy się na kanapę, by trochę poleniuchować. – Powiedzmy, że jest gdzieś w Polsce babeczka, która żyje z zasiłku w starej chałupce, jest bezrobotna, ma kiepskiego faceta, który się do niczego nie nadaje, nie podoba się sobie i generalnie jest bardzo nieszczęśliwa. Ma o sobie jak najgorsze zdanie. Ale pisze wiersze, dla siebie, do szuflady. Jeśli zobaczy ciebie z tą kartką, być może pomyśli sobie, że wcale nie jest taka beznadziejna, rozumiesz? Może powie do siebie: „Hej, ja też piszę wiersze, też mogę się tym pochwalić!”. Wiesz, Madziu, ja nie mam złudzeń, że ta kobieta nagle stanie się megaszczęśliwa, ale może poczuje się choć trochę lepiej.

Gdy skończyłam, zapadła cisza. Madzia pokiwała głową i rzuciła się mi w ramiona.

– Kocham cię – powiedziała i zachlipała cicho.

– Rany, a to za co?

Cofnęła się, ocierając łzę spod oka, i wzruszyła ramionami.

– Bo tak i już.

– Ty już masz kogo kochać – odparłam i pociągnęłam ją lekko za włosy.

Dochodziła dziesiąta, kiedy stwierdziłam, że muszę już iść, zwłaszcza że tydzień roboczy jeszcze się nie skończył, a królowa Zoja od paru dni chodziła ekstremalnie wściekła i nie chciałam dawać jej pretekstu, żeby zmieszała mnie z błotem.

– Słuchaj, Kaja – zagadnęła Madzia, gdy odprowadzała mnie do samochodu. – A twoje sprawy sercowe... Nic się nie dzieje?

Nasunęłam sobie czapkę na uszy i zatrzymałam się przy toyocie.

– Nic, kochana.

– Nic a nic?

Pokręciłam głową.

– Z Jackiem nie masz kontaktu?

– Przecież wiesz, że nie, i nie będę miała – odpowiedziałam trochę zbyt stanowczo i Madzia spuściła wzrok, jakby poczuła się dotknięta.

– A Michał? Zamierzasz pozwolić odejść radomskiemu Justinowi Timberlake’owi?
– zażartowała.

– Wiesz, z tego, co kojarzę, to Justin jest już zajęty.

– Michał ma kogoś? – Madzia prawie krzyknęła, wybałuszając oczy.

Nie zrozumialiśmy się.

– Nie, prawdziwy Justin Timberlake ma kogoś, a Michał – nie wiem, może też?

– Powinnaś z nim porozmawiać. Z Michałem.

– Jest wiele rzeczy, które powinnam zrobić, ale się nie da – ucięłam, pożegnałam Madzię szybkim całusem, wsiadłam za kierownicę i samochód ruszył z piskiem opon.

Rozdział 23

Tak, było bardzo dużo rzeczy, które naprawdę powinnam była zrobić – a nie robiłam ich. Nie powiedziałam Jackowi, że zachował się podle i powinien smażyć się w piekle. Nie poszłam do Michała, by załagodzić napiętą sytuację i zadbać o to, żeby nasze relacje wróciły do normy. Nie uderzyłam Roberta w twarz, gdy nakryła nas jego żona. Nie wytknęłam Mini, że powinna wynieść swojemu mężowi walizki za drzwi albo nawet wnieść pozew o rozwód. Mało tego – nie rzuciłam królowej Zoi wypowiedzeniem w twarz, a należało jej się po tym, co zrobiła przed świętami.

A było tak.

Dwa dni przed Wigilią jak co roku spotkaliśmy się w redakcji na tak zwanym opłatku. Każdy z nas przyniósł coś do jedzenia – ja skorzystałam z książki Renaty i upiekłam kruche ciasteczka, które zniknęły błyskawicznie. Nawet królowa Zoja się na nie skusiła, choć pochwalenie mojego wypieku przyszło jej z trudem.

– Smaczne, ale martwi mnie twoje nagłe zainteresowanie kuchnią. Czyżbyś przestała dbać o linię? Chyba faktycznie ostatnio trochę przytyłaś – stwierdziła piskliwym głosem, taksując mnie wzrokiem od stóp do głów, jakbym była eksponatem muzealnym.

Podła małpa, chociaż porównywanie jej do jakiegokolwiek zwierzęcia było dla tych niewinnych stworzeń wielką niesprawiedliwością.

– Tak się składa, że ostatnio nawet schudłam – odcięłam się, zresztą zgodnie z prawdą: jakimś cudem w ciągu miesiąca ubył mi kilogram.

Moja szefowa nie lubiła kobiet, a już pyskatych po prostu nie znosiła. Gdy któraś, jak na przykład przed chwilą ja, weszła z nią w dyskusję albo rzuciła ciętą ripostę, mogła być pewna, że nie ujdzie jej to na sucho. Zoja Adamska była jak przyczajony lis szykujący się do ataku. W tym wypadku porównanie do zwierzęcia oddawało sedno sprawy.

Kiedy najedliśmy się już domowymi i kupnymi przysmakami, złożyliśmy sobie życzenia – dziwnym zrządzeniem losu królowa akurat musiała w tym czasie skorzystać z toalety, a gdy wróciła, załatwiła nas hurtowo, życząc wszystkim wesołych świąt. Zaczęliśmy się rozchodzić, gdy wezwała mnie na dywanik.

– Chodź na słówko. – Odwróciła się do mnie plecami i pomaszerowała do swojego gabinetu, kołysząc biodrami w opiętej sukience. Widok był co najmniej niesmaczny.

– Coś się stało? – zapytałam, gdy znalazłyśmy się sam na sam.

– Siadaj. – Królowa wskazała puste krzesło.

Na biurku, w widocznym miejscu, jak zawsze znajdowała się markowa torebka ze skóry, wściekle czerwona, a także otworzony mniej więcej w połowie magazyn o modzie. Ten, który promował sandały za dwie średnie krajowe pensje.

– Może i nie czas na takie rozmowy, ale ostatecznie co ma wisieć, nie utonie – zaczęła królowa Zoja i splotła tłuste ręce, odsłaniając nadgarstki ozdobione ciężkimi bransoletami. – Zobaczymy się dopiero po Nowym Roku, więc chciałam cię uprzedzić, że niewykluczone, że czekają nas zmiany kadrowe.

– To znaczy?

– No chyba domyślasz się, co to znaczy, prawda? – spytała z drwiną w głosie. – W końcu jesteś inteligentna.

Przeklęta, złośliwa, gruba baba. Uch!

– Generalnie chodzi o to – powiedziała, gdy nie zareagowałam na jej kąśliwą uwagę – że nasz udziałowiec nie jest zadowolony z przychodów „Głosu” i zamierza ograniczyć zatrudnienie. Te wasze etaty są bardzo kosztowne.

Na miły Bóg! Powiedziała to takim tonem, jakbyśmy zarabiali tu co najmniej po kilka tysięcy złotych. Chyba momentami zapomniała, że prowadzi tylko lokalny tygodnik, a pensje zwyczajnie nam urągają. Gdybym nie kończyła studiów i wykształciła się na fryzjerkę czy pomoc kuchenną, pewnie, o ironio, zarabiałabym więcej niż pod skrzydłem królowej Zoi.

– Rozumiem, że jestem pierwsza do odstrzału? – zapytałam prosto z mostu.

– No wiesz... Jeszcze tego nie wiem, ale gdybym miała zrobić gradację waszych zadań, to cóż... Bez dziennikarza gazeta się sama nie napisze, bez grafika sama się nie złamie, ale bez fotoreportera możemy sobie poradzić. Dobrze wiesz, jak jest, w większości radomskich redakcji dziennikarze sami latają z aparatami i robią zdjęcia...

Owszem, a człowiek pierwotny biegał z maczugą i odżywiał się korzonkami, ale chyba powinno się równać do góry, czy nie?

– Mam sobie szukać nowej pracy? – spytałam wreszcie, bo królowa Zoja nie była zbyt konkretna, co doprowadzało mnie do szewskiej pasji.

Machnęła ręką, jakbym zapytała ją, czy ma ochotę na ciastko.

– Tego jeszcze nie powiedziałam – odrzekła i podsunęła sobie pod nos magazyn o modzie. Szczyt kultury. – Po prostu uprzedzam cię, żebyś nie była potem zdziwiona.

Rozdzwoniła się jej komórka; trwało chwilę, zanim moja nadęta szefowa odnalazła ją w swojej przepastnej torebce – by to uczynić, musiała wyjąć ze środka markowe

perfumy, jedwabną apaszkę i drogie pióro. W końcu odnalazła swój nowoczesny, bielutki jak śnieg za oknem smartfon, nacisnęła coś na ekranie długim pazurem i zerwała się z fotela.

– Słucham? A, to ty kochanie, zaczekaj chwilkę – powiedziała i zakryła pulchną dłonią głośnik, zwracając się do mnie. – Nie wychodź jeszcze, zaraz wrócę.

I opuściła gabinet.

Siedziałam w pustym pomieszczeniu i ogarniały mnie mdłości od nadmiaru zapachów – w powietrzu mieszały się ciężkie perfumy królowej z kwiatowym bukietem buchającym z odświeżacza stojącego na regale. Jak ona może pracować w takich warunkach? Ach, tak, zapomniałam, moja szefowa przecież tutaj nie *pracuje*. To inni pracują za nią, dla niej i na nią. Ona ma na głowie inne sprawy, takie jak, na przykład, kokietowanie męskiej części redakcji, wyżywianie się na nas, dziewczynach, pisanie na Gadu-Gadu (parę razy ją na tym przyłapałam) czy przeglądanie durnej gazetki. Życ, nie umierać!

Z nudów zaczęłam przebierać nogami. W zasadzie fakt, że byłam pierwsza do zwolnienia, nie bardzo mnie obszedł. Pomyślałam sobie, że to może nawet lepiej. Sama w nieskończoność odwlekałabym moment odejścia, a tak sprawa by się rozwiązała. To byłby impuls do zmian, duża motywacja. Czasem trzeba zostać postawionym pod ścianą, by zrobić coś ze swoim życiem.

Zerknęłam na rozłożony na biurku magazyn. Leżał do góry nogami, z trudem więc mogłam przeczytać tytuł artykułu, o reszcie tekstu nie wspominając. Bez problemu rozpoznałam natomiast granatowy logotyp Facebooka i nagle nieomal nie zemdlałam. Zerwałam się na równe nogi i wbiegłam za biurko królowej. Jezu Boże Matko Święta! Momentalnie zrobiło mi się gorąco.

Patrzyłam na zdjęcie z Iwoną Bajecką stojącą pod dębem z kartką, na której napisała o swojej depresji poporodowej i zrzuconiu trzydziestu dwóch kilogramów. Artykuł, który zajmował całą kolumnę, był poświęcony ciekawym profilom założonym na Facebooku. Mój znalazł się wśród trzech wyróżnionych przez redakcję. Czytałam go w pośpiechu.

Fanpejdz SZCZĘŚLIWE POLKI pojawił się w sieci niedawno, zdobywając do tej pory ponad 1300 fanów. Dodajmy, że aktywnych, którzy chętnie lajkują, komentują i udostępniają opublikowane materiały. Jak można przeczytać na profilu, jest to „Strona szczęśliwych, pogodzonych ze sobą kobiet”. Na fanpejdzu zamieszczane są zdjęcia Polek w różnym wieku i z różnych stron kraju. Kobiety te fotografują się z kartkami, na których piszą o swoich osiągnięciach, pasjach, mocnych stronach. Bez cienia wątpliwości musimy przyznać, że to znakomity pomysł. Same już szykujemy

własne kartki, z którymi zamierzamy się sfotografować, póki co zastanawiamy się jednak, co na nich napisać. Nasza ocena: 5/5.

Ich ocena: 5/5. O losie! Dosłownie cała drżałam. A zdjęcie z Iwoną prezentowało się fenomenalnie. To nic, że tuż obok znajdowała się reklama kremu ze znaną aktorką po czterdziestce, którą tak wyretuszowali, że wyglądała jak gimnazjalistka. To nic, że cała gazetka była bezwartościowa. Nie dalej jak pięć minut temu gardziłam nią z całej duszy, a teraz szybko sprawdziłam jej nazwę („Trendy”, numer dwunasty, piękna blondynka na okładce) – z zamiarem kupienia egzemplarza, gdy tylko wyjdę z redakcji.

Bo artykuł w poczytnym magazynie = reklama = większa popularność profilu SZCZĘŚLIWYCH POLEK = nowe kobiety przysyłające i oglądające zdjęcia. Ależ byłam zadowolona! Usłyszawszy, że królowa Zoja skończyła rozmowę, szybko odłożyłam magazyn na miejsce i wróciłam na krzesło. Serce mi waliło.

– To na czym skończyliśmy? – Usiadła, nie przestając bawić się telefonem. – Aha, na tym, że będą zwolnienia...

– Raczej na tym, że moje stanowisko jest tutaj zbędne – przerwałam jej, nie spuszczając wzroku z wymalowanej twarzy Adamskiej.

Ona nie wiedziała, że prowadziłam profil SZCZĘŚLIWYCH POLEK. Dopiero teraz zrozumiałam, jak dobrze jest mieć coś, o czym niezyczliwi ci ludzie nie mają zielonego pojęcia, szczególnie gdy się im wydaje, że mają nad tobą przewagę.

– No... Sama to powiedziałaś. W każdym razie wiesz już, w czym rzecz. To wszystko. Wesołych świąt.

Posłałam jej najszerszy uśmiech, na jaki mogłam się w tym momencie zdobyć, dygnęłam grzecznie i wyszłam z gabinetu. Niech sobie grubiutkie paluszki mojej okropnej szefowej przerzucają kolejne strony w tych całych „Trendach”. Niech ślizgają się po ekranie nowoczesnego telefonu, niech zapinają sprzączki przy absurdalnie drogich szpilkach, niech wystukują te swoje durne wiadomości do tak samo jak ona nadętych koleżaneczek, niech rozpylają na zwiotczącej skórze Chanel No. 5. Guzik mnie to obchodziło! Ja miałam swoje SZCZĘŚLIWE POLKI, czyli Błękitne Dziewczyny, do których Zoja Adamska nie miała dostępu – i nie pomogłyby jej w tym wszystkie pieniądze świata.

Miałam coś, czego ona nie miała. Mogła mnie nawet zwolnić; obchodziło mnie to tyle co zeszłoroczny śnieg. Miałam gdzie mieszkać i co jeść, ubrań też mi nie brakowało, a gdybym musiała na nich zaoszczędzić, poszłabym do Mini na szkolenie i zaczęłabym nosić ciuchy z drugiej ręki. Wielkie mi halo.

Choć wydawało się to niemożliwe, po wyjściu z redakcji czułam się bardziej szczęśliwa, niż zanim tu weszłam. Bo zdałam sobie sprawę, że jestem... wolna!

Poczułam to całą sobą tak bardzo, że aż zakręciło mi się w głowie. Tę wolność dawała mi świadomość, że jest coś, nad czym mam kontrolę, co daje mi absolutne szczęście i czego nikt nie może mi zabrać.

Aż do kolacji wigilijnej mama Krysia próbowała robić mi wodę z mózgu, chodząc za mną krok w krok i lamentując, co to będzie, jeśli stracę pracę. Większą przytomnością umysłu wykazał się tata Krzyś, który ofuknął ją, żeby dała mi święty spokój i zajęła się lepiej lepieniem pierogów.

– A co ona tam zarabia? – uniósł się. – Już dawno powinna była odejść. Daj dziewczynie spokój, jest dorosła, nie powinna pozwolić się wykorzystywać. Dobrze wiesz, jaką wstrętną ma szefową. Jezus Maria, Krysiu, grzybowa ci zaraz wykipi!

Tata strzelił w dziesiątkę – słowo „wstrętna” pasowało do królowej Zoi jak ulał. Uśmiechnęłam się pod nosem, natomiast matka zajęła się kipiącą zupą i zostawiła mnie w spokoju.

Mama Krysia mogła sobie mówić, co tylko chciała, bo odkąd po rozmowie z szefową opuściłam redakcję „Głosu Radomia”, nic – powtarzam: nic – nie było w stanie popsuć mi humoru. Jeszcze zanim kupiłam ostatni w tym roku numer „Trendów” z blond pięknoscią na okładce, zadzwoniła do mnie Mini (w końcu stała czytelniczka tego magazynu) i z trudem panując nad głosem, wymamrotała, że napisali o SZCZĘŚLIWYCH POLKACH.

– Tak, wiem...

– Jak to wiesz? Co ty gadasz, Kaja, bój się Boga, wcale nie wiesz, nic nie wiesz. Normalnie napisali o tobie w tym piśmie, to znaczy nie o tobie, wiadomo, ale o SZCZĘŚLIWYCH POLKACH, dostałaś pięć na pięć punktów, to znaczy nie ty, ale twoja strona. No mówię ci, nie uwierzysz, dopóki tego nie zobaczysz, właśnie patrzę na fotkę tej trenerki, co to schudła trzydzieści dwa kilogramy. Boże, Kaja, jesteś prawie sławna, Boże mój Jedyny.

Gdy Mini zaczynała swoją tyradę, była jak czołg nie do zatrzymania. Pozwoliłam się jej wygadać, a kiedy wreszcie zamilkła, wyjaśniłam, co mi się dziś przytrafiło w redakcji i że właśnie zamierzałam kupić ten magazyn.

Mini była tak podniecona faktem, że napisali o SZCZĘŚLIWYCH POLKACH w czasopiśmie, które kupowała systematycznie co miesiąc, że nawet nie przejęła się perspektywą zwolnień w „Głosie”. Zupełnie, jakbym powiedziała jej, że królowa Zoja wezwała mnie do siebie na herbatkę i wspólne malowanie paznokci, a nie na rozmowę o redukcji etatów.

To nic, że w nocy przed Wigilią przyśnił mi się Jacek i to w dwuznacznej sytuacji. Nie miałam głowy, by przejmować się przyziemnymi sprawami. Cieszyłam się z nadchodzących świąt – z przyjemnością ubrałam choinkę, po którą zresztą sama pojechałam (gdy byłam mała, tata Krzyś oznajmił, że dopóki będzie żył, w naszym domu zawsze będzie żywa choinka, i jak na razie trzymał się tego postanowienia), upiekłam sernik z przepisu Renaty, i bez marudzenia robiłam porządki. Znalazłam nawet czas, by spotkać się z dziewczynami. Wręczyłyśmy sobie po drobnym prezencie. Mini ofiarowałam pęk bransoletek („Wyczesane, będą pasować do mojej nowej sukienki”), a Madzi skakankę do ćwiczeń („Sugerujesz, że nadal jestem gruba?”); natomiast Mini podarowała mi kosmetyki do ciała (identyczny zestaw dostała od niej Madzia), a ta ostatnia książkę z aforyzmami o miłości. Uśmiełyśmy się po uszy, gdy Madzia wręczyła Mini *Folwark* zwierzęcy.

Dwudziestego czwartego grudnia siadałam do stołu cała w skowronkach, bo poprzedniego dnia dostałam najpiękniejszy bożonarodzeniowy prezent, jaki mogłam sobie wymarzyć.

Wybierałam się właśnie do sklepu, kiedy zajrzałam do skrzynki pocztowej. Było w niej mnóstwo ulotek reklamowych (głównie z promocjami w supermarketach i ofertami szybkich pożyczek), dwie kartki ze świątecznymi życzeniami od rodziny i list w białej kopercie. Do mnie. Był dość gruby, a dane nadawcy nic mi nie mówiły: *Lidia Staniszevska, ul. Forteczna 7/9 m. 181, 58–316 Wałbrzych.*

Szybko go otworzyłam i zaczęłam czytać.

Droga Pani!

Mam nadzieję, że się Pani nie gniewa że napisałam na Pani prywatny adres. Poprosiłam córkę żeby się z Panią skontaktowała. Ja nie znam się na komputerach a bardzo chciałam do Pani napisać po prostu musiałam. Dziękuję, że zgodziła się Pani jednak podać swój adres domowy.

Nazywam się Lidia Staniszevska i mam 58 lat. Obecnie mieszkam w Wałbrzychu choć prawie całe życie mieszkałam w Czarnym Borze pod Wałbrzychem. Z zawodu jestem szwaczką ale obecnie z braku pracy utrzymuje się głównie ze sprzątnania, córka też mi bardzo pomaga to anioł powiem Pani. Wspaniała dziewczyna, Karolina jej daliśmy, wyszła za mąż w ubiegłym roku, ma prace, kokosów z mężem nie zarabiają ale do pierwszego im wystarcza. Wzięli mnie do siebie. Modłę się za nich każdego dnia. Mają wielkie serca Bóg miłościwy im to kiedyś wynagrodzi.

Ja musze jednak Pani napisać jak to się stało że opuściłam Czarny Bór, swoją ojcowiznę, ziemię z kąd pochodzi moja rodzina. Wyszłam za mąż puźno, 26 lat miałam. W mojej wsi to już mnie na straty spisywali. Pani jest z miasta to Pani

pewnie nie wie co mówią o dziewczynach, co to mają 20 parę lat i są starymi pannami. Mówią, że nic już z nich nie będzie. Poślubiłam Kazimierza. Chłop z niego był pracowity, a na urodę to ja nie patrzyłam, bo przecie chłop powinien być tylko trochę ładniejszy od diabła. Niedługo po zaślubinach urodziła się Karolinka. Nie przelewało nam się, z pieniędzmi krucho było ale prowadziliśmy gospodarstwo, rodzina nam pomagała, przysięgam przed Bogiem że nie narzekałam.

Zaraz po ślubie zaczęłam zauważać że ten mój Kazimierz dziwnie się zachowuje. Do kieliszka miał skłonność, lubiał sobie wypić. Potem się awanturował, burdy wszczywał. Zdażało mu się mnie uderzyć, raz drugi trzeci. Dobry Jezus jest litościwy i mu to wybaczy, zapracowany jest, zmęczony, tłumaczyłam go. Ale gdy urodziłam Karolinke potem było coraz gorzej. Kazimierz potrafił trzepnąć małą jak długo płakała więc ja do niego skacze i krzyczy zostaw ją! A on jak mnie nie uderzy, jak nie zasadzi kopniaka, to przez trzy dni potem nie mogłam usiąść tak mnie siedzenie bolało. Na chleb ledwo starczało bo on sobie wódkę musiał kupić, a jak mu coś powiedziałam to lał od razu i wyzywał mnie ty kur... ścierko ty, garami się lepiej zajmij, tam twoje miejsce. Tak do mnie mówił.

Powiem Pani że parę razy myślałam żeby go zostawić, uciec gdzieś z Karolinką ale dokąd ja bym poszła? Rodziców pochowałam, rodzeństwo się rozjechało, sama byłam jak ten palec na bożym świecie. Kazimierz pił coraz więcej, gospodarką zajmował się coraz mniej, pieniędzy prawie nie było, krzyczał na mnie, poniżał, bił, traktował jak psa. Karolinka rosła i tak bardzo bała się ojca że jak chciał ją wziąć na kolana to cała się darła i łzami zalewała.

Zwierzylałam się jednego dnia sąsiadce to mi powiedziała że mam męża tyrana który nas kiedyś pozabija, że powinnam uciekać i ratować siebie i córkę. A ja chyba głupia wierzyłam że on się może zmienić, nie chciałam żeby dziecko nie miało ojca. Powiedzieliby co z niej za matka co to zabiera dziecko od ojca, zlinczowali by mnie tu.

Byłam małżonką Kazimierza 32 lata. Uciekłam od niego pół roku temu. Córka poszła na studia jakieś 10 lat temu, wyprowadziła się. Dobrze się uczyła, miała stypendium, to nie musieliśmy jej utrzymywać, z resztą z czego? Ledwo wiązaliśmy koniec z końcem. Przyjeżdżała na sobotę i niedziele, wałuweczke dostawała pierożków ulepiłam dziecku, mielone zrobiłam, barszczyku do słoika, naleśniki czasem też były. Ojca unikała, Kazimierz zaczął trochę chorować, dużo leżał w łóżku, do Karolinki mówił ucz się ucz to ojcu kiedyś pomożesz pieniędzy do domu przyniesiesz. Jak ja ją odprowadzałam na autobus to płakała.

Trwało to lata. Karolinka studia skończyła, zatrudniła się jako księgowa, chłopaka poznała, dobrego więc spokojna byłam. Rzadko przyjeżdżała do Czarnego Boru bo i po co, do ojca co to ją nieraz przez łeb zdzielił ręką albo i czym innym?

Osiedliła się w Wałbrzychu na stałe, czasem zabierała mnie do siebie i mówiła: ty się mamusi nie martw, ja cię z tamąd kiedyś zabiore zobaczysz. Ale ja wiedziałam że Kazimierza nie zostawie ale do czasu.

To było pół roku temu początek lata i miałam problemy z nogami, puchły mi okropnie. Sąsiadka radziła żeby je zsiadłym mlekiem smarować to i smarowałam ale wiele to nie dawało. Prawie nie mogłam chodzić. Wybrałam się do lekarza, doktor kazał dużo odpoczywać, lekarstwa zapisał. Ale leki drogie wiedziałam że wykupie raz i na więcej mi nie starczy. A jak Kazimierzowi powiedziałam że za bardzo chodzić nie mogę i musi mnie odciążać w obowiązkach to jak się nie wścieknie, jak mnie nie zwyzywa od leniwych, od głupich bab co się do niczego nie nadają. Powiedział: na co komu taka kobita co nawet obiadu nie ugotuje i łóżka nie pościeli, że chorobe se wymyśliłam.

I ja droga Pani nie wytrzymałam. Jak stałam tak wyszłam. Wzięłam tylko torebkę w której miałam wszystko co cenniejsze i wyszłam z tego domu. Gonił mnie, a jak myśli Pani że chłop odpuści, pozwoli żeby go baba zostawiła? Był by pośmiewiskiem na całej wsi ale ja wtedy już wiedziałam że choćby mnie straszył że mnie zabije to ja już nie wróce do tego domu. Łapał mnie za rękę, mówił że jakoś się dogadamy że obiady mogą być mniejsze jak nie mam siły ale ja już się nie odwruciłam. Poszłam na przystanek, wsiadłam w autobus i pojechałam do Wałbrzycha do córki.

Nogi mi się wygoiły, poprostu przepracowana byłam. Mieszkam z nimi, dorabiam sprzątniem, mam wnuka, urodził się w lutym to go pomagam córce wychowywać. Nowe sąsiadki mam to i buzie jest do kogo otworzyć, nawet do fryzjera czasem pujde, na kawie ostatnio byłam chociaż drogo ale mnie zięć zaprosił, dobry z niego człowiek, moja Karolinka lepiej trafiła ode mnie. Kazimierz dzwoni, karze mi wracać ale ja mu odpowiadam że on mi już nic nie może kazać, że jestem z Karoliną i że nie wruce do niego. Czasem tylko odwiedzam go by sprawdzić czy wogule żyje i owszem żyje, pije dużo bardzo dużo, jęczy wtedy żebym się nie wygłupiała i wruciła do domu to mu wtedy mówie: dom mój to teraz jest w Wałbrzychu na Fortecznej. I że ja mu wybaczyłam bo i tak osądzi go Bóg.

To zdjęcie co Pani wysyłam zrobiła mi córka. Ona pracuje dużo przed komputerem i pokazała mi te Pani strone. Ciesze się że robi Pani dla nas coś takiego. Teraz już Pani rozumie po co mi był Pani adres domowy. Nie mam jak inaczej wysłać tego zdjęcia a nie chciałam angażować córki bo to osobisty list. Tylko dla Pani wiadomości. Może zechce Pani umieścić u siebie moje zdjęcie. Proszę podpisać Lidka z Wałbrzycha.

Karolina jakiś czas temu była w Radomiu i twierdzi że to bardzo ładne miasto. Mam nadzieje że ten list dojdzie do Pani przed Świętami. Kazimierz ma do nas przyjechać, mam nadzieje że się opamięta i nie zrobi burdy w Boże Narodzenie. Życze

Pani zdrowych i spokojnych Świąt, niech Panią Bóg błogosławi.

Lidia Staniszevska

Zdjęcie przedstawiało krępa kobietę w brązowej kurtce i kremowej czapce. Pod szyją miała zawiązaną jasnopomarańczową apaszkę. Jej policzki się zaróżowiły. Nie było w niej żadnych znaków szczególnych – twarz nadgryziona zębem czasu, zmęczona, ale jednocześnie spokojna, jakby kobieta pogodziła się z losem. Stała na tle szarego bloku, w oddali było widać pusty plac zabaw. Wokół utworzyły się śnieżne zaspv, wysokie na jakiś metr.

Na linii piersi Lidia Staniszevska dłońmi w białych rękawiczkach ścisłała kartkę z wyznaniem:

ODESZŁAM OD MĘŻA TYRANA

Rozdział 24

Stałam na środku zimnej klatki schodowej i nie mogłam przestać płakać. Łzy kapąły mi z oczu ciurkiem, jedna za drugą. Kilka z nich spłynęło na list, pozostawiając ślad w postaci jasnych kleksów. Zbliżyłam zapisane kartki do twarzy i ponownie, choć tym razem fragmentarycznie, przeczytałam zapiski Lidii Staniszewskiej.

Wyobraźnia mi buzowała. Mój umysł odtworzył historię życia tej rodziny, jak gdybym obejrzała to w telewizji albo była świadkiem tych wydarzeń. Lidia, Kazimierz, Karolina, dom na wsi i małe piekielko w czterech ścianach. To prawda, że każda rodzina ma swoją tajemnicę. Autorka listu długie lata żyła u boku despoty, który zniszczył ją i prawie zniszczył ich córkę. Mimo to odeszła od niego dopiero po ponad trzydziestu latach. Bił ją, poniżał i wyzywał, a ona trwała przy nim jak skała, ograniczając własne potrzeby do absolutnego minimum.

Został dzień do Wigilii. W domu czekali na mnie szczęśliwi rodzice, miał przyjechać mój brat z żoną i czteromiesięczną córeczką. Będą prezenty, choinka, garnki pełne jedzenia, radosny gwar i dużo miłości. Zrobiło mi się wstyd, że kiedykolwiek śmiałam narzekać. Pomyślałam o Mini, Madzi... Nawet nie miały pojęcia, jak szczęśliwe było ich życie. Te wszystkie nasze problemy, które należało wziąć w cudzysłów, były niczym w porównaniu z tym, z czym musiały zmagać się niektóre kobiety. Nagle poczułam, że jestem niewyobrażalnie szczęśliwa. Ja też mogłam podpisać się pod słowami Melanii Hamilton, które zacytowała moja mama: „Mam wszystko w świecie, o czym może marzyć kobieta”.

Odkrycie, że inni ludzie mają znacznie trudniejsze, bardziej bolesne i przykre życie od nas, zazwyczaj jest pewnym wstrząsem. Oczywiście, zawsze należy równać do góry, a problemy innych nie powinny być dla nas źródłem osobistej satysfakcji, nie o to jednak w tym wszystkim chodziło. Poczułam się tak, jakbym nagle wstała z niewygodnego krzesła i zrozumiała, że świat wokół jest piękny. Można się było zachłysnąć tym uczuciem.

Na studiach miałam zajęcia ze znanym redaktorem dużego opiniotwórczego dziennika (w ramach specjalizacji dziennikarskiej, którą sobie wybrałam). Uwielbiałam je. To on wytknął nam, że nie mamy pojęcia, do kogo należy zwracać się per eminencjo, a do kogo per ekscelencjo, nie wiemy, ile jest w Polsce ministerstw ani kto jest naczelnym gazety, w której pracował. A gdy zaczął pytać nas, co się dzieje w Lublinie czy w Radomiu oraz jakie tematy są teraz na topie, nie odezwał się nikt.

– Rany boskie, i wy chcecie być dziennikarzami? – zapytał kompletnie zdezorientowany. – Albo zdobyć inny przyzwoity zawód, skoro nie macie pojęcia o elementarnych sprawach? Jak wy w ogóle żyjecie? Jesteście studentami, przychodzicie na zajęcia, biegacie po mieście, a nie macie zielonego pojęcia, co się wokół was dzieje. Niczego nie widzicie! Zupełnie jakbyście mieli klapki na oczach. Ślepi jesteście czy co?

Tak wtedy do nas powiedział. Niektórzy zachichotali, inni jakby się skulili i zapadli w sobie. Skompromitowaliśmy się. Jednak dopiero teraz, po tylu latach, dotarł do mnie sens jego wypowiedzi. „Niczego nie widzicie... Zupełnie jakbyście mieli klapki na oczach”. Właśnie. Tak często dostrzegamy tylko czubek własnego nosa i nic poza tym. Wydaje nam się, że dzieje nam się krzywda, że los jest niesprawiedliwy, że mamy życiowego pecha. A wystarczy rozejrzeć się wokół, podnieść się z niewygodnego krzesła, by zobaczyć znacznie więcej. Wciąż tkwiłam na klatce schodowej i okropnie przemarzałam, ale moje horyzonty nagle bardzo się poszerzyły. Widziałam siebie – zdrową, dobrze wyglądającą, z planami i marzeniami na przyszłość, mającą oddaną rodzinę i przyjaciółki, mieszkającą w mieście, gdzie na nic, naprawdę na nic nie mogłam narzekać!

Problemy sercowe, wredna szefowa, zerwane zaręczyny, kiepska pensja... W zasadzie to były jedynie niuanse. Dziś jest tak, jutro może być inaczej.

Coś zrozumiałam. Odkrycie, że świat jest wspaniały, a ty masz to cholerne szczęście, że jesteś jego częścią, może być jeszcze większym wstrząsem.

Dzięki listowi od Lidii Staniszewskiej przez cały okres świąteczny czułam się jak śnięta. Jeszcze tego samego dnia kupiłam ładną pocztówkę i wysłałam ją do Wałbrzycha. Trudno mi było dobrać słowa; po tym, co przeczytałam, wszystko wydawało się banalne. W końcu napisałam, że bardzo dziękuję za list, który wzruszył mnie jak chyba jeszcze nic w życiu, i że również życzę jego autorce spokojnych świąt.

Gdy opowiedziałam mamie Krysi o tym, co znalazłam w skrzynce, westchnęła ciężko, kręcąc głową.

– Wspaniale, cieszę się, ale mogłabyś już przestać bujać w obłokach. Wydaje mi się, że po świątach na poważnie powinnaś rozejrzeć się za nową pracą.

Ja jednak puściłam jej słowa mimo uszu. W wigilijny poranek fotografia Lidki z Wałbrzycha dołączyła do grona SZCZĘŚLIWYCH POLEK, błyskawicznie zyskując lajki i pozytywne komentarze. Jakaś kobieta napisała, że ogląda to zdjęcie i płacze, ciągle płacze.

Mój starszy brat Łukasz ze swoją żoną Patrycją i córeczką Sonią przyjechali po południu. Przywieźli kapustę z grzybami, karpia w galarecie i kawałek makowca od

rodziców Patrycji. Zanim zasiedliśmy do stołu, pierwsza gwiazdka zdążyła już rozbłysnąć na niebie – po prostu nie mogliśmy się nagadać.

Odkąd Łukasz wyprowadził się do Warszawy, widywaliśmy się rzadko. Pracował w dużej agencji reklamowej jako handlowiec. Zarabiał dobrze, choć Patrycja skarżyła się, że prawie w ogóle się nie widują. Odkąd Sonia przyszła na świat, była na urlopie macierzyńskim i, jak to ujęła, momentami miała dość czterech ścian, a gaworzenie córki czasem bardziej ją męczyło, niż cieszyło.

– Kaja, co ja ci będę ściemniać, macierzyństwo to nie tylko różowe piętki, kokardki we włosach i koronkowe sukieneczki – powiedziała i wyraźnie odetchnęła, gdy wzięłam od niej małą Sonię. – Jest ciężko jak nie wiem co. Mamy nie mogę ciągle angażować, bo ma problemy z kręgosłupem, sama zresztą wiesz. Gdybym chociaż miała siostrę, ale nie, człowiek jest sam jak palec.

Opadła na krzesło i zarzuciła nogę na nogę; gdy siadała, zwróciłam uwagę, że pod cienką, obcisłą sukienką odznaczyły się wyszczuplające szorty. Musiała zauważyć moje spojrzenie, bo wygładziła materiał dłonią i naląła sobie kompotu do szklanki.

– Ale najgorszy to jest ten cholerny cellulit i rozstępy. – Westchnęła. – Uwierz mi, Kaja, moje ciało wygląda naprawdę kiepsko, jak kalafior. – Machnęła ręką; Łukasz rzucił jej jadowite spojrzenie. – Zupełnie jak kalafior.

– Przesadzasz – powiedział do niej i usiadł obok. – Może już zaczniemy?

Sonia zaczęła wiercić się w moich objęciach i głośno piszczeć, więc Patrycja podniosła się z miejsca, by ją ode mnie wziąć, i usadziła sobie małą na kolanach. Jej okrągła, łysawa główka zabawnie wystawała ponad stołem.

Usiadłam naprzeciwko gości i przyjrzałam się im ukradkiem. Łukasz był przysadzisty i dobrze zbudowany, a do tego ogolony na zero. Odniosłam wrażenie, że odkąd widzieliśmy się ostatnio, przybrał na wadze. Patrycja natomiast była szczupła i miała kruczoczarne, falowane włosy. Oboje wyglądali na zmęczonych.

Kiedy w salonie pojawiła się mama Kryśka, odstawiona jak na sylwestra, i tata Krzyś, podzieliliśmy się opłatkami.

– I żeby ci się, córciu, sprawy sercowe wreszcie ułożyły, życzę ci, żebyś poznała kogoś wartościowego – powiedziała mama i prawie niewyczuwalnie musnęła mnie ustami, uważając, żeby się jej nie rozmazała szminka.

– No, Kaja, wszystkiego najlepszego i niech wam się układa – usłyszałam od Patrycji; nie miałam pojęcia, dlaczego zwróciła się do mnie w liczbie mnogiej.

Przynajmniej tata i Łukasz nie mówili nic o mężczyznach, związkach czy dzieciach.

Zabraliśmy się do pałaszowania wigilijnych potraw, wszystko smakowało wybornie, tylko Patrycja co chwilę stękała i kwękała, twierdząc, że nie powinna tyle

jeść, bo zamieni się w typową matkę Polkę, a tego by nie zniosła.

– Hej, Kaja – zwróciła się do mnie w pewnym momencie – nic nie mówisz o przygotowaniach do ślubu! Wszystko już załatwione? Masz sukienkę? Ja wiem, że do maja jest jeszcze trochę czasu, ale moim zdaniem nie powinnaś zwlekać, teraz trzeba zamawiać kieckę minimum na pół roku przed... Pamiętaj, że babki w salonach mają kupę roboty, nie rzucą jej dla ciebie, więc lepiej rozejrzeć się wcześniej. A może masz już jakąś na oku?

Brzęczenie sztućcami ustało i zapadła niezręczna cisza. Nawet Sonia – jakimś cudem – nie wydawała z siebie dźwięku. Mama Krysia rzuciła mi spojrzenie, spanikowana; pierś falowała jej szybko. Tata Krzyś odchrząknął znacząco i poluzował sobie krawat. Łukasz wbił we mnie wzrok – widać było po nim, że czuje się głupio.

– Co jest? Powiedziałaś coś nie tak? – zdziwiła się Patrycja, omiatając nas niepewnym spojrzeniem.

– Kaja już n-nie... – przemówił Łukasz drżącym głosem, szybko wzięłam więc sprawy w swoje ręce i powiedziałam głośno:

– Rozstałam się z Jackiem.

– O matko – jęknął tata pod nosem.

– C-co? – Patrycja wytrzeszczyła oczy i parsknęła śmiechem. – Jaja sobie robisz?

– Skądże znowu. Nie jesteśmy już razem, więc ślubu nie będzie.

– No ty chyba żartujesz! – krzyknęła Patrycja i spojrzała na Łukasza z wyrazem totalnego zaskoczenia na twarzy. – Dlaczego mi nic nie powiedziałeś?!

– To ja podam trochę zupki – oznajmiła mama Krysia prawie szeptem, wstała od stołu i wzięła na ręce Sonię, która zaczęła jęczeć.

– Mówiłem ci przecież, musiałaś zapomnieć.

– Ta, mówiłeś! Przecież bym pamiętała TAKĄ nowinę! Jezuniu, Kaja, cholernie mi przykro – mówiła, kręcąc głową. – Kiedy to się stało? I w ogóle dlaczego? Parę miesięcy przed ślubem? Pewnie wam zaliczka przepadła! Ile, dwa tysiące? Pięć?

Bardzo lubiłam Patrycję, ale czasem wychodziła z niej warszawka – nie była zresztą rodowitą mieszkanką stolicy, pochodziła z Otwocka. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że najbardziej zmartwił ją fakt, że nie będzie wesela i że mogliśmy stracić sporo pieniędzy.

– Latem. Spokojnie, zwrócili nam zaliczkę. – Sięgnęłam po karpia w galarecie.

Mówienie o Jacku i naszym rozstaniu nieszczególnie mnie obeszło, ale nie miałam ochoty rozmawiać o tym w Wigilię.

– Jezu, na pewno mi o tym nie mówiłeś, Łukasz! – zagrzmiała Patrycja.

Najwyraźniej nie zamierzała zamilknąć. – Coś takiego! No nie mogę w to uwierzyć, przecież taka była z was dobrana para! No tak, mogłam się domyślić, że coś jest nie tak, pewnie spędzalibyście święta razem... Ale dlaczego się rozeszliście? – nie dawała za wygraną. Nachyliła się do mnie przez stół i spytała cicho: – Zrobił coś głupiego? Zdradził cię?

– Nie – odpowiedziałam krótko. – Taką podjęliśmy decyzję. Wiesz, wolałabym teraz o tym nie rozmawiać.

Patrycja cofnęła się i uniosła ręce w poddańczym geście.

– Oczywiście, też bym nie miała ochoty na gadanie na *taki* temat przy wigilijnym stole. – Puściła do mnie oko i uśmiechnęła się krzywo, jakby próbowała pocieszyć ciężko chorą osobę. – O nie!

Spojrzeliliśmy na nią zaskoczeni.

– Co się znowu stało? – zapytał Łukasz, czerwony na policzkach.

– Jak to co? Nasz prezent dla Kai! Ale kwas!

Łukasz zmarszczył czoło.

– No co tak mi się przyglądasz? – warknęła Patrycja i stało się oczywiste, że Łukasz nie przyłożył ręki do świątecznych zakupów. – Przecież mamy dla Kai... Aż, cholerny świat – zakląła, zerwała się z krzesła i zajrzała pod choinkę. Wygrzebała spod gałązek niebieską torbę z reniferem i wyciągnęła ze środka koronkową bieliznę z podwiązkami w kolorze strażackiej czerwieni. – Do diabła, miało być na noc poślubną!

Tata Krzyś zaczął się krztusić, w oddali słychać było jęk Sonii, a Łukasz dla odmiany zrobił się trupio blady. Natomiast ja... Ja zaczęłam śmiać się tak głośno, że po prostu nie mogłam się opanować. Patrzyłam na wszystkich po kolei i dosłownie skręcało mnie ze śmiechu. Nie było mowy, żebym przestała – miałam atak szaleńczego rechotu; ostatni raz śmiałam się tak chyba na studiach. Łzy ciekły mi z oczu, rozboleły mnie mięśnie brzucha. Rżałam jak głupia i czułam się z tym świetnie!

To była cudowna Wigilia.

Rozdział 25

Nie znosiłam nadęcia. Nie cierpiałam fałszu i obłudy. Mierziły mnie sztywne sytuacje i ludzie wyglądający, jakby połknęli kij od szczotki. Uwielbiałam natomiast, gdy życie samo pisało swój scenariusz. To dlatego tegoroczna Wigilia była wyjątkowa. Przejęta Patrycja, skołowany Łukasz, spanikowana mama Krysia, zakłopotany tata Krzyś i gaworząca Sonia... Gdy Patrycja wyjęła spod choinki tę krwistą, rozpustną bieliznę zaczepioną o maleńki plastikowy wieszak z informacją, że miała być prezentem na moją niedoszłą noc poślubną, coś we mnie pękło. Zupełnie jakbym razem ze śmiechem oczyszczała się ze wszystkich zmartwień, trosk, napięć. Matko Boża, to było tak niezmiernie śmieszne, tak potwornie zabawne, że nie mogłam zrobić nic innego, jak tylko śmiać się wniebogłosey.

Oczywiście Patrycja nie odpuściła i po kolacji wigilijnej – gdy ojciec zajął rozmową Łukasza, a matka, jak na babcię przystało, rzuciła się na Sonię – kazała mi opowiedzieć ze szczegółami, kiedy dokładnie, dlaczego i w jakich okolicznościach rozpadł się mój związek.

I opowiedziałam jej. Po kolei, szczerze, bez pomijania przykrych fragmentów. Nie zamierałam niczego ukrywać. Odkąd zobaczyłam artykuł o SZCZĘŚLIWYCH POLKACH w „Trendach” i dostałam list od Lidii Staniszewskiej, przesłałam jakąś wewnętrzną przemianę. Nawet mówienie o Jacku nie stanowiło już dla mnie problemu, choć, rzecz jasna, nie był to najprzyjemniejszy temat.

Jeszcze parę tygodni temu, gdy w duchu modliłam się, żeby ten rok się już skończył, nie przypuszczałam, że ostatnie dni grudnia okażą się tak miłe. Czy raczej tak wyjątkowe. Chodziłam pijana wszystkim, co mnie ostatnio spotkało. Byłam w świetnym nastroju aż do sylwestra, który w tym roku urządziła u siebie Madzia.

Jej rodzice wybierali się na bal, miała więc cały dom do dyspozycji. A ponieważ bardzo chciała, żebyśmy lepiej poznały Konrada, nalegała, byśmy ostatnie godziny roku spędziły z nimi.

Tak więc trzydziestego pierwszego grudnia, tuż po dziewiętnastej, samotnie stawiałam się przy ulicy Jasnej. Pod jedną pachą miałam butelkę szampana, w torebce sernik i babeczki orzechowe, natomiast pod drugą pachą sprzęt fotograficzny – siostra Madzi wygrała ogólnopolską olimpiadę polonistyczną i Madzia bardzo chciała, żeby jej zdjęcie trafiło do SZCZĘŚLIWYCH POLEK.

– Będzie jej miło, Ola jest tak okropnie skromna, że aż głowa boli, no i w życiu by cię sama o to nie poprosiła, bo byłoby jej głupio – wyjaśniła jednym tchem podczas naszej wczorajszej rozmowy telefonicznej.

Ola też zaprosiła znajomych, a ponieważ jeszcze nie przyszli, zdążyła zapozować w swoim pokoju z kartką, na której napisała o swoim sukcesie. Z tymi wściekle rudymi kręconymi włosami i wyrazistymi piegami, które próbowała ukryć pod grubą warstwą pudru, wyglądała intrygująco – miałam przeczucie, że zdjęcie się spodoba. Szczególnie że miał je kto oceniać. Choć było to nieprawdopodobne, SZCZĘŚLIWE POLKI polubiło już blisko tysiąc osiemset osób.

Skończyłyśmy sesję po dwudziestej – pakowałam aparat do torby, gdy rozległ się dźwięk dzwonka i do domu wkroczyli Mini z Arkiem. A jednak się ruszył; jeszcze parę godzin wcześniej Mini wysyłała nam rozpaczliwe SMS-y, że jej wspaniały małżonek nie ma ochoty wychodzić z domu. Ciekawe, jakimi argumentami ostatecznie go przekonała.

Goście Oli bawili się głównie na dole, nasza piątka natomiast większość czasu do północy spędziła w pokoju Madzi, która na tę okazję przystroiła go dmuchanymi balonami i kolorowymi serpentynami (identyczny wystrój zyskał zresztą cały dom). Konrad okazał się naprawdę bardzo sympatycznym chłopakiem, miłym i rozsądnym, z poczuciem humoru i dużym dystansem do siebie. Zachowywali się z Madzią jak papużki nierozłączki – mówili do siebie per słoneczko i kochanie, ciągle dawali sobie całuski i nieustannie trzymali się za ręce.

Cieszyłam się, że Madzia go poznała, szczególnie że jej nowy wybranek wydawał się całkowitym przeciwieństwem Arka, który siedział naburmuszony, zerkał na mnie ze wstrętem i po dwóch godzinach był już mocno wstawiony. Widziałam, że Mini bardzo się za niego wstydzi.

Dla rozluźnienia atmosfery opowiedziałam im o liście Lidii Staniszewskiej i o sytuacji przy wigilijnym stole.

– Zabawne, że o tym mówisz – stwierdziła Madzia, wysłuchawszy mojej opowieści o pani Lidii. – Parę dni temu pisałam wiersz i zaczęłam się zastanawiać, czego jest więcej na świecie: dobra czy zła.

Mini machnęła ręką i napiła się wina.

– Powiem ci coś lepszego. Czytam ten cały *Folwark zwierzęcy*... – zwróciła się do Madzi, zerkając ukradkiem na Arka, który właśnie, co za prostactwo, bawił się swoją komórką.

– No coś ty, serio? – zdziwiła się Madzia.

– Przepraszam, to dziwne, że czytam? – zachnęła się Mini i popatrzyła na nią ostro.

– Przypominam ci, bo chyba ci to umknęło, że skończyłam polonistykę.

Madzia spojrzała czule na Konrada, który uśmiechnął się pod nosem, i pokiwała głową.

– No i co z tym *Folwarkiem*? – spytała.

– A no to, że całkiem niezła ta książka. Strasznie prawdziwa, no. Tam jest taka scena, kiedy padają słowa... Zaraz, żebym nie przekręciła: „Żyjemy nędznie, harujemy i wcześniej umieramy”. Nie prawdziwe?

Arek ocknął się zniechęca i spojrzał na swoją żonę, jakby mówiła po chińsku. Natomiast Konrad splótł ręce na piersiach i pokiwał głową.

– Moja ulubiona książka. „Człowiek jest naszym jedynym prawdziwym wrogiem”. To dopiero jest prawdziwe.

Zapadła cisza; wszyscy wyglądali, jakby zadumali się nad tymi słowami (nawet Arek, o dziwo, oderwał się od telefonu i zatrzymał wzrok na Konradzie).

– Dobra, dobra, jeszcze moment i Madzia zacznie recytować swoje wierszyki – wypaliła Mini, złapała kieliszek i napiła się z niego zdrowo, a reszta, łącznie ze mną, wybuchnęła śmiechem. – Idziemy na dół?

Gdy zeszliśmy na parter, młode towarzystwo wyglądało, jakby wychyliło już kilka butelek z wysokoprocentowym alkoholem, mimo że dopiero minęła dwudziesta trzecia – niektórzy leżeli na fotelach i kanapie, inni tańczyli, a jeszcze inni siedzieli przy stole zastawionym jedzeniem, podpierali głowy rękami, bełkocząc coś do siebie. Na nasz widok Ola gwałtownie oderwała się od krótko ostrzyżonego chłopaka, który miał podejrzenie rozmarzoną minę. Madzia jednak tylko puściła jej oko i wyciągnęła Konrada na środek salonu, gdzie przyłgnęła do niego całym ciałem.

Ja z Mini i Arkiem zaserwowaliśmy sobie po martini i rozsiedliśmy się na sofie.

– Niegłupi ten Konrad – stwierdziła Mini. Obie nie mogłyśmy oderwać wzroku od Madzi i jej sympatii. Wyglądali, jakby się do siebie przykleili. – Czy oni już... Tego?

Rzuciłam Mini zaskoczone spojrzenie.

– Że co?

– No przecież dobrze wiesz, o co pytam. No czy już *to* zrobili. Jak myślisz? A może Madzia coś ci mówiła na ten temat, bo mnie nie raczyła. – Mówiła to takim tonem, jakby była zła, że nie została o tym poinformowana jako pierwsza.

– Mnie też nie – odparłam. – Myślę, że gdyby byli już *po*, toby nam powiedziała. Albo byśmy się domyśliły, nie sądzisz?

Mini wzruszyła ramionami i zaczęła bawić się długim kolczykiem.

– A ty jak tam? Coś ruszyło z tym Michałem?

Potrzebowałam chwili, by zebrać myśli, więc szybko wlałam w siebie sporą porcję martini. Zerknęłam na Arka, który drzemał przy prawym boku swojej żony.

– Oj, daj spokój, dawno się nie widzieliśmy.

– Dlaczego?

Hmm... Bo zachowałam się beznadziejnie? Bo było mi głupio, że wcześniej było mi głupio, więc ogólnie było głupio?

– Jakoś nie miałam czasu.

Mini popatrzyła na mnie podejrzliwie i prychnęła.

– Nie miałaś czasu? Jasne. Mnie nie oszukasz, kochana. Co jest grane?

– Ale co ma być? Mini, błagam, przestań, jest sylwester. Przyjaźnimy się, nic więcej. Przecież wiesz, że nienawidzę narzucać się facetom.

– Wiem, wiem. Jednej rzeczy jednak nie łapiesz...

– Niby jakiej?

– Ano takiej, że gdy się ma trzydziestkę na karku, jak my, większość przyzwoitych facetów jest już zajętych. To cud, że ten twój Michał nie ma żony ani nawet dziewczyny.

Zastanowiłam się nad słowami Mini i w głębi ducha musiałam przyznać jej rację.

– O ile nie zdążył sobie znaleźć kogoś, kiedy ty *nie miałaś czasu* – powiedziała głośno i wyraźnie, rzucając mi znaczące spojrzenie.

– Odczep się – mruknęłam. – I nalej mi martini.

Chwilę później Arek ocknął się, popatrzył na zegarek i oznajmił, że zostało dwadzieścia minut do północy i pora zająć się fajerwerkami. Ubraliśmy się ciepło, zabraliśmy zapasy sztucznych ogni, kilka butelek szampana i wyszliśmy na dwór.

Ostatnie minuty roku spędziłam na sporym rauszu. Myślałam o wszystkim i o niczym, jak to kobieta (i jak to na rauszu). Obserwowałam Arka uwijającego się przy fajerwerkach i przez moment pomyślałam nawet, że może źle go oceniam. W końcu nie był jakimś łobuzem, pracował, był Mini wierny. W tych szalonych czasach to już coś!

Na podwórku zebrało się całe towarzystwo; to młodsze i to starsze – w ostatniej chwili dołączyli do nas Madzia z Konradem, którzy rozdali wszystkim po plastikowym kubeczku. Zerknęłam na zegarek; jeszcze tylko dwie minuty i nadejdzie nowy rok. Czułam lekką ekscytację, która zawsze towarzyszyła mi w sylwestra. A poza tym było zimno jak diabli.

Fajerwerki wybuchały nad nami raz po raz, rozlewając się cudownymi kaskadami na granatowym nieboskłonie. Przypomniało mi się nagle, że w takich okolicznościach

oświadczył mi się Jacek... Szybko jednak odgoniłam tę myśl od siebie i chwyciłam Mini pod ramię.

– Dobra, szykujcie szampany! – zawołał chłopak, który przez cały wieczór kręcił się koło Oli, i zaczął rozwijać drucik umieszczony na korku.

Męska część towarzystwa miała już szampany w pogotowiu, my natomiast czekałyśmy z kubeczkami w dłoniach. Bóg jeden raczy wiedzieć, co chodziło nam po głowach... Żadna z naszej trójki nie odezwała się słowem.

– DZIESIĘĆ... DZIEWIĘĆ... – krzyknął adorator Oli i reszta dołączyła się do odliczania.

OSIEM...

Mam nadzieję, że sny o Jacku wreszcie się skończą.

SIEDEM...

Miło byłoby w nadchodzącym roku związać się z jakimś przyzwoitym mężczyzną.

SZEŚĆ...

I dobrze byłoby raz na zawsze opuścić orszak królowej Zoi.

PIĘĆ...

Postanowienie noworoczne: będę więcej ćwiczyć!

CZTERY...

Oby Madzi ułożyło się z Konradem.

TRZY...

I Mini wreszcie z Arkiem.

DWA...

Oby SZCZĘŚLIWYCH POLEK było więcej i więcej...

JEDEN...

I oby nowy rok okazał się nie gorszy od poprzedniego, który w gruncie rzeczy był całkiem niezły.

Minęła północ i wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Wystrzeliły korki z szampanów i słodki napój pod dużym ciśnieniem zaczął wyciekać z butelek. Wielbiciel Oli rozlewał alkohol do plastikowych kubków. Madzia rzuciła się Konradowi na szyję i zaczęli szeptać sobie czułe słówka. Mini przytuliła się z Arkiem, dłużej, niż mogłam się spodziewać, a potem on zabrał się do odpalania rac. Koleżanki Oli piszczały i skakały. Jedna z nich oberwała śnieżną pigułą od kolegi. Zewsząd słyhać było wybuchy sztucznych ogni, oklaski, wiwaty, śmiechy, głośną muzykę... Mini i Madzia

objęły mnie mocno i życzyły superfaceta, dużo pieniędzy, wstrząsającej kariery, szczęścia do kwadratu, spełnienia marzeń itd. Wyściskałam je mocno, powiedziałam, że kocham je najbardziej na świecie i na spółkę wypiliśmy całą butelkę wina musującego z Lidla.

Dostałam SMS-a – rodzice wysłali mi noworoczne życzenia, troszkę za bardzo patetyczne („Niech ci się, córeczko, szczęści w tym wyjątkowym dniu i przez kolejne 364 dni”). Za chwilę przyszła wiadomość od Łukasza i Patrycji, a także wspólne życzenia od Olgi, Piotrka i Martyny z „Głosu”.

Odpisanie okazało się nie lada wyzwaniem – palce mi kostniały, literki dwoiły się w oczach, a sieć była przeciążona. Dopiero kilkanaście minut po dwunastej udało mi się wysłać wiadomości zwrotne. Włożyłam komórkę do kieszeni i objęłam się ramionami. Spojrzałam na Madzię tulącą się do Konrada i poczułam lekkie ukłucie zazdrości. Zrobiło mi się jednak wstyd, że zazdroszczę szczęścia najlepszej przyjaciółce, i zerknęłam na Mini, która właśnie runęła jak długa w śnieżną zaspę. Już miałam ruszyć jej na ratunek, kiedy znowu rozbrzmiał mój telefon. Spojrzałam na wyświetlacz i zamarłam.

Wszystkiego najśłodszego w nowym roku i przede wszystkim spełnienia marzeń życzy Michał :)

Znowu poczułam delikatnie ukłucie, ale tym razem w żołądku. Przeczytałam wiadomość od Michała drugi raz, ponownie i raz jeszcze... Krew błyskawicznie nabiegła mi do twarzy i oblałam się rumieńcem. Co się ze mną, do licha, dzieje? A może to tylko typowa reakcja po spożyciu alkoholu, niewspółmierna do sytuacji? O tak, z pewnością, bo to, co za chwilę zrobiłam, na pewno nie było najmądrzejsze.

Nie wybrałam *Odpisz*, tylko *Oddzwoń* i zanim zdążyłam się zorientować, co też najlepszego wyprawiam, łączyłam się z Michałem. Jeśli sieć znowu okaże się przeciążona i się nie dodzwonię, uznam to za znak, żeby dać sobie z nim spokój.

Ale Michał odebrał.

– Halo?

O Boże, jaki przyjemny głos.

– Ee, cześć, Michał, właśnie dostałam twojego SMS-a – wymamrotałam, cudem panując nad płaczącym się językiem. – Dzięki.

Zaśmiał się krótko.

– Nie ma za co. Jeszcze raz wszystkiego naj. Fajnie, że dzwonicz.

Panuj nad sobą, kobieto!

– Ee, tak, też chciałam życzyć ci szczęśliwego nowego roku, no i w ogóle... Niech ci się szczęści.

Jezuniu, czy ja właśnie prawie zacytowałam wiadomość od moich rodziców?

– Naprawdę dzięki, Kaja – powiedział Michał, a ja modliłam się w duchu, żeby nie kończył naszej rozmowy. – Dobrze się bawisz?

– Ja? No, może być... Mamy małą imprezkę z koleżankami.

– To super, my siedzimy w Bastionie, ale trochę tłoczno się zrobiło, więc pewnie gdzieś się zaraz przeniesiemy...

A czy są z wami dziewczyny, cisnęło mi się na usta, jednak w ostatniej chwili ugryzłam się w język.

I nagle Michał zapytał:

– Może do nas dołączysz?

Zamurowało mnie. Czy naprawdę to powiedział? A może stworzyła to moja wyobraźnia? Chyba jednak powiedział... O rany!

Spojrzałam na Madzię maślanymi oczami wpatrzoną w Konrada i na Mini asystującą odpalającemu fajerwerki Arkowi. Popatrzyłam na zakochanych licealistów z Olą włącznie i nagle poczułam się bardzo samotna. Nabrałam mroźnego powietrza do ust i odrzekłam:

– W sumie czemu nie? Będę za pół godziny.

Rozdział 26

Trochę rozminęłam się z prawdą. Pożegnanie z dziewczynami, szybkie poprawki przy makijażu, uczesanie włosów, wezwanie taksówki i dotarcie z Glinic do Śródmieścia zajęło mi nie pół godziny, jak zakładałam, a czterdzieści pięć minut; pewnie dlatego, że z trudem trzymałam się w pionie. Dziewczyny nie były zadowolone, że je opuszczam, szczególnie że zabawa właściwie dopiero się zaczynała. Kiedy jednak się dowiedziały, dokąd się wybieram, natychmiast zmiękły i kopnęły mnie na szczęście.

– Dobra, jesteś usprawiedliwiona – powiedziała Madzia. – No to trzymaj się, tylko się nie puszczaj – zażartowała.

Mini zmarszczyła czoło.

– A właśnie niech się puszcza.

– Jesteście okropne. Kocham was.

Pędziłam Żeromką ku Bastionowi a zarazem podekscytowana i zdenerwowana. Nie byłam najtrzeźwiejsza, co trochę mnie martwiło, z drugiej jednak strony w takim stanie czułam się pewniejsza siebie. W innych okolicznościach raczej nie przyjąłabym zaproszenia od Michała.

Chociaż... Zaraz, to możliwe. Jelita zwinęły mi się w perfekcyjne origami, kiedy pomyślałam: A co, jeśli Michał zaproponował przyłączenie się do niego z grzeczności? Mówił, że mieli zmienić klub... Może nie ma go już w Bastionie? Albo w międzyczasie przygruchał sobie jakąś idealną pannę i zapomniał, że w ogóle się ze mną umówił? Za dużo było niewiadomych, żebym się nie denerwowała, więc sięgnęłam po komórkę.

– Słucham? – Usłyszałam jego głos; w tle pobrzmiwała muzyka i głośnie rozmowy.
– Kaja, jesteś w pobliżu? Już myślałem, że się rozmyśliłaś.

Już myślał, że się rozmyśliłam... Stałam przy pomniku Jana Kochanowskiego, który znajdował się blisko Bastionu, i zastanawiałam się, co odpowiedzieć.

– No co-coś ty, nie rozmyśliłam się – odparłam, bardzo się starając, żeby literki układały się w zgrabne wyrazy. – Jestem przy parku. Za minutę będę. Może zej...

– Zejdę po ciebie na dół – wszedł mi w słowo, mówiąc dokładnie to, co chciałam usłyszeć. Uśmiechnęłam się pod nosem.

– OK, b-będę przed wejściem.

No dobrze. Teraz już naprawdę wypadało wziąć się w garść. Język wciąż odmawiał mi posłuszeństwa, a kolana wydawały się dziwnie miękkie (buty na wysokich obcasach zresztą nie pomagały; że też zachciało mi się „labątenów”!), ale przynajmniej mogłam udawać, że czuję się świetnie. Już nawet nie zaprzętałam sobie głowy tym, co powiem Michałowi, gdy wreszcie się spotkamy.

Stawiając krótkie kroki na śliskim deptaku, opatulona po uszy, dotarłam pod drzwi Bastionu, przed którymi kręciła się masa ludzi. I wtedy dostrzegłam Michała. Miał na sobie ciemne spodnie i granatową pikowaną kurtkę. Faktycznie wyglądał jak Justin.

Nieśmiało mu pomachałam. Kiwnął głową i ruszył w moją stronę. Dzieliło nas raptem parę metrów, gdy dotarło do mnie, jak bardzo mi go brakowało. Szedł, nie odrywając wzroku z mojej twarzy. Gdy wreszcie się spotkaliśmy, cmoknął mnie w zimny policzek. Rany, ten jego zapach...

– Miło cię widzieć – powiedział łagodnym głosem i przyjrzał mi się uważnie.

– Dziękuję, ciebie też – odrzekłam miękko i spojrzałam mu w oczy. – Ciągłe siedzicie w Bastionie?

– Tak, chociaż impreza tyłka nie urywa. Staniki nie latają.

I chwała Bogu!

– Dawno się n-nie widzieliśmy – wyrwało mi się.

Michał stał z rękami w kieszeniach i obserwował mnie z góry świdrującym spojrzeniem. Czułam się, jakby rozbierał mnie wzrokiem.

– To prawda. Brakowało mi ciebie – wypalił, a ja znowu poczułam dziwne ukłucie w żołądku. – Masz ochotę na noworoczny spacer?

To nic, że było potwornie zimno. To nic, że wokół kręciło się pijane towarzystwo. To nic, że sama byłam wstawiona. Zatrzepotałam rzęsami i posłałam mu zalotny uśmiech.

– Z tobą zawsze.

Michał puścił mi oko, objął mnie ramieniem i poprowadził w stronę parku. Spacerowaliśmy, zdając sobie relacje z naszych noworocznych imprez. Co chwila zerkałam na jego twarz i nagle poczułam – o Jezuniu – że mam na niego... ogromną ochotę. Już dawno nie przytrafiło mi się coś takiego, nawet podczas randki z Robertem. Nie było co się wypierać, Michał bardzo mi się podobał. Dobrze wyglądał i był świetnym facetem.

Zatrzymałam się niedaleko parkowej altanki, którą okupowała rozkrzyczana młodzież, i zanurzyłam się w jego oczach.

– Mnie też c-ciebie b-brakowało – wybąkałam i przyłgnęłam do niego tak samo jak parę godzin wcześniej Madzia do Konrada.

Widziałam zaskoczenie na twarzy Michała.

– Chciałem złożyć ci życzenia w święta, ale wolałem się nie narzucać – powiedział i objął mnie w pasie. Zrobiło mi się gorąco.

– Narzucać? No coś ty, nie gadaj głupstw.

Patrzyliśmy na siebie bez słowa.

– Wiesz – odezwałam się w końcu, trochę bełkocząc – muszę ci po-powiedzieć, że wyrosłeś na caaałkiem fajneego faceta. Ale wciąż nie za-zapomniałam, że w podstawówce nazywałeś mnie K-Kajakiem – dodałam, wymachując palcem przed jego twarzą.

Roześmiał się głośno.

– Musiałem być kompletnym idiotą – przyznał bez ogródek i tak bardzo mnie tym ujął, że nie zastanawiając się ani chwili, przysunęłam usta do jego ust i go pocałowałam.

O-mój-Boże! Było fantastycznie! Zanim zdążyłam się obejrzeć, całowaliśmy się w najlepsze niczym para rozochoconych nastolatków. Co ten alkohol robi z ludźmi?! Jest eliksirem prawdy, pewności siebie i odwagi.

Oderwaliśmy się od siebie i poczułam, że ciągle mi mało. Zdążyliśmy krótko odetchnąć i znowu do niego przyłgnęłam. Pocałowaliśmy się ponownie, choć zdecydowanie bardziej namiętnie. W głowie mi zaszumiało, pokryłam się gęsią skórką. Tak, brakowało mi mężczyzny. Winna!

Lecz wtedy Michał gwałtownie się cofnął.

– C-co się stało? – zapytałam zbита z tropu i znowu przysunęłam się do jego twarzy. Chciałam go pocałować, on jednak trzymał mnie na dystans. – Coś nie tak? – spytałam mocno dezorientowana, czując, że Michał mnie od siebie odpycha.

– Nie, no co ty, wszystko jest bardzo tak – powiedział, ale nie dało się nie zauważyć, że unika mojego wzroku. – I właśnie o to chodzi.

– No to w czym problem? – Zachichotałam i złożyłam usta w dzióbek, dając mu znak, że jestem gotowa na ciąg dalszy. Michał jednak złapał mnie mocno za ramiona.

– Kaja, przestań – podniósł głos.

W sekundę oprzytomniałam. I poczułam się jak skończona kretyńska.

– Jezu, o co ci chodzi? – zapytałam rozdrażniona, czując, jak uchodzi ze mnie powietrze. Przyszła mi do głowy okropna myśl. – Masz kogoś?

– Ja? Nie, oczywiście, że nie – zaprzeczył stanowczo, jednak wciąż ścisnął mnie

mocno, nie pozwalając mi się do siebie zbliżyć. – Po prostu za chwilę wylądujemy w łóżku, a ja nie chcę, żeby tak to się skończyło.

– Że co?! – prawie krzyknęłam i Michał pierwszy raz od dłuższego czasu spojrzał mi w oczy.

Teraz już nie tylko byłam przytomna, ale również całkowicie trzeźwa. I przy okazji wstrząśnięta do żywego. Czy-on-naprawdę-to-powiedział? Bożejezubożemój! Jeśli tak, właśnie totalnie mnie skompromitował. Cała przyjemność, którą czułam jeszcze przed chwilą, ulotniła się błyskawicznie. Puf! – i nie było po niej śladu.

Wyrwałam się z jego uścisku, przetarłam usta i cofnęłam się o kilka kroków.

– Nie podobam ci się – wycedziłam przez zęby.

Łzy napływały mi do oczu.

– Kurczę, Kaja, co ty mówisz? Podobasz mi się i to bardzo.

Jakoś mnie to nie ucieszyło.

– Więc o co, do diabła, chodzi?

Michał głęboko odetchnął, pokręcił głową i ukrył ręce w kieszeniach.

– O to, że nie chcę zaciągać cię do łóżka po pijaku.

– Jesteś aż tak pijany? – zadrwiłam.

– Nie, ale ty jesteś.

Teraz byłam już naprawdę wkurzona.

– Och, no proszę, altruista się znalazł.

– Kaja, nie mów tak, jesteś niesprawiedliwa. – Michał zrobił krok w moją stronę, ale ja szybko się cofnęłam.

– Jestem szczerą! – krzyknęłam i zacisnęłam dłonie w pięści. – A może chciałabym iść z tobą do łóżka?! I co teraz powiesz?

Wydawało mi się, że przez krótką chwilę dostrzegłam uśmiech na jego twarzy.

– Serio?

– A jakie ma to teraz znaczenie? – Machnęłam ręką. – Wy, faceci, zawsze myślicie tylko o sobie.

Tym razem Michałowi twarz się wydłużyła i wyraźnie pobladł.

– To nie fair. Uwierz mi, że tym razem myślę *przede wszystkim* o tobie.

Nieważne, co by teraz powiedział. Mógłby nawet paść plackiem u moich stóp i wyznać mi miłość, a spłynęłoby to po mnie jak po kaczce. Zawalił sprawę. Zniszczył nastrój, który zbudowaliśmy. Zepsuł mi zabawę noworoczną. Nie potrafiłam cieszyć

się z jego dobrych intencji... Bo dobrymi chęciami było wybrukowane piekło! Dał ciała, sprawił, że poczułam się jak napalona wariatka. Czy naprawdę nie mógł poddać się tej chwili? Zachować się spontanicznie?

– Zapomnij o tym, co się wydarzyło – powiedziałam półszeptem; chciałam się jak najszybciej stąd ulotnić. – Do diabła z tym wszystkim – rzuciłam bardziej do siebie niż do niego, obróciłam się na pięcie i pognałam w stronę domu.

– Kaja, nie wygłupiaj się! – zawołał, ale mnie nie zatrzymał. – Rany, Kaja, daj spokój! Kaja!

Jeszcze kilka razy wykrzyknął moje imię. Nie zmięklam. Jeszcze bardziej przyśpieszyłam i popędziłam na Mickiewicza, marząc tylko o tym, by znaleźć się we własnym łóżku. Cholerny samarytanin. Czy tak trudno zrozumieć, że kobieta nie zawsze chce być traktowana jak księżniczka? Że jest stworzeniem z krwi i kości, które ma swoje potrzeby? Moje i tak od dawna były uśpione, co nie znaczy, że chciałam, by ktoś inny decydował, kiedy zostaną zaspokojone. Ależ czułam się głupio! Ależ byłam zła! Ależ było mi przykro...

Kiedy drżącą ręką otwierałam drzwi do mieszkania, łzy kapały mi z oczu jak woda z zepsutego kranu.

Pierwszy dzień nowego roku dobiegał końca. Spędziłam go w pozycji horyzontalnej. Gdy wstałam w południe i pomaszerowałam do kuchni z zamiarem zaserwowania sobie owsianki z miodem i suszonymi owocami (podobno idealny posiłek na spadek formy), mama Krysia rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie i zapytała, co jest grane („Wyglądasz koszmarnie, kochanie”). Odparłam, że mam kaca i zamierzam resztę dnia spędzić w łóżku. Bóg jeden wie, czy się na to nabrała.

Uprzedzając telefony od dziewczyn, napisałam im na Facebooku, co naprawdę mnie spotkało. Mini stwierdziła, że Michał potraktował mnie strasznie, że mnie skompromitował i powinien dostać nauczkę, Madzia natomiast uznała, że grubo przesadzamy, bo jego zachowanie zasługuje na pochwałę, a nie pogardę. Na dodatek napisała, że powinnam się cieszyć, że spotkałam faceta, który tak się zachował. Sama już nie wiedziałam, co o tym myśleć.

Jedno nie ulegało jednak wątpliwości: kobieta nigdy (NIGDY!) nie powinna dzwonić do mężczyzny po alkoholu. Koniec, kropka. Nie ma odstępstw od tej zasady.

Cóż, drugi raz w krótkim czasie spotkało mnie 2F – nie da się ukryć, że z Michałem było fascynująco i frustrująco, dokładnie w takiej kolejności. Trudno było się jednak z tego cieszyć. Michał się nie odzywał, ja tym bardziej. Byłam zła. Okropnie zła!

Przyszedł wieczór i w końcu stwierdziłam, że wielogodzinne rozmyślanie o tym wszystkim bardzo mnie zmęczyło. Co się stało, to się stało, wielki Boże. I tyle, nie było sensu zawracać sobie tym głowy. Żeby poprawić sobie humor, przygotowałam miskę karmelowego popcornu i opublikowałam zdjęcie Oli wśród SZCZĘŚLIWYCH POLEK.

A do spraw sercowych podeszłam, kierując się złotą zasadą Scarlett O'Hary: „Pomyślę o tym jutro”.

Rozdział 27

Specyfika internetu była dla mnie niepojęta. Ubiegły rok zamknęłam, nie mając nawet dwóch tysięcy fanów na profilu SZCZĘŚLIWYCH POLEK (z czego i tak byłam okropnie dumna). Tymczasem niespełna miesiąc później było ich już prawie... dziesięć tysięcy. Dzie-sięć-ty-się-cy! Pociłam się na samą myśl o tym.

Zdjęcia spływały na moją facebookową skrzynkę praktycznie każdego dnia – jedenastego stycznia padł rekord: dostałam ich aż dziewięć. Nie mogłam publikować ich na bieżąco, bo stale przychodziły nowe. Pomyślałam nawet, że jak tak dalej pójdzie, będę potrzebowała kogoś do pomocy, co jednak, zważywszy na moją słabość do całego projektu, byłoby ostatecznością. Póki co wolałam pozostać Zosią Samosią.

Popularność profilu napędzały zdjęcia udostępniane przez internautów, wzmianki na portalach i blogach, komentarze, lajki. Zupełnie jak samonapędzająca się machina. Rany, czyżbym stworzyła perpetuum mobile? Dziękowałam Bogu, że tak się działo, bo przynajmniej nie musiałam zaprzętać sobie głowy innymi sprawami. Michała, Roberta i Jacka wyrzuciłam poza nawias rozmyślań. Ten pierwszy ułatwił mi zadanie, bo po naszym feralnym noworocznym spotkaniu już się nie odezwał. Drugi zniknął z mojego życia na dobre jak okruch strzepnięty ze stołu. Najgorzej było z trzecim, bo ciągle mi się śnił. Na to jednak nie miałam żadnego wpływu; gdy zwierzyłam się z tego mamie Krysi, stwierdziła, że to „mój krzyż, który muszę dźwigać”. Patetyczność w wypowiedziach mojej matki była momentami bardzo irytująca, uznałam jednak, że w tym jednym wypadku mogę przyznać jej rację.

U dziewczyn też wszystko układało się jak należy – związek Madzi z Konradem rozkwitał, a Mini uczyniła z prowadzenia bloga źródło stałego dochodu; na razie, co prawda, niedużego, ale zawsze jakiegoś. Na tyle przyzwoitego, że Arek stulił dziób.

Kiedy przestajesz zawracać sobie głowę tym, co do tej pory cię uwierało, ze zdumieniem odkrywasz, że w zasadzie nie masz żadnych zmartwień, a świat jest uroczy (znowu punkt widzenia zależny od punktu siedzenia, prawda?). I dokładnie tak byłoby ze mną, gdyby nie jedna kwestia, która nie pozwalała mi na całego cieszyć się życiem: praca.

Odkąd wróciłam do redakcji po przerwie świątecznej, królowa Zoja zamieniła się w demoniczną Cruellę de Mon. Była wstrętna, nieznośna, okropna. Nie przepuściła żadnej okazji, żeby nas postraszyć, że nasze etaty wiszą na włosku i że powinniśmy iść na klęczkach do Częstochowy z wdzięczności, że jeszcze tu pracujemy. Do tego

publicznie kokietowała męską część załogi, zwłaszcza Piotrka, który nie śmiał się jej sprzeciwić, bo niedawno się ożenił, miał kredyt hipoteczny na głowie i małe dziecko, więc bardzo potrzebował stałej pracy. A ponieważ królowa doskonale zdawała sobie z tego sprawę, zachowywała się poniżej wszelkiej krytyki. Gdy chwilami na niego patrzyłam, robiło mi się go naprawdę żal i byłam bliska rzucenia tej roboty w cholere, żeby tylko on zachował posadę.

Nie, królowa Zoja jeszcze mnie nie zwolniła. Robiła jednak coś znacznie gorszego – zlecała mi upokarzające Radom tematy i kręciła nosem, gdy oglądała moje zdjęcia.

– Chyba *ciągle* z nikim się nie spotykasz, prawda? Och, Kaja, Kaja, przykro mi to mówić, ale widać to na twoich zdjęciach. To już nawet nie są *zdjęcia*, tylko jakieś nieudane próby fotograficzne, nieciekawe obrazki. Nie ma w nich pasji, serca. Przydałby ci się porządny seks. A może straciłaś zapał do fotografii? – wypaliła pewnego przedpołudnia, gdy dostarczyłam jej materiał do tekstu o rekordowym skoku bezrobocia w naszym regionie.

Oczywiście, że zdjęcia były kiepskie. Bo takie miały być! Chyba ręka by mi uschła, gdybym do *takiego* tematu zrobiła zdjęcia pełne „pasji i serca”. Znacznie bardziej dotknął mnie jednak fakt, że królowa Zoja w jednej wypowiedzi odniosła się do moich dwóch osobistych sfer – związku z mężczyzną i uprawiania seksu. To był cios poniżej pasa.

Zoja Adamska była złą kobietą.

Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że te wszystkie jej uszczypliwości, komentarze i próby zastraszenia okażą się niczym w porównaniu z tym, co wydarzy się pod koniec stycznia.

W „Głosie” wszyscy wiedzieli, że SZCZĘŚLIWE POLKI to moje dziecko (czy raczej moje córki). Większość ekipy należała zresztą do fanów profilu. Mieliśmy jednak niepisaną umowę, że nie rozmawiamy o tym przy królowej. To był główny pozytywny jej zachowania – mimo wcześniejszych podziałów, teraz tworzyliśmy jeden front przeciwko naczelnej. Nikt nie chciał nikomu zaszkodzić. A najbardziej nie chciał zaszkodzić sobie.

Lecz wystarczyło jedno zdjęcie, nadesłane przez siedemdziesięcioletnią emerytkę z Kalisza, żebyśmy zapomnieli o bożym świecie – oraz o instynkcie samozachowawczym. Fotografia przysłała kilka minut po dziesiątej – akurat ukradkiem zalogowałam się na Facebooku, by zerknąć, czy pod zdjęciem siostry Madzi przybyło komentarzy (poprzedniego dnia zauważyłam, że niejaki Mateusz Nachorski tak bardzo się nią zauroczył, że pod fotografią poprosił ją o rękę). Chciałam więc sprawdzić, czy Ola pociągnęła temat i co z tego wynikło. Jednak zdjęcie „Gabrieli z Kalisza” przebiło wszystko.

Kobieta była ubrana w obcisłe, połyskujące spodnie ściągnięte szerokim paskiem. Bluzkę miała blad różową. Z szyi zwisało jej kilka sznurów koralików, a w uszy miała wpięte wielkie złote krzyże. Z siwych włosów zrobiła sobie trwałą – gapiłam się na nią jak zahipnotyzowana nie tylko dlatego, że była egzotyczna, ale również z tego powodu, że przypominała mi panią Alinę. Brakowało jej tylko elektronicznego papierosa.

Gabriela chudymi, pomarszczonymi niczym rodzynka palcami ścisnęła kartkę, na której zielonym markerem napisała:

ŚPIEWAM W KAPELI ROCKOWEJ

W tle widać było różne instrumenty – perkusję, gitarę elektryczną i saksofon złożone na głośniku. Wyglądało to na garaż przerobiony na salę prób. Gabriela w takim entourage’u kojarzyła się z barwnym, rajskim ptakiem. Zdjęcie było trochę nieostre i źle wykadrowane, ale poza tym bez dwóch zdań cudowne!

– O Chryste. – Usłyszałam za swoimi plecami i gdy odwróciłam głowę, dosłownie zamarłam. Otaczało mnie pół redakcji: Olga, Martyna, Piotrek, Robert i Patryk. Dyszeli z niedowierzania i ekscytacji nad moim ramieniem.

– Rany, chyba się zaraz posikam – oznajmiła Martyna i zaczęła obgryzać paznokcie.
– Ale czad.

– Grubo – skomentował Robert i zaczął rechotać jak w transie, aż Piotrek kazał mu się przymknąć.

– A w jakiej ona gra *kapeli*? – zapytał ten drugi.

– Czekajcie... – powiedziałam zaaferowana i jeszcze raz przeczytałam krótką wiadomość od Gabrieli. Napisała, że choć jest na emeryturze, odkryła w sobie nową pasję i prosi, abym umieściła to zdjęcie, żeby „kobitki w jej wieku przestały marnować czas na oglądanie *M jak miłość* i trochę się zaktywizowały”. Do wiadomości dołączony był adres strony internetowej zespołu Magma (sic!). Gdy się na nią przeniosłam, w głośnikach rozległo się rockowe granie, a po chwili wysokim głosem zaczęła pisać sama Gabriela.

Śmialiśmy się jak opętani, ale nasza radość nie trwała długo. Usłyszeliśmy znajome chrząknięcie i w jednej chwili nastąpiła cisza. Piotrek wyprostował się jak struna, Martyna zbladła, na twarzy Olgi wykwitły różowe plamy. Rozstąpili się, a przede mną niczym spod podłogi wyrosła królowa Zoja z tym swoim ironicznym uśmiechem przyklejonym do upudrowanej twarzy, jakby nie posiadała się z radości, że przyłapała nas na gorącym uczynku.

Natychmiast zamknęłam stronę Magmy, ale **SZCZĘŚLIWYCH POLEK** już nie

zdążyłam.

– Słyszę, że się dobrze bawicie. A może byście tak wrócili do pracy? – powiedziała dziwnie zmienionym głosem, zupełnie jak mała dziewczynka. Wszyscy w mgnieniu oka się rozeszli, ale królowa najwyraźniej ze mną dopiero zaczęła. – To twoje? – zapytała, zerkając na profil SZCZĘŚLIWYCH POLEK.

Dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Co? A... To. Nie...

– Nie? – zdziwiła się; widziałam w jej oczach, że triumfuje. Dobrze wiedziała, jaka była odpowiedź.

– To znaczy tak, ale to nic takiego, zaraz to zamknę...

Drżącą ręką chwyciłam myszkę, lecz wzrok Zoi dosłownie mnie paraliżował. Prychnęła pod nosem.

– Nie kłopotz się. SZCZĘŚLIWE POLKI – powtórzyła. – Zaraz je sobie obejrzę.

I pomaszerowała do swojego gabinetu. W redakcji zrobiło się cicho jak w grobie. Mogłabym przysiąc, że słyszę bicie własnego serca. Próbowałam przekonać samą siebie, że nie ma się czym denerwować, że Zoja nie może mi tego zabronić, bo robię to po godzinach, że profil w zasadzie jest publiczny, więc gdyby chciała, mogłaby go polubić i śledzić wszystko, co udostępniam... A mimo to czułam się nieswojo. Ogarnął mnie niepokój, a wolność, która wyniosła mnie pod niebiosa wtedy, gdy zobaczyłam wzmiankę o SZCZĘŚLIWYCH POLKACH w „Trendach”, ulotniła się w ułamku sekundy. Zdałam sobie sprawę, że teraz to królowa ma nade mną przewagę, a nie, jak wcześniej, ja nad nią.

Gdy więc poczułam czyjąś rękę na swoim ramieniu, aż podskoczyłam. Ale to była Olga.

– Nie daj się tej tłustej jędzy – powiedziała cicho i uśmiechnęła się podstępnie. – Sfotografujesz mnie? Chcę dołączyć do SZCZĘŚLIWYCH POLEK.

Spotkałyśmy się następnego dnia po pracy. Olga mieszkała na Plantach, kwadrans spacerkiem ode mnie. Umówiłyśmy się w parku w pobliżu jej bloku. Zdziwiłam się, gdy przyprowadziła ze sobą córkę. Wiedziałam, że od sześciu lat jest mamą, jednak do tej pory Maję, bo takie imię nosiła mała, znałam jedynie ze zdjęć.

– Ale zimno. Musimy się sprężyć, bo inaczej zamarzniemy. Poznaj moją córcię – powiedziała Olga, gdy do mnie podeszły.

Nachyliłam się do ładnej dziewczynki w fioletowej czapce z pomponem.

– Witaj, jestem Kaja. Miło z twojej strony, że chcesz towarzyszyć mamie.

Maja spojrzała na mnie pierwszy raz, odkąd się do niej odezwałam.

– Ale ja będę na zdjęciu.

Wyprostowałam się i spojrzałam na Olę, która roześmiała się głośno.

– No i wydało się. Mam nadzieję, Kaja, że to nie problem.

Poczułam się trochę skołowana; nie wiedziałam, już, czy będę robić dwa zdjęcia, czy też Olga w ogóle zrezygnowała z sesji na rzecz swojej córki, szybko się jednak okazało, że wpadła na fantastyczny pomysł.

Na zdjęciu, po raz pierwszy w historii SZCZĘŚLIWYCH POLEK, znalazła się nie jedna, a dwie kobiety, które później, w domu, wedle ich życzenia podpisałam: „Olga (duża) i Maja (mała) z Radomia”. W kadrze widać było nagie drzewa i wszechobecną biel – krajobraz niczym spod ręki rysownika. Na tym tle Olga, w żółtym płaszczu, grafitowej czapce i dużych okularach, oraz jej uśmiechnięta córeczka wyglądały uroczo. Każda z nich trzymała po kartce.

JESTEŚMY EKORODZINĄ DBAMY O PRZYRODĘ

– to na swojej napisała Olga.

Oraz:

ZASADZIŁYŚMY 17 DRZEW

– taki komunikat znajdował się na kartce Mai.

– To prawda z tymi drzewami? – zapytałam po skończonej sesji; Maja szła parę metrów przed nami i strącała śnieg z gałęzi, które uginały się pod jego ciężarem na tyle, że mogła do nich dosięgnąć.

– Podejrzewasz mnie o kłamstwo? – zdziwiła się Olga, choć wyglądała na rozbawioną.

– Nie, coś ty, skąd – zaprzeczyłam stanowczo. – Po prostu... Naprawdę uważasz się za szczęśliwą kobietę? – ku swojemu zdziwieniu nagle zmieniłam temat i szybko tego pożałowałam, bo pytanie zabrzmiało obcesowo.

Olga nie odpowiedziała od razu. Szła powoli ze wzrokiem wbitym w córkę, uśmiechając się tajemniczo.

– Jestem. I to bardzo.

Teraz to ja się uśmiechnęłam.

– Super. Zapytałam, bo niektóre kobiety chcą trafić na moją stronę, żeby coś sobie

udowodnić, uwierzyć w siebie. Żeby dopiero poczuć się szczęśliwymi. Rozumiesz?

– No pewnie. Coś ci opowiem. Podobno najstarsze drzewo na świecie to świerk, który ma prawie dziesięć tysięcy lat. Rośnie w Szwecji. Wiesz, w jaki sposób udało mu się przetrwać?

Pokręciłam głową.

– To posłuchaj. Naukowcy odkryli, że ten gatunek z systemu korzeniowego obumarłego drzewa wypuszcza nowy pień. Tak jakby klonuje się. To pozwoliło mu przetrwać trudne warunki klimatyczne. Pamiętam, że długo nad tym myślałam, kiedy się o tym dowiedziałam. Wyobrażasz sobie? Nowy pień wyrastający na miejsce obumarłego... Przecież to genialne w swojej prostocie. I wiesz, szczerze mówiąc, trzymam się tego. Nie śmiej się, ale ja też wypuszczam nowy pień na miejsce obumarłego. I odkąd to robię, jestem piekielnie szczęśliwą kobietą.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – przyznałam i zerknęłam na Olgę. Poczułam, że nagle zrobiła mi się bardzo bliska. W zasadzie nie musiała dodawać nic więcej – jej słowa miały sens. Wypuszczać nowy pień na miejsce obumarłego to jak nie oglądać się za siebie, zawsze mieć nadzieję, nie poddawać się, wierzyć w siebie. Nietrudno było zgadnąć, że taka postawa może dawać szczęście. – Dziesięć tysięcy lat – powtórzyłam wiek sędziwego świerku. – To w zasadzie mniej więcej tyle, ile ma nasza cudna szefowa.

Rozdział 28

Zdjęcie Olgi i Mai podobało się wszystkim. Z jednym wyjątkiem.

Przez dwa kolejne dni królowa Zoja słowem nie zająknęła się na temat SZCZĘŚLIWYCH POLEK. Myślałam, że gdy ujrzy fotografię z Olgą, wygłosi w końcu jakiś komentarz, lecz tego nie zrobiła. Wkrótce okazało się jednak, dlaczego milczała jak zaklęta. To nie był przypadek – nic, co robiła Zoja, nie było przypadkowe.

Moja szefowa zamieniła się w przyczajone zwierzę wyczekujące odpowiedniej chwili, by zaatakować. Do ofensywy postanowiła przejść w czwartek po południu. W redakcji było nas tylko troje – ja, Olga, z której Zoja uczyniła w tym tygodniu redaktor prowadzącą (dodatkowy obowiązek bez gratyfikacji finansowej), oraz grafik Robert, który kończył składać najnowszy numer. Porządkowałam zdjęcia w folderach i niedługo miałam zbierać się do domu, gdy szefowa poprosiła mnie do siebie na słówko.

Widziałam po jej minie, że coś knuje. Wskazała mi krzesło i klapnęła za biurkiem.

– Myślę, że musimy poważnie porozmawiać – zaczęła cienkim głosem, którego nienawidziłam. To był głos w stylu: „Mam nad tobą przewagę i ty dobrze o tym wiesz”.

Poważnie porozmawiać. A więc jednak mnie zwolni. Przez skórę czułam, że za chwilę usłyszę, żebym od lutego szukała sobie innego zajęcia.

– Chodzi o te całe SZCZĘŚLIWE POLKI – oznajmiła, a mnie zrobiło się słabo.

– Co z nimi? – próbowałam panować nad głosem, choć wzbierał we mnie gniew.

– Jestem bardzo rozczarowana, że założyłaś tę stronę *za moimi plecami*.

?!

– Tak, moja droga, za moimi plecami – powtórzyła, widząc niedowierzenie i zaskoczenie malujące się na mojej twarzy. – Jesteś fotoreporterką „Głosu Radomia”, reprezentujesz nasz tygodnik. To nie urząd, z którego wychodzi się po piętnastej i ma się wszystko w nosie. Fotoreporterem, tak samo zresztą jak dziennikarzem, jest się cały czas. Dlatego wszystkie swoje aktywności powinnaś najpierw uzgadniać ze mną.

Chyba się przesłyszałam. Z nerwów zaczęłam podrygiwać nogą.

– Przecież ja to robię po pracy, mam do tego prawo – zaczęłam się bronić.

– No, nie do końca. Już nie pamiętasz, w jakich okolicznościach odkryłam tę twoją stronę? Zajmowałaś się nią tutaj, w redakcji. W godzinach pracy.

– Ale...

– A poza tym – nie pozwoliła mi dokończyć – to nie jest działalność prywatna.

– To JEST działalność prywatna! – powiedziałam z naciskiem, podnosząc głos. Krew pulsowała mi w żyłach. Królowa Zoja oparła brodę na splecionych dłoniach, świdrując mnie wzrokiem.

– Chcesz powiedzieć, że tych dziesięć tysięcy osób... – ucięła nagle, by nachylić się w stronę laptopa. Musiała mieć otworzony profil SZCZĘŚLIWYCH POLEK, bo szybko się poprawiła – dziesięć tysięcy osiemset piętnaście osób, które śledzą ten twój profil, to twoi znajomi? I że nie można po prostu zalogować się na Facebooku i dołączyć do fanów twojej strony?

Przeklęta, Boże, złośliwa, Boże, gruba baba, Boże Boże!

– Ale...

– Poza tym – znowu mi przerwała – podejrzewam, że zdjęcia na tę stronę robisz sprzętem, którego używasz również do pracy.

Pomyślałam, że słuch mnie myli.

– Przepraszam – powiedziałam stanowczo, bo miałam tej rozmowy po dziurki w nosie i zaczęłam żałować, że królowa nie zawołała mnie do siebie, aby dać mi wypowiedzenie. – Nie rozumiem, w czym problem, skoro to jest *mój prywatny sprzęt*.

Zoja zachichotała czy raczej po prostu mnie wyśmiała.

– Już zapomniałaś, skąd miałaś na niego pieniądze?

Mój Jezu, co za suka. Po prostu nie mogłam użyć innego słowa. To, co wyprawiała, nie mieściło mi się w głowie. Myślałam, że śnię. Co prawda, był to sen bardzo przykry, prawdziwy koszmar, ale jednak sen.

– Nie bardzo rozumiem – oznajmiłam rzeczowo, unosząc brwi.

Gdy zaczynałam pracę w „Głosie”, miałam sprzęt fotograficzny znacznie gorszej jakości. Nie byłam zadowolona ze zdjęć, jakie trafiały na łamy tygodnika, zwróciłam się więc do Zoi z prośbą o pożyczkę. Zapewnienie mi sprzętu do pracy było jej psim obowiązkiem, ale w Radomiu, gdzie – jak niedawno zauważyła – dziennikarze sami biegają z aparatami i pstrykają zdjęcia, rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Zaproponowałam więc, żeby firma wsparła mnie kredytem na zakup aparatu i osprzętu, a raty potrącała mi przez kilka miesięcy z pensji. Królowa przystała na to z ochotą – wizja dobrych fotografii i wypłacania mi marnych kilkuset złotych przez ponad pół roku musiała ją przekonać.

– Przecież spłacałam pożyczkę, co to ma do rzeczy?! – straciłam nad sobą panowanie. Czułam, że jeszcze chwila, jeszcze jedno jej słowo, a eksploduję. Rzucę

się jej do gardła i ją rozszarpie.

– To ma bardzo dużo do rzeczy – stwierdziła królowa; na jej twarzy pojawił się złośliwy uśmiezek. – Jako twoja szefowa mogę sobie nie życzyć, żebyś sprzętem, który służy ci do pracy, i na który wyłożyliśmy pieniądze, robiła zdjęcia na tę swoją stronę.

Moja krew wrzała. Skroń pulsowała mi szybko. Noga, którą jeszcze przed chwilą podrygiwałam, zastygła w bezruchu. Zaciśnęłam dłonie na kolanach. Najprościej było wykrzyczeć Zoi w twarz, że jest Zawistną, Ohydną, Irytującą, Złośliwą, Obrzydliwą Idiotką, ale nie, to byłoby zbyt oczywiste. Już wiedziałam, że mój czas w tej redakcji dobiegł końca, ale musiałam jeszcze odegrać się na królowej. To była kwestia mojego honoru. Ściągnęłam wargi i pozwoliłam jej zakończyć rozmowę.

– Widzę, że wreszcie dotarły do ciebie moje słowa – oznajmiała Zoja, przekonana, że wygrała. – W takim razie liczę, że następnym razem, gdy postanowisz opublikować coś na tej swojej stronie, najpierw skonsultujesz się ze mną.

Wysilając się niemiłosiernie, zmusiłam się do uśmiechu. Kiwnęłam niemrawo. Królowa zadarła głowę i przeniosła wzrok na ekran swojego laptopa.

– Możesz wracać do siebie.

Byłam już przy drzwiach, gdy mnie zatrzymała.

– Będziecie dziś musieli wysłać gazetę sami, ja za chwilę muszę wyjść. – Zerknęła na swój złoty, bardzo drogi zegarek. – A tak między nami, to Olga na tym zdjęciu z kartką wyszła bardzo staro.

Gdy wróciłam do newsroomu, reszta ekipy od razu się zorientowała, że w gabinecie Zoi wydarzyło się coś niedobrego.

– Jezu, co ci powiedziała? – zapytała Olga, patrząc na mnie oczami wielkimi prawie jak mandarynki. – Zwolniła cię?

Robert okręcił się w miejscu i spojrzął na mnie równie zaskoczony co ona.

– Wyglądasz, jakbyś zaraz miała zemdleć – powiedział.

Opadłam na fotel pełna emocji. W głowie huczały mi słowa Zoi. Zawsze wiedziałam, że jest wstrętna, ale dziś przeszła samą siebie. Nawet nie potrafiłam nazwać tego, jak się zachowała. Doskonale wiedziała, jak bardzo mnie to zaboli. A ja nie mogłam na to pozwolić. Nie mogłam dać sobą pomiatać! Musiałam coś z tym zrobić. Ale rzucenie kwitami i uprzątnięcie biurka byłoby zbyt proste.

Ukryłam twarz w dłoniach, próbując zebrać myśli, kiedy królowa, ubrana w futro i czapkę z lisa, pojawiła się tuż obok. Miała intensywnie czerwone usta i patrzyła na nas z wyższością.

– Kończycie już? Jak wam idzie?

– Yy, tak, Robert wrzuca ostatnie teksty – odpowiedziała Olga.

– Świetnie. W takim razie sami wyślecie gazetę do drukarni. Ja jestem umówiona.

Wielka mi nowość, że mamy sami wysłać gazetę. Zaraz, kiedy ostatni raz to robiliśmy? Tydzień temu? Bo robimy to co tydzień? No tak.

– Do jutra. – Królowa Zoja pożegnała się chłodno i opuściła redakcję.

Dopiero gdy wyszła, napięcie zaczęło ze mnie uchodzić, choć ciągle byłam wściekła i poruszona do głębi.

– *Czy ona nosi prawdziwe futro?!* – Olga splotła ręce na piersiach.

– Mów, Kaja, co ci powiedziała – zwrócił się do mnie Robert.

Czas jakby na chwilę się zatrzymał. Nie odpowiedziałam od razu, bo oczami wyobraźni już widziałam, w jaki sposób odegram się na królowej. Ten pomysł wpadł mi do głowy nagle i spodobał mi się tak bardzo, że uznałam go wręcz za genialny. Ignorując pytanie Roberta, spojrzałam na niego, a potem na Olgę i spytałam:

– Zrobicie coś dla mnie?

– Co? – zapytali równocześnie.

– Udostępnicie mi pół jedyńki.

Popatrzyli na siebie osłupiali.

– Że co? Kaja, o czym ty mówisz? – zapytała Olga i zaczęła nerwowo wymachiwać ołówkiem.

– No właśnie, Kaja – wtrącił się Robert – jak to *udostępnić ci pół jedyńki?!*

– Normalnie, co mamy na pierwszej stronie? – spytałam, przekonana, że to, co chcę zrobić, jest strzałem w dziesiątkę. Z podniecenia czułam mrowienie na całym ciele, ale musiałam jeszcze przekonać do swojego pomysłu prowadzącą i grafika, czyli dwie osoby, które odpowiadały za kształt gazety.

– Artykuł o przebudowie trasy kolejowej Radom–Warszawa – odparł Robert, zerkając do komputera.

– ...czyli po raz dwudziesty to samo pierniczenie, że nie ma pieniędzy i pasażerowie muszą uzbroić się w cierpliwość, bla, bla, bla – wymamrotała Olga.

– A na dole strony?

– Relacja z sesji Rady Miejskiej.

– ...czyli po raz pięćdziesiąty to samo pierniczenie, że radny iks powiedział igrek, a radny zet skoczył mu do gardła i zmieszali się z błotem – zazartował Robert.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Świetnie. Możesz wywalić ten artykuł i udostępnić mi to miejsce?

Olga, choć wydawało się to niemożliwe, otworzyła oczy jeszcze szerzej.

– Kaja, oszalałaś? Co chcesz zrobić?!

Ponownie się uśmiechnęłam, ale tym razem inaczej – tajemniczo i podstępnie.

– Aż się boję tego, co ci chodzi po głowie. Wyglądasz jak Jack Nicholson w *Lśnieniu* – powiedział Robert.

Tak, w rzeczy samej czułam, że mnie olśniło. Gdy w końcu wyjaśniłam im, dlaczego potrzebuję pół pierwszej strony, popatrzyli na mnie zszokowani, choć chyba w jakimś stopniu im zaimponowałam.

– Ona nas za to wywali na zbity pysk – stwierdziła Olga spokojnie i zerknęła na makietę tygodnika, jakby chciała sprawdzić, czy to, co wymyśliłam, teoretycznie można by zrealizować.

– To tylko tekst, nie reklama. Za wywaloną reklamę urwałaby ci głowę.

Robert wybuchł śmiechem.

– Ty jej naprawdę nie cierpisz – rzekł do mnie. – Co ona ci nagadała tam u siebie?

Wzięłam głęboki wdech i w skrócie opowiedziałam, co usłyszałam od królowej.

– To jęcza – skwitowała Olga.

– Rany, współczuję – dodał Robert.

– To jeszcze nie wszystko – przyznałam i spojrzałam na Olę. – Powiedziała, że wyszłaś na tym zdjęciu bardzo staro.

Wiedziałam, że było to okropne, ale w tym momencie, gdy bardzo chciałam, żeby na jedyne znalazło się to, na czym mi zależało, cel uświęcał środki. Olga rzuciła ołówek na biurko i zerwała się z miejsca.

– Nienawidzę tej baby – zaskrzeczała i podparła się pod boki. – Ale ty wiesz, że ona nas wyrzuci za taki numer.

– I mnie też – odezwał się Robert.

– Nie robi tego – zaprzeczyłam. – Jeden etat jej się zwolni, bo sama odejdę. Zresztą królowa powiedziała mi przed świętami, że bez dziennikarza gazeta się nie napisze. Ma tylko waszą trójkę. Gdyby cię zwolniła, Piotrek i Martyna nie dadzą sobie rady. A do ciebie, Robert, ma słabość, bo jesteś facetem, no i nie ma cię kto zastąpić.

– Chcesz odejść?! – ryknęła Olga i zaczęła szybko kręcić głową.

– Właśnie, Kaja, co to znowu za pomysł?

– I tak byłam pierwsza do odstrzału – przyznałam. Powiedziałam to z taką obojętnością, jakbym mówiła o pogodzie. – Zresztą, po tym, co dziś od niej usłyszałam,

chyba mi się nie dziwicie, co?

Nie odpowiedzieli.

– A poza tym – zerknęłam na Olgę, która kręciła się w kółko po redakcji – to futro wyglądało na prawdziwe.

Zatrzymała na mnie spojrzenie i ze świstem wypuściła z ust powietrze.

– Matko, Kaja, ja chyba upadłam na głowę.

– Czy to znaczy, że...

– Tak, zgadzam się! Robert, wywalaj ten dumny tekst o sesji. I bierzmy się do roboty, bo za pół godziny gazeta musi być w drukarni.

Nie zastanawiając ani się chwili, objęłam Olgę i wyściskałam ją mocno jak dawno niewidzianą przyjaciółkę. Robert zagwizdał pod nosem.

– Czekaście, sfilmuję was, to Kaja wrzuci to na ten swój profil.

– Nie gadaj głupot. – Olga zaśmiała się, podjeżdżając fotelem do jego biurka. – A nawet jeśli mnie zwolni, to trudno, każdy szef będzie lepszy od niej.

Byłam tak bardzo szczęśliwa, że nic więcej mnie nie obchodziło. I mimo że wiedziałam, że Adamska nam nie podaruje, miałam to głęboko w nosie. Byłam zdecydowana odejść. Choćbym miała być zdana na łaskę rodziców do końca życia, nie mogłam pozwolić, żeby jakieś durne babsko traktowało mnie jak dziecko, na które można nakrzyczeć i zabrać mu zabawki. Szczególnie że moja szefowa nie miała wstępu do wyspy zwanej SZCZĘŚLIWE POLKI.

Widziałam po Oldze, że trochę się martwi, Robertowi też drżała ręka, gdy zmieniał kształt pierwszej strony, ostatecznie jednak żadne z nich się nie rozmyśliło i kiedy po godzinie szesnastej wysłaliśmy gazetę do drukarni, połowę jedyńki zajmował wielki napis:

JEŚLI JESTEŚ KOBIETĄ, KTÓRA CZUJE SIĘ SZCZĘŚLIWA (ALBO CHCE TAKA BYĆ), OSIĄGNEŁA COŚ, Z CZEGO JEST DUMNA, LUB PO PROSTU JEST FAJNĄ, SYMPATYCZNĄ BABKĄ – PRZYJDŹ W NIEDZIELĘ O GODZ. 12 NA FONTANNY.

I KONIECZNIE ZABIERZ ZE SOBĄ KOLEŻANKI!

WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW:

WWW.FACEBOOK.COM/SZCZESLIWEPOLKI

To było prawie jak tworzenie historii, chociaż właściwie dlaczego prawie? Czułam, że robię coś dobrego, i nie zważałam na konsekwencje. Wieczorem skontaktowałam się ze znajomymi z lokalnych mediów i zaprosiłam ich do udziału w wydarzeniu, które

zaplanowałam na niedzielę (po cichu liczyłam, że niektórzy zdążą je do tego czasu nagłośnić). Musiałam jeszcze załatwić czarne mazaki i kartki, w dużej ilości. Madzia i Mini obiecały mi pomóc.

– Polecę z samego rana do piekarni po twoją gazetę, muszę zobaczyć ten apel na własne oczy! – powiedziała Madzia, gdy kończyłyśmy rozmowę.

– Pojechałaś po całości – oznajmiła Mini.

Skłamałabym, twierdząc, że po zmianie jedyńki byłam zrelaksowana. Czułam ekscytację, a nawet pewien niepokój, ale skoro podjęłam decyzję, że odchodzę z „Głosu”, w zasadzie nie miałam się czego bać. Teraz mogłam zrobić tylko jedno – wypuścić nowy korzeń na miejsce poprzedniego. Żyć dalej i nie oglądać się za siebie.

Rozdział 29

Dźwięk dzwonka wyrwał mnie ze snu. To musiał być Jacek; powinien być w domu już godzinę temu, ale w piątkowe popołudnie droga z Warszawy do Radomia jest długa. Pobiegłam otworzyć mu drzwi.

Miał tajemniczą minę. Choć znałam go tak dobrze, nie byłam w stanie rozgryźć, czy się cieszy, czy też jest rozczarowany. Wpuściłam go do środka, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

– No i? – zapytałam zniecierpliwiona.

Jacek objął mnie i poprowadził do pokoju. Usiedliśmy na kanapie.

– Mam dobrą i złą wiadomość.

Zmrużyłam oczy, wyczekując rozwinięcia wypowiedzi.

– Dostałem pracę.

– To wspaniale! – wykrzyknęłam i już miałam rzucić mu się w ramiona, kiedy uniósł obie ręce, nie pozwalając mi do siebie przyłgnąć.

– Tak, to jest ta dobra wiadomość. Zła jest taka, że praca jest w Warszawie, codziennie od ósmej do siedemnastej, z godziną przerwą na lunch.

W jednej chwili spłynęło na mnie uczucie rozżalenia.

– Ale przecież mieli otworzyć oddział w Radomiu, tak pisali w ogłoszeniu...

– I ciągle mają, ale to na razie jedynie plany. Fakty na dzisiaj są takie, że od poniedziałku czeka na mnie etat w stolicy.

Spuścił wzrok. Chwyciłam go mocno za rękę.

– I co, mamy się tam przeprowadzić? – zapytałam, z trudem wymawiając ostatnie słowo. Warszawa – wielka, dumna i obca – była ostatnim miastem, w którym chciałam mieszkać.

– To na razie nie wchodzi w grę. Za wcześnie na to, poza tym układamy sobie życie tutaj. Kaja, ja już podjąłem decyzję.

Popatrzyłam na niego zdumiona.

– Nie przyjmę tej posady.

– Co? Ale... Dlaczego nie?

Wydawało mi się absurdem, że Jacek, początkujący filmowiec z wielkimi ambicjami, odrzucił pracę w renomowanej wytwórni. Ta posada była dla niego olbrzymią szansą na zaistnienie, wybicie się, i oboje modliliśmy się, by go przyjęli. Szczególnie że w ogłoszeniu napisali o planach otworzenia oddziału w Radomiu, gdzie mieliby kręcić filmy dokumentalne. Jacek nie mógł wymarzyć sobie lepszego stanowiska.

– Posłuchaj – powiedział stanowczo – myślałem o tym przez całą drogę i zrozumiałem, że żadna praca, nawet gdybym miał być prawą ręką samego Spielberga, nie jest warta osłabienia łączącej nas więzi. Tylko sobie wyobraź codzienne dojazdy do Warszawy, dziewięć godzin w wytwórni i powrót późnymi wieczorami. Praktycznie byśmy się nie widywali, zwłaszcza że pracuje się tam też w weekendy i muszę być dyspozycyjny.

– Ale Jacek...

Pokręcił głową, dając mi do zrozumienia, że nie powinnam mu przerywać.

– Znałem kilka par, które żyły w ten sposób i wiesz co? Żadna nie przetrwała. ŻADNA! Rozeszli się, bo stali się sobie obcy. To się nie uda, Kaja. Zrozum, że zależy mi na tobie najbardziej na świecie. A jeśli przyjmę tę posadę, to się dla nas bardzo źle skończy.

– Ale nie możesz być tego pewien! – zaprotestowałam. Nie chciałam być powodem, dla którego Jacek rezygnuje z życiowej szansy. Czułam, że popełni błąd, jeśli nie przyjmie tego stanowiska. W głębi serca wiedziałam, że ma rację, mówiąc o osłabieniu więzi przez rozłąkę, ale w tym wypadku należało wybrać to, co dla niego najlepsze. Jednak zanim zdążyłam dodać choćby słowo, objął mnie mocno, pocałował w szyję i zaśmiał się.

– I właśnie tak ma wyglądać moje życie. To co robimy dziś na kolację?

Z beztróskim wyrazem twarzy pociągnął mnie w stronę kuchni. A ja na zmianę otwierałam i zamykałam usta jak ryba wyrzucona na brzeg. Chciałam krzyknąć, że się myli, że popełnia życiowy błąd, że nie mogę do tego dopuścić... Lecz wystarczył dotyk jego miękkiej dłoni i czuły uśmiech, abym zrozumiała, że jego słowa mają sens. W końcu mnie też zależało na nim najbardziej na świecie i nic, absolutnie nic nie było warte, żeby więź, która nas połączyła, skruszała.

Zbudziłam się nagle, dysząc ciężko i nierówno. Po mojej skórze spływały kropelki potu, serce biło nierówno. Po takich snach potrzebowałam dłuższej chwili, żeby do siebie dojść. Gapiłam się w sufit, lecz przed oczami przelatowały mi obrazy Jacka

siedzącego przy moim boku, mówiącego o pracy, której nie przyjmie, bo na mnie zależy mu najbardziej, bo to źle by się dla nas skończyło, bo ma inny pomysł na nasze życie... Co za ironia. Ciekawe, że później już tego nie pamiętał.

Poczułam, że ogarnia mnie złość, więc usiadłam na łóżku, odsunęłam zasłonkę i wyjrzałam przez okno. Śnieg łagodnie spływał z nieba; całą okolicę pokrywał biały kożuch. W dole słychać było pługopiaskarkę odgarniającą puch zalegający na jezdni. Radom budził się ze snu.

Zegarek wskazywał parę minut po siódmej. Zerknęłam na wyświetlacz komórki: zero wiadomości, zero nieodebranych połączeń. Chwała Bogu. Królowa Zoja najwidoczniej nie widziała jeszcze dzisiejszego numeru swojego tygodnika. A ponieważ miałam wolne, zakopałam się pod kołdrę i postanowiłam jeszcze chwilę się zdrzemnąć – z nadzieją, że przyśnią mi się kwiatki, cukierki, chmurki, ciasteczka, słoneczko; cokolwiek, byle nie Jacek!

Ledwo jednak doszłam do siebie i powoli zaczynałam odpływać, a rozpętało się piekło. Moja komórka rozdzwoniła się szaleńczo, przyprawiając mnie o palpacje serca. Dzwoniła Królowa. Oho, zaczęło się, pomyślałam i... jakoś nieszczególnie się tym przejęłam. Wyciszyłam połączenie i obróciłam się na drugi bok. Nie minęło pół minuty, a głośna melodyjka znowu rozbrzmiała.

Niech ją szlag, zakłęłam pod nosem i ponownie wyciszyłam komórkę. Moja szefowa nie byłaby jednak sobą, gdyby tak szybko się poddała, o nie. Zadzwoiła jeszcze dwa razy, a gdy nie odebrałam, wysłała mi krótkiego SMS-a: „ODBIERZ”.

Pocałuj mnie w nos, jadowita zmijo. Wygłuszyłam telefon i przyłożyłam głowę do poduszki, ale nie byłam w stanie zasnąć. Otworzyłam jedno oko; ekran migał szaleńczo, jak pomarańczowe światło na skrzyżowaniu w środku nocy. Chwyciłam telefon – pięć kolejnych nieodebranych połączeń od królowej.

Była wściekła, to oczywiste, choć raczej nie do końca zgodne z prawdą. Znając jej charakterek, była rozwścieczona do granic ludzkiej wytrzymałości. Przez krótką chwilę pomyślałam, że może nie powinnam była, że może królowa Zoja nie jest aż taka zła... Wątpliwości ogarnęły mnie jednak na krócej, niż trwało jedno mrugnięcie okiem. I już po chwili moje ciało zalało poczucie triumfu, zadowolenia, dobrze spełnionego obowiązku.

Tak, bez cienia wątpliwości powinnam była to zrobić – bo nie robiłam tego wyłącznie dla siebie. Chyba nawet bezrobocie było lepsze niż praca z taką szefową jak Zoja Adamska. Ona nie była zła. Ona była okropna, koszmarna, odstręczająca. Należało jej się!

Parę minut po ósmej odebrałam od Zoi SMS-a: „Macie przechlapanie” i zadzwoniłam do Olgi, by zapytać, czy też go dostała.

– Tak, i jeszcze dwa inne – powiedziała niepewnym głosem; wyczułam, że trochę się denerwuje. – „Odbierz” i „Nie spodziewałam się tego po tobie”.

Wybuchnęłam śmiechem. Ja nie dostałam tego drugiego – czyżby po mnie jednak się tego spodziewała?

– Idziesz dziś do pracy? – zapytałam.

– Nie, robię reportaż o mieszkaniach socjalnych.

Spauzowała, a wtedy ja powiedziałam szybko:

– Olga, jesteś wielka. Odwaliłaś kawał dobrej roboty i niech ci to Bóg w dzieciach wynagrodzi.

Zachichotała.

– Przyjdiesz w niedzielę?

– Przyjdę – odparła znacznie pewniejszym głosem, jakby krótka rozmowa ze mną ją podbudowała. – Zabiorę Maję, przyjdziemy obie. I wezmę też ze sobą kilka koleżanek.

– Fantastycznie, Olga, naprawdę dzięki, jak nie wiem co. I nie zaprzataj sobie głowy naszą szefową, chyba nie warto.

– Chyba na pewno. Trzymaj się, Kaja.

Kiedy skończyłyśmy rozmowę, odebrałam wiadomość od operatora, że królowa Zoja próbowała się ze mną skontaktować. Rada była na to tylko jedna – dodałam jej numer do listy zablokowanych kontaktów, zadowolona, że wreszcie mogę włączyć dźwięk w telefonie i nie przejmować się, że szefowa z uporem maniaczki próbuje się do mnie dodzwonić. Pomyślałam sobie, że jeszcze nigdy w życiu nie zrobiłam czegoś takiego – w końcu różne się rzeczy robiło – i roześmiałam się głośno.

Odrzuciłam kołdrę i zerwałam się z łóżka. Czas uciekał, a było jeszcze sporo do zrobienia: poinformować bliższe i dalsze koleżanki o akcji, umieścić informację na profilu SZCZĘŚLIWYCH POLEK, kupić papier i markery, przygotować sprzęt fotograficzny... I modlić się, żeby w niedzielę dopisała pogoda.

Czułam się jak mały, podstępny chochlik, który wyciął komuś kawał i był z siebie bardzo, ale to bardzo zadowolony. I wiecie co? Wspaniałe to było uczucie.

Notatka na pierwszej stronie „Głosu Radomia”, na co zresztą po cichu liczyłam, przełożyła się na błyskawiczny wzrost popularności mojego profilu. Z każdą godziną liczba fanów SZCZĘŚLIWYCH POLEK rosła, a na moją facebookową skrzynkę stale przychodziły wiadomości – co to za akcja, czy są ograniczenia wiekowe albo jakieś inne, co ze sobą zabrać. Odpisywałam na każdą z nich, ale często ze sporym opóźnieniem, po prostu trudno było nadążyć.

Gdy w okolicy południa mama Krysia przyniosła do domu kilka egzemplarzy mojej gazety, spojrzała na mnie wymownie i uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając równe zęby.

– Słowem się nie zająknęłaś, że planujesz jakąś akcję.

– Bo nie planowałam. Wymyśliłam ją wczoraj.

– I twoja szefowa zgodziła się, żeby napisać o tym na pierwszej stronie? Z daleka to wygląda jak nekrolog papieża albo co najmniej prezydenta.

– Wiesz, mammo, prawdę mówiąc, to nie pytałam o zgodę.

Patrzyła na mnie w osłupieniu.

– Słucham? Chcesz powiedzieć, że zrobiłaś to *bez jej wiedzy*?

Pokiwałam głową (z nieskrywaną satysfakcją).

– Jezus Maria, Kaja – jęknęła mama Krysia i opadła na fotel w moim pokoju, kładąc sobie plik egzemplarzy „Głosu” na podołku. Zrobiła się blada jak ściana. – Przecież możesz za to wylecieć! – zaskrzeczała.

– Nie, mammo. Sama odejdę.

Patrzyła na mnie, jakby wyskoczyły mi na twarzy krosty wielkości orzechów. Sama też zresztą wyglądała upiornie. Oczy miała szeroko otwarte, skórę trupio bladą, usta rozchylone. Chyba wydawało jej się, że majaczę. I wtedy, gdy chciałam opowiedzieć, co w czwartek usłyszałam od Zoi w jej gabinecie, mama Krysia roześmiała się na całe gardło.

Patrzyłam na nią zszokowana, a ona pękała ze śmiechu zupełnie jak ja w Wigilię. Zamilkła tylko na chwilę, by ponownie zerknąć na pierwszą stronę „Głosu”, i znowu wybuchnęła gromkim śmiechem. Nie wytrzymałam i zaczęłam chichotać razem z nią. Rechotałyśmy jak psychopatki, aż w końcu mama bez uprzedzenia zerwała się z fotela.

– Zadzwoń do Anki i Joli, może znajdą czas w niedzielę – oznajmiła.

– A już myślałam, że urządzisz mi awanturę – przyznałam, odetchnąwszy z ulgą.

– Wiesz, to, co zrobiłaś, nie było najrozsądniejsze pod względem zachowania etatu. Ale nie tylko praca się w życiu liczy.

Bez wahania rzuciłam się jej w objęcia i wyściskałam ją mocno. Jeśli ktoś uważa, że kobieta z trzydziestką na karku nie może tulić się do własnej matki, to bardzo mi go żal. Mama Krysia, owszem, miewała swoje odchylenia od normy, ale kto ich nie miał? Poczulałam bijące od niej ciepło i zrozumiałam, że po tym, co zrobiłam Zoi Adamskiej, a także przed tym, co zaplanowałam na niedzielę, to najlepsza forma wzmocnienia, jaką mogłam sobie zafundować. Czy nawet sama Bridget Jones nie mówiła, żeby zawsze słuchać mamy?

Ta chwila, gdy stałyśmy w objęciach na środku mojego pokoju, nie trwała długo. Ale dała mi dość siły, by przestały mnie dręczyć wszelkie niepokoje, wątpliwości i obawy, które pulsowały mi płytko pod skórą.

Byłam gotowa na nadejście niedzieli. A potem poniedziałku, wtorku, piątku i tak dalej. Byłam gotowa grać dalej w domino.

Rozdział 30

W niedzielny poranek, który spędzałam przed ekranem laptopa, ze zdumieniem odkryłam, że na Facebooku ktoś stworzył wydarzenie pod nazwą: „Złot Szczęśliwych (i tych trochę mniej) Polek w Radomiu”. Zdziwiłam się jeszcze bardziej, gdy okazało się, że trzysta dwadzieścia dziewięć osób zadeklarowało chęć udziału w organizowanej przeze mnie akcji. To właśnie wtedy pierwszy raz tak mocno poczułam, że tworzę coś, co powoli zaczyna wymykać się spod mojej kontroli. I nie posiadałam się ze szczęścia.

Wszystko było związane na ostatni guzik. Na podłodze leżała pięciusetkartkowa ryza papieru i kilka czarnych mazaków. Sprzęt fotograficzny był przygotowany do pracy, jakimś cudem zdołałam też odpisać na wszystkie wiadomości, które spłynęły na skrzynkę SZCZĘŚLIWYCH POLEK. Pierwszą stronę „Głosu Radomia” z notatką o dzisiejszym wydarzeniu miałam przypiętą do tablicy korkowej; każdorazowy rzut oka na nią potęgował moje emocje. Bardzo chciałam, żeby już nastąpiło południe. Z niecierpliwością czekałam na spotkanie z Błękitnymi lub chociażby Pomarańczowymi Dziewczynami.

Pierwsza w moim mieszkaniu, kwadrans po jedenastej, zjawiała się Mini. Wystroiła się jak stróż w Boże Ciało, ale coś było nie tak – brakowało jej tej energii, którą odznaczała się na co dzień, tego szalonego entuzjazmu.

– Głupoty opowiadasz – skwitowała, gdy podzieliłam się z nią swoimi odczuciami.
– Może po prostu źle spałam albo wstałam lewą nogą, wielkie mi coś. No, księżniczko, dawaj ten papier i zasuwamy na fontanny.

Złapała ryzę i już była gotowa do wyjścia, gdy zjawiała się Madzia u boku Konrada. Na jego widok Mini bez słowa wręczyła mu papier, szczerząc się od ucha do ucha.

– Mój Boże, Kaja, z dziesięć moich koleżanek wybiera się na fontanny! Jakie to szczęście, że ładna dziś pogoda – oznajmiła Madzia i wrzuciła do torby markery.

Miała rację: było tylko kilka stopni poniżej zera, słońce nieśmiało wychylało się zza chmur, znacząc śnieg łagodną złotą poświatą. Wymarzona pogoda dla fotografa. Modliłam się o nią od czwartku i najwyraźniej Bóg Wszechmogący mnie wysłuchał.

Zapakowaliśmy się do toyoty mojego ojca i pojechaliśmy pod kościół garnizonowy, skąd był rzut beretem na fontanny.

– Twoja mama przyjdzie? – zapytałam Mini po drodze.

Spojrzała na mnie zdębiała.

– Przypomnij sobie, o co mnie właśnie zapytałaś, i zastanów się nad odpowiedzią. Czy tobie się wydaje, że *moja matka* przegapiłaby *takie* wydarzenie?

Siedzący z tyłu Madzia i Konrad zachichotali cicho.

– Powiedz lepiej, czy twoja się wybiera – rzuciła Mini, otworzyła lustro i zaczęła malować usta na czerwono.

– Tak, z koleżankami. Trochę się boję, że będzie mała frekwencja.

To drugie zdanie z biegiem czasu stało się jedną z moich ulubionych anegdot. Czy wspominałam już, że domeną Polek jest brak wiary w siebie? Serio?

Można powiedzieć, że fontanny zawsze były sercem Radomia. W mieście, któremu historia poskapiła zabytków, ze swoją świetną lokalizacją, stały się miejscem spotkań wielu pokoleń, charakterystycznym punktem, gdzie miło było się na chwilę zatrzymać. Potem je przebudowano, a ponieważ postawiono na nowoczesność, w miejscu surowych basenów powstał okazały taras – Madzia pieszczotliwie nazwała go „dzióbką”. To z jego powodu, maszerując od strony kościoła, trudno było stwierdzić, jak wielu radomian zgromadziło się wokół fontann. Mój umysł bawił się więc ze mną w zgaduj-zgadulę – będzie jedna osoba czy sto? Daleko mi było do optymistki. Niepokój, że akcja nie wypali, towarzyszył mi przez całą drogę od samochodu na deptak.

Do chwili, gdy zobaczyłam procesję kilkunastu kobiet prujących na miejsce.

– Rany Julek, Redo, one chyba idą... – przemówiła Madzia.

– Na fontanny, no pewnie, nie rozumiem, dlaczego jesteś zdziwiona – przerwała jej Mini, a Konrad posłał mi zachęcający uśmiech.

– Stresik? – zapytał.

Niemrawo kiwnęłam głową.

– Niepotrzebnie, spróbuj się wyluzować. Zobaczysz, że wszystko będzie okej – powiedział i choć mogłoby się wydawać, że to banalna rada, trafił w dziesiątkę.

Maszerowaliśmy przez śnieg ku dzióbkowi. Cholera jasna, już dawno nie byłam tak zdenerwowana. Choć to do mnie niepodobne, zaczęłam uprawiać czarnowidztwo: że będzie mało kobiet, a te, które przyjdą, wystraszą się, gdy im opowiem o zdjęciach, jakie zamierzałam zrobić, że nie będę dziś miała ręki do fotografowania, że jest zimno i wkrótce tu zamrozimy. Dziwny nastrój Mini, która w momentach mojego zwątpienia zwykle wiedziała, co powiedzieć, też mi nie pomógł. A Madzia... Madzia, chociaż obecna ciałem, duchem i myślami była daleko, przy Konradzie, od którego nie odrywała wzroku.

Byliśmy już bardzo blisko fontann, kiedy ktoś wykrzyknął moje imię. Obróciłam się i zobaczyłam Martę z poczytnego radomskiego dziennika – niską, rudowłosą redaktorkę po czterdziestce, która gardziła lokalną polityką, uwielbiała natomiast tematy ludzkie, bliskie czytelnikom, interwencyjne. Pomachała mi na przywitanie. Ucieszyłam się na jej widok, ale po chwili sparaliżował mnie strach: ale będzie obciach, jeśli moja akcja nie wypali!

– Cześć, Marta, jak miło, że przyszedłaś – powiedziałam, bardzo się starając, żeby zabrzmiało to naturalnie i szczerze.

Zaśmiała się wesoło.

– No pewnie, wszyscy gadają, że w Radomiu nic się nie dzieje, to niech się dowiedzą, że tak nie jest, prawda? Zresztą po części jestem tu prywatnie. Lubię SZCZĘŚLIWE POLKI na Facebooku – oznajmiła i wyprostowała się dumnie.

Ucieszyłam się, słysząc to.

– To może będę mogła pstryknąć ci fotkę? – zapytałam.

– Oj, nie, jestem nefotogeniczna, no i do końca nie wiem, czy jestem szczęśliwa – odparła, nachylając się w moją stronę, jakby zdradzała mi sekret. Choć zabrzmiało to poważnie, puściła mi oko i ruchem głowy wskazała kogoś za moimi plecami. – Ale myślę, że kandydatek do fotografowania ci nie zabraknie.

Obróciłam się i stanęłam jak wryta. W naszą stronę kroczyła grupa kilkunastu młodych kobiet. Podobały mi się ich miny – tata Krzyś nazwałby je buńczucznyimi. Lubiłam takie dziewczyny. Na ich czele maszerowała wysoka blondynka w białej czapce z wielkim pomponem, na oko dwudziestoparoletnia.

– To Baśka Kondratowicz, nie znasz jej? – zapytała Marta. – Nasz nowy nabytek, stażystka.

– Pierwszy raz ją widzę na oczy. O czym pisze?

– A różnie, ale lubi mocne tematy, o ludziach. Może czytałaś jej reportaż o tym, co o Radomiu mówi się w Polsce. Baśka przypadkiem wylansowała nowe słowo potworka. Dziadom.

Aż zakręciło mi się w głowie, gdy to usłyszałam. Więc to ona napisała ten okropny artykuł, który potem odbijał mi się czkawką przez parę dni! Dziadom, słowo potworek...

– Uwielbia twoją akcję – mówiła dalej Marta. – Chyba będzie chciała napisać coś na swojej kartce. Tylko zobacz, ile koleżanek ze sobą zabrała. Przyszła tutaj zupełnie prywatnie, więc napisanie relacji wzięłam na siebie.

I zrobienie zdjęć, pomyślałam, dostrzegając nieduży aparat w ciemnym futerale zwisający z szyi Marty. Przecież mieli na etacie fotoreportera... Przez krótką chwilę

przeszło mi przez myśl, że może warto wybrać się do nich i porozmawiać o pracy. Ale szybko wróciłam na ziemię, gdy Marta klepnęła mnie w ramię.

– Wydrukowała sobie zdjęcie tej kobiety z Wałbrzycha, tej co to od męża tyrana odeszła. Powiesiła je sobie nad biurkiem. Twierdzi, że ją rozwała, tak mówi. Muszę przyznać, że ma zadatki na dobrą dziennikarkę. Chyba ktoś cię woła.

Tak się z Martą zagadałyśmy, że gdy zerknęłam na zegarek, wskazówki pokryły się, tworząc jedną, krótką linię. Kościelne dzwony biły dwunastą. Nieopodal stała Madzia, która energicznie machała do mnie ręką.

– Kaja, ruchy! – zawołała, posłałam więc Marcie uśmiech i popędziłam na fontanny.

Dobra. Już czas. Dasz radę, dziewczyno, zapewniałam się w duchu. Nie stresuj się i pamiętaj o oddychaniu. A najlepiej bądź sobą.

Ominęłam dzióbek fontanny, wzięłam kilka głębszych wdechów i dotarłam na miejsce. A to, co zobaczyłam, słodki Jezu, sprawiło, że nogi prawie się pode mną ugięły. Fontanny były czarne od ludzi. Kobiety stały w mniejszych i większych grupkach, niektóre przyszły same albo z osobą towarzyszącą. W tłumie dostrzegłam mamę Krysię z koleżankami, panią Alinkę, która zabrała ze sobą kilka znajomych, siostrę Madzi, też w sporej grupie, Iwonę Bajecką, Julkę od schroniska, dziewczyny pracujące z Madzią w księgarni, blogerkę Renatę, a nawet Aldonę Ignielewicz, którą spotkałam na basenie.

Nie mogłam uwierzyć, że to dzieje się naprawdę! Przyszły, naprawdę przyszły, odpowiedziały na zaproszenie! Moje Błękitne Dziewczyny...

Madzia podeszła do mnie żwawym krokiem i wskazała jedną z ławek na tarasie, skąd był dobry widok na okolicę. Konrad już otwierał ryżę, a Mini wręczała kobietom mazaki. Czułam, że wypada coś powiedzieć. Nie było na co czekać. Wyjęłam z torby zdjęcia wydrukowane ze strony SZCZĘŚLIWYCH POLEK i poprosiłam Madzię, żeby je rozdała.

– Uf, jest was więcej, niż się spodziewałam – zaczęłam i zdałam sobie sprawę, że obserwuje mnie kilkadziesiąt par oczu. – Ale to fantastycznie, naprawdę super. Dziękuję.

Przełknęłam ślinę i wzięłam się w garść. Mówiłam do kobiet tak różnych – i w większości mi nieznanym – więc nie było co owijać w bawełnę.

– Nazywam się Kaja Redo. To ja zorganizowałam tę akcję, jestem też założycielką strony SZCZĘŚLIWE POLKI na Facebooku. Mam nadzieję, że miałyście okazję ją odwiedzić.

Spora część kobiet pokiwała głowami. Całe szczęście. Mój wzrok napotkał Olgę, która stała w tłumie z Mają i posyłała mi dodające otuchy uśmiechy. Odetchnęłam

głęboko. I popłynęłam. Zamieniałam swoje myśli w słowa, formowałam je jak ciasto, jak plastelinę. To były myśli, które towarzyszyły mi od chwili założenia profilu SZCZĘŚLIWYCH POLEK – dlaczego i po co to wszystko, na czym mi zależy, czemu warto. Że powinniśmy to zrobić, bo nawet jeśli nie staniemy się z dnia na dzień supermenkami, to przynajmniej poczujemy się lepiej. A w końcu o to chodziło. Powiedziałam im, że jeśli same nie pomyślimy o sobie dobrze i nie pochwalimy się tym, jakie jesteśmy i co zdołałyśmy osiągnąć, to nikt nie zrobi tego za nas.

Widziałam, że niektóre kobiety przyglądają mi się zdumione albo wręcz zniesmaczone, jakby się spodziewały, że w ramach akcji będziemy rozdawać przewiązane czerwoną kokardką banknoty dwustuzłotowe. Kilka głośno wyraziło swoją dezaprobatę – nie podejrzewały, że będą fotografowane, więc się „nie przygotowały”. Lecz wtedy Mini wyjęła z kieszeni szminkę oraz tusz do rzęs i zamachała nimi w powietrzu.

– Spokojna głowa, drogie panie, mam tutaj zapas kosmetyków, w razie jakbyście czegoś potrzebowały.

Kochana moja! Spojrzałam na nią z wdzięcznością i wymieniliśmy uśmiechy.

– A pani to nie jest ta królowa second handów? – zapytała jedna z kobiet i Mini wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Tak, pamiętam panią ze zdjęcia! Napisała pani, że potrafi się ubrać za kilka złotych – dorzuciła inna i dostrzegłam, że twarz Mini przybrała odcień jej włosów.

– Zaraz, to pani prowadzi tego bloga! – wyrwało się następnej i kilka kobiet zaczęło szeptać między sobą.

– Winna – przyznała Mini i uśmiechnęła się jakby trochę zawstydzona. Kamień spadł mi z serca, bo wyglądało na to, że się wreszcie rozchmurzyła.

– Uwielbiam panią, teraz też ubieram się tylko na ciuchach! – dodała kobieta, która rozpoznała w Mini blogerkę.

– Widzicie więc, co można wpisać na swoją kartkę. Podajcie, proszę, dalej zdjęcia, które wam rozdałyśmy – powiedziałam i klasnęłam w dłonie. – Nieważne, co napiszecie. Nie martwcie się, jeśli nie dostałyście Nobla, choć oczywiście nie zaszkodzi – zażartowałam, zerkając na panią Alinkę, która mrugnęła do mnie znacząco. – Po prostu napiszcie coś o sobie. Coś, co w was siedzi. Dajcie się poznać innym. Niech słowa z was wypłyną. Będę czekała tutaj z aparatem.

– Te zdjęcia ukażą się potem w gazecie? – zapytała niska kobieta w średnim wieku.

Skrzyżowałyśmy spojrzenia z Olgą, która przygryzła wargi.

– Nie, raczej nie, chociaż jest tutaj paru dziennikarzy, którzy mogą pstryknąć wam fotkę. Ale zdjęcia trafią na profil SZCZĘŚLIWYCH POLEK. Zatem do dzieła.

Fotografowanie trwało bite dwie godziny z hakiem. Kilka kobiet, nie mając pojęcia, co o sobie napisać, zrezygnowało z udziału w akcji. Było mi przykro, ale nie chciałam ich na siłę przekonywać, bo jaki był w tym sens? Niektóre podchodziły do mnie i opowiadały o swoim pomysle na komunikat, zastanawiając się, czy się nie wygłupią. Ale były też takie – między innymi Baśka Kondratowicz od Dziadomia i jej koleżanki – które załatwiły sprawę w parę minut, bez wahania pokrywając papier drukowanymi literami i z wdziękiem ustawiając się przed obiektywem. Widziałam też przechodniów, którzy przyglądali nam się z zaciekawieniem. Raz musiałam nawet tłumaczyć się strażnikom miejskim; jeden z nich postraszył mnie, że na zorganizowanie takiej akcji powinien mieć pozwolenie, ale odpuścił, gdy jego kolega powiedział, by dać mi spokój, bo przecież nie robimy nic złego.

Cieszyło mnie, że na miejscu zjawili się dziennikarze z najbardziej liczących się radomskich redakcji. Rozmawiali z kobietami, robili zdjęcia i upierali się, żebym udzieliła im wywiadu. Odmówiłam – bo nie o mnie chodziło w tej akcji. Owszem, powiedziałam każdemu po kilka zdań na temat swojego pomysłu i SZCZĘŚLIWYCH POLEK, ale nic poza tym.

Ręce mi kostniały podczas robienia zdjęć, a gdyby nie Madzia, która była na tyle przytomna, żeby zabrać termos z gorącą herbatą, chyba zamieniłybyśmy się w jedne wielkie sople lodu. Pogoda, owszem, do robienia zdjęć była wymarzona. Ale musiałam przyznać sama przed sobą, że frekwencja mnie przerosła, więc nie przygotowałam się tak, jak powinnam.

Ostatnie zdjęcie, Aldonie Ignielewicz, zrobiłam o godzinie czternastej dwadzieścia jeden. Wyściskała mnie mocno, mówiąc, że cieszy się z „odświeżenia naszej znajomości”. Wyglądała na bardzo zadowoloną. W końcu wszyscy się rozeszli, więc zaczęłam pakować sprzęt do torby, kiedy podszedł do mnie Wojtek, kolega z lokalnej telewizji. Poprosił, żebym przed kamerą ładnie opowiedziała o swojej akcji, więc po raz kolejny powtórzyłam to, co mówiłam już chyba ze sto razy. Jakie mam intencje, o co w tym wszystkim chodzi i tak dalej. Już myślałam, że to wystarczy, gdy Wojtek zadał pytanie, które zbiło mnie z pantałyku.

– A ty fotografowałaś się już ze swoją kartką?

Hę... Co?! Nie od razu dotarł do mnie sens jego słów. „Fotografowałaś się już ze swoją kartką”? Zabrakło mi języka w gębie. O rany, ale wtopa! Zerknęłam ukradkiem na dziewczyny, ale na mnie nie patrzyły. Wojtek odchrząknął.

– Yy, nie, jeszcze nie – wydukałam.

– A co byś na niej napisała?

Jezu, czy on się na mnie uwziął? Mój Boże, nie wiem, co bym napisała na swojej kartce, nie mam zielonego pojęcia! W zasadzie nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Ani razu. Nawet przez sekundę. Mogłam jedynie wzruszyć ramionami i uśmiechnąć się głupkowato.

– Niech to pozostanie moją tajemnicą – odparłam i Wojtek, widząc moje zakłopotanie, skończył rozmowę. – Jezuniu, ale mnie zaskoczyłeś – jęknęłam, gdy było po wszystkim. Przetarłam czoło wierzchem dłoni. – Musisz to jakoś porządnie zmontować, bo wyjdę na nierozgarniętą...

Zaśmiał się głośno. Operator kamery stwierdził, że będzie z tego świetny materiał i odeszli we dwóch, zostawiając mnie z mętlikiem w głowie.

Ele mele dudki,

gospodarz malutki,

gospodyni jeszcze mniejsza,

ale za to... „A ty fotografowałaś się już ze swoją kartką? A co byś na niej napisała?”... robotniejsza.

Gdy miałam jakieś dziesięć lat, tata Krzyś poradził mi, abym powtarzała sobie ten wierszyk w stresujących momentach, kiedy będę miała trudności z zebraniem myśli. Nie wiem dlaczego przypomniałam sobie o tym właśnie teraz, a nie robiłam tego od lat. Kochany tatusiu, to nie działa!

Ele mele dudki... Co napisałabym na swojej kartce? No właśnie: co?!

Rozdział 31

Wróciłam do domu zmęczona, ale bardzo szczęśliwa. Prawie przez całą drogę myślałam o pytaniu Wojtka. W pewnym momencie straciłam nad sobą kontrolę i powiedziałam na głos „Ele mele dudki”. Madzia i Mini zaśmiały się i zaczęły przerzucać się wyliczankami oraz wierszykami z dzieciństwa. Prawdziwa bomba wybuchła przy „Ene due like fake”, bo Madzia upierała się, że powinno być „rike”, nie „like”. Mini знаła też wersję z: „korba borba esme smate”, na co Konrad wtrącił się ze stwierdzeniem, że prawidłowe słowa to „torbe, borbe i kosmake”. Wszyscy zgodzili się jednak co do zakończenia: i morele baks, a kiedy Madzia i Mini zastanawiały się nad sensem tych słów, zaczęliśmy śmiać się tak głośno, że aż rozbolały nas brzuchy. Dobrze nam to zrobiło. Mini wyraźnie poprawił się humor, a ja, gdy wchodziłam do domu, przestałam w końcu zadreć się pytaniem Wojtka i cieszyłam się swoim małym sukcesem.

Mama Krysia wróciła przede mną. Stwierdziła, że jej koleżankom akcja bardzo się podobała. Wyściskała mnie, poczęstowała obiadem i wyznała, że jest ze mnie dumna.

Zabrałam się do przeglądania zdjęć. W pierwszej kolejności usunęłam te prześwietlone, poruszone i kompletnie nieudane. Potem zaczęłam kasować następne, aby zrobić jakąś selekcję. Gdy wreszcie, po ładnych paru godzinach, wybrałam najlepsze, okazało się, że frekwencja wcale nie była tak duża, jak mi się wydawało: sfotografowałam sześćdziesiąt osiem kobiet, co i tak uznałam za duże osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że akcja była spontaniczna, dość tajemnicza i pierwsza, jaką organizowałam.

Był tylko jeden problem: nie miałam imion. Musiałam więc pogodzić się z faktem, że zdjęcia na profilu SZCZĘŚLIWYCH POLEK będę umieszczała anonimowo, choć gdy się nad tym głębiej zastanowiłam, pomyślałam, że może to i lepiej. W zasadzie napis na kartce i wyraz twarzy jego autorki był najważniejszy, prawda?

Niektóre dziewczyny miały jednak tyle oleju w głowie, że podpisały się pod swoimi komunikatami. A to, co powypisywały na kartkach, było niesamowite, jak odkrywanie nieznanych smaków i zapachów. Kompletna podróż w nieznaną. Czułam się jak Harry Potter po raz pierwszy przestępujący próg Hogwartu. Albo jak Łucja Pevensie przedostająca się przez starą szafę do Narnii.

Aldona Ignielewicz napisała, że po latach nieudanych prób wreszcie nauczyła się gotować.

Baśka Kondratowicz wyznała po prostu, że dostała się na staż do ukochanej gazety, o czym marzyła od dzieciństwa.

Na kartce Anny, jednej z koleżanek mamy Krysi, znalazły się słowa: „Przeszłam przez trudną chorobę, pokonałam ją, dałam radę”.

Koleżanka Madzi z pracy napisała, że od ośmiu lat jest aktywną wolontariuszką.

Było też mnóstwo innych przelanych na papier zwierzeń, takich jak chociażby: „Dostałam dotację unijną na otworzenie własnej firmy”, „Przygarnęłam pięć psów i cztery koty ze schroniska”, „Organizuję darmowe wieczory dla samotnych”, „Nauczyłam się sama grać na gitarze”, „Od sześciu lat nie miałam w ustach alkoholu”, „Nigdy nie narzekam”, „Robię sobie swoje kosmetyki”, „Jako trzydziestodwulatka wreszcie nauczyłam się pływać”, „Czytam jedną książkę tygodniowo”, „Przestałam zamartwiać się o wszystko i zaczęłam myśleć optymistycznie”, „Mam fantastyczną rodzinę i przyjaciół”, „Umiem śmiać się z siebie”, „Dostałam się na wymarzone studia: medycynę”, a nawet „Wiem, co to jest spalony”.

Oglądałam te zdjęcia i byłam szczęśliwa jak diabli. Odkryłam swoje Błękitne Dziewczyny, moje małe perły, sprawiłam, że wyszły z ukrycia. A ich fotografie były tak niezwykle, że roześmiałam się na głos. Usłyszeli to moi rodzice, którzy zaraz przydreptali do mojego pokoju. Tata Krzyś poklepał mnie z aprobatą po ramieniu, a mama Krysia poprosiła, żebym wywołała dla niej zdjęcia koleżanek (druga z nich, Jola, napisała, że za szóstym razem zdała egzamin na prawo jazdy i jest z siebie bardzo dumna).

O dwudziestej z minutami, gdy na profilu SZCZĘŚLIWYCH POLEK opublikowałam podziękowanie kobietom, które wzięły udział w akcji, i umieściłam pierwsze zdjęcie („Objechałam autostopem pół Europy”), odebrałam wiadomość od Olgi. Królowa Zoja kazała nam być jutro w pracy o ósmej trzydzieści.

Dobre sobie! Odpisałam, że zaczynam pracę o dziewiątej i ani mi się śni przychodzić choćby minutę wcześniej. Zoja Adamska była teraz ostatnią osobą na świecie, która mnie interesowała. Miałam w „Głosie” umowę na najbliższych pięć lat (królowa lubiła podpisywać z nami umowy na czas określony, żebyśmy się nie poczuli zbyt pewnie), co oznaczało, że obowiązywał mnie dwutygodniowy okres wypowiedzenia, a to z kolei oznaczało, że od jutra mogłam wykorzystać zaległy urlop i oczywiście zamierzałam to zrobić, choć musiałam pojawić się w redakcji, by wręczyć tej podłej babie wypowiedzenie i zabrać swoje rzeczy. Ze zdumieniem odkryłam, że nie obchodzi mnie nawet to, jak królowa zareaguje na moją decyzję. Zależało mi jedynie na tym, żeby definitywnie zakończyć przygodę z „Głosem” i upewnić się, że Olga i Robert nie zostali wyrzuceni.

To był bardzo pracowity dzień. Pracowity i wspaniały. Już dawno tak się nie

czułam. I choć nie miałam pojęcia, co mogłabym napisać na swojej kartce (?!), pomyślałam, że obecnie najbardziej pasowałoby do mnie wyznanie podkradzione jednej z kobiet: „Mam fantastyczną rodzinę i przyjaciół”.

Chwyciłam komórkę, by raz jeszcze podziękować dziewczynom za pomoc. Madzia odpisała, że to drobiazg i że Konrad jest pod wrażeniem. Za to Mini długo nie odpisywała. A gdy w końcu dostałam od niej wiadomość, zatkało mnie.

„Nie ma za co. Wyrzuciłam Arka z domu”.

Dwadzieścia dwie minuty później byłam u niej. Nie mogłam inaczej, mimo że czułam się piekielnie zmęczona, marzyłam o ciepłej kąpieli i wygodnym łóżku... A jutro czekał mnie ciężki dzień.

Drzwi otworzyła mi pani Alinka; z jej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

– To prawda? – rzuciłam w progu i nie czekając na odpowiedź, wpadłam do pokoju gościnnego. Był pusty.

– Mój Boże, Boże, może najpierw się rozbierz, zdejmij buty, ochłoń trochę, zrobię ci herbaty, księżniczko, chcesz trochę piernika? – wymamrotała pani Alinka, ale zignorowałam jej słowa. Cała rozemocjonowana wkroczyłam do sypialni i zobaczyłam Mini stojącą przed szafą (było w niej kilka pustych wieszaków i znacznie więcej miejsca niż ostatnio).

Spojrzała na mnie zdumiona.

– Kaja? A co ty tu robisz?

Omiotłam wzrokiem pomieszczenie. Z szafki nocnej zniknęły książki Arka – zawsze je gromadził w tym miejscu, choć Mini zrywała się, że tylko zbierają kurz, bo jej małżonek czytał w tempie żółwia. Odwróciłam się i zauważyłam, że w korytarzu nie było ani jednej pary jego butów. Niby nic się nie zmieniło, a mimo to było jakoś pusto i dziwacznie.

– No jak to co tu robię? To prawda? Wyrzuciłaś Arka?!

– Prawda – przytaknęła Mini i zaczęła z uwagą przyglądać się skórzanym spodniom, jakbyśmy rozmawiały o ulubionym serialu. – Jak myślisz, będę w nich chodzić czy nie?

Patrzyłam na nią jak na ufoludka. O czym ona, do cholery, mówi? Co mnie obchodzi jej skórzane portki? Tego było za wiele. Nie po to tutaj przyjechałam, żeby robić z Mini przegląd szafy. Podeszłam do niej, wyrwałam jej z rąk spodnie i zapytałam dobitnie:

– Możesz mi wytłumaczyć, co się dzieje?

– Olaboga. – Przewróciła oczami i zamknęła szafę. – Przecież ci napisałam.

Zachowywała się naprawdę dziwnie. Nie umknęło jednak mojej uwadze, że nie patrzy mi w oczy. Zdjęłam płaszcz i buty, bo zrobiło mi się bardzo gorąco, i razem ze skórzanymi spodniami rzuciłam je na fotel. Podparłam się pod boki, posyłając Mini groźne spojrzenie.

– Wyrzuciłaś Arka z domu? Nie wierzę. Kiedy? Dlaczego? Co się stało?

Nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na coś ponad moim ramieniem. Gdy się obejrzałam, zobaczyłam jej mamę stojącą w progu i przysłuchującą się naszej rozmowie. Pod wpływem spojrzenia córki uniosła ręce i odmaszerowała.

– Dzisiaj rano – wyjaśniła Mini, zamknąwszy drzwi do sypialni. Wreszcie przestała unikać mojego wzroku.

– Jezu, Mini, ale dlaczego? Dopiero teraz mi to mówisz? Madzia wie?

– Zaczekaj – rzuciła w odpowiedzi i na dłuższą chwilę zostawiła mnie samą. Wróciła z dwoma filiżankami herbaty. Usiadła na łóżku, ja obok niej. Poczułam, że muszę po prostu zamienić się w słuch i nie bombardować jej pytaniami. – Miałaś rację, Kaja, powinnam już dawno kopnąć go w cztery litery.

Coś podobnego! Posłałam Mini pytające spojrzenie, ale się nie odezwała.

– I miałaś rację, gdy powiedziałaś, że boję się mu przeciwstawić. Tak, kochana, mój mąż to palant i dobrze wiem, że właśnie tak o nim z Madzią myślicie.

– My? No wiesz...

– Daj spokój, znamy się jak łyse konie. – Westchnęła. – Przecież nawet moja matka go nie trawi, więc co tu dużo gadać, obie wiemy, że to prawda.

Napiła się herbaty, ja zrobiłam to samo.

– Długo przymykałam oko na jego charakter. Oj, za długo! Pamiętasz, jak mnie wtedy wystawił do wiatru na tamym skrzyżowaniu, a my wylądowałyśmy na komisariacie? Albo jak stwierdził, że powinnam iść rozdawać ulotki? Powiedz mi, bo chyba jestem głupia, skoro tego nie ogarniam, jak mąż może tak traktować własną żonę?!

– Ee, wiesz, nigdy nie miałam męża – powiedziałam pierwsze, co mi przyszło do głowy, i najpierw spojrzała na mnie zaskoczona, a potem się roześmiała.

– Fakt, chyba powinnaś w podzięce codziennie odmawiać różaniec, szczęściaro – przyznała z uśmiechem. – Wiesz, on mi, co prawda, nigdy nie zrobił żadnego świństwa, nie zdradził mnie ani nic z tych rzeczy.

– Ale Mini – nie wytrzymałam – przecież nie można oceniać męża własnej żony, jak to ujęłaś, po tym, czy nie zrobił jej żadnego świństwa!

– Wiem, wiem, wiem. Chcę tylko powiedzieć... – Nabrała powietrza i nagle wybuchnęła jak przekłuty balon. – Do cholery z takim mężem, Kaja! Nie jestem przy nim szczęśliwa, nie i koniec, nawet jeśli mówiłam wam, że jest inaczej. A właściwie to co mówiłam? Nie, nie odpowiadaj, wolę żyć w niewiedzy. Zobacz, zawsze stawałam po jego stronie, nawet kosztem naszej przyjaźni... Zawsze go broniłam, tłumaczyłam przed moją matką i przed samą sobą. Ale on się nie zmienił, Kaja, już nawet nie wiem, czy go kocham.

Ostatnie zdanie spadło na mnie jak grom z jasnego nieba; aż trudno uwierzyć, że Mini naprawdę je wypowiedziała. Wypiła herbatę do dna, odstawiła filiżankę i obróciła się w moją stronę.

– Nie mówiłam ci o tym, bo wiedziałam, że to ci się nie spodoba, ale pomyślałam sobie ostatnio, że... No bo zobacz, mam męża, prawie trzydziestkę na karku, mamy z czego żyć, więc w zasadzie... – Znowu nabrała powietrza. Wyglądała na zdenerwowaną. – Jezu no, po prostu stwierdziłam, że mogłabym już mieć dziecko.

Uniosłam brwi.

– Nie patrz tak na mnie, jakbym popełniła jakąś zbrodnię. Ja wiem, o co ci chodzi, myślicie z Madzią, że Arek się nie nadaje na ojca, ale to *ja* chciałam mieć dziecko, rozumiesz?

– Chciałaś? – zapytałam, zwracając uwagę na czas przeszły.

– Chciałam... No bo posłuchaj. Zbierałam się długo, żeby obgadać sprawę z Arkiem. W końcu się zebrałam. Wczoraj. Byliśmy sami, więc uznałam, że to dobry moment...

Na chwilę spauzowała. Dyskretnie otarła łzy z oczu.

– Kaja, co ja ci będę gadać. Zaczęłam rozmowę jak żona z mężem, jak partnerka z partnerem, a dostałam taką burę, tak mnie zjechał, że zapomniałam, jak się nazywam.

– Co?! – krzyknęłam.

– Ano to, dokładnie to, Kaja, już nawet nie chcę do tego wracać. Stwierdził, że mam chyba za dużo wolnego czasu, skoro myślę o takich pierdołach, *pierdołach*, rozumiesz? Ja do niego: ale przecież jesteśmy małżeństwem, a mnie lat nie ubywa, na co on, że jak ja sobie wyobrażam wychować dziecko z jednej pensji, że on ma swoje plany i że zaatakowałam go tym tematem...

– Jakie znowu plany?! – podniosłam głos, czując, jak narasta we mnie niechęć do męża Mini, o ile było to jeszcze możliwe.

– A bo ja wiem? – Wzruszyła ramionami. – Przecież on mi o niczym nie mówi, a jak go o nie zapytałam, to stwierdził, że „baba tego nie zrozumie”. W ogóle zrobił się czerwony jak upiór i myślałam, że mnie rozszarpie, mówię ci, Kaja, aż się go

w pewnym momencie zaczęłam bać. Własnego męża!

– Ale, Mini, ja tu czegoś nie rozumiem... Przecież miałaś rację!

– Oczywiście, że miałam. Na koniec powiedział, żebym sobie wszystko w głowie raz jeszcze poukładała, bo on widzi, że ja do roli matki raczej nie dorosłam. Trzasnął drzwiami i zostawił mnie samą.

Znowu otarła łzy, ale tym razem już nie dyskretnie, bo ciekły jej z oczu jedna za drugą.

– Bardzo to odchorowałam – mówiła dalej. – Wrócił po północy, śmierdział piwskim oczywiście, ale ani be, ani me, nawet nie wiem, gdzie był i z kim. I dzisiaj od rana się do mnie nie odzywał. Opowiedziałam o wszystkim mamie, to mu przy śniadaniu wytknęła, że jakim prawem zniknął wczoraj wieczorem na parę godzin, nie dając znaku życia, i wiesz, co on na to? Żeby się nie wtrącała i nie matkowała mu. Gdybyś ją zobaczyła... Kaja, rany, dosłownie się w niej zagotowało, ale słowem mu nie odpysknęła, chociaż by mogła, a jak.

Odetchnęła głęboko.

– I gdy mama wyszła z kuchni, spojrział na mnie tym swoim lekceważącym wzrokiem i wiesz, co powiedział? Że czeka na moje przeprosiny.

– CO?! – ryknęłam głośno i momentalnie zatkałam sobie usta.

– Tak powiedział. Że się wczoraj trochę rozpedziłam i zachowałam się jak histeryczka, a moja propozycja była tak absurdalna, że to *przeze mnie* musiał wyjść z domu i odreagować, bo niby tak fatalnie się czuł. Czujesz, Kaja? PRZEZE MNIE! Wogle rozumiesz, co on mi powiedział?

O tak, droga Mini, aż za dobrze. Była naprawdę poruszona i znów użyła tego nieszczęsnego „wogle”.

– I ja, jak Boga kocham, nie wytrzymałam – mówiła gorączkowo, kręcąc głową. –

Po prostu czara goryczy się przelała. Nie patyczkowałam się, kazałam mu się spakować i wyjść. Nawet mi powieka nie drgnęła.

– I co, zrobił to?

– Zrobił, zrobił, ale myślisz, że potulnie? A skąd. Roześmiał się i zakończył dyskusję, więc powtórzyłam, że ma się wynieść, bo mam go serdecznie dosyć i powinnam to zrobić dużo wcześniej. Oj, Kaja, było ciężko. Aż moja matka musiała interweniować, bo myślała, że się pozagryzamy. Ale ja byłam jak skała. Nie było mowy, żebym zmieniła zdanie. Ja już nie mogłam więcej na niego patrzeć! Więc spakował się, zabrał większość swoich rzeczy i sobie poszedł. Krzyż na drogę.

– Nie próbował cię przekonać, żebyś zmieniła zdanie? – zapytałam, mając nadzieję, że w Arku było chociażby źdźbło normalnego faceta.

– Żartujesz? – prychnęła Mini i rozsiadła się wygodnie na łóżku. Widziałam, jak z każdym kolejnym słowem schodzi z niej napięcie. Jak dobrze, że do niej przyjechałam. – Nie nazywałby się Arek Filipek, gdyby mnie prosił o wybaczenie. Ręce mu się trzęsły, o tak – potrząsnęła dłońmi – normalnie jak galareta. Ale na odchodne rzucił, że jak przyjdę go przeprosić i błagać, żeby wrócił do domu, to on nie wie, co mi wtedy powie.

– Przeprosić i błagać, żeby wrócił, tak? – jęknęłam, nie wierząc własnym uszom.

– O tak, dokładnie tak powiedział, nieźle, co? Szkoda wogóle gadać.

Patrzyłam na nią i byłam z niej dumna. Ale z drugiej strony... Zbyt dobrze ją znałam, żeby nie wiedzieć, jak musiała się teraz czuć.

– I co, nie dał znaku życia jak dotąd?

– Nie. Wiesz, ja się bardzo cieszę, że tak się zachował na koniec. Tylko utwierdził mnie w przekonaniu, że nie chcę go więcej widzieć.

Położyłam jej rękę na kolanie.

– Mogę powiedzieć, że jestem z ciebie dumna?

– No jasne, wiem, że jesteś – odrzekła i zabrzmiało to całkiem szczerze. – Madzia też pewnie będzie, ale jeszcze jej nie mówiłam, zostawię ją sobie na jutro.

– To dlatego byłaś dzisiaj nie w sosie. Od razu zauważyłam, że jesteś jakaś nieswoja. A jak się teraz czujesz?

Z jakiegoś powodu bałam się zadać to pytanie. Chyba po prostu nie chciałam usłyszeć, że jest załamana, że tęskni. Nie, nie dlatego, że nie lubiłam Arka. Tym razem chodziło wyłącznie o nią – przecież nikt nie chce, by jego bliscy cierpieli. Lecz to, co powiedziała, zabrzmiało bardzo pokrzepiająco.

– Ściemniłabym, mówiąc, że jest zajebiście, bo w końcu wyrzuciłam z domu własnego męża. Nie wiem, na jak długo. Na tydzień, miesiąc, może dłużej? To dziwne uczucie, naprawdę pokręcone, przypomina trochę niestrawność. Ale mimo to mam wrażenie, jakbym zrzuciła z siebie jakiś olbrzymi ciężar. Po prostu czuję przez skórę, że dobrze zrobiłam, że postąpiłam jak należało. Dam sobie radę.

Słowa, które wypowiedziała, zabrzmiały szczerze, sensownie i przekonująco.

Rozdział 32

Tej nocy Mini nie była sama. Gdy miałam się już zbierać, zapytała nieśmiało, bez żadnych nacisków, czy nie chciałabym u niej przenocować, i po chwili krótkiego namysłu zgodziłam się. Nie byłam na to przygotowana, ale w takim momencie zawracanie sobie głowy szczoteczką do zębów czy majtkami na zmianę byłoby nie do przyjęcia. Nie zawsze powinniśmy myśleć wyłącznie o sobie. Towarzystwa oczywiście mogła dotrzymać jej mama, to jednak nie to samo co przyjaciółka, która jest dla ciebie jak siostra.

Dziwnie się czułam, leżąc na miejscu Arka. Nie byłam pewna, czy dla Mini mój widok tuż obok będzie mniej bolesny niż pusta poduszka, ale skoro poprosiła, bym została, najwyraźniej potrzebowała mojej obecności. Cieszyłam się, że mogę pomóc.

– Wiesz, Mini – odezwałam się, zgasiwszy lampkę nocną i nakrywając się kołdrą po szyję – przykro mi, że tak się stało, i mówię to zupełnie szczerze, ale mimo wszystko zaimponowałaś mi. Wydaje mi się, że jeszcze parę miesięcy temu nie zrobiłabyś czegoś takiego.

– Hm, w zasadzie masz rację. Sama wiesz, jak było. *Jaka* byłam – na chwilę przerwała. – Kaja, coś ci powiem, tylko masz mi dać słowo, że się nie będziesz śmiała.

Zerknęłam na nią z ukosa: tak jak ja leżała na plecach otulona kołdrą, z otwartymi oczami wbitymi w sufit. Przez chwilę poczułam się, jakbyśmy odmłodziły o jakieś dwadzieścia lat i znalazły się na kolonii. Jeden pokój, pogaduszki późną nocą... Tylko okoliczności znacznie mniej bez troskie.

– Daję słowo – obiecałam.

– No dobra... Bo to trochę przez ciebie. Albo raczej dzięki tobie. Dzięki tym SZCZĘŚLIWYM POLKOM czy Błękitnym Dziewczynom, jak je nazywasz. Wiem, że wcześniej torpedowałam twój pomysł, ale w głębi ducha musiałam przyznać ci rację. A gdy zobaczyłam zdjęcie tej babki, która zostawiła męża tyrana, to normalnie wymiękłam. Pomyślałam sobie: rany, to ona potrafiła się przeciwstawić mężowi, który ją pewnie bardzo źle traktował, a ja nie umiem przywołać do porządku swojego Arka? To mi, Kaja, cholernie pomogło.

Spojrzałam na nią i ona też obróciła głowę w moją stronę. W lekkiej poświacie ulicznego światła, które wdzierało się do pokoju, dostrzegłam, że zadrżał jej policzek.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Ja po prostu uważam, że żadna kobieta nie powinna pozwalać na to, aby ktokolwiek ją źle traktował. Sama przyznaj, że facet na coś takiego nigdy by nie pozwolił – stwierdziłam.

– Przyznaję – odrzekła Mini. – Czyli tegoroczne walentynki spędzimy samotnie. Słuchaj! – W jej głosie rozbrzmiała ekscytacja. – To może wybierzemy się gdzieś we dwie? No wiesz, żeby nie siedzieć w domu jak te kołki...

Walentynki, najbardziej znieawidzone święto, gdy jesteś sama, i najcudowniejsze, gdy jesteś szczęśliwie zakochana.

– Ale Mini, do walentynek jeszcze dwa tygodnie – zauważyłam przytomnie. – Na razie nie zawracam sobie nimi głowy. A poza tym zakładasz, że do tego czasu nie pogodzisz się z Arkiem?

Nie odpowiedziała od razu.

– No nie wiem, ale Kajka, ja go nie po to wyrzuciłam z domu, żeby go na drugi dzień przyjąć z powrotem. To poważna sprawa!

Już nie wiedziałam, czy z tej ich separacji się cieszyć, czy ją opłakiwać.

– Za to Madzia będzie miała w tym roku udane walentynki – przyznałam.

– No... Myślisz, że wyjdzie za tego całego Konrada?

Zmarszczyłam czoło.

– Chyba jeszcze za wcześnie na takie rozważania, nie uważasz?

– Czy ja wiem? Mam jakieś takie przeczucie, że im się ułoży. Kaja, a co z Michałem?

Co z Michałem? Ele mele dudki...

– Przecież wiesz, że nic – odpowiedziałam, czując, jak żołądek, wbrew mojej woli, skręca mi się w supełek.

Mini odetchnęła ciężko.

– Nie rozmawialiście od tamtej akcji w nowy rok?

– Nie, nie mamy żadnego kontaktu – odparłam krótko. Omawianie cudzych problemów było dla mnie łatwiejsze niż własnych.

– Kurczę, Kaja – stęknęła Mini. – Głupio wtedy wyszło między wami, ale chyba nie miałam racji, mówiąc, że powinien dostać nauczkę. Trochę potem o tym myślałam i wiesz, Madzia chyba miała rację, on się w gruncie rzeczy zachował całkiem przyzwoicie.

Zacisnęłam powieki. Po co to powiedziała? W jednej chwili poczułam się bardzo,

bardzo źle. A to dlatego, że choć odrzucałam od siebie tę myśl, gdzieś w środku tkwiła we mnie nikła świadomość, że niewłaściwie odczytałam intencje Michała. Teraz wszystkie wątpliwości wróciły i oblał mnie wstyd.

– ...tkać...

– Słucham? – zwróciłam się do Mini zupełnie skołowana. Chyba mówiła coś przed chwilą, ale jej słowa się ode mnie odbiły.

– Mówię, że moim zdaniem powinniście się koniecznie spotkać – powtórzyła powoli i wyraźnie. – To fajny facet, pasujecie do siebie. A po tym, co zrobiłaś, raczej bym nie liczyła, że on odezwie się pierwszy. Męskie ego, te sprawy.

Coś ścisnęło mnie za gardło. Poczułam się jak w początkach przeziębienia, gdy ciało odmawia ci posłuszeństwa, choć umysł masz przytomny. Bardzo nie chciałam rozmawiać teraz o Michale. Nie umiałam.

– Dżizas, jak późno! – wykrzyknęła nagle Mini; ścienny zegar z neonową tarczą wskazywał parę minut po pierwszej. – Dobra, już cię nie zagaduję, kochana, wiem, że jutro masz ciężki dzień, więc lepiej się wyśpij. Wygodnie ci?

– Tak, bardzo.

– To super. Dobranoc. I jeszcze raz wielkie dzięki, że zostałam.

– Drobiazg. Dobranoc.

Zerknęłyśmy na siebie ostatni raz; jasna smuga wpadająca przez okno oświetliła jej twarz i zauważyłam, że Mini się uśmiecha. Zrobiłam to samo, choć z trudem. Mini odwróciła się do mnie plecami i zasnęła dosłownie w kilka sekund – już po chwili pokój wypełniło jej ciche pochrapywanie.

„Samotność nie ma nic wspólnego z brakiem towarzystwa”. Panie Remarque, miał pan, niestety, rację!

Zerwałyśmy się wcześniej – pani Alinka przygotowała nam wspaniałe śniadanie, złożone z lekkiej jajecznicy i aromatycznych grzanek. W całym mieszkaniu pachniało obłędnie. Gdy jadłyśmy, zerkałam to na jedną, to na drugą.

Pani Alinka słowem nie wspomniała o Arku, ale nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jest zadowolona z jego nieobecności. Ona najlepiej wiedziała, jak traktował jej córkę, i gdyby teraz udawała, że rozpacza z powodu ich rozłąki, byłaby nieszczerą. Uwijała się wokół nas jak fryga, podsuwała smakołyki, pytała o samopoczucie, chciała mi nawet pożyczyć kosmetyki, ale stwierdziłam, że umaluję się w domu. Za to z twarzy Mini niewiele dało się odczytać, ale na pewno wyglądała na bardziej zadowoloną

z życia niż wczoraj.

Dochodziła ósma, kiedy uznałam, że na mnie już czas. Założyłam buty i płaszcz, a gdy obwiązywałam szyję szalikiem, Mini obserwowała mnie z uwagą.

– Strasznie ci dziękuję, że zostałam. – Zbliżyła się z wyciągniętymi rękami, by objąć mnie mocno. – Dzisiaj będzie już lepiej. Jesteś wielka.

Machnęłam dłonią.

– Nie przesadzaj, ty zrobiłabyś to samo. Spotkamy się wieczorem w Słodkiej Babce? Opowiem wam, jak Zoja zareagowała na moje odejście.

– Pewnie, bardzo chętnie. O szóstej?

– O szóstej. Dam znać Madzi.

Jeszcze raz się uścisnęłyśmy, podziękowałam pani Alince za gościnę („Oj, dajże spokój, księżniczko, przecież zwolniła mi się jedna buzia do wykarmienia, więc... No co, Malwinko, a nie jest tak? Dobrze, dobrze, już nic nie mówię, powodzenia w pracy, Kajeńko”) i byłam gotowa do drogi.

Poranek minął błyskawicznie. Wpadłam do domu, żeby się odświeżyć, przebrać, uczesać i umalować, zabrać wypowiedzenie, które przygotowałam sobie poprzedniego dnia, i już miałam wychodzić, kiedy zatrzymała mnie mama. Przydreptała do mnie w cienkim szlafrocisku, na widok którego trochę się zawstydziałam, złapała za ramiona i przemówiła moralizatorskim tonem:

– Na pewno jesteś pewna tego, co zamierzasz zrobić?

– Na pewno jestem pewna.

– Och, nie łap mnie za słowa. – Spojrzała mi w oczy. – Idziesz się zwolnić?

Kiwnęłam głową, a mama Krysia nieoczekiwanie uśmiechnęła się szelmowsko.

– W takim razie idź i skop tej babie tyłek.

W drodze do redakcji jednego byłam pewna: nie bałam się niczego. Ani tego, że zostanę bez pracy (choć z racji, że sama zamierzałam się zwolnić, nie przysługiwał mi zasiłek), ani tego, że spalę za sobą most, a moja szefowa, jeśli okaże się zła do szpiku kości, co było bardzo prawdopodobne, zepsuje mi opinię. W zasadzie byłam emocjonalną skałą, chciałam doprowadzić tę sprawę do końca. Oby tylko Olga i Robert nie wylądowali na bruku. Oboje w piątek byli poza redakcją, więc było oczywiste, że burę za to, co ukazało się na pierwszej stronie, zbiorą dzisiaj.

Najpierw natknęłam się na Patrycję od reklamy, która powiedziała mi „cześć” i pobiegła do siebie, wisząc na telefonie. Potem wpadłam na Piotrka, który na mój widok zrobił wielkie oczy, więc już wiedziałam, że coś się święci.

– Zaszaleliście – oznajmił na dzień dobry i pokręcił głową. – Królowa jest

wściekła.

– Była tu w piątek? – zapytałam.

– Była, była. W życiu nie słyszałem z jej ust tylu przekleństw. Aż się baliśmy głośno oddychać. To twój pomysł?

Kiwnęłam głową. Piotrek położył mi dłoń na plecach.

– Olga i Robert już są u niej, więc lepiej tam idź.

W redakcji było jakoś pusto; tylko Martyna siedziała przed komputerem, a na mój widok wyskoczyła zza biurka, by rzucić się w moją stronę.

– Chyba wszyscy o was piszą, którąkolwiek radomską stronę otworzę, tam ta wasza akcja! To znaczy twoja, Kaja, wielkie gratki, ale Zoja jest taka wkurzona, gdybyś ją widziała w piątek... – wyrecytowała na jednym wydechu. Wyglądała, jakby się tym wszystkim przejmowała bardziej ode mnie.

– Spokojnie, dam sobie radę. A do was mam prośbę – zerknęłam na Martynę i Piotrkę – gdyby rzuciło wam się w oczy jakieś pudełko, to mi je odłóżcie.

Spojrzeni najpierw na siebie, a potem na mnie, ale nie odezwali się słowem. A ja, im bliżej byłam gabinetu królowej, tym bardziej czułam się rozluźniona. Zdjęłam płaszcz, wyjęłam z torebki teczkę z wypowiedzeniem i ruszyłam do jaskini lwicy.

Olga i Robert siedzieli sztywno naprzeciwko Zoi i byli jacyś dziwnie skuleni, jak gdyby nagle schudli po parę kilogramów. Weszłam do środka i twarz naczelnej natychmiast się wydłużyła, oczy jej zalśniły. Zacisnęła zęby i zaczęła dyszeć.

– Siadaj – rzuciła oschle; opadłam na krzesło obok Olgi.

Wymieniłyśmy spojrzenia – Olga nie kipiała energią i radością, ale miała w oczach coś takiego, co pozwoliło mi wierzyć, że nie będzie tak źle.

– Właśnie mówiłam Oldze i Robertowi – przemówiła Zoja, rozsiadając się wygodnie w fotelu i splatając swoje pulchne palce pełne pierścionków – że to, co zrobiliście, wykracza poza wszelkie normy rzetelności i etyki dziennikarskiej.

Taak, bo regularne pognębienie Radomia we własnej gazecie było bardzo rzetelne i etyczne.

– Oczywiście rozumiem, że to twoja robota – zwróciła się do mnie. Widziałam w jej oczach, że mnie nienawidzi, zresztą z wzajemnością. Kiwnęłam głową. – Przynajmniej masz tyle odwagi, żeby się do tego przyznać. Brawo.

– Nie widzę powodu, żebym miała to ukrywać – powiedziałam, czym ściągnęłam na siebie spojrzenia całej trójki.

– Ach, naturalnie – wycedziła Zoja przez zęby. – To taka forma zemsty po tym, co ci powiedziałam w czwartek, tak? Że masz mnie informować o swojej aktywności poza

redakcją? Wiesz, wiele mogłam się po tobie spodziewać, ale nie takiej bezczelności.

Patrzyłam na nią, nie zdradzając żadnych emocji.

– W głowach wam się przewracało od tego dobrobytu – stęknęła i zaczęła prychać jak byk na corridzie. – Etaty, dobre pensje, praca za biurkiem. A wy mi się...

– Dobre pensje? – warknęłam, bo ta jej gadanina zaczynała doprowadzać mnie do szału.

– Słucham? – Królowa Zoja spojrzała na mnie rozwścieczona.

– Tak, to była moja inicjatywa i wcale tego nie żałuję. Gdybym miała okazję, zrobiłabym to drugi raz. Ale nie mów, że mamy tutaj dobre pensje, bo to śmiech na sali.

– Śmiech na... Czy ty się słyszysz? – fuknęła królowa i nachyliła się w moją stronę. Gdyby mogła zabijać wzrokiem, pewnie byłabym już na tamtym świecie. – Jak w ogóle śmiesz ze mną dyskutować?

Wzruszyłam ramionami i wyjęłam z teczki wypowiedzenie. Musiałam się spieszyć – jeszcze jedno moje słowo, a cała nasza trójka może stracić pracę.

– Chyba rzeczywiście nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy. Odchodzę.

Położyłam na biurku dokument, na który królowa nawet nie spojrzała. Wciąż świdrując mnie wzrokiem i nie przestając mi się przyglądać, zaskrzeczała:

– Co to jest?

Posłałam jej najszerszy uśmiech, na jaki byłam w stanie się zdobyć; mogłabym nim reklamować pastę Colgate. Ponieważ milczałam jak zaklęta, Zoja złapała w końcu moje wypowiedzenie i z satysfakcją obserwowałam, jak jej małe, wymalowane, głęboko osadzone oczka prześlizgują się po papierze. Z każdą sekundą na czole królowej pojawiały się kolejne zmarszczki.

– To żart?! – ryknęła. – W dalszym ciągu kpisz sobie ze mnie?!

– Ależ skąd, to nie żart – zaprzeczyłam stanowczo i wyjęłam z teczki jeszcze jeden dokument. – A to podanie o urlop. Mam dwa tygodnie wypowiedzenia, które prawdę mówiąc, wolałabym spędzić z dala od redakcji.

Jeśli liczyłam, że Adamska przyjmie to spokojnie, grubo się myliłam. Przez kilka kolejnych minut wygłaszała kazanie – że jestem nieodpowiedzialna i samolubna, że szczytem chamstwa było zablokowanie jej numeru, gdy do mnie dzwoniła, że zostawiam ją bez fotoreportera i to bez uprzedzenia, stawiając ją przed faktem dokonanym, że oddała mi serce na dłoni, a ja się tak odwdzięczam (Boże Jezu) i że nikt po mnie nie będzie płakał, bo moje zdjęcia wcale nie były takie dobre (akurat to mnie zabolalo – przeklęta baba, doskonale wiedziała, co powiedzieć, żeby poszło w pięty).

Była tak wstrząśnięta moim zachowaniem, że z tego wszystkiego odpuściła

Robertowi i Oldze – przynajmniej na jakiś czas.

Spędziłam w redakcji „Głosu” jeszcze godzinę z minutami. Piotrek znalazł spore pudełko, do którego zapakowałam swoje rzeczy, zrobiłam porządek w komputerze i odpowiedziałam na dziesiątki pytań, gdzie teraz będę pracować (Piotrek nie mógł uwierzyć, że odchodzę, nie mając koła ratunkowego; był przekonany, że muszę mieć na oku inną robotę, bo inaczej w życiu bym się nie zwolniła), czy zostanę w Radomiu i tak dalej.

– To kto teraz będzie robił nam foty? – spytała Martyna z rezygnacją w głosie.

– Chyba wy sami – przyznałam. – Ale nie martwcie się, mają być szare i depresyjne. W zasadzie im gorzej, tym lepiej.

Wyściskałam się ze wszystkimi, życzyłam im powodzenia i z poczuciem ogromnej ulgi opuściłam redakcję „Głosu Radomia” w piękne zimowe przedpołudnie.

Tak, ulgi, naprawdę! Byłam szczęśliwa. Królowa Zoja Adamska już mi więcej nie powie, że widzę w Radomiu Nowy Jork.

Tyle lat pracowałyśmy razem, a ona nigdy mnie nie poznała, nie odkryła nawet kawałka mojej duszy. Bo Radom nie był dla mnie Nowym Jorkiem. Ale skoro tu żyłam, starałam się traktować to miasto jak należy.

Znowu spłynęło na mnie to cudowne uczucie wolności. Było obezwładniające i gdy szłam ulicami Radomia z kartonowym pudełkiem pod pachą, nie przestawałam się uśmiechać.

Wariatka – pomyślicie. Straciła pracę i jeszcze się cieszy. Dokładnie tak! Bo raz na zawsze ukręciłam łeb hydrze. A poza tym było jeszcze coś, co wywoływało szeroki uśmiech na mojej twarzy: świadomość, że Zoja Adamska – *arrivederci!* – nigdy nie trafi do grona SZCZĘŚLIWYCH POLEK. I choćby zaprzedała duszę diabłu, nigdy, przenigdy nie stanie się Błękitną Dziewczyną.

Rozdział 33

Podobno na bezrobociu niektórzy mają problem z nadmiarem wolnego czasu. Nagle odkrywają, że nie wiedzą, co z nim zrobić, i dni zaczynają przeciekać im przez palce – nawet jeśli wcześniej byli zapracowani i marzyli o zwolnieniu tempa. Mnie to jednak nie dotyczyło. Całą swoją energię skoncentrowałam na prowadzeniu SZCZĘŚLIWYCH POLEK – miałam do opublikowania ponad sześćdziesiąt zdjęć z naszej akcji, a codziennie przychodziły kolejne. Zdarzały się dni, kiedy siadałam przed komputerem po ósmej (no dobra, nie było ich zbyt dużo – odkąd zwolniłam się z „Głosu”, zazwyczaj nie wstawałam wcześniej niż o dziewiątej), a odchodziłam od biurka późnym wieczorem. Owszem, byłam zmęczona, ale przede wszystkim niesamowicie szczęśliwa. Mój profil miał już – uwaga – prawie trzysta tysięcy fanów. Przybywało ich lawinowo.

Gdy nie siedziałam na Facebooku, spotykałam się z dziewczynami – w Słodkiej Babce albo u Mini, która jak dotąd nie pogodziła się z Arkiem. Zadzwoił do niej trzeciego dnia po wyprowadzce, ale nie po to, żeby ją przeprosić. O nie. Może i miał takie intencje, ale gdy powiedział: „Przestań się wygłupiać, przyznaj się do chwilowej paranoi, a wrócę i wszystko będzie jak dawniej”, Mini rzuciła słuchawką, tylko utwierdzając się w przekonaniu, że pozbycie się Arka było słuszną decyzją. Poza tym była twarda i bez małżonka u boku świetnie dawała sobie radę.

W tym czasie bardzo się zbliżyłam z Mini – obie byłyśmy w końcu w pokręconej sytuacji uczuciowej, w przeciwieństwie do Madzi, która popełniła wykroczenie przeciw przyjaźni numer jeden, poświęcając cały swój wolny czas ukochanemu kosztem najlepszych przyjaciółek. Ale która kobieta nie miała tego na sumieniu? Mogłam się tylko cieszyć, że wreszcie spotkała faceta, na którego zasługiwała.

Jacek śnił mi się od czasu do czasu. Znosiłam to dzielnie. A Michał? Michała nie było. Ja nie pisałam, on nie dzwonił. Zero kontaktu. W zasadzie myślałam o nim coraz mniej. Ku swojemu zaskoczeniu doszłam nawet do wniosku, że miło byłoby poznać jakiegoś przyzwoitego chłopaka. Miałam więc oczy szeroko otwarte.

Z pieniędzmi nie było najgorzej. Mieszkałam z rodzicami, którzy nie dawali mi odczuć, że jestem finansową katastrofą. Dorabiałam sobie pstrykaniem zdjęć przy różnych okazjach – to ktoś w zimowej scenerii brał ślub, to śniąca o karierze modelki koleżanka postanowiła skompletować portfolio, to dostałam zlecenie na udokumentowanie jakiejś imprezy. Nie było z tego kokosów, ale na waciki starczało.

Pierwszy tydzień lutego minął mi jak na tę porę roku przystało – spokojnie, trochę ospale i na swój sposób uroczu. Jednak parę dni przed walentynkami dostałam telefon, który dosłownie ściął mnie z nóg.

– Cześć, Kaja, słyszałem, że nie pracujesz już w „Głosie” – w słuchawce rozległ się głos Wojtka z lokalnej telewizji; tego, który zapytał wtedy, co napisałabym na swojej kartce.

– Cześć, tak, to prawda, *zwolniłam się* – wyraźnie zaakcentowałam dwa ostatnie słowa.

– Wiem, wiem, cały Radom o tym huczy.

– Masz na myśli nasze ciaśniutkie redakcje – poprawiłam go, a on się roześmiał.

– Wiesz, jeszcze nikt nie wyciął takiego numeru Zoi Adamskiej. Co ona ci zrobiła?

– Długo by opowiadać, więc gdybyś kiedyś miał czas... – Nagle dotarło do mnie, choć trudno było w to uwierzyć, że – o Jezu, o Boże – próbuję z nim flirtować. (Matko przenajświętsza: gruchałam przez telefon do kolegi po fachu ledwie po paru sekundach rozmowy!)

– Hm, obawiam się, że to będzie musiało poczekać...

No tak, oczywiście, mogłam się spodziewać, że się wygłupię. Ratunku!

– ...bo niedługo będziesz trochę zajęta.

Zaraz, co on powiedział?

– Nasz materiał o twojej akcji widział mój kolega, który pracuje w ogólnopolskiej telewizji informacyjnej – Wojtek mówił dalej, a ja wyteżałam słuch. – Chce nakręcić reportaż o tobie i o tym, co robisz. Powiedział, że żałuje, że wcześniej nie wiedział o twojej akcji, bo miałby genialny temat do wieczornych wiadomości.

Mój mózg zaczął pracować na najwyższych obrotach. Kolega z ogólnopolskiej telewizji... Reportaż o mnie i o tym, co robię... Genialny temat do wieczornych wiadomości... Jezusie kochany, czy on to wszystko naprawdę powiedział?!

– Jesteś tam? – Usłyszałam jego głos w słuchawce.

– Ee... Tak, jestem, jestem, po prostu trochę mnie zaskoczyłeś. Kurczę, Wojtek, to fantastyczna wiadomość! – wykrzyknęłam i rzuciłam się na łóżko ze słuchawką przy uchu. Cała drżałam. – To co mam teraz zrobić? Kiedy przyjedzie?

– No właśnie po to do ciebie dzwonię. Chciałem się dowiedzieć, czy mogę mu przekazać twój numer telefonu.

– Jeszcze się pytasz? Ależ oczywiście! Zrób to najlepiej jeszcze dzisiaj.

Wojtek znowu zachichotał.

– Spokojnie, Kaja, Łukasz na pewno się nie wycofa. Poza tym jego narzeczona jest wielką fanką twojej strony, podobno nawet opublikowałaś jej zdjęcie.

– Poważnie? Które?

– Wiem tylko tyle, że ma na imię Marzena i napisała na swojej kartce, że nauczyła się chińskiego.

– Pamiętam! – krzyknęłam i zakryłam sobie dłonią usta. – Rany, naprawdę pamiętam.

– To świetnie. W takim razie Łukasz do ciebie zadzwoni i umówicie się na spotkanie.

– Wojtek? – zagadnęłam go, gdy kończyliśmy rozmowę. – A zdradzisz mi, która to stacja?

I wtedy on podał nazwę największej w Polsce telewizji informacyjnej, którą oglądały miliony.

Nie znam słów, by wyrazić, jak się czułam po tym telefonie. Zupełnie jakby w moim brzuchu napęczniał balon, który unosił mnie w powietrze. Byłam w błogostanie, cudownej euforii. Ale szybko przyszło otrzeźwienie – a co, jeśli on nie zadzwoni? Wiedziałam, że będzie mi wtedy bardzo, bardzo, bardzo przykro.

Na szczęście zadzwonił – następnego dnia. Przedstawił się, a ja poczułam, jak zasycha mi w ustach. Podczas rozmowy starałam się brzmieć naturalnie, mimo to z trudem panowałam nad głosem. Łukasz wydawał się sympatycznym, inteligentnym facetem i nie w głowie mi było flirtowanie. O nie, to sprawa zbyt poważna, żeby wystawiać się na pośmiewisko. Poza tym nie mogłabym tego zrobić jego narzeczonej, która należała do grona SZCZĘŚLIWYCH POLEK.

Zaproponował spotkanie w przeddzień walentynek, w południe. Zapytał też, czy dałabym radę namówić ze dwie znajome, które fotografowały się z kartkami, by powiedziały parę zdań do kamery. Mini zgodziła się od razu i obiecała zabrać ze sobą swoją mamę, której zgodnie z przewidywaniami długo nie trzeba było namawiać.

Na kilka dni przed spotkaniem chodziłam spięta. Choć może to nie do końca tak – byłam zdenerwowana. Chociaż... Oj dobra, szalałam! Ten reportaż był dla mnie niezwykle ważny. O SZCZĘŚLIWYCH POLKACH miała dowiedzieć się cała Polska, a to naprawdę oznaczało sukces. Już nawet nie myślałam o tym, ilu kobietom mogłabym w ten sposób pomóc. Ile z nich zatrzymałoby się na chwilę, by przyjrzeć się swojemu życiu i zacząć się nim cieszyć, choćby powodów do uśmiechu nie było zbyt wiele...

Trzynasty lutego nadszedł błyskawicznie. Obudziłam się z lekkim bólem brzucha.

Oho, ho, nerwy. W czasie śniadania wiele nie przełknęłam. Mama Krysia patrzyła na mnie skrzywiona, nie rozumiejąc mojego zdenerwowania.

– Powinnaś tryskać entuzjazmem, córko, a ty jesteś spięta jak...

– Jak plandeka na żuku – wtrącił tata Krzyś, ściągając na siebie nasze zaskoczone spojrzenia. – Nie znacie tego powiedzenia? – zdziwił się, strzelając oczami to na mnie, to na mamę. – Żuk, taki samochód. Chyba kojarzycie?

Pokiwałyśmy głowami.

– A słowo „plandeka” chyba też wam coś mówi...

– Oj, dajże spokój – skarciła go mama i zabrała się do smarowania bułki masłem. – Dałaś sobie radę z Zoją Adamską – zwróciła się do mnie – to tym bardziej dasz sobie radę z tym.

Może i mama Krysia miała rację, co nie zmieniało faktu, że tuż przed wyjściem do Słodkiej Babki, gdzie umówiłam się z reporterem, musiałam łyknąć proszek na uspokojenie i policzyć do dwudziestu, by opanować kołatanie serca.

Ele mele dudki,
gospodarz malutki,
gospodyni jeszcze mniejsza,
ale za to robotniejsza.

– Myślisz, że on tu trafi?

– Myślę, że na pewno. Przecież to ściśle centrum Radomia, obok fontann, więc chyba trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce. A poza tym ma nawigację.

– Skąd wiesz, że ma?

– Bo mi powiedział. A jak nie będzie mógł trafić, to kogoś zapyta albo do mnie zadzwoni. Błagam, porozmawiajmy o czymś innym – poprosiłam z naciskiem i Mini popatrzyła na mnie, krzywiąc się ostentacyjnie.

Łukasz Rozwadowski z telewizji miał zjawić się w Słodkiej Babce za dwadzieścia minut, co oznaczało dla mnie dwadzieścia minut nerwowego oczekiwania i podrygiwania nogą. Bardzo chciałam mieć to już za sobą z poczuciem, że dałam z siebie wszystko, zrobiłam to jak należy, że mogę głęboko odetchnąć i spokojnie czekać na emisję reportażu.

– To może, mamó, opowiesz Kai o swoim nowym hobby – powiedziała Mini do swojej matki z lekką drwiną w głosie.

Ale pani Alinka nie zareagowała. Zerknęła niespokojnie w stronę baru, by nagle podnieść się raptownie z krzesła.

– Przyniosę menu – rzuciła i już jej nie było.

– Dziwnie się dziś zachowuje ta moja matka – skomentowała Mini i wyjęła lusterko, aby upewnić się, czy dobrze wygląda. (Kiedyś powiedziała, że gdyby miała zabrać na bezludną wyspę trzy rzeczy, to byłyby to szczyrek, zapalniczka i właśnie lusterko). – Zapisała się na jogę. Wieczorem wygina się na dywanie, a wczesnym rankiem medytuje.

– Medytuje?! – prawie krzyknęłam.

– Mhm – potwierdziła Mini i wyjęła z torebki niewielki flakonik perfum, którymi spryskała się za uszami. – Tak, czasem zastanawiam się, co by powiedział Arek, gdyby ją wtedy zobaczył. To chyba nawet dobrze, że go nie ma.

Powiedziała to całkiem zwyczajnie. Próbowałam doszukać się w jej spojrzeniu czegoś, co świadczyłoby o tym, że tak naprawdę bardzo żałuje, że wyrzuciła Arka z domu, że za nim tęskni i pragnie jego powrotu – na próżno. Mówiąc o swoim mężu, Mini była niewzruszona i wyzuta z emocji, a ja wprost nie mogłam w to uwierzyć.

Podeszła do nas kelnerka i zamówiliśmy po latte. Na razie dwie, bo pani Alinka nie wróciła do stolika. Rozejrzałam się po kawiarni i odnalazłam ją stojącą przy barze. Nie była sama. Dyskutowała z jakimś sympatycznym starszym panem, dość wysokim jak na swój wiek, co prawda siwiuteńkim jak gołąbek, ale mimo wszystko wciąż całkiem przystojnym. Zerknął na panią Alinkę znad okularów i nie przestawał się śmiać. Musiałam przyglądać się im dłużej, niż powinnam, bo Mini podążyła za moim spojrzeniem i na widok własnej matki wyjąkała:

– O. Mój. Boże.

– Co?

– Moja. Matka. Flirtuje.

– Flirtuje? No coś ty, przecież tylko rozmawiają. Znasz go?

Mini pobladła w ułamku sekundy. Pokręciła energicznie głową i zmrużyła oczy, jakby chciała przeświecić rozmówcę swojej matki wzrokiem.

– Nie, nie znam i wiem, co mówię, a mówię ci, że flirtuje. No przecież znam własną matkę, wystarczy, że na nią spojrzę i już wiem, czy wstała lewą, czy prawą nogą. I jak mówię, że flirtuje, to się nie mylę. Tylko popatrz, jak odchyła głowę, słyszysz, jak głośno się śmieje? O Chryste, słyhać ją w całym lokalu, co za obciach. Czy kobiecie w jej wieku wypada publicznie kokietować mężczyznę?

– Wypada – odpowiedziałam krótko, by przerwać ten słowotok. Nie chciałam, by Mini nakręciła się jeszcze bardziej; zależało mi, by w czasie nagrywania reportażu

była sobą i mówiła do rzeczy, a nie myślała o własnej flirtującej matce.

Zadzwoniła jej komórka. Prychnęła ze złością, że ktoś śmie zakłócić to, co właśnie przeżywa, a gdy zerknęła na wyświetlacz, oczy jej się rozszerzyły.

– No proszę, to mój małżonek. Słucham? – powiedziała suchym i rzeczowym tonem.

Kelnerka przyniosła latte i szybko przytknęłam szklankę do ust, by zająć się czymkolwiek. Dziwnie się czułam, słuchając tego, co Mini mówiła do Arka. A mówiła rzeczy, których nigdy bym się po niej nie spodziewała.

– Spotkać? A przepraszam cię, po co? – Pauza. – Mhm, tak, doskonale wiem, że jutro są walentynki, no i co z tego? O ile mnie pamięć nie myli, w ubiegłym roku kompletnie o nich zapomniałeś, dwa lata temu zresztą było podobnie. Ale nie mam czasu teraz o tym gadać, jestem trochę zajęta, więc jeśli to nic pilnego... – Znowu pauza. – Przemyśl sobie wszystko, Arek, nasze małżeństwo i wogle, a jak dojdiesz do jakichś ciekawych wniosków, ale naprawdę *ciekawych*, to możesz się odezwać. A teraz wybaczyć, muszę kończyć. Na razie.

Rozłączyła się, wrzuciła komórkę do torebki i napiła się kawy. Wyglądała na lekko poruszoną, ale tylko trochę, jedynie ociupinę.

– Chce spędzić z tobą walentynki? – zapytałam.

– A bo ja wiem? Znasz mojego męża, gada tak, żeby za wiele nie powiedzieć. – Machnęła ręką. – Coś przebąkiwał o jutrze, ale słyszałaś, co mu mówiłam. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby spędzać z nim święto zakochanych i udawać, że wszystko gra. Nie, Kaja, to zbyt poważna sprawa. Ileż można szczebiotać przy barze? – Mini nieoczekiwanie zmieniła temat i zerknęła na swoją matkę, marszcząc czoło.

– Często do ciebie dzwoni? – zapytałam. Może to nie był odpowiedni moment, by ciągnąć ten temat, ale musiałam zadać to pytanie.

– Kto, Arek? Od czasu do czasu, ale raczej rzadko i gadamy krótko i o niczym, więc w zasadzie nie ma o czym mówić. No jesteś, mam, nareszcie, kim był ten facet? – pisnęła Mini, gdy pani Alinka, cała czerwona na twarzy i wyraźnie pobudzona, wróciła do naszego stolika, a jej rozmówca opuścił Słodką Babkę.

– A, to Janek, znamy się jeszcze z dawnych lat – wytłumaczyła, uśmiechając się pod nosem, na co Mini znowu się skrzywiła, jakby poczuła jakiś przykry zapach. – Nie widzieliśmy się chyba z dziesięć lat, dziesięć! To bardzo miły, kulturalny człowiek, właśnie mi powiedział, że pochował żonę dwa lata temu...

– Mamo, na miłość boską! – warknęła Mini. – Daruj nam, nie chcemy słuchać o pogrzebach ani o żadnych takich dyrdymałach...

– Śmierć to są dla ciebie dyrdymały? – uniosła się pani Alinka i obrzuciwszy swoją córkę pogardliwym spojrzeniem, wyjęła szminkę i małe lustreczko, by poprawić

makijaż. – Ten człowiek się chyba spóźnia, księżniczko. – Spojrzała na mnie. – Już cztery po dwunastej.

Zaskoczona tym, co właśnie usłyszałam, popatrzyłam na zegarek. Pani Alinka miała rację – minęło południe i przeszło mi przez myśl, że nic z tego nie będzie, że niepotrzebnie napaliłam się na to spotkanie jak nastolatka przed pierwszą randką, naiwnie wierząc, że moje działania mogą zainteresować poważnego reportera z poważnej telewizji. Przez kilka, kilkanaście sekund czułam dojmujące rozczarowanie i żal. Mini i jej matka patrzyły na mnie wymownie, jakby domagały się wytłumaczenia, dlaczego tu siedzimy i co teraz zrobię.

I właśnie wtedy, gdy już rozchyłam usta, by odpowiedzieć pani Alince (choć nie do końca wiedziałam co; prawdopodobnie jakąś błażostkę, coś pomiędzy „o, rzeczywiście” a „to dopiero cztery minuty spóźnienia”), usłyszałam dźwięk dzwoneczka zawieszzonego nad drzwiami i do środka weszło dwóch mężczyzn: szczupły blondyn znany z telewizji i niski szatyn dźwigający kamerę.

Rozdział 34

Takie wieczory nie zdarzały się często, ale dzisiaj czułam, że to najlepsze, co mogę (i chcę) zrobić. Siedziałam na kanapie w salonie, wciśnięta między mamę Krysię i tatę Krzysia, zupełnie jak za starych dobrych lat, gdy byłam dużo młodsza, dużo niższa i dużo szczuplejsza, a rodzice nazywali mnie Kajunią. W telewizji lecieli *Sami swoi* i choć widziałam ten film ze dwadzieścia razy, uznałam, że pasuje do okoliczności – prosty, lekki, zabawny; idealny, żeby się zrelaksować i odstresować. Po wszystkim, co się dziś wydarzyło, taka forma rozrywki wydawała się wymarzona. Kropką nad i były cudownie słodkie radomianki, powszechnie znane jako wuzetki, które kupiłam w drodze powrotnej i które beztrąsko teraz zjadaliśmy.

Skończyłam opowiadać o spotkaniu z Łukaszem Rozwadowskim. Uśmiech nie schodził z mojej twarzy, bo były to bardzo udane trzy godziny pełne kobiet i Radomia. Udzieliłam wywiadu na fontannach, które były kluczowe dla tego reportażu, a potem zabrałam ekipę z telewizji na krótki spacer po moim mieście – dotarliśmy do pomnika Marii i Lecha Kaczyńskich (Łukasz uparł się, by go sfilmować), kościoła farnego, Rynku i pozostałości zamku (warszawskie towarzystwo było w wielkim szoku, że w Radomiu stał kiedyś zamek; co prawda, zachował się w nieznaczej części, jednak wystarczającej, by można było pokazać go turystom i powiedzieć o nim kilka zdań). Wróciliśmy ulicą Żeromskiego i zahaczyliśmy jeszcze o park Kościuszki. W nocy mocno poproszyło i Radom otulony białą pierzyną prezentował się magicznie.

– Całkiem ładne miasto – skwitował kamerzysta u kresu naszego spaceru.

– Oczywiście – potwierdziłam i uśmiechnęłam się do niego.

Mini i pani Alinka wypowiedziały się zupełnie sensownie, a gdy ta druga produkowała się do kamery, zauważyłam blogerkę Renatę, która również dała się namówić na powiedzenie kilku zdań. W programie miały też zostać wykorzystane fragmenty nagrania z lokalnej telewizji – te, których autorem był Wojtek.

– No to kiedy będzie cię można zobaczyć w tv? – zapytał tata Krzyś.

– Chyba w poniedziałek, w programie reporterskim o osiemnastej. Mam dostać SMS-a z potwierdzeniem.

Mama przytuliła mnie krótko, a tata poklepał po plecach.

– Ilu masz już fanów na tym całym Facebooku? – spytał.

– Czternaście tysięcy stu jedenastu – odpowiedziałam precyzyjnie. Kurczę,

naprawdę byłam z siebie dumna!

– Brawo, brawo.

– Tak, córko, brawo – odezwała się mama Krysia, która nie była dziś w najlepszym humorze (zafundowała sobie trwałą ondulację, która nie wyszła najlepiej, a na dodatek wyraźnie dodała jej lat). Wstała z kanapy, by zanieść do kuchni puste talerzyki.

– Wiecie co – zatrzymałam ją – ten reporter coś mi zasugerował... Zaproponował pewną rzecz i zaczynam się nad nią zastanawiać...

– Co takiego?

– Stwierdził, że powinnam zorganizować wystawę. Wybrać kilkadziesiąt najlepszych zdjęć i pokazać je publicznie.

– Och – pisnęła mama Krysia. – To bardzo dobry pomysł! Ale, ale... Gdzie niby miałyby się odbyć ta wystawa? I jak się w ogóle do tego zabrać? Czy to by coś kosztowało?

– No raczej! – odezwał się tata Krzyś. – Czy w tych czasach można dostać cokolwiek za darmo?

– Niekoniecznie – stwierdziłam. – Łukasz, ten reporter, zasugerował, żeby to była wystawa plenerowa, w centrum miasta, najlepiej w pobliżu fontann. Zdjęcia umieszcza się na takich specjalnych stelażach, fachowo nazywa się je standami, na pewno je kiedyś widzieliście. Ostatnio przed urzędem była plenerowa wystawa kartek świątecznych wychowanków domu dziecka.

– A tak, kojarzę – przytaknęła mama i wyszła do kuchni.

– I jesteś pewna, że można by to zrobić za darmo? – powątpiewał tata Krzyś, przeskakując wzrokiem między mną a Kargulem i Pawlakiem.

– Raczej tak. Ten reporter mówił, że o takiej wystawie, ale gdyby była naprawdę porządnie zorganizowana, mogliby powiedzieć w wieczornych wiadomościach.

– W wiadomościach? No to bierz się do tego, Kaja, koniecznie.

Zatem się wzięłam. To miała być moja pierwsza wystawa w życiu, nie licząc kilku nic nieznaczących w szkole średniej. Tyle że nie wiedziałam, od czego zacząć, a na domiar złego nie byłam taka pewna, czy faktycznie nie przyjdzie mi za nią zapłacić. Zdrowym rozsądkiem wykazała się jednak Mini, która w walentynki, gdy u niej w domu w dwójkę popijałyśmy czerwone wino i wcinały krakersy (Madzia spędzała ten dzień z Konradem, a pani Alinka umówiła się z panem Jankiem), zapytała mnie przytomnie:

– Tyle lat pracowałaś w gazecie, nie masz jakichś kontaktów? Nie znasz kogoś, kto mógłby ci pomóc?

I wtedy pojawiło się olśnienie. Bartek Nowak, urzędnik odpowiedzialny za promocję i marketing. Wcześniej pracował w radomskich mediach, a od ponad roku w urzędzie miejskim. Łączyła nas bliska znajomość i nawet się lubiliśmy. Na pewno będzie wiedział, od czego powinnam zacząć i do kogo się zgłosić w tej sprawie.

Dzięki rozmowie o reportażu, wystawie i nowym absztyfikancie pani Alinki, jak wyraziła się Mini, udało nam się (uf) spędzić walentynki bez uzalania się nad naszym losem i wylewania łez z powodu samotności oraz nieudanego życia uczuciowego. Było, jak było, na szczęście każda z nas miała inne sprawy na głowie, by martwić się swoim stanem cywilnym. O facetach rozmawialiśmy tylko raz i to niespełna przez minutę:

– Arek się dziś odezwał?

– Zdziwisz się, ale tak! Wysłał mi SMS-a: „Wszystkiego najlepszego na walentynki”. Bardzo romantycznie, prawda?

– Tak, bardzo. Ale w sumie dobrze, że w ogóle się odezwał.

– W nosie mam jego SMS-y. Powiedz lepiej, czy do ciebie odezwał się Michał.

– Michał? Nie, nie odezwał się, już ci mówiłam, że nie mamy ze sobą kontaktu.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Nie wiem dlaczego, po prostu, tak jakoś wyszło.

– A Jacek?

– No chyba żartujesz, Mini, z Jackiem nic mnie już nie łączy.

– Ciągłe ci się śni?

– Czasem, ostatni raz śnił mi się z tydzień temu. Niewiele pamiętam.

Z Bartkiem Nowakiem umówiłam się dzień po emisji reportażu. Zadzwoiłam do niego w poniedziałek rano, opowiedziałam z grubsza, po co chcę się z nim spotkać, i poprosiłam, by o osiemnastej włączył telewizję.

Reportaż obejrzałam w towarzystwie rodziców. Trwał niecałe dziesięć minut, i musiałam obiektywnie stwierdzić, że był bardzo dobry. Łukasz Rozwadowski poprosił nawet o komentarz jakąś psycholożkę, która stwierdziła, że Polki nie wierzą w siebie i dzięki takim inicjatywom, w których same biorą udział, tę wiarę zyskują. W materiale znalazły się nagrania z mojej akcji na fontannach, było też sporo statystyk, które dobrze znałam – te, z których wynika, że Polki są zakompleksione, zamknięte w sobie i nieświadome własnych atutów. To jednak nie wszystko. Radom, ponad wszelką wątpliwość, w telewizji prezentował się świetnie i w niczym nie ustępował

innym polskim miastom.

Ogromna była siła mediów. Po emisji reportażu dostałam wiele SMS-ów, wiadomości na Facebooku, e-maili i odebrałam kilkanaście telefonów – od znajomych bliższych i dalszych, którzy również go widzieli i chcieli mi pogratulować. Tydzień później SZCZĘŚLIWE POLKI miały dwadzieścia trzy tysiące (!) fanów.

Ale z reportażem było związane coś jeszcze. Gdy go oglądaliśmy, nagle przyszła refleksja: czy to nie dziwne, że na kilka miesięcy przed trzydziestymi urodzinami przesiadywałam w domu rodzinnym, razem z mamą i tatą dzieląc ważne momenty swojego życia? Jako mała dziewczynka wyobrażałam sobie, że w tym wieku stanę się bardzo samodzielna i superniezależna; w moich wizjach o przyszłości z pewnością było miejsce na dobrą pracę, męża i dziecko, ale nie za wiele dla rodziców – jaki to byłby wstyd, dobry Boże, uczeplić się maminej spódnicy i trwać tak w nieskończoność. Wstyd jak jasna cholera.

Co za ironia, że moje dziecięce wyobrażenia o byciu trzydziestolatką sprawdziły się zupełnie na opak. Ale coś wam powiem: zdałam sobie sprawę, że spływa to po mnie jak po kaczkę. Rodzice byli dla mnie ważni i mogłam się tylko cieszyć, że towarzyszą mi w różnych chwilach. Wstyd to raczej udawanie tak bardzo dorosłej osoby, że rodzice już cię nie obchodzą. Moi jacy są, tacy są, ale zależy mi na nich – i nieważne, ile mam lat. Wstydzić powinni się ci, którzy dorastają i zaczynają pouczać własnych rodziców, wytykać im życiowe nieudacznictwo i błędy wychowawcze, a do matki przytulają się z niechęcią, sztywni, jakby ich sparaliżowało. Póki czułam, że mogę liczyć na ich wsparcie, było mi łatwiej. A niech mnie, każdemu powinno być wtedy łatwiej!

Kiedy weszłam do pokoju, w którym urzędował Bartek Nowak, mój kolega od promocji miasta i marketingu, sekretarka zaproponowała mi kawę, na co chętnie przystałam, bo pogoda nie była dziś łaskawa i w drodze do magistratu, choć mieścił się o rzut beretem, przemarzłam na kość. Bartek powitał mnie z przesadnym entuzjazmem; nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że chce pochwalić się przed koleżankami, jak dobre kontakty łączą go z przedstawicielami lokalnych mediów. Tym lepiej – liczyłam, że pomoże mi w sprawach związanych z wystawą, a im przyjaźniej był do mnie nastawiony, tym szansa na to była większa.

– Oglądałem wczoraj ten reportaż, świetnie wypadłaś, cały urząd o tym gada od rana. – Uniósł swoją filiżankę, jakby wygłaszał toast.

– Poważnie?

– Poważnie, że świetnie wypadłaś, czy poważnie, że wszyscy o tym mówią? –

zażartował, mrugając do mnie. – I to, i to. Dobrze, że mi o nim powiedziałaś, myślę, że dzięki temu nie będzie problemów z organizacją tej wystawy. Więc jak to sobie dokładnie wyobrazasz?

Wy tłumaczyłam mu wszystko ze szczegółami: sto zdjęć na pięćdziesięciu standach, po jednym z każdej strony, ustawionych jeden obok drugiego w dwóch rzędach, na deptaku, od fontann w dół. Zdjęcia zrobione przeze mnie i nadesłane; te drugie oczywiście za zgodą autorek. Do tego informacja – kto, jak, po co i dlaczego. Gdy mówiłam, Bartek cały czas kiwał głową, mogłam więc mieć nadzieję, że moje słowa nie trafiają w próżnię.

– Pomysł mi się podoba – skwitował, kiedy w końcu zamilkłam. – Ty jesteś radomianką, wiele kobiet na tych zdjęciach też, a poza tym to dobra promocja dla miasta.

Och, wspaniale, naprawdę super. Uśmiechnęłam się. Bartek przekartkował kalendarz i znowu pokiwał głową.

– Jak się sprężymy, to uda nam się wystartować pierwszego kwietnia.

Och, co?

– Pierwszego kwietnia?! – wyrwało mi się. – Ale... Dopiero? Miałam nadzieję, że zdążymy na ósmego marca – przyznałam z rezygnacją w głosie. – Dzień Kobiet to byłaby idealna okazja...

– Wiem, Kaja, wiem, ale to nie takie proste, jak może ci się wydawać. Przede wszystkim od tego roku trochę się zmieniło i teraz wszystkie wystawy plenerowe muszą przejść przez wiceprezydenta odpowiedzialnego za kulturę.

No to pięknie. Chodziło o Henryka Klwowskiego, który zdaniem Martyny, z którą pracowałam w „Głosie”, kompletnie nie nadawał się do spraw związanych z kulturą i podejmował fatalne decyzje. Martyna nie przegapiła żadnej okazji, by mu dokopać na łamach tygodnika i wytknąć braku kompetencji. Nie cierpiała faceta, a on nie cierpiał zarówno jej, jak i całej naszej gazety. Na szczęście nie byłam już częścią „Głosu Radomia”, ale jeśli Klwowski skojarzy mnie z tym tytułem i postanowi utrudnić mi życie, pomyśl z wystawą upadnie.

– Spokojnie – powiedział Bartek, jakby wyczytał z mojej twarzy rozczarowanie. – Spróbuję umówić cię z wiceprezydentem jeszcze w tym tygodniu. Proponuję, żebyś napisała oficjalne pismo: co to byłaby za wystawa, czego potrzebujesz i tak dalej...

Ale Henryk Klwowski nie chciał się ze mną spotkać; nie znalazł dla mnie czasu ani w tym, ani w kolejnym tygodniu. Początkowo Bartek dawał mi jeszcze nadzieję, że coś wymyśli, lecz po dziesięciu dniach od naszego spotkania przekazał mi wiadomość od wiceprezydenta, żebym zgłosiła się z tą sprawą do dyrektora wydziału kultury.

– Umówiłem cię z nim na jutro. Może tym razem będziesz miała więcej szczęścia.

Na spotkanie przybyłam punktualnie. Schludnie ubrana, z teczką pod pachą, do której, zgodnie z sugestią Bartka, wsunęłam pismo z prośbą o pomoc w organizacji wystawy, a także swoje portfolio, życiorys oraz kilka wydrukowanych zdjęć. Rozmowa z dyrektorem wydziału kultury była przyjemna, ale bezowocna – usłyszałem jedynie, że ze swoim pomysłem powinnam zgłosić się do placówek kulturalnych podlegających gminie.

– Mają budżety na takie inicjatywy, to z ich dyrektorami trzeba rozmawiać – usłyszałam.

– Tylko że w wydziale promocji i marketingu dowiedziałam się, że teraz każda wystawa plenerowa przechodzi przez pana wiceprezydenta Klwowskiego...

– A i owszem, przechodzi. Pod tym względem, że pan wiceprezydent składa podpis, jeśli wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

Daję słowo, miałam pod górkę, i to jeszcze jak, ale złożyłam sobie obietnicę, że się nie poddam, mimo że odsyłali mnie od Annasza do Kajfasza. Przekłęta biurokracja. Całe szczęście, że byłam bezrobotna – gdybym pracowała na etacie, nie mogłabym nawet marzyć o administrowaniu SZCZĘŚLIWYMI POLKAMI, dorabianiu sobie w wolne dni i organizowaniu wystawy.

Miałam do zaliczenia sześć placówek kultury – na sam koniec, rzecz jasna, zostawiłam sobie tę prowadzoną przez Zbigniewa Adamskiego, męża Zoi. W dwóch pierwszych, z którymi się skontaktowałam, wyznaczono mi spotkanie z dyrekcją na koniec marca. W kolejnej dowiedziałam się, że budżet na ten rok został w całości rozplanowany, więc organizowanie dodatkowej wystawy nie wchodzi w grę. Kiedy zadzwoniłam do czwartej i usłyszałam, że dyrektorka ma urlop do końca miesiąca, nie wytrzymałam, cisnęłam telefonem o ścianę – to cud, że go nie zniszczyłam – i rozplakałam się jak dziecko.

Byłam wściekła! Chciałam zrobić coś pożytecznego – dla kobiet z Radomia i spoza niego, dla wszystkich Błękitnych, Pomarańczowych i Szarych Dziewczyn, dla mojego rodzinnego miasta, nawet dla siebie, a tylko rzucano mi kłody pod nogi. Jakże to niesprawiedliwe. Może za bardzo mi zależało? Przecież czasem tak jest, że gdy czegoś chcemy zbyt mocno, nic nam nie wychodzi.

Z drugiej jednak strony pani Alinka, odkąd zainteresowała się jogą, stale mówiła o afirmacjach, które opierały się na sile pozytywnego myślenia, przyciąganiu tego, na czym nam zależy. Który model zachowania powinnam była wziąć sobie do serca? Wysiłać się albo się nie wysilać – oto jest pytanie.

Zła, zrezygnowana i zasmucona powlokłam się do kuchni, przejrzałam zawartość wiszącej szafki i znalazłam ostatnią butelkę półsłodkiego wina z Biedronki, które

wlałam sobie do kieliszka (to nic, że była godzina czternasta, pora wątpliwa na picie alkoholu). Wróciłam do pokoju i włączyłam sobie *Uwierz w ducha*, ot tak, by sobie popłakać, czyli kompletnie się dobić. Brakowało mi tylko papierosa, tego na czarną godzinę.

Rozdział 35

Jak to możliwe, że mnie, która ukończyłam polonistykę, umknęły słowa Jana Kochanowskiego, który w jednej ze swoich *Pieśni* pisał: „Nie porzucaj nadzieje, jakoć się kolwiek dzieje”? Nawet Madzia ułożyła kiedyś wiersz, w którym napisała, że bez nadziei nie da się żyć. Gdybym o tym pamiętała, nie zwątpiłabym w siebie i swoje pomysły, kiedy pojawiły się pierwsze przeszkody. Czy ja naprawdę byłam Błękitną Dziewczyną? Przecież ona nigdy by się nie poddała, nie dałaby za wygraną, nawet jeśli cały świat by się od niej odwrócił. Oficjalnie dałam plamę.

Telefon do piątej z listy placówki kultury okazał się przełomowy. Termin spotkania z dyrektorem, Olgierdem Dębowskim, sympatycznym, łysiejącym panem w okolicach sześćdziesiątki, dostałam za trzy dni, które minęły jak z bicza strzełił.

Dębowski przyjął mnie bardzo serdecznie – a to głównie dlatego, że jako fotoreporterka „Głosu Radomia” czasem robiłam zdjęcia w prowadzonej przez niego instytucji; szef tej placówki nie tylko mnie znał, ale niejednokrotnie bardzo pochlebnie wypowiadał się o moich fotografiach. Na dodatek okazało się, że widział reportaż o SZCZĘŚLIWYCH POLKACH, wyraził się więc, że z wielką przyjemnością pomoże mi zorganizować wystawę. Poprosił jedynie, żebym wyceniła, jakiego rzędu koszty wchodzi w grę. Do mnie należało zorganizowanie brakujących dwudziestu stelaży do umieszczenia w nich zdjęć, bo miasto dysponowało tylko trzydziestoma.

Z wyceną nie było problemu – chodziło jedynie o wydrukowanie zdjęć w dużym formacie, a w kosztach orientowałam się znakomicie. Zabrałam się do tego zaraz po powrocie do domu. Posprawdzałam w internecie aktualne cenniki, pomnożyłam i pododawałam co trzeba. Suma, jaką miało wyłożyć miasto na organizację wystawy – czterocyfrowa – wydawała się rozsądna. Ucieszyłam się, gdy zobaczyłam ją na wyświetlaczu kalkulatora, było jednak coś, co leżało mi na wątrobie niczym ciężkostrawna zapiekanka.

Michał. Jeszcze kilka miesięcy temu to jemu zleciłabym wydrukowanie tylu fotografii. Pewnie daby mi sporą zniżkę, mogłabym liczyć na jego pomoc i co najważniejsze, miałabym pewność, że robota będzie wykonana porządnie. A teraz? Teraz byłam ze swoimi planami i ambicjami sama jak palec. Nie mogłam przecież po takim czasie zjawić się w Migawce jak gdyby nigdy nic i poprosić go o przysługę, udając, że nic się między nami nie zmieniło, że jest cacy.

Wszystko, do diabła ciężkiego, było nie tak! Strzeliłam sobie w kolano i bardzo,

bardzo tego żałowałam. Im więcej czasu mijało, tym wyraźniej zdawałam sobie sprawę, że brakuje mi Michała, nie tylko z uwagi na jego pomoc przy wystawie. Nie ma nic podlejszego od uczucia, że się dało ciała i brakuje odwagi, by coś z tym zrobić.

I jeszcze te całe stelaże na zdjęcia. Skąd niby miałam je wytrzasnąć? Przecież nie mogłam za nie zapłacić z własnej kieszeni, bo z czego? Bez pracy, praktycznie żadnych oszczędności. O pożyczce mogłam zapomnieć, bo nie miałabym z czego jej spłacić. A Olgierd Dębowski wyraźnie dał mi do zrozumienia, że miasto ich nie kupi. Psiakrew!

Tego było już za wiele. Nie radziłam sobie, gdy problemy się piętrzyły. Musiałam wyjść z domu, zaczerpnąć świeżego powietrza, poruszać się, porozmyślać. Słońce, chwała Bogu, już zaszło; ubrałam się w dres, obwiązałam szalikiem i wsunęłam czapkę głęboko na głowę – wszystko po to, by mieć pewność, że po drodze nikt mnie nie zaczepi, że będę mogła pobyć sama ze sobą, cokolwiek miałyby z tego wyniknąć.

Krzyknęłam tylko z korytarza, że wychodzę na pół godziny, i prędko się ulotniłam. Zima w tym roku była łaskawa, mimo to gdy opuściłam kamienicę, poczułam nieprzyjemne szczypanie w nieosłonięte partie ciała, a chłodny wiatr omiół moją twarz jak wymoczony w lodowatej wodzie bandaż. Ruszyłam w stronę parku i po chwili zdałam sobie sprawę, że biegnę.

Gnałam rytmicznie z łokciami przyciśniętymi do boków, stawiając długie kroki i patrząc przed siebie. Ludzie snuli się z rzadka, skuleni i cisi. W dzieciństwie lubiłam obserwować obcych i zastanawiać się, kim są, czym się zajmują, czy są szczęśliwi. Zazwyczaj puszczałam wodze fantazji, z czego powstawały niesamowite historie. Mama Krysia zwykła wtedy mawiać: „Przestać, córeńko, nieładnie się tak przyglądać”. Jej reprimendy na wiele się jednak nie zdały, bo z obserwowania otaczających mnie osób nigdy nie wyrosłam.

Z trudem udało mi się opanować pierwsze wycieńczenie, które przyszło bardzo szybko, i pobiegam dalej. Pędziłam i myślałam. O Michale, Jacku, Mini, Madzi, moich rodzicach, pani Alince, Błękitnych Dziewczynach, nawet o Robercie Wysockim. O tym, co napisałabym na swojej kartce, o wystawie, kosztorysie i brakujących stelażach. Boże. Czy ja ciągle muszę czymś się zadręczać? Czy nie mogę tak po prostu na chwilę się wyłączyć, zresetować, jak mawiali niektórzy? Czasem naprawdę lepiej nie myśleć zbyt dużo.

W pewnej chwili poczułam, że prawa stopa, którą postawiłam na zamarznętej kałuży – piekielnie śliskiej – odmawia posłuszeństwa i nogi mi się rozjeżdżają. Zdążyłam jeszcze zamachać rękami niczym żuk przewrócony na plecy i runęłam na ziemię jak długa, zaliczając bardzo nieprzyjemne lądowanie na prawym boku. Czapka zsunęła mi się na oczy, a ręka, którą próbowałam zamortyzować upadek, bolała jak

diabli. Pięknie! Jeśli się okaże, że skrzyłam kostkę czy coś innego, to chyba umrę. Miałam teraz tyle rzeczy na głowie, tyle spraw do załatwienia, że po prostu musiałam być w formie! Jezuniu malusieńki, za jakie grzechy, za jakie grze...

– Proszę pani! Proszę pani, nic się pani nie stało?

Poprawiłam czapkę i spostrzegłam, że jakiś młody mężczyzna biegnie mi na ratunek. Alejka była ciemna, więc wiedziałam o nim tylko tyle, że jest niewysoki i krępy. Zanim zdążyłam się odezwać, złapał mnie ostrożnie wpół i powoli pomógł mi wstać. Trzymał mnie od tyłu, więc nie widziałam jego twarzy. Czułam tylko jego ciepły, miętowy oddech.

– Ale pani wyróżnęła, jak słowo daję, dobrze, że panią zauważyłem, bo jak by sobie pani poradziła? No już, powolutku, może się pani wyprostować? Nic panią nie boli? Na pewno się pani potłukła, odprowadzę panią do domu, gdzie pani mieszka?

Gadał jak najęty.

Kiedy wreszcie stanęłam na nogi, ulżyło mi, bo byłam cała i mogłam poruszać się o własnych siłach, jedynie prawe biodro i dłoń trochę pobolewały. Nieznajomy pomógł mi doczłapać się do głównej alejki i wreszcie zobaczyłam, jak wygląda. A gdy to się stało, doznałam cudownego olśnienia. Był ładnie podobny do mojego brata, dosłownie jak skóra z niego zdjęta. To było tak dziwne uczucie, że aż przez moment wydawało mi się, że rozmawiam z Łukaszem. Mężczyzna był jednak od niego trochę niższy i miał pieprzyk na policzku. Szybko odwróciłam wzrok od jego twarzy, bo przyglądałam mu się znacznie dłużej, niż wypadało.

– Nic mi nie jest, dam sobie radę, mieszkam obok kościoła – odpowiedziałam.

– Na pewno? Naprawdę mogę pani pomóc, to żaden problem, miała pani dużo szczęścia, moja narzeczona upadła tak w ubiegłym roku i musieli jej nogę na sześć tygodni zapakować w gips.

Narzeczona, no tak, oczywiście.

– Nie trzeba, tylko się potłukłam, nic więcej, ale z bieganiem raczej na dzisiaj koniec. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

– No dobrze, to w takim razie proszę iść powoli do domu i... – spojrzał na moje rozklekotane adidasy – proszę sobie kupić lepsze buty do biegania.

Zdobyłam się jedynie na krótki uśmiech, który on odwzajemnił, i ruszył w swoją stronę. Odprowadzając go wzrokiem, szybko wyjęłam telefon z kieszeni. Szczęście, że był cały. Gdy wybierałam numer, prawa dłoń wciąż mnie pobolewała, ale nie na tyle, bym musiała wpadać w panikę. Tata Krzyś pewnie by powiedział, że do wesela się zagoi. O tak, do mojego wesela z pewnością.

– Halo? – Usłyszałam głos mojego brata.

- Cześć, Łukasz, nie przeszkadzam?
- Nie, co tam, Kaja?
- Wszystko okej. Dzwonię, bo mam do ciebie sprawę. Pamiętasz, że jesteś mi winien przysługę?
- Ee, no, tak, pamiętam, a o co chodzi?
- Myślę, że jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić.

Pozwólcie, że wyjaśnię, o co chodzi z tą całą przysługą. Łukasz spotykał się z Patrycją od ponad czterech lat, ale jakoś nie kwapili się do ślubu. Podczas jednej ze sprzeczek tata Krzysz powiedział mu nawet, że jeśli zamierza żyć na kocią łapę, to go wydziedziczy, mimo to Łukasz wolał być wolnym duchem i nie zawracał sobie głowy papierkami. Żartował: „Ślub nie zając, nie ucieknie”.

I nagle spadła na nas wiadomość, że Łukasz żeni się z Patrycją, a z formalnościami uwinęli się tak błyskawicznie, że mieli pobrać się w sylwestra, czyli za półtora miesiąca. Przysięgali, że nic się za tym nie kryje, że po prostu stwierdzili, że już czas, a trzydziesty pierwszy grudnia to dla nich szczęśliwa data, bo tego dnia się poznali (rzeczywiście tak było). Jakimś sposobem udało im się zarezerwować termin w kościele i zorganizować salę pod Warszawą. Byłam świadkiem na ich ślubie, więc podczas wesela siedziałam obok Patrycji. W pewnym momencie, gdy kończyłyśmy jeść kluski śląskie z gulaszem, poklepała się po brzuchu i westchnęła.

– Nie powinnam się tak objadać, bo jeszcze ktoś się domyśli, skąd ten apetyt. Przyznaj, Kaja, że mieliśmy fuksa, że udało nam się to wszystko zorganizować, zanim wywaliło mi brzuch. I jakoś nikt się nie domyślił, dlaczego tak nam śpieszno.

Zza jej ramienia wyłonił się Łukasz, który spojrzał na nią przerażony. Zaczerwienił się po płatki uszu, a Patrycja dla kontrastu zrobiła się blada jak alabaster.

– Jeszcze o niczym Kai nie mówiłem! – pisnął.

– Je... jesteś w ciąży? – zapytałam trochę za głośno, na szczęście grała muzyka, a goście się przekrzykiwali, więc nikt mnie nie usłyszał.

– Boże, Łukasz, dlaczego jej nie powiedziałeś, myślałam, że Kaja wie o wszystkim!

Łukasz spuścił wzrok i pokręcił głową.

– Ale kaszana – skwitowała Patrycja. – Tylko błagam cię, Kaja – obróciła się w moją stronę, składając ręce jak do modlitwy – ani słowa nikomu, obiecujesz? Mojej matce, waszej zresztą też, serca by im pękły, gdyby się dowiedziały, że pobieramy się, bo dziecko w drodze. Przecież przysięgaliśmy, że nic się za tym nie kryje, więc gdyby

teraz wszystko wyszło na jaw...

Była bardzo zdenerwowana.

– Kaja, mówimy serio, musisz dać nam słowo – powiedział ostro Łukasz.

– No ale przecież wszyscy i tak się zorientują, nikt nie uwierzy, że nie wiedzieliście o tej ciąży, skojarzą wasz pośpiech z terminem porodu... – próbowałam przemówić im do rozsądku.

– Tak to wszystko załatwimy, że nikt się nie zorientuje – zapewnił mnie Łukasz. – Będę ci winien przysługę, zrobię, co tylko zechcesz, ale musisz obiecać, że nie puścisz pary z ust.

Więc obiecałam, a ku mojemu najwyższemu zdumieniu, gdy mała Sonia pojawiła się na świecie, nikt nie wytykał im, że pobrali się jedynie ze względu na ciążę. Młodzi małżonkowie przysięgali na wszystkie świętości – trochę nieładnie, rzecz jasna – że o niczym nie mieli pojęcia, a gdy Patrycja stwierdziła, że „takie zrządzenie losu musi być znakiem z nieba”, wszyscy im odpuścili. Tylko Łukasz zerkał na mnie nerwowo, gdy jeszcze przed narodzinami Soni rodzina wypytywała go o szczegóły. Ja jednak milczałam jak grób. I czekałam na odpowiedni moment, by mój brat wywiązał się ze swojej obietnicy.

Po rozmowie z nim czułam się o niebo lepiej, niż zanim wyszłam z domu. Już nawet nie zaprzętałam sobie głowy dokuczającym biodrem i nadwyrężoną ręką – to były drobnostki w porównaniu z tym, co właśnie udało mi się załatwić. Zdawałam sobie sprawę, że prośba, jaką miałam do Łukasza, była dość niecodzienna, mimo to dostałam jego słowo, że mi pomoże. Nie że się postara albo zobaczy, co da się zrobić, ale że spełni moją prośbę – załatwi mi dwadzieścia brakujących stelaży.

Rozdział 36

Mama Krysia, mamunia moja, kochana mateczka, psiakość, kochałam ją, ale momentami wkurzała mnie tak bardzo, że miałam ochotę ją udusić. Może to i grzech, ale nic – nic a nic – mnie to nie obchodziło. Umiała zagrać mi na nerwach jak mało kto!

Sprawy z wystawą zaczynały się dobrze układać; dyrektor Dębowski stwierdził, że kosztorys jest do zaakceptowania, a Łukasz kilka dni po naszej rozmowie zadzwonił z wiadomością, że mają u siebie w agencji sporo nieużywanych stelaży, które mi wypożyczy. Lecz mama nie okazywała entuzjazmu dla moich planów. Przychodziła do mojego pokoju i choć dobrze wiedziała, czym się zajmuję, pytała:

– Co tam robisz?

Odpowiadałam jej cierpliwie, niczego przed nią nie kryjąc. Gdy kończyłam, ściągała usta i niemrawo kiwała głową.

– Aha, no dobrze, a nie myślisz może o pracy? Mogłabyś czegoś poszukać.

Albo:

– Wyczytałam, że jeśli samemu odchodzi się z pracy, to o zasiłek dla bezrobotnych można ubiegać się dopiero po trzech miesiącach. Chyba nie chcesz tyle czekać, prawda? Dobrze byłoby się za czymś rozejrzeć.

Albo to:

– Tyle siedzisz w tym internecie, spojrzalabyś na jakieś oferty.

Było jeszcze:

– Wiem, kochanie, że lubisz kąpiele, ale prysznice są bardziej ekonomiczne.

W ten sposób chciała mi wytknąć, że nie dokładam się do wspólnego budżetu. Tak bardzo wierciła mi dziurę w brzuchu, że w końcu musiałam skapitulować. W wolnych chwilach rozsyłałam więc aplikacje, ale pracy dla fotoreporterów w Radomiu i okolicach jest jak na lekarstwo (a nie byłam jeszcze tak zdesperowana, by szukać posady w Warszawie). Ostatecznie uznałam, że nic nie stoi na przeszkodzie poprosić o jakieś zajęcie w lokalnych redakcjach – zaczęłam od dziennika, w którym pracowały Marta (i Baśka od Dziadomia). Rozmowa z redaktorem naczelnym była krótka.

– Bardzo bym chciał cię zatrudnić, Kaja, daję słowo, ale mamy fotoreportera na etacie i na drugiego po prostu nas nie stać, przecież nie zapłacę ci najniższej krajowej.

W „Głosie” zarabiałam niewiele więcej, pomyślałam.

– Ale od czegoś trzeba zacząć – próbowałam go przekonać. – Naprawdę nic się dla mnie nie znajdzie?

Rozłożenie rąk i westchnienie.

– Przykro mi. Ale gdyby coś się zmieniło, na pewno się z tobą skontaktuję.

Podobne rozmowy przeprowadziłam jeszcze w kilku redakcjach, gdzie przy okazji dowiedziałam się, że nie dostanę pracy przez... reportaż w telewizji. Tak, tak, ten sam, który teoretycznie powinien być dla mnie przepustką do zdobycia dobrej posady. A to dlatego, że miałam teraz za wysokie kwalifikacje i byłam znana (dobre sobie), więc rzekomo nikogo na mnie nie stać. Co za paranoja! I pomyśleć, że śmieszyło mnie, gdy czytałam, że niektórzy celowo ukrywają swoje wykształcenie czy doświadczenie zawodowe, by dostać pracę (tak, dostać). Jak tu nie kochać Polski?

Przed osiągnięciem finansowanego dna ratowały mnie tylko dwie rzeczy: chałtury, których podejmowałam się głównie w weekendy, oraz pomoc rodziców. Trochę kiepsko jak na wykształconą prawie trzydziestolatkę z dużego miasta, która – teoretycznie – powinna piąć się po szczeblach kariery.

Na szczęście miałam się z czego cieszyć – i to bardzo. Dwudziestego marca wiceprezydent Henryk Klwowski podpisał się pod wnioskiem o zorganizowanie wystawy (w urzędniczym języku mówi się, że go „klepnął”). Wernisaż zaplanowano na piątego kwietnia. Uzyskałam zgody od wszystkich kobiet, których zdjęcia zamierzałam wykorzystać, a fotografie wydrukowane w dużych formatach miałam odebrać nazajutrz. Pozostało jeszcze rozesłanie informacji prasowych o wystawie, ale akurat to zadanie prawie w całości wzięło na siebie miasto. Ja natomiast skontaktowałam się z Łukaszem Rozwadowskim z ogólnopolskiej telewizji i umieściłam piękne zaproszenie na stronie SZCZĘŚLIWYCH POLEK.

Udało się, udało, udało!

„Do sukcesu nie ma żadnej windy. Trzeba iść po schodach”.

Popołudnie było mroźne – śnieg spadał z nieba ciężkimi płatami – więc spędzaliśmy je w domu. Ja leżałam na kanapie, pod kocem, i czytałam podręcznik poświęcony fotografii kulinarnej. Jacek siedział przy stole, parę metrów ode mnie, pochylony nad laptopem. Co chwilę wzdychał, pojękiwał i mówił do siebie.

– Coś się stało? – zapytałam wreszcie.

– Nie, to znaczy... – nie dokończył, tylko zerwał się z krzesła z laptopem i rozsiadł się koło mnie. – Zobacz. Co o tym sądzisz?

Odłożyłam na bok podręcznik i wyteżyłam wzrok. Cały ekran wypełniała strona

internetowa, na której znajdowała się informacja o konkursie dla młodych filmowców. Do wygrania był roczny staż w prestiżowej szkole filmowej w Londynie i stypendium na utrzymanie.

– Brzmi ciekawie. Chcesz wystartować? – zapytałam.

Jacek, w którego się wtuliłam, wrzucił ramionami i przygryzł dolną wargę. Zawsze tak robił, gdy intensywnie nad czymś rozmyślał.

– Sam nie wiem. Konkurencja pewnie będzie olbrzymia. Raczej nie mam szans.

Uniosłam brwi.

– Nie mów tak. Co trzeba zrobić?

– Nakręcić etiudę na jeden z poniższych tematów: strata, śmierć, rozstanie, zdrada. Nie dłuższą niż piętnaście minut.

– Strasznie depresyjnie. Do kiedy miałbyś czas?

– Niecały miesiąc. Musiałbym się nieźle sprężyć. Zresztą dajmy temu spokój – Machnął ręką i zamknął stronę, a ja zobaczyłam pulpit jego laptopa – czarno-białe zdjęcie niemieckiego reżysera Wenera Herzoga, zamyślonego i podpartego dłonią. Był Jacka idolem. Jacek wiele mi o nim opowiadał, ale w pamięć szczególnie zapadło mi jedno zdanie, które ponoć należało do Herzoga: „Dla mnie robienie filmów to jak oddychanie”. Popatrzyłam na Jacka i zrozumiałam, że z pełną świadomością i odpowiedzialnością mógł się pod tym podpisać, bo czuł tak samo. Oczywiście nie wyobrażałam sobie jego przeprowadzki do Londynu, a tym bardziej swojej, ale musiał, po prostu musiał spróbować.

– Niecały miesiąc to sporo czasu – powiedziałam, poklepując go po plecach. – Dasz radę, ale lepiej zacznij od razu.

Nie opowiedziałam o jednej rzeczy, która miała miejsce kilka dni wcześniej – o Dniu Kobiet. Ósmego marca dostałam wiele życzeń, nie tylko od mężczyzn. Licznie napisały do mnie moje kochane Błękitne Dziewczyny poprzez profil SZCZĘŚLIWYCH POLEK, a ja odpisałam każdej, choć zajęło mi to blisko trzy godziny (życzeń przyszło dwieście siedemnaście. DWIEŚCIE SIEDEMNAŚCIE). Tata Krzyś wręczył mi różowego goździka, natomiast późnym popołudniem rozbrzmiała moja komórka. Chwyciłam ją od niechcienia i poczułam skurcz w żołądku. „Samych słodyczy z okazji dnia kobiet”. Od Michała. Michała Miciaka. Żadnych uśmiezków, buziaczków, szalonych emotikonów, jedynie proste życzenia.

Wiadomość składała się z sześciu wyrazów i wystarczyło przeczytać ją raz, by utkwiła w pamięci na dobre, mimo to gapiłam się na wyświetlacz przez ładnych kilka

minut, rozkładając na czynniki pierwsze każde słowo.

„Samych słodczy z okazji dnia kobiet”. Co to mogło oznaczać? Może napisał to ot tak, bez zastanowienia? Zaraz... A może po naszej ostatniej, niefortunnej rozmowie stwierdził, że jestem dziwna, nudna i ponura, stąd życzenie słodczy? To wydawało się najbardziej prawdopodobne. I czy nie powinien był „dnia kobiet” napisać wielkimi literami? Może chciał mi w ten sposób dać do zrozumienia, że składa życzenia jedynie z grzeczności, ale słowa, których użył, niewiele dla niego znaczą?

Odkładałam komórkę i znowu brałam ją do ręki. Wielokrotne analizowanie męskich słów pasowało do nastolatki i miałam to dawno za sobą; a przynajmniej mieć powinnam. Ale Michałowi należała się odpowiedź, nad czym dumiałam kolejnych kilkanaście (no dobra, kilkadziesiąt) minut. Napisać krótko jak on? Zawstydzić go długą wiadomością? A może to dobry moment, by go zaczepić (w stylu: „Myślałam już, że o mnie zapomniałeś”) – mogłaby się z tego wywiązać korespondencja. Przeszło mi nawet przez myśl, że wypada napisać „przepraszam” za scenę, jaką urządziłam, ale ostatecznie z tego zrezygnowałam. Potem był kolejny dylemat: wstawić jakiegoś emotikona? Uśmiechniętą buźkę? Kuszący wielokropek? Mrugające oczko? A może całusa?

Zanim Michał dostał moją odpowiedź, minęła więcej niż godzina. W końcu dotarło do mnie, że popadam w paranoję i zachowuję się jak desperatka. My, kobiety rodzimy się chyba z genem utrudniania sobie życia. W SMS-ie zwrotnym napisałam: „Dziękuję bardzo! :-)”.

Dopiero po wysłaniu go dotarło do mnie, że się nie popisałam. Moja odpowiedź była byle jaka, bezduszna, taka na odczepnego. Dałam ciała. Ale na korektę było już za późno.

A teraz leżałam w łóżku, sama i bezrobotna, mając za sobą kolejny z serii snów o byłym facecie i spalony most do związku z Michałem. Uroczko jak cholera!

Kiepskie nastroje miały to do siebie, że pojawiały się znienacka i równie szybko znikwały. W zasadzie nie było sensu zawracać sobie nimi głowy. Jeszcze kilka dni temu, po krótkiej wymianie wiadomości z Michałem i śnie z Jackiem w roli głównej, miałam spadek formy, na szczęście piąty kwietnia nadszedł błyskawicznie i okazał się jednym z ważniejszych dni w kalendarzu mojego życia.

Na wernisaż wystawy, której razem z dyrektorem Dębowskim daliśmy nazwę: *100 Szczęśliwych Kobiet*, wyszykowałam się jak rzadko kiedy – nawet kupiłam sobie na tę okazję sukienkę, klasyczną małą czarną (i gorset wyszczuplający, by jakoś w niej

wyglądać). Włosy spięłam wysoko nad karkiem – mama nazywała to uczesanie ptasim gniazdem – podmalowałam się (w granicach zdrowego rozsądku – w mocnym makijażu nie wyglądałam najlepiej, taki typ urody) i już byłam gotowa do drogi.

Stelaże na fotografii mój brat dostarczył do urzędu kilka dni wcześniej. Gdy wczoraj wybrałam się na deptak, były już na swoim miejscu – ciągnęły się równolegle do fontann dwoma rzędami, po dwadzieścia pięć w każdym. Prezentowały się (och!) wspaniale, a mieszkańcy chętnie się przy nich zatrzymywali i z zaciekawieniem, tak myślę, oglądali zdjęcia.

Moje imię i nazwisko na wydrukach pojawiało się wielokrotnie.

Kaja Redo – pomysłodawczyni wystawy.

Kaja Redo – założycielka i administratorka strony na Facebooku SZCZĘŚLIWE POLKI.

Kaja Redo – autorka siedemdziesięciu trzech zdjęć.

W opisie wystawy, który rozesłano do mediów i umieszczono w miejskim informatorze kulturalnym, znalazło się wszystko to, co mówiłam wcześniej w wywiadach – skąd pomysł, po co to wszystko, jaka idea mi przyświecała, kim są te kobiety et cetera.

Powtórzyłam to ponownie, kilka minut po czternastej, gdy dyrektor Olgierd Dębowski podziękował wszystkim za przybycie (a było komu – zjawili się radomscy dziennikarze; praktycznie wszyscy oprócz reprezentacji „Głosu”, dalej Mini z panią Alinką, Madzia i jej siostra Ola z koleżankami, moi rodzice, przedstawiciele radomskiej kultury i inne ważne osobistości, a także zwykli radomianie; tylko Łukasz Rozwadowski z telewizji informacyjnej nie dotarł – kilka godzin wcześniej wysłał mi wiadomość, że od dwóch dni ma nogę w gipsie, co za pech) i przekazał mi głos. Dziwnie się czułam, nie fotografując, a będąc fotografowaną, ale z ręką na sercu mogę powiedzieć, że dałam radę.

Piąty kwietnia, piękny słoneczny dzień, pachnący długo wyczekiwaną wiosną. Dzień bardzo szczęśliwy, choć był taki moment, a trwał on tyle, ile zajmuje zjedzenie wafelka, gdy poczułam się znacznie szczęśliwsza niż chwilę wcześniej i chwilę później. Kiedy wernisaż dobiegł końca, a towarzystwo się rozeszło, opadłyśmy z Madzią i Mini na jedną z ławek, by odpocząć i zamienić parę słów. One zajęły się rozmową („Jak z Arkiem? Jeszcze się nie pogodziliście?”/ „Olaboga, dajże mi z nim spokój, powiedz lepiej, co u twojego kochasia, będzie coś z tego?”), ja natomiast otworzyłam wafelka, którego przed wyjściem wrzuciła mi do kieszeni mama Krysia, i gryzłam go, obserwując radomian zatrzymujących się przy stelażach. Odczytywałam z ich twarzy wiele emocji – zaciekawienie, zdumienie, wzruszenie, radość. Niektórzy chwyтали się koniuszkami palców za brody i dumali nad zdjęciami w ciszy, inni

wybuchali spontanicznym śmiechem, jeszcze inni, ci przemieszczający się w większych grupach, pokazywali sobie wzajemnie różne fotografie. Z ust rudowłosej kobiety w średnim wieku usłyszałam:

– Coś niesamowitego.

Nie powiem, żeby do oglądania zdjęć ustawiały się kolejki jak w PRL-u za kawałkiem mięsa. To z pewnością nie były dzikie tłumy, tylko ludzie przemieszczający się z jednego końca miasta na drugi, śpieszący do domów i na spotkania, pędzący przed siebie i pogrążeni we własnych myślach. A jednak zwalniali, zatrzymywali się, by zerknąć na zdjęcia. Czasem tylko na jedno, czasem na kilka, czasem na wszystkie. Lecz największe znaczenie miało to, że ich twarze na widok 100 Szczęśliwych Kobiet, czyli moich SZCZĘŚLIWYCH POLEK i cudownych Błękitnych Dziewczyn, budziły się do życia, jakby te zdjęcia wyzwalały w nich skrzętnie poukrywane emocje.

Byłam bardzo, bardzo szczęśliwa.

Rozdział 37

Lekcje hiszpańskiego. Warsztaty decoupage'u. Basen minimum trzy razy w tygodniu. Trening codziennie wieczorem. Kurs szybkiego czytania. Gruntowny remont pokoju. Może nawet założenie konta na portalu randkowym. To wszystko planowałam zrobić, zanim znajdę pracę – miałam to zanotowane w kalendarzyku, czarno na białym. Nie udało mi się zrealizować żadnego z tych postanowień, bo – po pierwsze – czas pędził jak oszalały, a po drugie – naprawdę miałam ręce pełne roboty. Już nawet mama Krysia przestała naciskać, bym jak najszybciej znalazła sobie jakieś zajęcie. Wiedziałam, że prędzej czy później muszę na serio rozejrzeć się za pracą, ale póki co miałam inne, ważniejsze sprawy na głowie – SZCZĘŚLIWE POLKI, wystawę (zgłosiło się do mnie kilku dziennikarzy z ogólnopolskich mediów, którzy chcieli o niej napisać), a od połowy kwietnia również KSP.

Zanim wyjaśnię, czym jest owo KSP, a trudno zrobić to bez ekscytacji, muszę na chwilę zatrzymać się przy profilu SZCZĘŚLIWYCH POLEK na Facebooku. Nie pytajcie, jak tego dokonałam, ale tydzień po wernisażu stworzoną przeze mnie stronę lubiło już ponad trzydzieści jeden tysięcy osób. Ktoś mógłby powiedzieć, że to wcale nie tak dużo – czym była ta liczba wobec, na przykład, milionów śledzących profil Shakiry? Dla mnie jednak trzydzieści jeden tysięcy to był niewyobrażalny sukces, szczególnie że niemal każdego dnia spływały nowe zdjęcia i wiadomości od kobiet, a publikowane fotografie zyskiwały po kilkaset polubień, mnóstwo udostępnień i wiele, wiele komentarzy, czasem prawie tyle samo co lajków.

Od paru dni przy SZCZĘŚLIWYCH POLKACH pomagała mi Mini; uczyniłam ją drugim administratorem strony, bo sama nie dawałam sobie ze wszystkim rady. Dawno nie wspominałam o zdjęciach, jakie do mnie docierały, a to dlatego, że było ich całe mnóstwo i z powodzeniem mogłabym zorganizować kolejną wystawę, jeśli nie kilka. Kobiety pisały na swoich kartkach o wszystkim – pokonaniu słabości, wyjściu z nałogów, pomocy charytatywnej, opiece nad potrzebującymi, wygraniu różnych konkursów, zrealizowaniu marzeń, zdobyciu nowych umiejętności, pokonaniu kompleksów, a nawet o usidleniu wymarzonego mężczyzny czy zmianie nastawienia do życia. (Kamila spod Bytomia, dwudziestoparoletnia dziewczyna o miłej aparycji, która sfotografowała się w parku pełnym tulipanów, napisała: „Kiedyś uprawiałam czarnowidztwo. Dziś jestem optymistką i cieszę się z drobiazgów”).

Mini, muszę przyznać, z administrowaniem profilu radziła sobie śpiewająco.

Stwierdziła, że po tym, jak podpowiedziałam jej, żeby umieścić reklamy na blogu, będzie mi winna przysługę do końca życia – strona www.minisiestroi.pl powoli stawała się jej sposobem na życie. Mini miała po kilka tysięcy odsłon dziennie i grono stałych czytelników, poza tym założyła na Facebooku profil promujący jej bloga, który miał już cztery tysiące fanów. Każdego miesiąca na jej konto wpływały pieniądze z reklam (średnio kilkaset złotych, choć w dobrych miesiącach było to nawet około półtora tysiąca). A niewysokie dochody rekompensowały jej gadzety od sponsorów – parę razy w miesiącu dostawała paczkę z ubraniami, kosmetykami czy perfumami do testowania. Raz dotarł do niej nawet nowiutki bezdotykowy telefon. Śmiała się, że jeszcze trochę, a zostanie twarzą rajstop.

– Wiesz, jednego nie mogę pojąć – powiedziała mi pewnego wieczoru, gdy wybrała się do mnie w odwiedziny. – Że robisz to wszystko bezinteresownie.

– To chyba dobrze – odparłam, śmiejąc się.

– No pewnie, że dobrze, przecież nie mówię, że nie. Chodzi mi po prostu o to... Kurde, Kaja, zobacz, ile wkładasz w to serca, w tego całego Fejsa, wystawę i w ogóle, a tak naprawdę nic z tego nie masz.

– Naprawdę uważasz, że nic z tego nie mam?

– No a jak inaczej? Przecież nie dostałaś za to ani złotówki.

Uśmiechnęłam się.

– Faktycznie, pieniędzy nie zarobiłam. Ale mam z tego znacznie więcej.

Mini przyjrzała mi się z niepewną miną i nagle mięśnie jej twarzy się rozluźniły, jakby dotarło do niej coś bardzo ważnego.

– Aa, już kumam. Chodzi ci o to, że to taka inwestycja w przyszłość. Że niby po nitce do kłębka... Niedługo będziesz tak sławna, że będą do ciebie walić drzwiami i oknami i błagać, abys coś dla nich zrobiła, a ty odpowiesz im jak ta modelka Linda Evangelista: „Ja za mniej niż dziesięć tysięcy z łóżka nie wstaję”.

– Dolarów – poprawiłam ją, pół żartem, pół serio.

– Tak, dolarów! Za mniej niż dziesięć tysięcy dolarów nie wstaję z łóżka. – Mini puściła do mnie oko. – Nieźle to sobie wymyśliłaś.

I zaczęła chichotać, a ja w ślad za nią, nie prostując tego, co właśnie powiedziała, chociaż była w dużym błędzie.

Piętnasty kwietnia. Dzień bardzo dziwny. Najpierw przy śniadaniu tata Krzys poinformował nas, że dziś jest Światowy Dzień Trzeźwości. Mówiąc to, dziwnie mi

się przyglądał, jakby bardzo mu zależało, bym utrwaliła sobie tę wiedzę.

– O co ci chodzi? – zapytałam w końcu, bo nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że mnie obserwuje.

– O nic, Kaja, chociaż nie myśl, że nie wiem, że w szafce była butelka wina, która nagle zniknęła. Matka jej nie wypięła.

Mama Krysia przytknęła do ust filiżankę z kawą, wzruszyła ramionami i rzuciła mi badawcze spojrzenie. Na miłość boską! Owszem, wypięłam ją, ale to było ponad miesiąc temu, gdy sprawy z wystawą się nie układały i miałam chandrę. Zatkęło mnie do tego stopnia, że nie byłam w stanie wypowiedzieć sensownego zdania, tylko coś, co zabrzmiało jak „hyhwm”. Twarz ojca wyglądała, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”, natomiast mama Krysia przeszła samą siebie, dorzucając:

– Kochanie, każdy ma prawo się napić, ale pamiętaj: nigdy nie pij w samotności.

Momentalnie podniosło mi się ciśnienie, więc uznałam, że najlepsze, co mogę teraz zrobić, to obrócić się na pięcie i wyjść z kuchni. Seria niefortunnych zdarzeń trwała jednak dalej, bo w progu mama zatrzymała mnie pytaniem:

– Mogłabyś mi pożyczyć tę książkę, którą kupię ci na urodziny? *Życie na obcasach* czy coś takiego?

Nie, nie mogę, matulu, cisnęło mi się na usta, bo *Idealne życie na obcasach* kilka miesięcy temu marnie zakończyło swój żywot. Większego steku bzdur w życiu nie czytałam i ciebie też wolałabym przed nim uchronić.

– Pożyczyłam ją Madzi – skłamałam i posłałam jej uśmiech.

Koło dziesiątej zadzwonił Bartek Nowak z urzędu, mój kolega od promocji i marketingu.

– Co dziś robisz? – wypalił prosto z mostu. Gdybym go nie znała i nie wiedziała, jakim oddanym jest mężem i ojcem, pomyślałabym, że chce się ze mną umówić.

– Ja? Hę... Nic konkretnego, a czemu pytasz?

– Dasz radę podskoczyć do urzędu na trzynastą? Ktoś chce się z tobą spotkać.

– Naprawdę? Kto?

– Wiceprezydent Henryk Klwowski.

– C-co?

– No tak, na twoim miejscu stanęłbym na głowie, żeby dotrzeć na to spotkanie, pewnie pamiętasz, że ostatnio nie znalazł dla ciebie czasu...

– Jak mogłabym zapomnieć? Wiesz, o co może chodzić?

– Niestety. Ale prosił, żeby ci powtórzyć, że to bardzo ważne. Mam wrażenie, że mu

głupio, że się z tobą nie spotkał, zwłaszcza że wystawa okazała się sukcesem. Wiesz, ile odebrałem telefonów w jej sprawie? Wczoraj zadzwonił jakiś gość i stwierdził, że wreszcie ktoś tam na górze poszedł po rozum do głowy i pokazał coś ciekawszego niż zdjęcia piesków i kotków.

Zaśmiałam się.

– Ale pieski i kotki też trzeba pokazywać.

– Pewnie, że trzeba, ale on dosłownie piał z zachwytu. Aż się zacząłem zastanawiać, co sam napisałbym na swojej kartce, gdybym był kobietą. Słuchaj, Kaja, muszę kończyć. To jak, dotrzesz na pierwszą do gabinetu Klwowskiego?

Nabrałam do płuc powietrza.

– Dotrę.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że propozycja, jaką złoży mi wiceprezydent, przejdzie wszelkie moje oczekiwania.

Na miejscu byłam przed czasem. Mała czarna znowu się sprawdziła – tym razem bez wyszczuplającego gorsetu, który owszem, spełniał swoje modelujące zadanie, ale oddychało się w nim z trudem. Włosy zaplecione w ptasie gniazdo, makijaż, dobry nastrój – niczego więcej nie potrzebowałam, zwłaszcza że nie miałam pojęcia, po co Klwowski chciał się ze mną spotkać. Musiałam chwilę poczekać, bo rozmawiał z kimś przez telefon, i wreszcie parę minut po trzynastej jego osobista sekretarka zaprosiła mnie do środka.

Henryk Klwowski był tęgim, brzuchatym mężczyzną noszącym małe okrągłe okulary i rzadką bródkę. Miał na sobie szare spodnie zaprasowane w kant i bordową kamizelkę założoną na jasną koszulę. Mówił dużo, szybko się pocił i często używał słowa „prawda”. Wyskoczył w moją stronę zza wielkiego biurka i mocno uścisnął mi dłoń.

– Pani Kaja Redo, a już się bałem, że nie znajdzie pani dla mnie czasu.

Gdybym była złośliwa, odpowiedziałabym: „Tak jak pan ostatnio dla mnie. Prawda?”. Ale tylko się uśmiechnęłam i opadłam na krzesło.

– Wiem, że chciała się pani ze mną zobaczyć, ale byłem zabiegany, zalatany byłem, jaki mi Bóg miły, wszyscy mamy teraz tyle na głowie, a czas tak szybko leci, prawda?

Pokiwałam głową.

– Ale świetnie sobie pani poradziła – mówił dalej – byłem na wernisażu...

– Tak, widziałam pana.

– No właśnie – szybko mi przerwał i nachylił się ku mnie przez biurko – zdjęcia są świetne, zdradzę pani w tajemnicy, że moja małżonka zastanawia się, czy by nie dać się sfotografować z kartką. Więc ją zapytałam: „A co ty byś na niej napisała?”, a ona mi na

to: „A to już moja tajemnica, Heniu, ale w końcu jestem żoną wiceprezydenta”. – Ryknął śmiechem i już po chwili ścierał sobie z czoła pot bawełnianą chusteczką. – Ależ te kobiety są szalone, prawda? No, ja tu panią zagaduję, a pani nawet nie wie, po co ją do siebie ściągnąłem.

Zachowywał się tak, jakby za wszelką cenę chciał zyskać moją sympatię i przychyłność. Tym lepiej dla mnie – widocznie to, co zamierzał powiedzieć, naprawdę było ważne.

– No dobrze, pani Kaju, czas to pieniądz, więc przejdę do rzeczy. Mam dla pani pewną propozycję.

Patrzyłam na niego niewzruszona, ale w głębi duszy bardzo się niecierpliwiłam.

– Jaką? – zapytałam w końcu, bo Klwowski patrzył na mnie, jakby czekał na jakąś zachętę z mojej strony, aprobatę, sygnał, że jestem zainteresowana.

Oparł łokcie o biurko, splótł dłonie pod brodą i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Chciałbym, żebyśmy zorganizowali Kongres Szczęśliwych Polek.

Rozdział 38

Kongres Szczęśliwych Polek. KSP. W Radomiu. W sali koncertowej urzędu miejskiego. Na, jak dobrze pójdzie, jakieś pięćset osób. Wiceprezydent Klwowski widział to tak: ściągamy jak najwięcej kobiet, których zdjęciach trafiły na stronę SZCZĘŚLIWYCH POLEK. Zapraszamy również kobiety, które śledzą prowadzony przeze mnie profil. Gromadzimy radomianki i mieszkanki innych miast. Wszystkie szczęśliwe Polki, które zechcą wziąć udział w kongresie.

– Moglibyśmy zacząć koło dziesiątej i skończyć w porze obiadowej, prawda? Życzyłbym sobie, żeby powiedziała pani parę słów, no może nawet więcej niż parę, taki mały wykładzik wygłosiła – produkował się. – Zaprosimy jakąś psycholożkę, niech opowie o tym, że trzeba dobrze o sobie myśleć, wierzyć w siebie, ciągle powtarzam to moim córkom. – Zachichotał. – A jeśli pani zna jakąś feministkę na poziomie, oj, jak ja nie lubię tego słowa, feministka, która potrafi mówić do rzeczy, to też ją możemy ściągnąć. Rozmawiałem już z prezeską radomskiego ruchu kobiet, takiego stowarzyszenia, pewnie pani o nim słyszała, prawda?, i pani prezes chwali pani działania, chętnie wygłosi prelekcję.

Mówił i mówił, a ja ze zdumienia coraz szerzej otwierałam oczy. Kongres Szczęśliwych Polek. Mój Boże, to naprawdę było coś. I nie musiałabym chodzić od drzwi do drzwi, skomląc o przychylność tych wszystkich zarozumiałych dyrektorów czy urzędników. Bo pomysł wyszedł od jednej z najważniejszych osób w tym mieście!

– Musiałaby się pani zastanowić, kogo jeszcze zaprosić do wygłoszenia pogadanki. Myślę, że cztery osoby oprócz pani wystarczą. Ja też parę słów powiem, wypadałoby w końcu, prawda? – Mrugnął do mnie porozumiewawczo. – Pani prezes od ruchu kobiet zaklepana, psycholożkę też biorę na siebie. Proszę więc pomyśleć jeszcze o jakichś dwóch osobach.

– Dobrze. Tylko panie prezydencie, my nie możemy wziąć za to pieniędzy.

Wśród SZCZĘŚLIWYCH POLEK były kobiety bardzo różne – często wystarczał rzut okiem na zdjęcie, żeby odgadnąć sytuację materialną bohaterki. Niektóre wydawały się dobrze sytuowane, inne – a była ich większość – w przeciętnej sytuacji finansowej, zdarzały się jednak także kobiety biedne. Tym ostatnim nie mogłam odbierać szansy, jaką był udział w KSP, zwłaszcza że i tak czekała je podróż do Radomia.

Klwowski rozpromienił się jak małe dziecko i pokiwał palcem.

– O wszystkim pani pomyślała. Oczywiście, że nie możemy. Ale jakaś cegiełka musi być. Proponuję wstęp za symboliczne pięć złotych i całą uzbieraną kwotę przekazemy na schronisko dla zwierząt.

– Zgoda – odparłam chętnie, bo pomysł mi się spodobał. – A kiedy byśmy zorganizowali kongres?

Jego odpowiedź wprowadziła mnie w osłupienie.

– Dwudziestego maja.

Omatkoicórko! Słodki. Jezu. Tego dnia... Miałam. Wyjść! Za Jacka.

Siedziałam z lekko rozchyłonymi ustami – stanowczo za długo, bo Klwowski zmarszczył czoło i ściągnął wargi.

– Coś nie tak? Nie pasuje pani?

Minęło kolejnych kilka sekund, zanim doszłam do siebie, ale w końcu z pełną odpowiedzialnością i przekonaniem w głosie odrzekłam:

– O nie, pasuje mi i to bardzo.

Los lubił grać nam na nosie.

Wracałam do domu w euforii. Tak samo czułam się w dniu otwarcia wystawy, gdy obserwowałam ludzi zatrzymujących się przy fotografiach. Kongres Szczęśliwych Polek. Mieliśmy zgromadzić kilkaset kobiet w jednym miejscu, w moim rodzinnym mieście. Klwowski zapewnił mnie, że biuro promocji zadba o solidne rozpropagowanie tego wydarzenia, a dla uczestniczek kongresu będzie kawa, herbata i słodki poczęstunek.

– Podoba mi się nazwa pani strony, SZCZĘŚLIWE POLKI – powiedział, gdy mieliśmy się już żegnać. – Więc pomyślałem sobie, że Kongres Szczęśliwych Polek chyba też dobrze brzmi, prawda?

– Bardzo dobrze – odparłam z przekonaniem.

Dzień był piękny. Po wyjściu z urzędu postanowiłam zrobić sobie krótki spacer, wędrowałam więc ulicami Radomia, wzdłuż nadgryzionych zębem czasu kamienic, mijając ludzi, którzy tworzyli tę społeczność. Przemykali szybko, prawie się nie uśmiechając, ale cieszyło mnie, że tutaj byli; prawdziwi, ulepieni z krwi i kości – końcu każdy człowiek jest niepowtarzalny, fascynujący jak nierozwiązana zagadka.

Od dzieciństwa lubiałam się im przyglądać i również teraz zerkałam na nich ukradkiem – szczególnie na kobiety – dziwiąc się, jak były piękne i jak bardzo nie zdawały sobie z tego sprawy. Zrozumiałam, że w życiu w zasadzie nie chodzi o nic więcej niż o to, by cieszyć się drobiazgami, każdą chwilą, dostrzegać szczęście ukryte

w prostym geście, szczerym uśmiechu, ciepłym słowie, ludzkiej życzliwości.

Z jakiegoś powodu przypomniał mi się wieczór, gdy byłam tak bardzo rozbita, że w akcie desperacji wypaliłam starego papierosa i ściągnęłam dziewczyny, bo cholernie źle się czułam. Bardzo się od tego czasu zmieniłam. Co prawda, wciąż byłam sama, straciłam pracę i znowu mieszkaliśmy z rodzicami, ale życie znacznie mniej mi ciążyło. O tak, zdecydowanie mniej.

Tak bardzo pograżyłam się w myślach, że nie od razu zdałam sobie sprawę, dokąd dotarłam. Byłam parę kroków od Migawki. Na widok szyldu z nazwą zakładu poczułam się, jakby ktoś wylał mi na głowę kubel zimnej wody. Migawka. Michał. Jezu! Lecz szybko przyszło otrzeźwienie. Nie będę przecież zawracać, kulić się do rozmiarów Calineczki czy przechodzić na drugą stronę, bo ośmieszyłabym się sama przed sobą. Ściągnęłam łopatki i pewnie minęłam studio fotograficzne.

Trwało to sekundę, ale mój mózg zarejestrował kilka obrazów. W środku było dwóch klientów – chudy, bardzo wysoki chłopak i ktoś od niego znacznie niższy oraz grubszy. Jakiej płci, nie zwróciłam uwagi. W oknie pojawiły się nowe rolety – intensywnie czerwone, podwinięte w godzinach otwarcia. Za kontuarem stał Michał. Ojej. W granatowej koszuli, schylony, ze wzrokiem wbitym w coś, co trzymał w rękach. Ciągle tu był. Jak dobrze. Może jeszcze nie wszystko stracone... Ale przecież poszłam dalej. Nie weszłam do Migawki, nie zatrzymałam się, nie zrobiłam kompletnie nic. I nagle przysła euforia, która towarzyszyła mi jeszcze przed chwilą, parę kroków wstecz. Może znacie to uczucie, gdy jest się zamkniętym w pomieszczeniu bez zegara i błyskawicznie traci się poczucie czasu. Albo przynajmniej spróbujcie to sobie wyobrazić. Nazwijmy to dezorientacją z odrobiną niepokoju. Nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy, ale właśnie tak się poczułam. Zdezorientowana i zaniepokojona.

Od piętnastego kwietnia sporo myślałam o Michale, ale z tych rozważań nic nie wynikało, więc całą uwagę skupiłam na przygotowaniach do kongresu. Okazało się, że pani Alinka zna jakąś kobietę, która – jak wyraziła się mama Mini – „jest w swoich poglądach tak bardzo prokobieca, że w średniowieczu spalono by ją za nie na stosie”.

– Jakiego typu to poglądy? – zapytałam.

– Och, księżniczko, można by o nich mówić i mówić, no na przykład ona uważa, że kobiety niesłusznie nazywa się słabszą płcią, bo mamy znacznie trudniejsze, a statystycznie również dłuższe życie, i to życie w przypadku wielu kobitek jest byle jakie, byle jakie – nadawała jak katarynka. – Ona wszystkie kobiety, które zna, przekonuje, by nie bały się mówić tego, co myślą, by brały się z życiem za rogi, za rogi

– to mówiąc, mocno zacisnęła pięści i nimi potrząsnęła – a już najbardziej nie trawi, jak kobieta uważa, że jej szczęście zależy od mężczyzny, prawie dostaje wylewu, jak to słyszy.

– Brzmi super. Myśli pani, że chciałaby wziąć udział w kongresie? Tylko ostrzegam, że nasz wiceprezydent życzy sobie feministki na poziomie, która, jak to ujął, potrafi mówić do rzeczy.

Pani Alinka zaciągnęła się elektronicznym papierosem i wywróciła oczami.

– Ależ księżniczko, Bożenka na pewno z przyjemnością weźmie udział w kongresie, z przyjemnością! Zaraz do niej zadzwonię i spytam, czy będzie miała wolny termin. I naprawdę nie musisz się obawiać, ona mówi bardzo do rzeczy i zapewniam, że jest na poziomie jak mało kto.

Następnego dnia dowiedziałam się, że niejaka Bożena Filar z Puław nie ma planów na dwudziestego maja i faktycznie „z przyjemnością wygłosi wykład w czasie kongresu”.

Brakowało mi zatem jeszcze jednej prelegentki (albo prelegenta). W międzyczasie na zmianę z Mini informowałyśmy o KSP na profilu SZCZĘŚLIWYCH POLEK (który pod koniec kwietnia miał już trzydzieści sześć tysięcy fanów) i przecierałam oczy ze zdumienia, gdy dziesiątki kobiet deklarowały chęć udziału. Na początku maja udzieliłam wywiadu dziennikarce poczytnego portalu i poinformowałyśmy w nim o kongresie. Po publikacji tekstu dostałam chyba z pięćdziesiąt wiadomości na Facebooku z prośbą o szczegóły. Niektóre kobiety chciały z góry zaklepać sobie miejsce. „Czy mogę już teraz przelać 5 zł, by mieć pewność, że wejdę do środka?” – pytały, a ja cierpliwie odpisywałam, uprzednio rozmówiwszy się z wiceprezydentem, że niestety nie ma takiej możliwości, bo cegiełki będą sprzedawane przy wejściu. „Ale oczywiście wpuścimy każdą panią” – informowałam.

Czasu na znalezienie ostatniego wykładowcy nie miałam wiele. Gdy podczas jednej z rozmów telefonicznych spytałam Madzię, jaki ma pomysł na czwartego prelegenta, odpowiedziała bez zastanowienia:

– Ja bym zaprosiła Iwonę Bajecką.

Tę trenerkę.

– Bo zobacz – mówiła – jest z Radomia, osiągnęła sukces wyłącznie dzięki sobie, zaraza optymizmem, umie przemówić kobietom do rozsądku, no i robi coś naprawdę pożytecznego.

– Jezu, Madziu, jesteś niezastąpiona! – wykrzyknęłam w słuchawkę.

Tak, Iwona BajECKA, ze swoją charyzmą, zaangażowaniem, pogodą ducha i wiarą w ludzi, była doskonałą kandydatką do wygłoszenia wykładu w czasie naszego

kongresu.

Piątego maja razem z wiceprezydentem Klwowskim zamknęliśmy listę prelegentów i doszlifowaliśmy harmonogram. Kilka dni później słańiałam się na nogach z emocji, gdy na co drugim słupie ogłoszeniowym widziałam plakat informujący o KSP. I być może zemdlałabym w końcu z przejęcia, gdyby nie słowa, które eksplodowały w mojej głowie nagle, jak paczka sztucznych ogni. Słowa, które czytałam. Słowa radomianina. Bardzo znanego i szanowanego, który w jednej ze swoich książek napisał: „Powiodło mi się w życiu nadzwyczajnie, bo tylu ludzi niezwykłych udało mi się znać”. O rany, czułam dokładnie to samo!

Ten radomianin nazywał się Leszek Kołakowski i był cenionym filozofem. A Radom nazywał cudownie – środkiem świata.

Środkiem świata.

Kuchenny stół nakryty zielonkawą ceratą. Na blacie laptop, obok plik dokumentów – dowód osobisty, prawo jazdy, karta do bankomatu i kredytowa. Dwa krzesła, a na nich ja i Jacek. Powietrze tak gęste, że można by w nim zawiesić siekierę.

– Kaja, nie chcę naciskać, ale...

– Wiem – powiedziała szybko i pierwszy raz od dłuższego czasu spojrzałam Jackowi w oczy. – To po prostu bardzo poważna decyzja.

– Tak, rozumiem, ale mam tydzień, żeby znaleźć sobie mieszkanie. A bilety muszę zarezerwować jeszcze dzisiaj, bo za chwilę będą kosztowały fortunę.

Nie pierwszy raz przeprowadzaliśmy taką rozmowę. Od kwietnia, kiedy Jacek dowiedział się, że wygrał staż w szkole filmowej w Londynie, minął ponad miesiąc i przez ten czas dyskutowaliśmy o tym wielokrotnie. Wykłady zaczynały się w czerwcu i Jacek, co naturalne, był zdecydowany, że wyjeżdża. Pytanie brzmiało jedynie, czy polecą sam. Miałam dylemat, jakby żywcem przeniesiony z greckiej tragedii. Nie było dobrego rozwiązania. Mogłam albo opuścić Radom, rodzinę, przyjaciół, odstawić na bok swoje dotychczasowe życie i być z Jackiem, albo zostać przy tym, co się dla mnie liczyło, stawiając na szali swój związek. I tak źle, i tak niedobrze.

Nie mogłam znieść jego spojrzenia. Ponaglał mnie nim; czułam przez skórę, że myślami jest już daleko stąd. Nie było sensu tego przeciągać.

– Posłuchaj. Dużo o tym myślałam, wzięłam pod uwagę wszystkie za i przeciw... – Oddech. – I doszłam do wniosku, że chyba na razie zostanę tutaj.

Jacek zareagował, jakby dopiero te słowa przywróciły go między żywych.

– Mówisz poważnie?

Mówiłam, co nie znaczyło, że przychodziło mi to z łatwością. Wiele mnie kosztowało podjęcie tej decyzji i nikt nie dawał mi gwarancji, że jest słuszna.

– Tak – potwierdziłam. – Mam pracę, wiem, że zarabiam psie pieniądze, ale lepsze to niż nic. Na razie zostanę w Radomiu. Ty jedź, zainstaluj się tam i zobaczmy, co dalej. Przecież mogę do ciebie dojechać za jakiś czas, prawda?

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę. W końcu rozweselił się i nachylił w moją stronę, by pocałować mnie w czoło.

– No pewnie, że możesz dojechać w każdej chwili – powiedział z przekonaniem. – No dobrze, kochanie, w takim razie biorę się do roboty, zacznę od zarezerwowania biletu. A potem zadzwonię do Marka, tego mojego kumpla z Londynu, może na początek zatrzymam się u niego.

Tak bardzo pochłonęły go przygotowania do wyjazdu, że chyba nawet nie dotarło do niego, jaka trudna przyszłość nas czeka. Wstałam od stołu, czując, że łzy zbierają mi się w oczach.

– Jacek – zagadnęłam po chwili. – A co ze ślubem?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Jak to co? Pobieramy się w maju.

– A twój wyjazd?

– No przecież nie będę tam przyspawany do miejsca. – Mrugnął do mnie i uśmiechnął się czule. – Damy radę.

Rozdział 39

Czas na nikogo nie czeka, za nikim się nie ogląda. Biegnie na oślep – nie zdązysz się obejrzeć, a mija dzień, miesiąc, rok, dekada. Gdy okazało się, że do Kongresu Szczęśliwych Polek został mniej niż tydzień, przecierałam oczy ze zdumienia. I był to jeden z najbardziej szalonych tygodni w moim życiu.

Cztery dni do KSP.

Dzień zaczął się zupełnie zwyczajnie. Wstałam koło dziewiątej, a pół godziny później zaczęłam jeść owsiankę z miodem, kiedy do kuchni wmaszerowała mama Krysia z buńczucznym wyrazem twarzy. Wspaniale. Udałam, że tego nie widzę, ale ona usiadła przy stole i zaczęła czytać gazetę, prychnając przy tym ostentacyjnie. Chyba postawiła sobie za punkt honoru wytrącić mnie z równowagi.

– O co chodzi? – rzuciłam, bo z tego wszystkiego nie mogłam spokojnie dokończyć śniadania.

Mama Krysia starannie złożyła gazetę na pół, następnie na ćwiartkę i przesunęła ją ku mnie po blacie.

– Gdybyś choć trochę się interesowała, tobyś wiedziała, że dzisiaj w tej gazecie jest dodatek *Praca*. Kilkadziesiąt ogłoszeń. Kilkadziesiąt etatów.

– Od razu etatów – mruknęłam. – Pewnie same umowy śmieciowe.

Wyprostowała się nagle, jakby połknęła parasolkę.

– Nie bądź taka mądra, córko, a swoją drogą, lepsza umowa śmieciowa – te dwa słowa wypowiedziała z trudem – niż nic, czy nie? Boże mój, teraz życie takie drogie, wszystko tyle kosztuje.

A więc o to chodzi. Owsianka ugrzęzła mi w gardle; pomyślałam, że jeszcze jedno jej słowo, a źle strawię śniadanie. Nie było wyjścia. Chwyciłam gazetę, rzucając mamie Krysi kąśliwe spojrzenia, i położyłam ją obok siebie na ławie.

– Możesz dać mi słowo, że przejrzysz ten dodatek?

– Tak! – podniosłam głos, bo kończyła mi się cierpliwość.

– Dzisiaj? – naciskała. – Jutro połowa tych ogłoszeń może być już nieaktualna...

– Tak, mam, tak, tak!

Najwyraźniej dla mojej matki coś, co nie przynosiło dochodu, nawet jeśli

poświęcało się temu każdą wolną chwilę, nie było pracą. Według niej nie pracowałam. Krążyła w moim pobliżu jak natrętna mucha przez całe popołudnie, w końcu rozsiadłam się więc w fotelu i zaczęłam przeglądać gazetę, którą mi dała. Bardziej na odczepnego niż z potrzeby serca.

Najwięcej ofert było w działach: budownictwo, przedstawiciele handlowi, praktyka i staże, kierowcy, telemarketerzy, mechanika samochodowa. Raczej nie dla mnie. Ale skoro już zaczęłam, postanowiłam przeczytać wszystkie ogłoszenia co do joty. Czytałam i czytałam, momentami odbiegając myślami bardzo daleko, gdy nagle mnie zamurowało.

Pracownik do zakładu fotograficznego Migawka, najlepiej z doświadczeniem w branży, preferowane wykształcenie kierunkowe. Ścisłe centrum Radomia. Dobre warunki pracy. Numer telefonu...

O matko! O Boże Świąty Boże-e-e! Zerwałam się z fotela po komórkę i już po chwili sprawdzałam, czy numer podany w ogłoszeniu zgadza się z numerem telefonu Michała. Pięć... Zero... Siedem... Ojej, wszystko to samo, cyfra po cyfrze. Serce zabiło mi mocniej. No proszę! A jednak Michał zaczął na poważnie realizować swój zamiar przejęcia zakładu po dziadku. Wiedział, że może liczyć na moją pomoc, mimo to się nie odezwał. Zaraz... Nagle przyszło oprzytomnienie. A co, jeśli jego dziadek zamknął oczy? Szkoda, że nie miałam o tym pojęcia. Może Michał potrzebował wsparcia, pocieszenia, towarzystwa? Jakiś cienki głosik w mojej głowie powtarzał jednak, że raczej nie mojego.

Była jeszcze jedna ewentualność – taka, że Michał zrezygnował z pracy w Migawce i teraz szukał kogoś na swoje miejsce. Od razu popsuł mi się humor, gdy zaczęłam rozważać tę możliwość. Ale przecież widziałam go w zakładzie niedawno, stał za ladą i obsługiwał klientów. Chociaż... to wcale nie znaczyło, że nie nosił się z zamiarem odejścia.

Boże! Podejrzenia dosłownie rozsadzały mi głowę, jeszcze chwila, jeszcze jedno skojarzenie z Michałem, a zwariuję, po prostu odejdę od zmysłów. Dość tego! Jednym ruchem złożyłam gazetę w harmonijkę i postanowiłam zająć się SZCZĘŚLIWYMI POLKAMI.

– I jak – zatrzymała mnie mama Krysią w korytarzu – znalazłaś coś ciekawego?

– O tak.

Moja matka w ułamku sekundy się rozpromieniła.

– Zadzwoń tam?

– Tak, mam – odpowiedziałam, choć bez przekonania – tylko błagam, nie poganiaj

mnie, bo tracę oddech.

Trzy dni do KSP.

Dziś był ostatni dzień dotychczasowego życia Mini. Jutro jako pierwsza z naszej trójki miała skończyć trzydzieści lat. O rany. Na tę okazję zaplanowała kameralną imprezkę u siebie w domu. Zaprosiła mnie i Madzię z Konradem, miała być też – jakżeby inaczej – jej mama. I tyle. O Arku nie wspomniała słowem. Odkąd go wyrzuciła, spotkali się zaledwie parokrotnie – zawsze z jego inicjatywy, pod pretekstem zabrania czegoś, co zostało w mieszkaniu. Z relacji Mini wynikało, że przebąkiwał o powrocie, ale robił to w taki sposób, że czym prędzej chciała, by zszedł jej z oczu.

– Wiesz, co mi powiedział? Coś w tym stylu: „Długo jeszcze zamierzasz się na mnie gniewać? Mogłabyś już wyluzować”. Czujesz? Co za bałwan. Żadnego przepraszam, wybacz mi, no coś ty, w życiu! „Mogłabyś już wyluzować”. Kaja, powiedz mi, czy ja wyszłam za kompletnego prostaka? – Usłyszałam podczas jednej z naszych rozmów.

Tak więc żyli w nieoficjalnej separacji i Mini radziła sobie z tym nad wyraz dobrze. Nie użalała się nad sobą, nie narzekała – chyba taka rewolucja była jej potrzebna, by mogła odzyskać pewność siebie i przemyśleć ważne sprawy.

Ale co mogłam sprawić jej na trzydzieste urodziny? Krążąc po galerii handlowej – tej, w której przed świętami, o Boże, wpadłam na Jacka – wymyśliłam, że najlepsza będzie książka. Mądra – to warunek konieczny. Madzia była w pracy, więc odwiedziłam ją w księgarni i poprosiłam o pomoc.

– Jeju, jak dobrze, że przyszłaś! – Chwyciła mnie pod rękę i poprowadziła do jednego z działów. – Mam propozycję: złożmy się na to.

Na całe szczęście nie była to publikacja w stylu *Idealnego życia na obcasach* – żadnych nadzianych i pięknych bohaterek, które nie mogą opędzić się od adoratorów, by na końcu wybrać księcia z kryształowym sercem, tylko napisany przez znaną satyryczkę leksykon dla kobiet w naszym wieku: *Wszystko, co musisz, możesz i powinnaś zrobić po trzydziestce*.

– Przysięgam, jest świetna. Autorka zebrała mnóstwo aforyzmów, cytatów i powiedzonek. – Madzia z entuzjazmem otworzyła leksykon mniej więcej w połowie. – Posłuchaj na przykład tego: „Mądra kobieta ma miliony naturalnych wrogów: wszystkich głupich mężczyzn”. Albo czekaj, to jest lepsze! „Najbardziej rozczarowane małżeństwem są te kobiety, które wyszły za mąż, aby nie pracować”.

Skrzyżowałyśmy spojrzenia i na moment zamilkłyśmy, trochę skonsternowane.

Chyba obie pomyślałyśmy o tym samym – że to zdanie może pasować do Mini. I w jednej chwili zrobiło nam się głupio.

– Okej, super – rzuciłam, wierząc się w miejscu.

– Tak, właśnie, to co, bierzemy ją? – Madzia zatrzasnęła książkę i wepchnęła sobie pod pachę. Na jej policzkach pojawiły się czerwone placki i ja też poczułam uderzenie gorąca. Czarownice z nas.

– Bierzemy, bierzemy. Na pewno spodoba się Mini – stwierdziłam. – Zrobię tort.

– O rany, a ja się odchudzam! – pisnęła Madzia i zakryła sobie usta dłonią. – Zrzuciłam już pięć kilo – dodała, nachyliwszy się w moją stronę. – I wreszcie mam BMI w normie. – Rozpromieniła się.

– Wspaniale, cieszę się, kochana. To co to za dieta?

Nagle spuściła wzrok.

– Oj, będziesz się śmiała.

– No coś ty, w życiu – zapewniłam ją i Madzia popatrzyła na mnie ufnie.

– Paleo.

– Jaka?

– Paleo, dieta paleolityczna. Generalnie jem to, co jaskiniowcy – wytłumaczyła i nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem. – Rany, ale idiotycznie to brzmi. – Chichotała w najlepsze, a ja razem z nią.

Gdy uścisnęłyśmy się na pożegnanie, faktycznie było jej mniej.

Wieczór spędziłam w kuchni nad książką *Moja kuchnia na słodko* Renaty Gołębiewskiej. Z pomocą mamy Krysi (która, co za ulga, nie wspomniała słowem o mojej pracy czy raczej jej braku) robiłam czekoladowy tort rozpustę. Prezentował się obłędnie – biszkopt, krem z mlecznej i białej czekolady, kandyzowane wiśnie. Pomyślałam, że jeśli Madzia mu ulegnie, to jej BMI może być w opałach.

Z ciekawości przed snem wyliczyłam swoje BMI. Uf. Było w porządku.

Dwa dni do KSP.

Obudziłam się, spojrzałam na kalendarz i serce załomotało mi w piersi. Dwa dni do kongresu. *Dwa!* Jeju. Rany. Tylko dwa króciutkie dni.

Lecz dziś był osiemnasty maja. Sięgnęłam po komórkę.

– Dzień dobry – przywitałam się radosnym głosem.

– Cześć, gwiazdo – odparła Mini. – Wcześniej już nie mogłaś zadzwonić?

Rzut oka na zegar ścienny: ósma czterdzieści dwie.

– O Boże, obudziłam cię?

– Nie, nie, ale szczerze mówiąc, leżę i się lenię. – Zaśmiała się.

– I bardzo dobrze. Pewnie wiesz, dlaczego dzwonię. Kochana, co ja tu będę gadać.

– Wzięłam głęboki oddech. – Życzę ci, żebyś była szczęśliwa, po prostu.

– Wielkie dzięki. – Ona również westchnęła.

– A jak się czujesz? Podobno trzydziestka to przełomowy moment w życiu kobiety.

– E tam, guzik prawda. Na razie nic się nie zmieniło. Zobacz, Kajka, jak to jest. Czekasz na trzydziestkę jak głupia, przychodzi ten dzień i nagle się okazuje, że w zasadzie nic się nie dzieje. Trzydziestka, zawracanie głowy, olaboga. Będziecie o szóstej?

– Będziemy – potwierdziłam z przyjemnością. Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, ale trzeba było się pożegnać, bo Mini miała śniadanie (w ramach urodzinowego prezentu pani Alinka zafundowała jej posiłek do łóżka).

Godzina osiemnasta nadeszła bardzo szybko. Zapakowałam tort (och, jak on pachniał!) do plastikowego pojemnika, podmałowałam się, żeby poczuć się lepiej w swojej skórze, z włosów zrobiłam coś na podobieństwo ptasiego gniazda i byłam gotowa do wyjścia. Złapałam taksówkę (prowadziła kobieta, chwała Bogu, bo nieszczęśliwie miałam ochotę na flirtopodobną pogawędkę) i po parunastu minutach już pukałam do drzwi mieszkania Mini. Madzia z Konradem dotarli kwadrans później. Gdy weszli do pokoju, od razu zwróciłam uwagę, że Madzia faktycznie schudła. Widocznie dieta jaskiniowców jej służyła. Konrad też wyprzystojniał. Wyglądali na bardzo zakochanych.

Pani Alinka, jak miło, poprzyczepiała do mebli balony i kolorowe serpentyny. Rozsiedliśmy się na kanapie i krzesłach; pani Alinka zabrała się do krojenia tortu (chwilę wcześniej Mini pomyślała życzenie i zdmuchnęła symboliczną świeczkę) i wzdychała pełna zachwytu („Ależ pięknie pachnie, pięknie!”, „Co za aromat!”, „Ma chyba z milion kalorii, co, księżniczko?”). Nałożyła na talerzyki słodkie trójkąty i rozdała je biesiadnikom (nawet Madzi, choć jej, jak sobie życzyła, ukroiła mniejszą porcję), a następnie zaczęła wygłaszać mowę.

– Malwinko, wiem, że czasem się nie zgadzamy, że czasem masz mnie dosyć...

Mini przewróciła oczami, a ja, Madzia i Konrad zaśmialiśmy się.

– ...ale jesteś najważniejszą osobą w moim życiu i – dyskretnie otarła sobie łzę spod oka – w tym wielkim dniu życzę ci, żeby spełniły ci się wszystkie marzenia, żebyś była ciągle taka kochana, piękna i zdro... – nie dokończyła, bo rozkleiła się całkowicie i Mini musiała wstać z miejsca, by mocno ją przytulić i pomóc jej dojść do siebie.

Madzia spojrzała na mnie i w zabawny sposób wybałuszyła oczy. Cieszyłam się, że byliśmy w takim, a nie innym składzie. Każdy z nas, nawet rodzynek Konrad, mógł czuć się jak wśród członków najbliższej rodziny. I było to niezwykle.

Przyszedł czas na prezenty. We trójkę podarowaliśmy Mini sześciusetstronicowy leksykon, którym od razu się zachwyciła. Wprost nie mogła się od niego oderwać – przeglądała z uwagą stronę po stronie, śmiejąc się pod nosem i kiwając głową. Dobrze wiedzieć, że trafiliśmy w jej gust. Gdy wreszcie nacieszyła nim oczy, książka zaczęła przechodzić z rąk do rąk, aż w końcu trafiła do mnie. Przeglądałam ją, popijając półsłodkie wino i co jakiś czas biorąc udział w dyskusji (pani Alinka właśnie rozplýwała się nad panem Jankiem; za godzinę mieli iść do teatru i Madzia chciała usłyszeć na jego temat coś więcej). Po przejrzaniu leksykonu odłożyłam go na stojący z boku stolik i zauważyłam, że na blacie leży jakaś książka. Wzięłam ją do rąk. George Orwell, *Rok 1984*.

Zmarszczyłam czoło.

– Mini, czytasz to?

Posłała mi niepewne spojrzenie i wzruszyła ramionami.

– A co ty się taką fanką Orwella zrobiłaś? – jęknęła Madzia. – Najpierw *Folwark zwierzęcy*, teraz to.

– Ale to świetna książka! – oburzyła się Mini i wyrwała mi ją. Znalazła stronę z zagiętym rogiem, jedną z wielu, i zaczęła czytać. – Zaznaczam sobie najlepsze fragmenty. Na przykład taki: „Normalność nie jest kwestią statystyki”. Albo – parę stron dalej: – „Są rzeczy, własne czyny, po których nie można wrócić do siebie”. – Kilka kolejnych stron do przodu. – O, to jest dobre: „Wolność oznacza prawo do twierdzenia, że dwa i dwa to cztery. Z niego wynika reszta”.

Ja, Madzia i Konrad zerknęliśmy na siebie dyskretnie i widziałam po ich twarzach, że nie wiedzą, co powiedzieć. Mini cytująca George’a Orwella – chyba nam się to śniło. Musiała zdać sobie sprawę, że jesteśmy w szoku, bo zatrzasnęła *Rok 1984* i rzuciła go na szafkę, gdzie wylądował obok pisma z sandałami za siedem tysięcy. Czyli jednak wciąż była sobą.

– No dobra, to może teraz my coś powiemy – przemówiła Madzia, wyprostowała się i złożyła dłonie na kolanach. Wyglądała jak dziewczynka, która szykuje się do wyrecytowania wiersza. – Mamy nowinę.

Cisza. Wzrok pani Alinki znad talerzyka, moje spojrzenie błyskawicznie skrzyżowane ze wzrokiem Mini, stęknienie tej ostatniej. („Mamy nowinę” to takie samo stwierdzenie klucz jak „Awaria”. Używałyśmy go w przełomowych momentach naszego życia, gdy zamierzałyśmy podzielić się czymś ważnym. A słowo „mamy” wskazywało, że sprawa dotyczy ich obojga. Postanowili się zaręczyć? A może nie czekać i wziąć

szybki ślub? Madzia jest w ciąży? Czy to nie głupio zazdrościć najlepszej przyjaciółce?)

Madzia złapała Konrada za rękę, uśmiechnęła się do niego i oznajmiła:

– Chcemy razem zamieszkać.

Tak, to bardzo głupio zazdrościć najlepszej przyjaciółce. Ale na szczęście było we mnie jeszcze jedno, znacznie silniejsze uczucie – szczerą radość.

– Och, to bombowo! – zawołała Mini i rzuciła się jej w objęcia. Nie słyszałam dotąd, aby używała tego słowa.

– Tak, naprawdę super. – Uścisnęłam Madzię; Mini przytuliła troszkę zdeorientowanego Konrada.

Trzecia w kolejce do ściskania była pani Alinka, która wycalowała ich oboje i w ramach uczczenia nowiny nalała wszystkim „po koniaczku”. Przez następne pół godziny mówiła głównie Madzia – gdzie będą mieszkać (u niej), co z pracą Konrada (był informatykiem, więc w zasadzie mógł pracować wszędzie) i czy to nie za wcześnie (wymknęło się Mini. Nie, kochają się, chcą być ze sobą, a poza tym są parą prawie od pół roku. Matko, jak ten czas leci!).

Niedługo potem pani Alinka wymknęła się z pokoju i wróciła do nas po dłuższej nieobecności, nieprzyzwoicie wystrojona. Natapirowana, uszminkowana, wyperfumowana, obwieszona koralami i ciężkimi bransoletami, wciśnięta w stanowczo za kusą sukienkę w kolorze ostrego fioletu. Widziałam po Mini, że ma ochotę zapaść się pod ziemię.

– Mamo, na Boga, co to ma być? – jęknęła, krzywiąc się.

Pani Alinka podparła się pod boki, jakby pozowała na czerwonym dywanie.

– Mój nowy nabytek, boska sukienka koktajlowa, upolowana na ciuchach. – Zrobiła obrót. – Grosze za nią dałam, grosze, grosze!

– Nie pytam o sukienkę – zagrzmiała Mini i zlustrowała matkę od stóp do głów. – Pytam o *to wszystko*.

Pani Alinka zrobiła urażoną minę. Złożyła ręce na brzuchu i przyjrzała się sobie niepewnie.

– Jezuniu, coś nie tak?

– Boże święty. – Mini uderzyła się dłonią w czoło i zaczęła kręcić głową.

– Nie, nie, wszystko jest w porządku – powiedziałam pani Alince i posłałam jej uśmiech. – Wygląda pani... bombowo.

Natychmiast wrócił jej humor; siedząca obok Mini wytrzeszczyła na mnie oczy i zrobiła minę, jakby zobaczyła ducha, ale siedziała cicho.

– Pani Alinko, wychodzi pani z panem Jankiem? – zapytałam.

Cała się rozchmurzyła. Kochana nasza ciociobabcia.

– Tak, tak. – Zerknęła na zegarek, duży, złoty i błyszczący. – W teatrze grają jakąś nową sztukę, podobno całkiem niezłą, i Janek kupił dla nas bilety, ależ on umie wszystko załatwić, wszystko, wszystko, a poza tym to bardzo uduchowiony człowiek, chadza do teatru, na wystawy, ach! – Tak raptownie podniosła głos, że aż się przestraszyliśmy. – Kaja, księżniczko, Janek widział tę twoją wystawę i kazał ci przekazać, że mu się podoba.

– O, to miłe, dziękuję.

Mini znowu wytrzeszczyła oczy.

– No, więc zaraz wychodzimy – kontynuowała pani Alinka. I dokładnie w tym momencie, nie do wiary, rozległ się dzwonek. – O rany, co za punktualność! – zawołała cała w skowronkach i wybiegła z pokoju. – Już otwieram, już otwieram! – krzyczała, choć pokonanie drogi do drzwi zajęło jej stanowczo za dużo czasu; pewnie zatrzymała się przed lustrem, by poprawić makijaż i fryzurę. Usłyszeliśmy dźwięk przekręcanego zamka i ciche:

– O, dzień dobry. To do nas?

– Czyżby to jednak nie absztyfikant mojej matki? – zakpiła Mini i naląła sobie koniaku do kieliszka. – Kompletnie jej odbiło na stare lata.

– Oni tak na poważnie? – spytała Madzia półszepem.

– A, daj spokój. – Mini machnęła ręką. – Nie pytam, wolę nie wiedzieć, nie chcę, aby mnie zemdliło. Ale chyba się ze sobą spotykają. Bo przecież nie powiem, że ze sobą *chodzą*.

Siedziała z tak skrzywioną miną, że aż chciało się jej podać gaz rozweselający. Gdy jednak pani Alinka wróciła do pokoju z ogromnym bukietem wspaniałych czerwonych róż i spojrzała na córkę wymownie, Mini od razu się ożywiła, choć jednocześnie wyglądała na zaskoczoną.

– To dla ciebie – oznajmiła pani Alinka.

Mini zerwała się z kanapy z prędkością światła i zaćwierkała:

– Od kogo?!

– Nie wiem, kurier nie powiedział. Ale czekaj, tu jest bilecik. – Matka podała jej nieduży kolorowy kartonik, który Mini chwyciła łapczywie i natychmiast zaczęła czytać. Obserwowaliśmy w ciszy, jak jej duże, starannie umalowane oczy prześlizgują się po papierze. A kiedy skończyła, spojrzała na nas z wyrazem wielkiego osłupienia na twarzy.

– Trzymajcie mnie, o rany. To od Arka.

Rozdział 40

Choć powinno wydawać się naturalne, że kobieta w dniu swoich trzydziestych urodzin dostaje kwiaty od męża, to jednak byliśmy zszokowani. Jak diabli! To było zupełnie nie w stylu Arka. Do niego bardziej pasowało: „No... więc... tego, sto lat”.

– O-mój-Bo-że – wymamrotała pani Alinka i zapadła się w fotelu; najwidoczniej to była ostatnia rzecz, jakiej spodziewała się po swoim zięciu.

– Co napisał? – zapytałam.

Mini popatrzyła na mnie nieobecny wzrokiem; dopiero po chwili zajrzała do bilecika, przełknęła ślinę i przeczytała:

– „Wiem, że nie jestem ideałem. Ale w takim dniu jak dziś myślę o Tobie szczególnie. Wszystkiego najlepszego, Arek”.

– Co? – zachrypiła pani Alinka.

– No nie – westchnęła Madzia.

– Poważnie? – stęknęłam.

– Jestem w szoku, że w ogóle pamiętał – dodała mama Mini i opuściła pokój, bo ktoś znowu zadzwonił do drzwi. Po: „och, witaj, Jasiu, witaj” wiedzieliśmy już, kto przyszedł.

Coś się zmieniło. Resztę wieczoru spędziliśmy we czwórkę, ale atmosfera była inna niż na początku, bardzo przyjemna, choć trochę dziwna. Kiedyś, przez jakiś czas, Madzia ważnym wydarzeniom przypisywała konkretny znak interpunkcyjny. Udana impreza była wykrzyknikiem, rozmowa kwalifikacyjna zazwyczaj znakiem zapytania, a kolejna randka z tym samym facetem – przecinkiem. Do obecnej sytuacji najbardziej pasował wielokropek.

Mini umieściła róże w szklanym wazonie, który postawiła na stoliku obok *Roku 1984 i Wszystkiego, co musisz, możesz i powinnaś zrobić po trzydziestce*. Bilecik od Arka ścisnęła w dłoniach i zerknęła na niego co jakiś czas, uśmiechając się subtelnie – z wyraźnymi rumieńcami na policzkach – do samej siebie. Trudno powiedzieć, kto był w większym szoku po tym, co się stało: my czy ona.

– To naprawdę miło ze strony Arka – stwierdziła Madzia, gdy kilkanaście minut po dwudziestej drugiej, najedzeni tortem i upojeni winem oraz koniakiem, zbieraliśmy się do wyjścia.

– Ja też muszę to obiektywnie przyznać – dodałam szczerze. Przeszło mi przez myśl, choć tego nie powiedziałam, że gdyby Arek zapomniał o urodzinach Mini, ich małżeństwo naprawdę zawisłoby na włosku.

– Ja też, choć nie jestem w temacie – odezwał się Konrad i zabrzmiało to tak zabawnie, że roześmiałyśmy się równocześnie.

– Dzięki, kocham was. – Mini ucałowała nas czule, choć było widać, że buja w obłokach, myślami jest nieobecna, jakby zamroczona.

– Napiszesz do niego? – zapytałam ją w progę.

Wzruszyła ramionami.

– Chyba nie. Nie wiem. Może.

Wracaliśmy jedną taksówką; ja z przodu, a Madzia z Konradem, gruchający jak gołąbki, z tyłu. Kierowca, owszem, był niczego sobie, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Wbiłam wzrok w szybę i pogрузyłam się we własnych myślach.

„Wiem, że nie jestem ideałem. Ale w takim dniu jak dziś myślę o Tobie szczególnie”. Wiele bym dała, żeby po rozstaniu z Jackiem dostać od niego taką wiadomość. Nasz związek zakończył się w połowie lipca; urodziny miałam ostatniego dnia tego miesiąca. Mógł napisać, gdyby chciał. Lecz tego nie zrobił. Zaczęłam się zastanawiać, jak wyglądałoby teraz moje/nasze życie. Za dwa dni byłabym Kają Redo-Urbańską. Poczułam ukłucie żalu, ale z drugiej strony pewnie wtedy nie byłoby SZCZĘŚLIWYCH POLEK, wystawy, kongresu, nie poznałabym tylu Błękitnych Dziewczyn. Może w życiu zawsze musi być coś za coś?

Jeden – o matko – dzień do KSP.

Maj był naprawdę uroczy. Ciepły i słoneczny, pachnący bzem i cudowną świeżością. Każdy dzień był pełen bajecznych kolorów. Uwielbiam tę porę roku. Uwielbiam tak bardzo, że gdy przemija, psuje mi się humor. Dzisiaj nie myślałam jednak o przemijaniu. Myślałam o tym, że w tym roku wszystko stanęło na głowie. Zamiast robić karierę, straciłam pracę. Zamiast szykować się do ślubu, byłam sama. Zamiast planować kupno mieszkania z ukochanym, wprowadziłam się do rodziców. I wciąż nie wiedziałam, co mogłabym napisać na swojej kartce.

Ale równocześnie wydarzyło się coś, czego nigdy bym się nie spodziewała, coś, co okazało się wręcz szokujące. Coś, co można nazwać cudowną przemianą.

Kiedy w południe rozbrzmiała moja komórka i spojrzałam na wyświetlacz, by sprawdzić, kto dzwoni, osłupiałam.

– Cześć – przywitałam się kompletnie zaskoczona.

I Arek odpowiedział:

– Cześć, Kaja. Nie przeszkadzam?

Nie-do-wia-ry. Arek Filipek dzwoniący do mnie i pytający, czy nie przeszkadza?! Był bardzo uprzejmy, trochę wycofany i chciał się spotkać. Dzisiaj, jak najprędzej. „W sprawie Malwiny”.

– Zajmę ci góra pół godziny. Zgódź się, proszę, to bardzo ważne.

Co miałam zrobić? Odmowa nie wchodziła w grę, bo to byłoby nie w porządku wobec Mini, szczególnie po tym, jak ucieszyły ją róże i życzenia od niego. A poza tym, nawet mimo że nie lubiłam Arka, każdy zasługiwał na drugą szansę.

– W porządku – powiedziałam. – Gdzie się spotkamy?

Niespełna godzinę później siedziałam przy stoliku w Słodkiej Babce. Zamówiłam zieloną herbatę z anyżem i spoglądając w stronę drzwi, nerwowo przebierałam nogami – za pięćdziesiąt pięć minut miałam spotkać się z wiceprezydentem Klwowskim i było jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia przed kongresem. Na szczęście po chwili pojawił się Arek. Rzut oka na jego twarz wystarczył, bym zauważyła, że wygląda inaczej. Pozornie nie zmienił się wcale, a jednak nie miał już tej zaczepnej, wrogiej miny, która trzymała się go jak maska. Wkroczył do lokalu skulony i cichy; na mój widok uśmiechnął się łagodnie, a jednocześnie było widać, że spłynęło na niego wszechogarniające uczucie ulgi.

– Cześć, Kaja, dzięki jak nie wiem co, że przyszedłeś – powiedział na powitanie, z trudem opanowując drżenie głosu. Usiadł naprzeciwko.

Klękajcie, narody! Czy on naprawdę zwrócił się do mnie w ten sposób?!

Zamówił szklankę wody; nie zajmowałam go rozmową. Ciągle byłam na niego wściekła. Wolałam, żeby to on mówił. W końcu spotkaliśmy się z jego inicjatywy i to on miał do mnie sprawę.

– No dobra, nie będę owijał w bawełnę – odezwał się, przepłukawszy gardło. – Chciałem z tobą porozmawiać o Malwinie. Powiedz mi, jak ona się czuje? Wszystko u niej w porządku?

To miłe, że o to pytał, a jednocześnie bardzo nie na miejscu. Uniosłam brwi.

– Ja wiem, że sam powinienem to wiedzieć – mówił dalej. – Wiem, co sobie myślisz...

Doprawdy?

– Wiem, że za mną nie przepadasz.

– To nie tak, że za tobą nie przepadam – stwierdziłam. – Po prostu nie podoba mi

się sposób, w jaki traktujesz Mi... Malwinę, i ty dobrze o tym wiesz.

Zaczął szybko kiwać głową, jak ręcznie nakręcana zabawka. Kolejny łyk wody.

– Jezu, zawałem na całej linii, totalnie spieprzyłem sprawę – mówił czy raczej kajał się, a ja pozwalałam mu się wygadać. – Tak, masz całkowitą rację, nie byłem wobec niej do końca w porządku, nie chcę się tłumaczyć, po prostu wreszcie to wszystko do mnie dotarło.

Lepiej późno niż wcale, pomyślałam.

– Ona na serio mówiła o tym dziecku. – Spojrzał mi w oczy. – A ja zachowałem się jak ostatni dupiek, nakrzyczałem na nią; nie zasłużyła sobie na to. Chyba spanikowałem i wolałem rzucić całą winę na nią, żeby to jej zrobiło się głupio. Ciężko przychodzi mi przyznanie się do błędu.

Słodki Jezu, naprawdę to powiedział?

– A gdy rozkraczył jej się samochód na środku ulicy i zadzwoniła do mnie, bym jej pomógł...

– Dałeś ciała jak cholera. Nie powiem, że przez ciebie, chociaż być może, ale wyładowałyśmy wtedy na komisariacie – wygarnęłam mu prosto z mostu i szybko odgoniłam od siebie wspomnienie Roberta Wysockiego, niewiernego policjanta.

– Rany, wiem, Kaja, pamiętam. Byłem strasznym palantem.

– A teraz już nie jesteś? – Ups, wyrwało mi się. Wbił we mnie błędne spojrzenie.

– Nie, to znaczy, mam nadzieję, że nie. Wiesz, ja się zmieniłem... – mówił nerwowo, popijając łąpczywie wodę. – Kiedy kazała mi się wynosić, to jakoś szczególnie się nie przejąłem, pomyślałem sobie, że pewnie jeszcze tego samego dnia zadzwoni i będzie mnie błagała, żebym wrócił... A poza tym męska duma nie pozwoliła mi prosić, aby zmieniła zdanie. Skoro kazała mi spakować manatki, to pomyślałem sobie: „Dobra, jak jesteś taka mądra, to proszę bardzo, zobaczymy, kto tego pierwszy pożałuje”. No, ale, jak pewnie wiesz, przeliczyłem się. Kurde, Kaja, w życiu bym się nie spodziewał, że ona tak na poważnie, że na serio każe mi się wynieść.

Widziałam, że się denerwuje. I że bardzo to wszystko przeżywa.

– Brakuje mi jej, strasznie mi jej brakuje, chyba dobrze, że mnie wyrzuciła, bo mogłem sobie to wszystko przemyśleć i sporo rzeczy do mnie dotarło. – Na moment spauzował. – Wiem na pewno, że kocham Malwinę i nie mogę bez niej żyć.

O. Jezu. Chryste. O. Matko. Boska.

– Chciałem, żebyśmy się pogodzili, ale jakoś nie umiałem się zdobyć na przeprosiny. Chyba mam to po ojcu – wypalił nagle, a ja otworzyłam oczy ze

zdumienia. – On też jest bardzo zasadniczy, nigdy nie przyzna się do błędu, a już przepraszać kobietę to nie w jego stylu, nawet jeśli wie, że zawalił. Moja matka wiele razy przez niego płakała.

– No to skoro wiesz, że twoja mama przez niego płakała – zareagowałam raptownie – to dlaczego zachowujesz się tak samo jak on? Geny cię nie tłumaczą.

– Wiem, tak, masz rację, nic mnie nie tłumaczy... Po prostu zastanawiałem się, co mną kieruje... – Głęboko odetchnął; wyglądał na zmęczonego. – Ale Malwina ma silny charakter, nie pozwoli sobą pomiatać. To znaczy może i pozwalała, ale jak widzisz, do czasu. Wczoraj miała trzydzieste urodziny... Miałem przyjechać i złożyć jej życzenia osobiście, ale bałem się, że tylko ją tym zdenerwuję, a nie chciałem psuć jej humoru w takim dniu. Wysłałem jej bukiet róż...

– Wiem, dotarł, byliśmy wtedy u Mini.

Wzdrygnął się na dźwięk przezwiska swojej żony, które wymówiłam głośno i wyraźnie – pierwszy raz w czasie tej rozmowy – lecz tego nie skomentował.

– O rany, tak? Ty i kto jeszcze?

I w tym momencie Arek przeszedł sam siebie: zaczerwienił się.

– Tylko ja, twoja teściowa i Madzia z Konradem. Było kameralnie.

– Aha, w porządku – odparł i odetchnął, jakby się bał, że jacyś obcy ludzie będą świadkiem tej krępującej sceny i jego gestu. – To pewnie wiesz, co napisałem na bileciku.

– Wiem. Wydaje mi się, że dobrze zrobiłeś.

Wyciągnął głowę w moją stronę.

– Poważnie? – ucieszył się. – No, ale Malwina nie odpisała...

– Może jeszcze odpisze. – Ku swojemu zdziwieniu zdałam sobie sprawę, że go pocieszam, jestem po jego stronie.

– Ja naprawdę chcę, żebyśmy znowu byli razem, tak dłużej być nie może.

– No dobrze, Arek, cieszę się – odparłam całkiem szczerze – ale jaka moja w tym rola? Ja Mini za ciebie nie przeproszę.

– Nie, nie, nie spotkałem się z tobą, by cię o to prosić. – Przetarł czoło. Był spocony, pewnie z emocji. – Tylko pomyślałem sobie... Że może byś się za mną wstawiła... Porozmawiała z Malwiną o mnie. Nie mów jej, że się z tobą spotkałem, ale możesz ją namówić, żeby się ze mną pogodziła. Tylko ciebie wysłucha, będę się wtedy czuł pewniej, choć oczywiście resztę wezmę na siebie.

Jego słowa docierały do mnie powoli, ale brzmiały w mojej głowie wyraźnie. Chciał, żebym się za nim wstawiła. Żebym porozmawiała z Mini na jego temat

i namówiła ją, by do siebie wrócili. Gorączkowo rozmyślałam nad tym, co właśnie usłyszałam, czując, że jestem w potrzasku. Co mu odpowiedzieć? Jeszcze kilka miesięcy temu, gdyby poprosił mnie o coś takiego, powiedziałabym mu do słuchu z nieskrywaną satysfakcją i cieszyłabym się, że Mini nie będzie już żoną takiego bałwana. Bo był złym, słabym człowiekiem.

Teraz jednak... Och, to było takie skomplikowane! Siedział przede mną zupełnie inny Arek Filipek i, Bóg mi świadkiem, wierzyłam w każde jego słowo. Widziałam, że się zmienił, że nie jest tą samą osobą, którą Mini wyrzuciła z domu. Pierwszy raz z jego ust usłyszałam, że ją kocha i nie może bez niej żyć. Rzadko który facet zdobyłby się na takie wyznanie.

Nie miałam prawa decydować za Mini, czy chce ratować swoje małżeństwo. Ale nie mogłam też przykładać ręki do tego, by się ono rozsypało. Gdybym teraz odmówiła Arkowi, jak bym się czuła, gdyby się okazało, że jednak się rozeszli?

– Posłuchaj, Arek – odezwałam się w końcu. – Nie będę się na tobie wyżywać, bo wszystko, co miałam ci do powiedzenia, powiedziałam ci wtedy u was, gdy Mini stanęła po twojej stronie. Nie możesz mnie teraz prosić, żebym wychwalała cię przed nią pod niebiosa i namawiała ją, by ci przebaczyła. Ale jedno możesz zrobić.

Słuchał mnie uważnie, w bezruchu, ciężko oddychając.

– Jutro jest w Radomiu Kongres Szczęśliwych Polek...

– Tak, wiem, gratuluję.

– Skąd wiesz, że za tym stoję? – zdziwiłam się.

– Pamiętam, że założyłaś taką stronę na Facebooku, a poza tym widziałem reportaż z tobą w roli głównej i wystawę, pokójarzyłem fakty i tyle.

Uśmiechnęłam się mimo woli.

– Dzięki. Więc jutro jest ten kongres, pewnie skończy się koło trzeciej, Mini tam będzie. Przyjdź na zakończenie, a może zdołam ci jakoś pomóc.

Mogłam spodziewać się wszystkiego, ale nie tego, że Arek zerwie się z krzesła i przylgnie do mnie niczym dziecko, któremu obiecano wymarzoną zabawkę. Było jednak w tym coś miłego, szczerego, a ponieważ szczerłość ceniłam ponad wszystko, poklepałam go po ramieniu i rzuciłam:

– Rany, Arek, nie rób scen, lepiej zachowaj energię na jutro.

Zachichotał, a gdy wrócił na miejsce, zauważyłam, że w oczach zebrały mu się łzy, które szybko otarł, pociągając nos.

– Przybłąkała się do mnie jakaś alergia, kurde.

A ja uśmiechnęłam się do niego, puściłam ten komentarz mimo uszu i coś sobie

uświadomiłam – taki Arek zasługiwał na uczucie Mini.

Rozdział 41

Nie pierwszy raz leciałam samolotem, ale tym razem denerwowałam się jak nigdy przedtem. Wyobrażałam to sobie tak: wysiadam na Heathrow, łapię taksówkę, przyjeżdżam na miejsce, wchodzę do mieszkania pod piątką, widzę Jacka i rzucam się mu w objęcia. Kurczowo trzymałam się myśli, że tak będzie, choć jakiś wewnętrzny głos cały czas próbował sprowadzić mnie do parteru, studził temperaturę moich marzeń.

Myślałam o tym w ten sposób, bo bardzo potrzebowaliśmy takiego spotkania. Odkąd Jacek wyprowadził się do Londynu, było nam ciężko. Pierwszy miesiąc okazał się piekielnie trudny. Ja sama jak palec w naszym mieszkaniu, a on tam. Kiedy miałam czas na rozmowę, to nie miał go Jacek i na odwrót. Zamiast: „Kocham cię i tęsknię” wciąż: „U mnie to, to i to, nawet nie mam czasu odpocząć, a ty jak sobie radzisz? To dobrze, że dobrze”. Czułam, że coś się zmienia, że coś wymyka nam się z rąk.

Jacek przesyłał mi swoje zdjęcia na tle Big Bena, słynnego diabelskiego młyna, dwupiętrowego autobusu, charakterystycznej czerwonej budki telefonicznej czy ze stadionu Chelsea. Roześmiany, w otoczeniu nowych znajomych, wśród których nie brakowało dziewczyn. Wyglądał na szczęśliwego. Jedno nie ulegało jednak wątpliwości. Stawaliśmy się sobie obcy, odległość zabijała nasze uczucie jak złośliwy nowotwór, docierało do mnie, że oboje żyjemy własnym życiem, że się od siebie nieuchronnie oddalamy.

Złapałam taksówkę i kazałam się zawieźć pod wskazany adres. Pogoda, na szczęście, dopisywała – tylko tego brakowało, żeby spadł deszcz. Miałam nadzieję, że Jacek będzie w domu. Zerknęłam na rozpiszę jego zajęć; w czwartki kończył wcześniej, więc od jakiejś godziny powinien być u siebie.

Wysiadłam przed wąską kilkupiętrową kamienicą z brązowej cegły, której okna poprzecinane były białymi listewkami. Budynek niewątpliwie miał już swoje lata, ale idealnie pasował do klimatu okolicy. Ulica, przy której zostawił mnie tęgi, wesoły taksówkarz, była ruchliwa.

A więc to tutaj. Dotąd znałam to miejsce jedynie ze zdjęć, a teraz widziałam je na żywo. I nagle jeszcze mocniej, całą sobą od stóp do głów, poczułam, że Jacek naprawdę się tu przeprowadził, że to tu wiódł teraz swoje życie. To było jak uderzenie obuchem w głowę. Intensywne, dziwaczne, bolesne doznanie. Nabrałam do

płuc powietrza i ze skrzygnięciem pchnęłam frontowe drzwi.

Klatka schodowa była mroczna, nieprzyjemnie zimna i raczej obskurna – pomyślałam, że nie trzeba się wyprowadzać za granicę, by mieszkać w takich warunkach, bo w Radomiu podobnych miejsc jest na pęczki. Na parterze znajdowały się trzy mieszkania. To z numerem pięć musiało być na piętrze. Schody zgrzytały okropnie, gdy się po nich wspinałam (całe szczęście, że miałam tylko bagaż podręczny). Zerkiałam na miedziane tabliczki w kształcie rombu: cztery... pięć. Och, to tutaj! Do mieszkania Jacka wchodziło się przez duże masywne drzwi w dziwacznym kolorze; ni to brąz, ni grafit, ni khaki. Wyglądały na zbutwiałe.

Zrobiło mi się go żal, że mieszka w takich warunkach. Organizatorzy konkursu, co prawda, wypłacali mu stypendium, ale niestety nie za wysokie – a przynajmniej nie na tyle, by Jacek mógł wprowadzić się do lokalu, którego nie powstydziłby się londyńczyk. Na razie mieszkał więc z Markiem i czekał, „aż trafi się coś lepszego”.

Nie było na co czekać. Wcisnęłam dzwonek. Cisza. Ponownie. Znowu cisza.

– Hej, Jacek! Jesteś tam? – krzyknęłam w końcu, choć wolałam tego uniknąć – jeśli rozpozna mój głos, a było to wielce prawdopodobne, nici z niespodzianki.

Wciąż żadnej reakcji. Cholera. Mieszkanie najwyraźniej było puste. Pomyślałam, że zadzwonię do Jacka. Niby ot tak, by porozmawiać, zapytać, gdzie jest i jak spędza czas. Nie było szans, żeby się domyślił, że stoję przed drzwiami jego mieszkania. Lecz również tym razem nie miałam szczęścia. Telefonowałam trzykrotnie – nie odebrał. Gdy chciałam po raz czwarty wybrać jego numer, dostałam wiadomość: „Jestem na zajęciach, nie mogę rozmawiać, odezwę się później”.

W ciągu ostatniego miesiąca podobnych SMS-ów odebrałam chyba z tuzin. Wyglądało to tak, jakby Jacek wysyłał mi te wiadomości z szablonu, nie kłopotząc się, by dodać coś od siebie. Ponownie zerknęłam na kartkę z rozkładem jego zajęć – czarno na białym miałam napisane, że prawie dwie godziny temu powinien był je skończyć. Ale może coś mu się przedłużyło, pomyślałam, albo miał nowy plan, którego z jakiegoś powodu mi nie podesłał.

Rozsiadłam się na szerokim parapecie brudnego okna i rozprostowałam nogi. Co za ulga. To całe odprawianie się na lotnisku, czekanie na lot, ponad dwie godziny w ciasnym fotelu i przeprawa przez Londyn, mimo że urokliwy, bardzo mnie zmęczyło. Miałam nadzieję, że dobrze spożytkujemy trzy dni, które zamierzałam tu spędzić.

Ale czekanie wydawało się nie mieć końca. Jacek, pomimo swojej zapowiedzi, nie odezwał się do mnie. Nie dał znaku życia nawet po godzinie, którą spędziłam na zimnej klatce schodowej, w nienaturalnej pozycji, przysypiając od czasu do czasu. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy mogło mu się coś stać, szybko jednak

odgoniłam tę myśl. Ktoś musiał się w końcu pojawić – jeśli nie Jacek, to przynajmniej Marek. W pewnym momencie poczułam, że muszę skorzystać z toalety, pełny pęcherz domagał się natychmiastowego opróżnienia. Co miałam zrobić? Bo chyba nie zapukać do pierwszego lepszego mieszkania i zapytać, czy mogę do WC... W takich chwilach zazwyczaj wyostrzały mi się zmysły i gdy zsunęłam się z parapetu, zauważyłam uchylone drzwi po drugiej stronie korytarza. Były węższe niż pozostałe i nie miały tabliczki z cyferką. Podeszłam do nich i zajrzałam do środka. Ciemno jak w grobie. Tuż przy futrynie, na wysokości wzroku, wymacałam włącznik. Pstryk i – bingo! Byłam w publicznej łazience.

Ulżyło mi, choć prawdę powiedziawszy, powinno być to ostatnie miejsce do odwiedzenia na liście osób dbających o zdrowie, klaustrofobicznie małe, brudnawe, pachnące stęchlizną. Ale miało to, czego potrzebowałam – muszlę klozetową, a poza tym również zdezelowany prysznic i umywalkę, pękniętą, z niedużym lustrem zawieszonym na ścianie. Ba, było nawet mydło w płynie. Zamknęłam się od środka.

Spędziłam tam kilka minut. Na koniec starannie umyłam ręce i wytarłam je chusteczką higieniczną. Pomyślałam, że skoro mam czas, to poprawię makijaż i porządnie się uczeszę.

To zaczęło się, gdy schyliłam się do torebki, by wyjąć z niej kosmetyczkę.

– ...nie daj się prosić. – Usłyszałam nagle i natychmiast rozpoznałam podniecony głos Jacka niosący się echem po korytarzu. – No chodź, będziemy sami, kolega ma wychodne.

O Boże. O Jezu. Nie, musiałam się pomylić, to nie mógł być Jacek. Ukucnęłam, by wyjrzeć przez dziurkę od klucza, ale niczego nie było widać – mieszkanie numer pięć znajdowało się dalej w lewo. Wyprostowałam się więc, drżąc na całym ciele, i nasłuchiwałam.

– Marek mówił – rozległ się głos jakiejś dziewczyny – że masz kogoś w Polsce, to prawda?

– Marek mówi dużo dziwnych rzeczy. Nie, nieprawda.

To bez wątplenia był mój (?) narzeczony (?!).

– Teraz też go nie ma, więc może dasz się zaprosić na drinka? A wieczorem zapraszam cię na romantyczną kolację przy świecach.

Nie, nie, nie, to nie mogła być prawda. Ale tego, co usłyszałam, nie dałoby się już cofnąć, zmienić, wymazać. Stałam w tej zatęchłej toalecie i chciało mi się wyć. Dlaczego tu przyjechałam?! Jak dobrze, że tu przyjechałam...

– Naprawdę jesteś piękną kobietą – odezwał się Jacek. Coś we mnie pękło. Jeszcze miesiąc temu nie uwierzyłabym, że może mnie spotkać coś takiego, nawet

gdyby powiedział mi to sam papież. A teraz płakałam, ponieważ zaczęłam pojmować, że to koniec naszego związku. I czułam się dziwnie, bo z jednej strony ta cała sytuacja była szokująca, a z drugiej niespecjalnie mnie dziwiła, jakbym jakąś cząstką siebie spodziewała się, że tak się stanie.

Osuszyłam oczy, wzięłam kilka głębokich wdechów, chwyciłam torebkę i opuściłam toaletę. Stali w objęciach. Tak, w objęciach. Ona – filigranowa blondynka, sporo ode mnie młodsza. On – wpatrzony w nią jak w obrazek. Można by pomyśleć, że właśnie się poznali (i pewnie tak było), a on robił wszystko, żeby ją zdobyć (to też wydawało się bardzo prawdopodobne).

Jacek rzucił spojrzenie w moją stronę i w pierwszej chwili chyba mnie nie poznał, bo zlekceważył moją obecność, ponownie odwracając głowę ku blondynce, lecz w następnym momencie znowu na mnie spojrzął, a wyglądał na zszokowanego. Odskoczył od swojej towarzyszki, jakby była trędowata.

– Matko Boska, Kaja? – zaskrzeczał i złapał się za głowę.

Dziewczyna patrzyła na nas osłupiała.

– Jezu, co tu robisz? – powiedział i zrobił kilka kroków ku mnie, ale cofnęłam się i zablokowałam ręką.

– Nie podchodź.

– Możesz mi wytłumaczyć, o co chodzi? – Filigranowa blondynka podeszła do nas i położyła ręce na biodrach. Patrzyła na Jacka oskarżycielskim wzrokiem. Ja milczałam.

– Marta, później ci to wytłumaczę, przepraszam cię, ale czy mogłabyś mnie teraz zostawić samego? – zapytał niepewnie; nie zająknął się słowem, kim jestem. A ja nie miałam ochoty tego wyjaśniać, choć gdybym chciała, mogłam wyznać prawdę i w ten sposób sprawić, że Jacek straciłby szansę na co-tam-miał-z-nią-w-planach.

Dziewczyna obrzuciła nas wściekłym spojrzeniem i puściła się w stronę wyjścia. Byliśmy sami. Nie zostałam nawet zaproszona do mieszkania – o nie, ten zaszczyt przypadł tylko słodkiej Marcie.

– Co ty tutaj robisz? – rzucił, a ja roześmiałam się gorzko.

– Cześć, Jacek.

– Jezu, Kaja... – mamrotał, unikając mojego spojrzenia. – Mogłaś zadzwonić, cokolwiek.

– Dzwoniłam. Trzy razy. Odpisałeś, że jesteś na zajęciach.

Pod powiekami paliły mnie łzy, ale dałam sobie słowo, że nie będę płakać – nie przy nim. Jacek ponownie złapał się za głowę i zaczął się wiercić w miejscu.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

– To ja ci powiem. Nasz związek się rozpada.

Wreszcie miał odwagę na mnie spojrzeć. Wyglądał na przestraszonego.

– Co ty mówisz, Kaja? A ślub?

Nie wytrzymałam i ryknęłam śmiechem.

– Ślub? Jaki ślub? Żarty sobie robisz? Możesz się pobrać z tą Martą, jeśli chcesz

– rzuciłam sarkastycznie, choć imię tej dziewczyny z trudem przeszło mi przez gardło.

– Daj spokój, to tylko koleżanka.

– Wszystkim koleżankom mówisz, że są piękne i zapraszasz je do siebie pod nieobecność kolegi? No i wszystkim wmawiasz, że z nikim nie jesteś związany?

Zaskoczyło mnie, z jaką łatwością to mówiłam.

– Chryste, Kaja, co mam ci powiedzieć? Fakt, nie najlepiej to wyszło, ale zaskoczyłaś mnie, w ogóle to kiedy przyleciałaś? Może gdybyś mnie uprzedziła...

Każde jego kolejne słowo brzmiało coraz bardziej żałośnie. Gdybym go uprzedziła, to co? Zdążyłby ukryć przede mną kochankę? Powiesiłby sobie nad łóżkiem nasze zdjęcie?

– Wiesz co, błagam cię, już nic nie mów – wycodziłam przez zęby i szybko wytarłam oczy. – Przyleciałam, bo miałam nadzieję, że jeszcze coś nas łączy, że uda nam się to wszystko jakoś poskładać do kupy. Dobrze wiesz, że odkąd wyjechałeś, nasz związek wisi na włosku, i chciałam, myślałam... – Wypowiadanie słów znowu stało się trudne.

Jacek potrząsnął głową i splótł ręce na piersiach.

– Nie zapominaj, że to ty podjęłaś decyzję – warknął i zabrzmiało to tak jadowniczo, jakby zrzucał na mnie całą winę. – Nie chciałaś się tutaj ze mną przeprowadzić, więc czego się właściwie spodziewałaś? Rok rozłąki dla każdego związku jest zabójczy!

Nie wierzyłam, że to powiedział. Łzy zbyt obficie napływały mi do oczu, bym mogła je zatrzymać. Spływały mi ciurkiem po policzkach i mogłam je co najwyżej ścierać jedna po drugiej.

– To nie moja wina! – krzyknęłam.

– Wina zawsze leży po obu stronach. Przyznaj, że wolałaś zostać w Radomiu niż zamieszkać tutaj ze mną. Przyznaj, że wybrałaś Radom.

– Jezu, jak w ogóle możesz... Czy nie słyszysz, jak absurdalnie to brzmi?!

– Tak, od początku czułem, że ten wyjazd rozwali nasz związek, ale ty nie chciałaś tutaj przyjechać. Nawet gdy zacząłem już wykłady i powiedziałem ci, że miejsce dla ciebie się znajdzie, nie zmieniłaś zdania. Chyba nie zaprzeczysz, że tak było?

Nie mogłam zaprzeczyć, bo taka była prawda. Naiwnie wierzyłam, że nasze uczucie jest na tyle silne, że nawet z rozłąką damy sobie radę. Widać – myliłam się.

– Więc zapytam cię raz jeszcze – mówił dalej Jacek. – Czy chcesz tutaj ze mną zamieszkać?

Poczułam się, jakby uderzył mnie w twarz.

– Słucham? Po tej całej akcji z tą dziewczyną ty pytasz mnie o coś takiego? – powiedziałam przyciszonym głosem. To wszystko było bardzo bolesne. – Jacek, czy ty nie rozumiesz, że nas już nie ma? Tu nie chodzi nawet o to, że przyłapałam cię na gorącym uczynku! Chodzi o to, że mamy inne plany, priorytety; odkąd wyjechałeś, rozmawiamy ze sobą tak oficjalnie, że aż mi się robi niedobrze. Wciągnąłeś się w tutejszy klimat i okej, nie zamierzam ci tego utrudniać, nie spodziewałam się tylko, że nastąpi to tak szybko.

Było jeszcze wiele słów, które mogłam wypowiedzieć, ale w zasadzie po co? Prawda osiadła w naszych umysłach, wryła się w nie jak niewyprana plama z wina na jasnej bluzce. Nasz związek okazał się jedynie bańką mydlaną, która pękła, gdy pojawiły się pierwsze trudności.

Staliśmy tak jeszcze przez kilka minut. A więc to koniec. Już po wszystkim. Nie było czego naprawiać. Bo nawet gdybym rzuciła wszystko i w tej chwili przeprowadziła się na Wyspy, nic nie zmieniłoby tego, że staliśmy się sobie obcy. Nasze drogi, dotąd równoległe, teraz prowadziły w różnych kierunkach.

Potem – nie licząc przypadkowego spotkania w galerii przed świętami – widzieliśmy się jeszcze dwa razy. Pierwszy raz, gdy wkrótce po rozstaniu Jacek przyleciał z Londynu na parę dni, by zabrać swoje rzeczy z wynajmowanego przez nas mieszkania, i drugi raz, gdy spotkaliśmy się, by anulować kilka rezerwacji związanych ze ślubem. Ostatnią rzeczą, jaką wspólnie zrobiliśmy, było zabranie mebli z mieszkania i oddanie kluczy właścicielce.

Czasem, gdy związek się rozpada, łudzisz się, że to nie dzieje się naprawdę. A przynajmniej nie na poważnie. Że może jeszcze zdążycie się dogadać, pogodzić, dać sobie drugą szansę. Chyba ja też naiwnie się łudziłam, że usłyszę od Jacka „Przepraszam, kocham cię, wybacz mi”. Gdy pakował swoje rzeczy do pudła, weszłam do pokoju, w którym to robił, i stanęłam w drzwiach. Chwilę wcześniej

zdecydowałam, że warto jeszcze raz porozmawiać, oczyścić atmosferę i kto wie, co więcej? Patrzyłam, jak w kartonie razem z książkami ląduje wszystko to, co razem zbudowaliśmy, i już rozchylałam usta, by wypowiedzieć prawdopodobnie najważniejsze słowa w moim życiu, gdy Jacek, nie odrywając się od pakowania, rzucił:

– Mówię ci, mamy teraz na tym stażu tyle roboty, że normalnie w głowie się nie mieści. Ciągłe tylko zajęcia, kręcenie, montowanie, a potem oglądanie i zbieranie ochrzanu od wykładowców. – Zaśmiał się. – Nie, żartuję, ochrzaniają nas rzadko, ale czasem potrafią powiedzieć do słuchu. I wiesz co, podobno jest możliwość, jak dobrze pójdzie, żebym tam został dłużej niż rok. To byłaby dla mnie wielka szansa, gdybym się tam zahaczył.

Poczułam ukłucie w żołądku. Jedyne, na co mogłam się zdobyć, to ledwie słyszalne:

– Cieszę się.

I moje złudzenia prysły w jednej sekundzie.

Niedługo potem, gdy Jacek wyniósł już z mieszkania wszystkie swoje filmy, płyty, książki, komiksy i gry, spojrział na mnie wzrokiem, który był mi obcy, i powiedział:

– Naprawdę żałuję, że tak wyszło.

– Ja też – odparłam.

A gdy widzieliśmy się po raz ostatni, na odchodne rzekł:

– No to trzymaj się, Kaja.

Czyli tak to się odbywa?, zachodziłam w głowę. Żyjesz z kimś przez kilka lat, macie się pobrać i stworzyć rodzinę, a kiedy związek się kończy, słyszysz tylko: „Trzymaj się”? Gdzie tu logika, gdzie sens? Chociaż, z drugiej strony, nikt mi nigdy nie mówił, że w miłości warto doszukiwać się sensu.

Wtedy w ogóle sens mojego życia stanął pod dużym znakiem zapytania.

Rozdział 42

Usłyszałam kiedyś, że wielkie rezultaty zazwyczaj zaczynają się od niewielkich zmian. Najlepsze, co mogłam więc dla siebie zrobić, to nie przejmować się snami o Jacku, nawet jeśli były tak bardzo szczegółowe, realistyczne i frustrujące.

Odkąd się obudziłam, towarzyszył mi kłujący ból brzucha, pewnie ze stresu. Zastanowiłam się, ale tylko przez krótką chwilę, czy tak samo bym się czuła, gdybym za kilka godzin miała stanąć przed ołtarzem. Na odpowiedź zabrakło jednak czasu, bo z zamyślenia wyrwała mnie wiadomość od Mini: „Pobudka, księżniczko! Czy wiesz, że dziś jest Międzynarodowy Dzień Płynów do Mycia Naczyn?”.

Cała Mini, kochana Mini. Płynny do mycia naczyń i pobudka przed dziewiątą, tak jakby cały świat podzielał jej odrobinę leniwy tryb życia.

Ból brzucha ustał kilkanaście minut później. Nie będę zgrywać bohaterki, która w tak ważnych momentach życia doskonale radzi sobie z nerwami. Prawdę powiedziawszy, nie byłam w tym zbyt dobra. Pomogła mi tabletki przeciwbólowe czy raczej (gdy o tym teraz myślę, aż mi głupio) dwie tabletki.

Zanim wyszłam z domu, zajrzałam do SZCZĘŚLIWYCH POLEK. Rankiem kilka kobiet potwierdziło swoją obecność na kongresie – pomyślałam, że jeśli piszą to na poważnie, powinny być już w drodze albo nawet na miejscu. Przed wyłączeniem komputera moja strona miała – oranyboskie – pięćdziesiąt jeden tysięcy fanów.

– A ty ciągle z nosem w komputerze? – Mama Kryśka zajrzała do mojego pokoju i skrzywiła się na mój widok. – Przecież jest już wpół do dziesiątej, musimy wychodzić.

Słodki Jezu, kiedy uciekło mi tyle czasu? Ledwo co się obudziłam, a już trzeba pędzić do urzędu. Dwa razy upewniłam się, czy wszystko zabrałam, i gdy moja matka stwierdziła, że wpadam w paranoję, zmieniłam buty i wyszłam z mieszkania. W progu tata Krzyś życzył mi powodzenia, kopnął mnie, jak uroczo, w cztery litery na szczęście i na pożegnanie rzucił, że jest ze mnie dumny, „bo nie ma nic bardziej tragicznego niż brak zainteresowań”.

Nie wiem, jakim cudem dałam radę w dziesięć minut dotrzeć na miejsce – nogi miałam jak z waty. Przeciwbólówka pomogła na ból brzucha, ale na inne części ciała najwyraźniej nie działała. Żeby nie zwariować, w drodze rozmyślałam o jedzeniu: to zazwyczaj pomagało. Gdy wspinałam się po schodach prowadzących do magistratu

(z mamą Krysią uwieszoną na moim ramieniu), myślałam o jajecznicy ze szczypiorkiem i zielonej herbacie. Chyba jednak zwariowałam.

– ...ądzisz? – do moich uszu dotarł niewyraźny głos mamy.

– Co mówiłaś?

Wywróciła oczami i odpowiedziała nerwowym głosem:

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz! Mówię, że te wszystkie kobiety chyba idą na kongres, nie sądzisz?

Ruchem głowy pokazała mi, bym spojrzała za siebie – i zobaczyłam kobiety nadciągające z różnych stron. Przypominały mrówki wracające do swojego mrowiska.

– No co tak stoisz jak słup soli? – zagrzmiała mama Krysia i zrobiła mi miejsce w przejściu. – Idziesz czy nie?

Najwyższa pora wziąć się w garść, przywołałam się do porządku i wkroczyłam do urzędu. Przeszliśmy przez wąski korytarz, potem przez kolejne drzwi i znalazłyśmy się w foyer. Na prawo od wejścia, przy niedużym stoliku nakrytym beżowym obrusem, siedziała pani Alinka, wystrojona jak na randkę z panem Jankiem – w ubiegłym tygodniu zapytałam ją, czy nie zechciałaby zająć się sprzedażą wejściówek na kongres, a ona chętnie się zgodziła. (Nie pytajcie mnie, dlaczego spośród tylu kobiet wybrałam akurat ją; chyba już wspominałam, że pani Alinka miała w sobie coś wyjątkowego, prawda?). Towarzyszyła jej urzędniczka z gabinetu Henryka Klwowskiego, pulchna kobieta o mocno zaróżowionych policzkach i gładko zaczesanych włosach. Raczej typ nauczycielki.

– Dzień dobry – przywitałam się. Chwila wahania. – Jak idzie sprzedaż cegiełek?

– Oj, księżniczko, fatalnie, fatalnie. – Pani Alinka machnęła ręką, a we mnie serce zamarło. Aż zrobiło mi się przykro, że mówiła o tym z taką beztroską.

– Fa-fatalnie? – wyszeptalam, czując, że czerwienię się po płatki uszu.

Urzędniczka zerkała zaskoczona to na mnie, to na matkę Mini.

– A co, pewnie myślałaś, że ktoś przyjdzie na ten cały kongres? – zapytała pani Alinka i splotła dłonie pod brodą.

– Co pani... – uniosła się urzędniczka, ale nie dokończyła, bo pani Alinka wybuchnęła śmiechem.

– O rany, Kajuniu, żartuję! To żart, mały żarcik!

Rzeczywiście bardzo mały, mikroskopijny, tyci tyci.

– O Boże. – Mama Krysia odsapnęła i położyła sobie rękę nad piersią.

– Naprawdę żartuje pani? – Chciałam wiedzieć, zwłaszcza że moje serce dudniło teraz jak po kąpieli w gorącej wodzie. – Coś się sprzedało?

Co za kobieta!

– No pewnie. – Pani Alinka posłała mi szeroki uśmiech.

Urzędniczka zajrzała w swoje notatki i odpowiedziała precyzyjnie:

– Jak dotąd sto osiemnaście.

– STO OSIEMNAŚCIE?! – Aż trudno uwierzyć. – Naprawdę?!

– Naprawdę, księżniczko, naprawdę. – Pani Alinka podniosła się z krzesła i pogładziła mnie po ręce. – Jedna pani powiedziała, że przyjechała ze Świnoujścia.

– Och, to wspaniale – przyznałam, nie mogąc opanować emocji. Podałam urzędniczce wyjęty z portfela banknot dziesięciozłotowy. – To za mnie i za mamę. Na schronisko.

– Ale przecież pani nie musi płacić... – zauważyła rumiana kobieta.

Pani Alinka spojrzała na nią krzywo i zmarszczyła czoło.

– Przecież mówi Kaja, że to na schronisko, więc niech pani lepiej bierze tego Mieszka, zanim się dziewczyna rozmyśli.

Przy stoliku ustawiła się kolejka kobiet zainteresowanych udziałem w kongresie, więc zakończyłyśmy rozmowę i ruszyłyśmy z mamą Krysią do sali koncertowej. Znowu zaczęłam się denerwować. Jak to będzie, gdy zobaczę te wszystkie wspaniałe Błękitne Dziewczyny? Czy mnie poznają? Mogły kojarzyć mnie z telewizji czy któregoś z artykułów o SZCZĘŚLIWYCH POLKACH, ale w końcu nie było tego zbyt wiele.

Jajecznicą ze szczypiorkiem i zieloną herbata.

Jajecznicą ze szczypiorkiem i zieloną herbata.

– Kaja!

Tuż przed drzwiami do sali dopadły mnie Mini z Madzią (ta druga tym razem bez Konrada, który „bardzo przeprasza, ale coś go zatrzymało w Kozienicach”). Mama Krysią stwierdziła, że nie potrzebuję już jej towarzystwa, i poszła sobie zająć miejsce.

– Jest sporo babek! – oznajmiła Mini podnieconym głosem. – Masz aparat?

Umówiłyśmy się, że gdy ja będę przemawiać, ona zrobi parę zdjęć. Wręczyłam jej sprzęt i już chciałam tłumaczyć, jak go obsługiwać, ale ugryzłam się w język, gdy Mini popatrzyła na mnie jak na psotliwe dziecko.

– No weź, nie rób sobie jaj, koleżanko, przecież wiem, jak się robi zdjęcia, w końcu pstrykam je prawie codzienne na bloga.

Madzia zachichotała pod nosem.

– A dasz sobie radę z czymś innym niż ze zdjęciami ciuchów? – rzuciła, czym zasłużyła sobie na jeszcze bardziej lodowate spojrzenie Mini.

– Dwie mądrale – pisnęła ta druga, ale już po chwili zaczęła się z siebie śmiać.

Z sali koncertowej wynurzył się wiceprezydent Klwowski, cały spocony na twarzy, odnalazł mnie w tłumie i przywołał do siebie ręką.

– Muszę brać się do roboty. Trzymajcie kciuki – zwróciłam się do dziewczyn. Mini puściła mi oko, a Madzia pogładziła po ramieniu. Pokrzepiająca była świadomość, że mam ich wsparcie.

Czas do kongresu – niecały kwadrans – był istnym szaleństwem. Dopinanie ostatnich szczegółów z prelegentkami (niektóre z nich, jak Bożenę Filar, feministkę poleconą przez panią Alinę, widziałam na oczy po raz pierwszy). Próba mikrofonu. Odpowiadanie na szybkie pytania dziennikarzy. Przyglądanie się kobietom wchodzącym na salę, która była – musicie mi uwierzyć, daję słowo, że nie kłamię – prawie pełna. Wiele z nich pamiętałam ze zdjęć, choć nie potrafiłam przypisać do ich twarzy konkretnych komunikatów z kartek.

W mojej kieszeni zawibrowała komórka – przypomnienie ustawione na dziesiątą właśnie dało o sobie znać. Pora zaczynać. Wzięłam trzy głębokie wdechy i usiadłam w pierwszym rzędzie między Iwoną Bajecką, bardzo podekscytowaną dzisiejszym wykładem, i Bożeną Filar. Rozmowy przycichły. Na scenę wkroczył wiceprezydent, stanął za mównicą, otarł czoło wierzchem dłoni i rozpoczął przemowę.

Muszę przyznać bez bicia, że trochę się obawiałam. Bałam się, że Klwowski, gdy dorwie się do mikrofonu, popłynie, zrobi z naszego kongresu wydarzenie polityczne, zacznie uprawiać propagandę sukcesu, nie zabrzmiał wiarygodnie ani tym bardziej szczerze. Ale okazało się, że martwiłam się na zapas. Przemawiał krótko, konkretnie, był dowcipny i całkiem sympatyczny. Zakończył słowami:

– Gdy widzę przed sobą tyle pięknych kobiet, mam pewność, że dobrze wybrałem zawód.

Iwona BajECKa parsknęła śmiechem, a razem z nią śmiała się cała sala – kilkaset Błękitnych Dziewczyn. Bogiń do kwadratu.

Chociaż w zasadzie to nie były jego ostatnie słowa, bo dodał jeszcze:

– A teraz zapraszam na scenę radomiankę, bez której by nas dzisiaj tutaj nie było. Drogie panie, drodzy panowie – zerknął w stronę dziennikarzy – Kaja Redo.

Dobra, idę. Jajecznica ze szczypiorkiem. Zielona herbata. Niech mnie tylko nie filmują od tyłu. Żeby się nie przewrócić, żeby się nie przewrócić. Psiamać, mogłam założyć buty na płaskim obcasie. Gdzie ja miałam głowę? Wciągamy brzuch, uśmiechamy się, przekładamy teczkę do lewej ręki. Wchodzę na scenę. Prawą dłoń podaję wiceprezydentowi, który umówił się ze mną wcześniej, że tak mam zrobić.

O rany, słyszę brawa, głośne brawa, piekielnie głośne. Klwowski zostawia mnie

samą. Staję przed mównicą. Rany, to się dzieje naprawdę!

Nie od razu byłam gotowa, by zacząć mówić. Ponieważ nie zgaszono świateł, patrzące na mnie kobiety widziałam jak na dłoni. I dopiero teraz dotarło do mnie, ile ich jest. Sala była wypełniona po brzegi! Musiało być ich minimum pięćset i to z dużym hakiem. Odnalazłam swoją mamę, blogerkę Renatę, siostrę Madzi, Julię od schroniska, Aldonę Ignielewicz. Było wiele kobiet ze zdjęć, w tym – dobry Boże, to naprawdę ona?! – Lidia Staniszevska, ta od męża tyrana. Siedziała nieco na uboczu z delikatnym uśmiechem na twarzy. Łzy natychmiast napłynęły mi do oczu, to było silniejsze ode mnie. A kilka miejsc dalej... Zaraz, skąd ja znam tę kobietę? I nagle sobie przypomniałam.

To była, niech mnie kule biją, żona policjanta Roberta Wysockiego. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom! Ale przecież nie wysłała swojego zdjęcia do SZCZĘŚLIWYCH POLEK, pamiętałabym je. Może dopiero miała to w planach... Ciekawe, co zamierzała napisać na swojej kartce. Musiała się nieźle zdziwić na mój widok.

Zerknęłam jeszcze w stronę dziennikarzy – byli wszyscy z radomskich mediów; nawet Olga z „Głosu Radomia” – czyżby królowa Zoja poszła wreszcie po rozum do głowy i zgodziła się na publikację tekstu o KSP? Choć nawet jeśli tak, mogłam dać sobie rękę uciąć, że w artykule nie będzie żadnej wzmianki o mnie. Nieważne. Nie miałam ambicji, by zostać celebrytką. Liczyło się tylko to, by jak najwięcej osób dowiedziało się o tym, co robimy i w jakim celu. Był również, tak jak mi obiecał, Łukasz z ogólnopolskiej telewizji informacyjnej. Całe szczęście, że zdążył wyzdrowieć na kongres.

Jeśli kiedykolwiek marzyłam o tym, a niewykluczone, że tak było, by poczuć się jak gwiazda rocka, to moje życzenie się spełniło. Co mogłam powiedzieć tym wszystkim wspaniałym kobietom?

– Witajcie, szczęśliwe Polki – zaczęłam. Czułam, że mam ich przychyłność. – Prawdę mówiąc, nie przygotowałam sobie przemówienia, tak jakbym nie wierzyła, że ten dzień naprawdę nadejdzie i spotkam się tutaj z wami.

Głęboki wdech.

– Rano moja przyjaciółka wysłała mi SMS-a, w którym napisała, że dziś jest Międzynarodowy Dzień Płynów do Mycia Naczyń.

Zaśmiały się. Och, jak cudownie.

– Ale myślę, że ten dzień zapamiętamy z innego powodu. Nie tylko dlatego, że wreszcie mogliśmy się spotkać – mówiłam do nich wszystkich razem i każdej z osobna – wiele z was nawet nie wiedziało dotąd, jak wyglądam, a to ja jestem założycielką strony SZCZĘŚLIWE POLKI. – Krótka pauza. – Jeden z dziennikarzy, który zresztą jest

dzisiaj z nami – zerknęłam na Wojtka stojącego obok Olgi – jakiś czas temu, gdy pstrykałyśmy sobie zdjęcia na fontannach – pamiętam, że było wtedy bardzo zimno – zapytał mnie, co napisałabym na swojej kartce. Nie potrafiłam mu odpowiedzieć. Ale teraz już wiem.

Przerwałam, otworzyłam teczkę i wyjęłam z niej czystą kartkę. Kobiety oczekiwały w ciszy; tylko niektóre szeptały między sobą. Pod scenę podbiegło paru fotoreporterów, w tym Mini z moim aparatem. Zdjęłam skuwkę z mazaka, przytknęłam nasączoną czarnym tuszem końcówkę do papieru i nakreśliłam szesnaście liter. Tak, to było to. Uśmiechnęłam się do siebie. To na pewno było to! Uniosłam kartkę na wysokość piersi i odwróciłam ją napisem do widowni, która ujrzała dwa słowa:

JESTEM SZCZĘŚLIWA

Rozdział 43

Godziny przeznaczone na kongres minęły w okamgnieniu. Po tym, jak pokazałam światu swoją kartkę, dostałam – o matko – brawa na stojąco, a blask fleszy dosłownie mnie oślepił. Istne szaleństwo! Obłąd, na który nie byłam przygotowana. Szok do kwadratu, a gdzie tam, do sześcianu! Nigdy nie wiesz, co może cię spotkać, dopóki tego nie doświadczysz.

Udało mi się wrócić na miejsce, nie przewróciwszy się ani nie zrobiwszy nic innego równie kompromitującego. Wykłady prezeski radomskiego ruchu kobiet, psycholożki, Bożeny Filar i Iwony Bajeckiej, dokładnie w takiej kolejności, były zwięzłe, bardzo ciekawe i słuchało się ich z przyjemnością. Gdy ta ostatnia zeszła ze sceny, za mikrofonem ustawił się Henryk Klwowski, który poinformował nas radośnie, że na schronisko dla zwierząt zebraliśmy dzisiaj dwa tysiące pięćset pięćdziesiąt pięć złotych.

A potem rozpoczęło się świętowanie – kobiety tłumnie wylały się przed salę koncertową, gdzie w foyer częstowały się radomiankami (ufundowanymi przez miasto), popijając je herbatą albo kawą z plastikowych kubeczków, rozmawiały ze sobą, śmiały się głośno, nawiązywały nowe znajomości. Moje kochane Błękitne Dziewczyny podchodziły do mnie, na słowo lub dwa, a nawet, by mnie uścisnąć (jak Lidia Staniszevska, która w czasie długiej, wzruszającej rozmowy wyznała, że życie jakoś się jej układa, dziękuje Bogu za to, co ma, i nie narzeka; wciąż mieszka z córką, choć jej mąż bardzo się zmienił i ma z nim teraz poprawne relacje. „Bo widzi pani – powiedziała. – Czasem trzeba ścisnąć chłopca za klejnoty, by się opamiętał”).

O piętnastej trzynastej, gdy w towarzystwie Madzi i Mini opuściłam urząd miejski, byłam zmęczona i odurzona tym, co mi się dziś przytrafiło, ale przede wszystkim, tak jak napisałam na swojej kartce, byłam szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa.

Zachłysnęłam się świeżym powietrzem – dzień był piękny, ludzie wokół mnie uśmiechnięci, a ja miałam poczucie, że wywiązałam się ze swojego zadania najlepiej, jak umiałam. Zrobiłam, co do mnie należało, i naprawdę byłam z siebie dumna.

– Nie zdążyłam podziękować twojej mamie – zwróciłam się do Mini, która właśnie malowała sobie usta karminową szminką.

Machnęła ręką.

– Jeszcze zdążysz, a poza tym pobiegła na spotkanie – wywróciła oczami – z tym

całym panem Janem.

I nagle zaczęła śpiewać dziwnie zmienionym głosem:

– *Panie Janie, panie Janie, rano wstań, rano wstań...*

– No, na przykład z łóżka twojej mamy – zażartowała Madzia.

Mini posłała jej jadowite spojrzenie, wrzuciła lusterko i szminkę do torebki, wygładziła sobie dłonią spódnicę i nagle zamarła.

– Jezu Chryste.

Ruchem głowy wskazała postać stojącą kilkanaście metrów dalej przy wejściu do parku. Był to Arek. Arek trzymający bukiet róż, identyczny jak ten, który posłał Mini na urodziny.

– Po kiego diabła tu przylazł? – stęknęła i próbowała zasłonić się ręką, tak jakby tym śmiesznym gestem mogła się ukryć przed własnym mężem.

Bardzo się zaczerwieniła. A ja nie wahałam się dłużej. Położyłam dłoń na jej ramieniu i powiedziałam:

– Idź do niego.

– Co?! – wybuchnęła, prostując się raptownie i zerkając nerwowo to na mnie, to na Arka. – I ty mówisz mi, żebym do niego poszła?

– Tak, kochana, myślę, że już swoje odpokutował. Chyba zasłużył na drugą szansę.

Mini, kompletnie zaskoczona, spojrzała na Madzię, jakby liczyła, że ta wyjaśni jej to wszystko.

– Rozumiesz coś z tego?

Ale Madzia tylko wzruszyła ramionami.

– Kaja chyba ma rację. Idź z nim pogadać, korona ci chyba z głowy nie spadnie. No i ostatecznie to twój mąż.

Mini patrzyła na nas oniemiała, ale miałam przeczucie, że potrzebowała takiego impulsu, porządnego kopniaka od przyjaciółek, zwłaszcza że sama się w tym wszystkim dawno pogubiła. Splotła ręce na piersiach; kąciki jej ust lekko zadrżały, tak jakby jednocześnie chciała się uśmiechnąć i bardzo się starała, by tego nie zrobić.

– Skoro nalegacie... Ale jeśli się pokłócimy na środku Żeromskiego, to nie wiem, jak mi to wynagrodzicie.

Cmoknęła nas na pożegnanie i odprowadziłyśmy ją wzrokiem. Podeszła do Arka, wzięła od niego kwiaty, zamienili ze sobą parę słów i zagłębili się w park. Widocznie czasem ludzie muszą się rozstać, by do siebie wrócić.

– Kaja, wybac mi, kochanie – odezwała się Madzia roztrzęsionym głosem – ale

moja mama przed chwilą dzwoniła, Hugo źle się czuje, chyba czymś się zatrzał, muszę zabrać go do weterynarza...

– Jasne, biegnij, ja i tak mam jeszcze sprawę do załatwienia.

– Dzisiaj naprawdę było super – powiedziała, tuląc się do mnie. Czyżby znowu ubyło jej ciała? – Zdzwonimy się.

– Tak, tak, oczywiście. Leć, nie zatrzymuję cię.

Od załatwienia sprawy, o której wspomniałam, dzieliła mnie jedna ulica – jakieś pięć minut spacerkiem. Po drodze wypadało przy okazji pomodlić się o odrobinę szczęścia.

Kiedy ruszyłam przed siebie, zauważyłam, że pod urzędem zaparkował radiowóz, o który stał oparty wysoki brunet. Robert Wysocki jego mać. We własnej osobie. Oczywiście nie był sam. Oczywiście był z kobietą. Rozmawiał ze szczupłą szatynką ubraną w nieprzyzwoicie obcisłe jeansy i białą bluzkę wykończoną koronką. Dziewczyna miała góra dwadzieścia pięć lat. Śmiała się z czegoś, co jej opowiadał. Widziałam, że gęba mu się nie zamyka, cały czas miał jęzorem, karmił biedaczkę – tego jestem pewna – głodnymi kawałkami, mamiąc ją i owijając sobie wokół palca. Trzeba oddać mu sprawiedliwość, że był w tym mistrzem.

Nie poczułam niczego, gdy go zobaczyłam, żadnego ściśniętego gardła czy pikania serca. Oznakowany radiowóz i policyjny mundur bezsprzecznie wskazywały na to, że Wysocki był w pracy. Może przyjechał tutaj w związku z kongresem? W pierwszej chwili chciałam go (ich) wyminąć, ale...

Ale.

Miałam coś do zrobienia, ale wiedziałam, że jeśli teraz odejdę, będę tego gorzko żałować. Elementy mojego życia pierwszy raz od dawna zaczynały do siebie pasować, trzeba więc było dopiąć wszystkie sprawy na ostatni guzik – a przynajmniej te, które mogłam. Na chwilę przystanąłam, odetchnęłam głęboko i podeszłam do Roberta, który wciąż zgrywał casanovę. Był tak zajęty flirtowaniem (właśnie pieszczotliwie odgarniał dziewczynie włosy za ucho), że spojrzał na mnie dopiero wtedy, gdy zatrzymałam się tuż obok i powiedziałam:

– No proszę, Robert Wysocki we własnej osobie, co za spotkanie. Tak się składa, że właśnie miałam do ciebie dzwonić, ale tym lepiej dla mnie, że sobie tego oszczędzę. Byłam u tego lekarza, tak jak chciałeś, i na całe twoje szczęście nie jestem w ciąży. Możesz więc być zadowolony i robić sobie, co ci się żywnie podoba. Nie mój biznes. A tak w ogóle, to twoja żona była na kongresie, chyba właśnie tu idzie.

Wskazałam kciukiem za siebie – gdy z Mini i Madzią opuszczaliśmy budynek urzędu, żona Wysockiego, którą poznałabym na końcu świata, mignęła przy mi wyjściu

w towarzystwie kilku koleżanek.

– To tyle. Nie przeszkadzajcie sobie. – Machnęłam ręką, uśmiechnęłam się do szatynki i odeszłam, zostawiając Roberta z miną takiego przerażenia, jakby zobaczył laleczkę Chucky. Kompletnie oniemiał – gdy mówiłam, gapił się na mnie zdębiały, niezdolny wydusić z siebie słowa. Jakimś cudem nagle zabrakło mu języka w gębie, choć wygadany był jak mało kto. Szatynka również stała zatkana, lecz gdy odeszłam, usłyszałam głośne:

– Ty dupku!

Nie spojrzałam za siebie, tylko moja wyobraźnia buzowała: rozmarzyłam się, że szatynka go policzkuje albo popycha z całych sił, a on wpada na radiowóz w akompaniamencie jej wyzwisk, co zresztą było bardzo prawdopodobne.

Wiem, że zachowałam się bezwzględnie, ale cel uświęca środki. Ośmieszony Robert Wysocki to nie tylko moja satysfakcja, ale również jedna wykorzystana kobieta mniej. Bo zły facet, cytując Stephen Kinga, jest gorszy od węża.

Szłam przed siebie wypełniona zadowoleniem po koniuszki palców. Kolejny puzzle dopasował się do układanki mojego życia. Teraz czułam, że naprawdę mogę przenosić góry! Jednak im bliżej byłam celu, tym nerwy bardziej dawały o sobie znać. Ale nie zamierzałam się wycofać. Tylko dzisiaj miałam w sobie tyle siły, by zrobić to, co zaplanowałam. A udało mi się więcej, niż mogłam marzyć!

Ele mele dudki,
gospodarz malutki,
gospodyni jeszcze mniejsza,
ale za to robotniejsza.

Nie zdążyłam się obejrzeć, a już byłam przed Migawką. Jeszcze czynne, alleluja (w soboty Migawka powinna być otwarta do szesnastej). Serce biło mi nierówno. Myślenie o jajecznicy i herbacie nie pomagało, a poza tym jakoś nie pasowało do okoliczności. Upajanie się sukcesem, który przytrafił mi się za sprawą Roberta Wysockiego, również było nie na miejscu. Odetchnęłam bardzo głęboko, wyjęłam z torebki teczkę i zrobiłam dwa kroki w tył. Zaglądałam do zakładu dyskretnie, czekając, aż opuści go kobieta, którą właśnie obsługiwał Michał.

Michał. Czyli ciągle tu pracował. Ciągle był tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

Po jakichś dwóch minutach klientka wyszła z Migawki. Znowu zrobiłam kilka głębokich wdechów – dziś się to sprawdzało – i weszłam do środka. Na mój widok Michał oniemiał. Zastygł z niedużą, srebrną ramką na zdjęcia w dłoni. Nie mogłam rozszyfrować wyrazu jego twarzy, ale jeden wniosek nasuwał się sam – przez ten cały czas, gdy go nie widziałam, bardzo wyprzystojniał.

– Ka-Kaja? – wymamrotał.

– Dzień dobry – przywitałam się oficjalnie. – Ja w sprawie pracy.

I wyjęłam z teczki życiorys, który wydrukowałam poprzedniego dnia. Michał rozchylił usta i przełknął ślinę.

– Pracy? A, pracy. Nie żartuj.

– Nie żartuję – odparłam i uśmiechnęłam się do niego. – Czytałam ogłoszenie w prasie, podobno szukasz pracownika. A ja, tak się składa, jestem bezrobotna. Rzuciłam etat fotoreporterki w „Głosie” i rozglądałam się za ciekawym zajęciem.

Michał wyglądał, jakby nie wierzył własnym oczom. I uszom. Jakby chciał mnie zapytać, czy to dzieje się naprawdę i czy naprawdę nie stroję sobie z niego żartów. Zachowywał się dziwnie. Bardzo się starał, żeby nie patrzeć na mnie dłużej niż przez kilka sekund, i uciekał spojrzeniem, jak gdyby był zawstydzony czy niepewny siebie. Poczzerwieniał na twarzy jak kilka chwil wcześniej Mini na widok Arka. Ale jego głos brzmiał ciepło.

– Nie wiedziałem... – przyznał i zagryzł wargi. – Faktycznie dawałem ogłoszenie.

– Szukasz kogoś do pomocy czy na zastępstwo? – zapytałam.

– Do pomocy. Przejmuję Migawkę po dziadku, to już postanowione.

Och, co za ulga. Ale nie wypadało jawnie się z tego cieszyć.

– A jak czuje się dziadek?

– W porządku, stosownie do wieku, jak to mówią. Lekarz każe mu odpoczywać i się nie denerwować.

Pokiwałam głową.

– Więc jeśli ogłoszenie wciąż jest aktualne...

– Jest – odparł szybko Michał.

– To mogę, tak jak tu stoję, wymienić przynajmniej dziesięć powodów, dla których powinieneś mnie zatrudnić.

Wreszcie przestał się wstydzić mojego spojrzenia i patrzył na mnie już znacznie dłużej. Nie wytrzymał i zaśmiał się.

– Wymień chociaż pięć – rzucił mi wyzwanie.

– Proszę bardzo. Po pierwsze, jestem szczerą i nie daję sobą pomiatać. Z ostatniej pracy odeszłam, bo szefowa chciała ingerować w moje osobiste sprawy, a ja nie zamierzałam się na to zgodzić. Po drugie, umiem przyznać się do błędu. –

Odchrząknęłam. – Wiem, że zawałam sprawę w Nowy Rok i biorę całą winę na siebie i cię przepraszam.

Michał jedną ręką oparł się o ladę, a drugą przytknął do ust, obserwując mnie w pozie typowej dla osoby intensywnie nad czymś rozmyślającej.

– Po trzecie, jestem zaradna i bezinteresowna. Udało mi się zorganizować wystawę i pierwszy w Radomiu i w Polsce Kongres Szczęśliwych Polek.

– To chyba było dzisiaj. – Przerwał mi i szybko podrapał się po głowie, jakby zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo.

– Tak, dzisiaj. – Nie mogłam przestać się uśmiechać. – Wiedziałaś o tym?

– No... tak, trochę... Wiem, że masz tę stronę na Facebooku, widziałem cię w telewizji, czytałem wywiad z tobą w jakiejś gazecie...

Dzięki ci, Boże, czyli jednak nie odciął się ode mnie zupełnie.

– Po czwarte – kontynuowałam – jestem przyzwyczajona do zarabiania niedużych pieniędzy, choć oczywiście, gdybyś chciał mi płacić dziesięć tysięcy na miesiąc, to nie będę wybrzydzać.

Michał wybuchł śmiechem.

– Dziesięć tysięcy? – spytał, unosząc brew.

– Może być osiem. – Mrugnęłam do niego. – No i po piąte, całkiem nieźle znam się na fotografii.

Podparł się pod boki i szybko pokręcił głową. Ciągle był zarumieniony, ale też bardziej rozluźniony niż na początku. Zachowywał się tak, jakby cisnęły mu się na usta dziesiątki słów, których z jakiegoś powodu nie mógł albo nie chciał wypowiedzieć.

– To jak, przeszłam wstępną rekrutację? – ponownie zapytałam oficjalnym tonem i podsunęłam mu swoje CV. – Może mam szansę na rozmowę kwalifikacyjną?

Michał ściągnął usta, zerknął w mój życiorys i znowu się zaśmiał. A potem spojrzał mi prosto w oczy i głową wskazał kantorek, w którym tak często przesiadywaliśmy.

– Możemy odbyć ją teraz, jeśli masz chwilę.

– Pewnie, że mam.

Odkrycie dzisiejszego dnia: poczucie ulgi jest cudowne.

Podążyłam za nim i weszłam na zaplecze. Zauważyłam – również z ulgą – że nic się tutaj nie zmieniło. Pod ścianą stał kwadratowy stolik, a obok krzesło, na którym zwykle siadałam. Opadłam na nie i pełna emocji obserwowałam krzątającego się Michała.

– Napijesz się kawy? – zapytał.

– O tak, z przyjemnością – odpowiedziałam.

I naszykował dwa czerwone kubki.

PRZEPISY BOHATEREK

Słodkości pełnią ważną rolę w życiu bohaterek Błękitnych Dziewczyn. Dotrzymują im towarzystwa w dobrych i złych chwilach, pojawiają się zarówno przy okazji ważnych wydarzeń, jak i tych całkiem zwyczajnych, codziennych.

Babeczki z masą jabłkową

Te babeczki pani Alinka serwuje dziewczynom w czasie jednego z wrześniowych wieczorów, które Kaja i Madzia spędzają u Mini. Nie są przesłodzone, świetnie pasują do herbaty.

Składniki (na ok. 10 babeczek):

- płac gotowego ciasta francuskiego (275 g)
- 2 duże jabłka
- sok z cytryny
- łyżka rodzynek
- łyżka cukru
- spora szczypta cynamonu
- łyżeczka mąki pszennej
- 1 jajko
- mąka do oprószania stolnicy
- masło do wysmarowania foremek

Wykonanie:

Ciasto francuskie wyjąć z lodówki na około godzinę przed przygotowaniem. Następnie delikatnie je rozwałkować na stolnicy oprószonej mąką.

Metalowe foremki na babeczki wysmarować masłem. Z ciasta francuskiego wycinać szklanką kółka i wciskać je w dno foremek.

Przygotować nadzienie. Jabłka umyć, obrać, pokroić w drobną kostkę. Skropić sokiem z cytryny (nie za obficie), żeby nie ściemniały. Wrzucić rodzynki, dosłodzić cukrem, dodać cynamon i mąkę. Całość starannie wymieszać. Masę rozdzielić między wyłożone ciastem foremki. Z pozostałego ciasta francuskiego wyciąć cienkie paseczki i na babeczkach zrobić kratkę.

Jajko roztrzepać widelcem w kubeczku. Posmarować babeczki jajkiem przed włożeniem do piekarnika. Piec w 220 stopniach przez ok. 15–20 minut, aż babeczki ładnie się zrumienią.

Bułeczki z żurawiną i makiem

Wypiek blogerki Renaty Gołębiewskiej, autorki Mojej kuchni na słodko. Renata podaje te bułeczki na śniadanie, gdy Kaja odwiedza ją, by zrobić zdjęcia do artykułu. Bardzo smaczne są z dżemem albo masłem. Doskonałe do szklanki mleka.

Składniki (na ok. 14 bułeczek):

- 70 g masła
- 250 ml mleka
- 20 g drożdży świeżych albo 7 g (mała torebeczka) drożdży instant
- 500 g mąki pszennej
- 80 g cukru
- spora szczypta soli
- 120 g suszonej żurawiny
- jajko i łyżka mleka do posmarowania bułeczek
- mak do oprószenia bułeczek

Wykonanie:

Masło roztopić w garnuszku, wlać mleko i krótko podgrzać, aż płyn będzie ciepły, ale nie gorący. Jeśli korzystamy z drożdży świeżych, niewielką ilość płynu odlać do osobnego naczynia i je w nim rozpuścić (drożdże instant wystarczy wymieszać z mąką). Do dużej miski wsypać mąkę, wlać rozpuszczone drożdże i resztę rozpuszczonego masła z mlekiem, dodać cukier i sól.

Ciasto wyrobić na jednolitą masę; powinno łatwo odchodzić od ręki i ścianek naczynia. Odstawić do wyrośnięcia w ciepłym miejscu, pod ściereczką. Powinno podwoić swoją objętość (może to potrwać ponad godzinę). Po tym czasie ciasto wyrobić raz jeszcze przez kilka minut, dodając suszoną żurawinę.

Z ciasta uformować nieduże kule, każda o wadze 70–80 g. Rozłożyć je na blaszce wyłożonej papierem do pieczenia i odstawić na 30 minut, by podrosły. Jajko roztrzepać z łyżką mleka i posmarować napuchnięte bułeczki, posypać makiem. Piec przez ok. 10–12 minut w 220 stopniach, aż bułeczki będą złote.

Muffinki gruszkowe z czekoladą

Śmiało możemy je nazwać muffinkami ratującymi życie – zdołały poprawić katastrofalne samopoczucie Kai tamtego pamiętnego wieczoru, gdy leżała załamana w swoim pokoju, myśląc o Michale i Jacku. Muffinki są równie smaczne na ciepło, jak i na zimno.

Składniki (na ok. 12–14 muffinek):

- 250 g mąki pszennej
- 100 g białego cukru
- 60 g brązowego cukru
- 2 łyżeczki proszku do pieczenia
- łyżeczka cynamonu
- 2 jajka, roztrzepane
- 140 ml jogurtu naturalnego, greckiego lub kwaśnej śmietany
- 120 ml oleju
- łyżeczka miodu
- 3 gruszki

(na polewę czekoladową):

- ok. 80 g mlecznej czekolady
- kilka łyżek mleka

Wykonanie:

Wszystkie składniki powinny być w temperaturze pokojowej. W misce połączyć składniki suche (mąkę, oba cukry, proszek do pieczenia, cynamon). W drugiej misce wymieszać składniki mokre (jajka, jogurt, olej, miód). Zawartość obu naczyń połączyć i wymieszać krótko (do połączenia składników).

Gruszki obrać i pokroić w kosteczkę. Wrzucić do ciasta, delikatnie wymieszać.

Formę na muffinki wyłożyć papilotkami; wyłożyć do nich ciasto. Piec w 200 stopniach przez 25–30 minut do tzw. suchego patyczka. Po tym czasie wyjąć, przestudzić (chyba że chcemy jeść ciepłe bez polewy).

Zrobić polewę czekoladową: czekoladę podzielić na kostki, wrzucić do rondelka, dodać kilka łyżek mleka i postawić na gazie (mały ogień). Poczekać, aż czekolada się rozpuści, cały czas mieszając. Gdyby masa była zbyt gęsta, dodać jeszcze trochę mleka. Całość dokładnie wymieszać. Na wystudzonych muffinkach rozsmarować polewę czekoladową.

Kruche ciasteczka z cukrem pudrem

Wypiek Kai na spotkanie wigilijne w redakcji „Głosu Radomia”, przepis z książki Renaty. Ciasteczka możemy przechowywać z blaszanej puszki nawet przez kilka tygodni.

Składniki:

- 300 g mąki krupczatki
- 150 g masła
- 100 g cukru pudru
- 1 żółtko
- 1 łyżka gęstego jogurtu naturalnego albo kwaśnej śmietany
- skórka otarta z pomarańczy; wcześniej sparzonej i wyszorowanej
- cukier puder do oprószania ciasteczek
- mąka do podsypywania stolnicy

Wykonanie:

Wszystkie składniki (oprócz cukru pudru i mąki do podsypywania stolnicy) wyrobić na jednolitą, gładką masę (może być w malakserze). Gdy będzie gotowa, uformować kulę, zawinąć ją w folię i włożyć do lodówki na ok. godzinę. Schłodzone ciasto rozwałkować na podsypanej mąką stolnicy i foremkami wyciąć różne kształty. Blachę wyłożyć papierem do pieczenia i poukładać na niej ciasteczka – z tych proporcji otrzymamy prawie trzy blachy ciastek. Piec w 200 stopniach przez ok. 10–12 minut (uważać, aby się nie spaliły – szybko się rumieniają). Przed podaniem posypać cukrem pudrem.

Świąteczny sernik ze skórką pomarańczową

Kolejny wypiek z książki Renaty Gołębiewskiej. Kaja piecze sernik na Boże Narodzenie. Jest bardzo smaczny – nie za słodki, na kruchym spodzie, z nutką pomarańczy.

Składniki:

(na kruche ciasto):

- 150 g mąki
- 50 g cukru pudru
- 1 żółtko
- 120 g masła
- masło i bułka tarta do wysmarowania formy

(na masę serową):

- 1 kg sera (najlepiej półtłustego)
- 150 g masła
- 8 jajek (żółtka i białka osobno)
- 300 g cukru pudru
- 50 g skórki pomarańczowej
- 50 g rodzynek
- wanilia (ziarenka z łaski wanilii albo kilka kropli aromatu waniliowego)
- 50 g kaszy manny

– szczypta soli

Wykonanie:

Zrobić kruchy spód. Na stolnicę wysypać przesianą mąkę i cukier puder, wbić żółtko i wsiekać masło. Całość dokładnie i krótko zagnieść. Włożyć do prostokątnej blaszki wysmarowanej masłem i podsypanej bułką tartą, ponakłuwać widelcem. Podpiec w piekarniku nagrzanym do 170 stopni (przez ok. 15–20 minut), aż spód się przyrumieni.

Zrobić masę serową. Ser przetrzeć przez sito lub praskę. Masło utrzeć na pulchną masę, dodawać kolejno: żółtko, cukier, przetarty ser (stopniowo, łyżka po łyżce). Całość starannie utrzeć. Dodać skórkę pomarańczową, opłukane rodzynki, wanilię, kaszę manną, sól i starannie wymieszać. Z białek ubić pianę i wyłożyć na masę serową. Wszystko lekko wymieszać.

Masę serową wyłożyć na podpieczony kruchy spód. Wyrównać wierzch i piec w 170 stopniach przez 50–60 minut. Wystudzić w uchylonym piekarniku.

Można podawać z polewą czekoladową.

Babeczki orzechowe

„Pod jedną pachą miałam butelkę szampana, w torebce sernik i babeczki orzechowe, natomiast pod drugą pachą sprzęt fotograficzny” – z takim ekwipunkiem Kaja stawia się u Madzi w sylwestra.

Składniki:

(na ciasto):

- 150 g mąki krupczatki
- 75 g masła
- 50 g cukru pudru
- 2 żółtka

(na masę orzechową):

- 2 małe jajka albo 1 duże (żółtka i białka osobno)

- 50 g cukru pudru
- wanilia (czubata łyżeczka cukru wanilinowego albo ziarenka z laski wanilii)
- 50 g orzechów włoskich, zmielonych
- ulubiony dżem (np. truskawkowy, wiśniowy, morelowy, cytrynowy)
- masło albo olej do wysmarowania foremek

Wykonanie:

Zrobić kruchy spód. Mąkę posiekać razem z masłem, dodać cukier i żółtka. Ciasto starannie i szybko wyrobić, owinąć w folię i włożyć do lodówki na minimum pół godziny.

Foremki wysmarować masłem albo olejem (możemy użyć też silikonowych – tych niczym nie smarujemy), wyłożyć ciastem (można ciasto przenieść na wałku i wcisnąć w foremki albo wycinać kółka szklanką i wciskać w dno), ponakłuwać widelcem. Wstawić do piekarnika nagrzanego do 200 stopni, podpiec przez ok. 10 minut. Wyjąć, ostudzić.

Przygotować masę orzechową. Żółtka utrzeć z cukrem i wanilią na pulchną masę. Białka ubić na sztywno. Masę z żółtek wymieszać z pianą z białek i zmielonymi orzechami.

Na dno podpieczonych babeczek wyłożyć po pół łyżeczki dżemu, przykryć masą orzechową.

Piec w 180 stopniach przez 15–20 minut. Masa będzie gotowa, jeśli się lekko zrumieni i będzie sucha. Babeczki lekko ostudzić i jeszcze ciepłe wyjąć z foremek.

Radomianka

Radomianki, radomianki... Wspaniałe kobiety i przepyszne ciastka! Poza Radomiem znane jako wuzetki. Idealne do kawy. Pojawiają się w ważnych momentach w powieści.

Składniki:

(na ciasto):

- 250 g mąki
- 2 łyżeczki proszku do pieczenia
- 4 łyżki kakao
- 100 g masła
- 230 g cukru pudru
- opakowanie cukru wanilinowego (15–16 g)
- 3 jajka (żółtka i białka osobno)
- 3/4 szklanki mleka
- szczypta soli
- słodka czarna herbata z cytryną (do nasączenia biszkoptu)

(na krem):

- 600 ml śmietany kremówki 36%
- 2 łyżki cukru pudru
- 2 łyżeczki żelatyny

(na polewę):

- 60 g mlecznej czekolady
- 60 g gorzkiej czekolady
- 50 g masła

Wykonanie:

Zrobić ciasto (składniki powinny być w temperaturze pokojowej). Mąkę przesiać z proszkiem do pieczenia i kakao. Masło utrzeć z cukrem pudrem i cukrem wanilinowym. Dodać żółtka i wciąż ucierając, dodawać stopniowo, łyżka po łyżce, mąkę z proszkiem i kakao. Wlać mleko, zmiksować. Białka ubić na sztywno ze szczyptą soli. Dodać do masy pianę z białek, delikatnie wymieszać szpatułką.

Prostokątną blaszkę albo tortownicę wyłożyć papierem do pieczenia. Wlać ciasto i piec przez ok. 50 minut w 180 stopniach.

Upieczone ciasto ostudzić w formie, następnie wyjąć, przeciąć na dwa blaty (jeśli ciasto bardzo urosnie, można je przekroić na trzy blaty; gdyby góra za bardzo urosła, należy ją ściąć). Każdy blat nasączyć herbatą z cytryną.

Przygotować krem. Żelatynę rozpuścić w dwóch łyżkach gorącej wody. Lekko przestudzić. Kremówkę (schłodzoną) ubić na sztywno. Pod koniec ubijania dodać cukier puder. Wlać żelatynę, wymieszać. Kremem przełożyć blaty ciasta. Wstawić do lodówki na 2–3 godziny.

Zrobić polewę. Czekolady podzielić na kostki. Masło roztopić w garnuszku, zdjęć z palnika, dodać czekoladę. Poczekać, aż się roztopi, mieszając od czasu do czasu. Wylać na wierzch, wyrównać. Schłodzić w lodówce.

Tort czekoladowy z kandyzowanymi wiśniami

Tort rozpusta. „Prezentował się obłądnie – biszkopt, krem z mlecznej i białej czekolady, kandyzowane wiśnie. Pomyślałam, że jeśli Madzia mu ulegnie, to jej BMI może być w opałach” – chyba nie trzeba lepszej zachęty, prawda?

Składniki:

(na biszkopt):

- 3/4 szklanki mąki pszennej
- 1/4 szklanki mąki ziemniaczanej
- 5 jajek (żółtka i białka osobno)
- 2/3 szklanki cukru

(na ciemny krem):

- 500 ml śmietany kremówki 36%
- 200 g gorzkiej czekolady
- 100 g mlecznej czekolady

(na biały krem):

- 300 ml śmietany kremówki 36%
- 200 g białej czekolady
- słoiczek kwaskowego dżemu (najlepiej wiśniowego albo porzeczkowego)
- słodka czarna herbata z cytryną (do nasączenia biszkoptu)
- 2/3 szklanki mleka

– opakowanie (100 g) kandyzowanych wiśni

Wykonanie:

Zrobić biszkopt. Mąkę pszenną i ziemniaczaną połączyć, przesiać i odstawić na bok. Białka oddzielić od żółtek i ubić na sztywno, pod koniec ubijania dodając cukier, łyżka po łyżce, stale ubijając. Następnie dodawać po kolei żółtka (wciąż ubijając). Dodawać, również stopniowo, wymieszane i przesiane mąki, ubijając szpatułką.

Przyszykować tortownicę. Z papieru do pieczenia wyciąć kółko o średnicy tortownicy i wyłożyć nim dno – boków niczym nie smarować i nie wykleść. Wylać masę i piec w ok. 170 stopniach przez 30–40 minut do tzw. suchego patyczka.

Uwaga: upieczone, jeszcze gorące ciasto wyjąć i upuścić na podłogę, jeszcze w formie, z wysokości ok. 50–60 cm. Dzięki temu biszkopt nie opadnie. Następnie wystudzić go w lekko uchylonym piekarniku.

Gdy wystygnie, przekroić na trzy blaty. Każdy nasączyć herbatą z cytryną.

Przygotować ciemny krem. Gorzką i mleczną czekoladę połamać, wrzucić do rondelka, zalać większością gorącego mleka (około 1/4 mleka zostawić do roztopienia białej czekolady). Całość dokładnie wymieszać, aż do rozpuszczenia czekolad, i odstawić do ostudzenia. Kremówkę (500 ml) ubić na sztywno i wymieszać z rozpuszczonymi ciemnymi czekoladami.

Krem biały przygotować tak jak krem ciemny – czekoladę białą połamać, umieścić w rondelku, i zalać resztą gorącego mleka. Wymieszać do rozpuszczenia, wystudzić. Kremówkę (300 ml) ubić na sztywno i wymieszać z rozpuszczoną białą czekoladą.

Złożyć tort: na pierwszy biszkopt wyłożyć połowę ciemnego kremu. Nałożyć drugi biszkopt. Rozprowadzić na nim słoiczek dżemu, a następnie rozsmarować biały krem. Przykryć trzecim biszkoptem. Na wierzchu i bokach tortu rozsmarować pozostały ciemny krem. Górę udekorować kandyzowanymi wiśniami.

Podziękowania

„Kobiety są niesamowite. Niech skonam, jeśli to nieprawda” – przekonuje Kaja Redo, główna bohaterka mojej książki. Podpisuję się pod tym obiema rękami. Gdy pracowałam jako dziennikarka, poznałam wiele przebojowych, pewnych siebie, zaradnych, radosnych kobiet, które zarażały optymizmem i pozytywnym podejściem do życia. Chciałam pokazać je światu. To właśnie one stały się pierwowzorem Błękitnych Dziewczyn.

Ale świat to, niestety, nie tylko Błękitne Dziewczyny – napisałam też wiele artykułów o Polkach, które nie wierzą w siebie, nie potrafią przyjmować komplementów, podobno są najbardziej zakompleksione w Europie. I dla nich właśnie chciałam napisać powieść, która je zainspiruje, zmotywuje do działania, sprawi, że poczują się lepiej. Absolutnie nie uważam, że jesteśmy słabą płcią. Mam nadzieję, że się ze mną zgadzasz.

Wybór Radomia był dla mnie naturalny. To moje miasto od urodzenia i z wyboru. Tutaj mieszkam i jestem szczęśliwa.

Książka, którą trzymasz w rękach, to mój sprzeciw wobec zbiorowej frustracji i malkontenctwu, któremu ulegli Polacy – i wobec przekonania, że Radom jest dziurą, w której nic nie może się udać. Dotyczy to zresztą każdego innego miejsca na mapie Polski. Nieważne, gdzie mieszkasz. Ważne, żebyś zrozumiała, że szczęście to stan umysłu. Wierzę, że trzeba działać, brać się z życiem za bary, nie poddawać się i mierzyć wysoko. W końcu jak spadać, to z wysokiego konia ;-).

Marzy mi się, żeby po lekturze Błękitnych Dziewczyn choć jedna z Was poczuła się lepiej w swojej skórze, żeby po jej przeczytaniu zastanowiła się, co napisałaby na swojej kartce... Ja już wiem.

Ewa Podsiadły-Natorska

PS Jest wiele osób, bez których ta książka by nie powstała i nie poszła w świat. Dziękuję Rafkowi, mojemu mężowi i najlepszemu przyjacielowi, Mamie, Tacie, Madzi, rodzicom Rafka, moim przyjaciółkom oraz całemu Wydawnictwu Akurat, a przede wszystkim redaktorowi naczelnemu Arkadiuszowi Nakoniecznikowi, który dostrzegł w Błękitnych Dziewczynach potencjał i postanowił dać im szansę.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz